

KÓŁKO DOMOWE.

Słońce jak żniwiarz z rumianém licem,
Sierp swój na niebie wiesza księżycem,
Do snu się szarą owija Wisłą,
I śpi.—W kominku ognisko błysło.

W jasno-zielonéj jak gaj komnacie,
Na kształt pór roku widzę postacie,
Słychać srebrzyste brzęki wieczerzy;
I głos poważny i głosik świeży
Plotą się w warkocz, plotą w rozmowę,
Gwarzy przy ogniu kółko domowe.

Kotek się bawi z kłębkiem babuni,
Rwie nitkę pewny, że w łaskach u niéj.
Ojciec rozwinął kartę dziennika,
Matka i córki z głębi koszyka,
Mlécznéj wstążeczki wyjęły zwoje,
Aby nią krucze oszywać stroje.

Błogo—tak błogo w tém żywém kole,
Jak w pęku fiołków, jednak przy stole,
Dla czegóż miejsce puste zostało?

Najmłodsza z córek, czasem nieśmiało,
Ku drzwiom spogląda z różową trwogą...
Czy jeszcze kółko czeka na kogo?

Dzwonek się ozwał, rośnie rumieniec,
W progu dorodny stanął młodzieniec,
Jako topola giętko się skłania.

Brzmią powitania i zapytania,
„Co jest nowego? co słychać w mieście?“
Dziwne nowiny głosił; nareszcie
Rzekł: „Niespodziankę przynoszę miłą.“

Na te się słowa kółko skupiło,
On wyjął książkę; książka świeżutka,
Jak trawka w kwietniu, silna choć krótka.

Jędrnym ją głosem młodzieniec czyta;
Z różnych wstęg myśli treść jéj uwita:

Stoją tam żywe obrazy z dziejów;
Rycerz odnosi wieniec z turniejów,
Król zbawcom kraju daje buławy,
Mędrzec w marmurze ryje ustawy.

Daléj przyroda dziwy roztacza,
Pod niestrudzonym kluczem badacza,
Kryształ wyjawia swoją budowę,
Piorun pochyla wężową głowę,

I gwiazda kojąc ludzką tęsknotę,
Musi otworzyć swe serce złote.

Dalej się snują podania ludu:
Pustelnik duma nad źródłem cudu,
W zaklętym lesie gadają drzewa,
I paproć kwitnie, i rola śpiewa.

Dalej poeci pieśni złożyli:
Ten jako łabędź w smutku się chyli,
Tamten skowronkiem płynie w nadzieję,
Inny jak orzeł w słońcu się chwieje.
Tu młodzian przerwał.... te hymny chwały,
Jakby chorągwie mu zaszumiały!

Złożyła igłę cicha dziewica,
Odwaga słowa pierś jéj pochwyca,
Wstała, maluje przejrzystym głosem,
Swoje marzenia nad ludów losem.

I polskie dziewcze taką wymową,
Uczciło przeszłość naszą laurową,
I tak radośnie, porywająco,
Zajrzało w przyszłość z łez świtającą,
Że młodzian ręce złożył w zachwycie:
„Tak słuchać“ wyrzekł— „przez całe życie,
„To moje niebo! kiedyż czekane,
„Usłyszę słowo? Kiedyż przestanę,
„Być dla was gościem w kółku domowém?

Po chwili ciszy, poważném słowem,
Do jego prośby każdy się skłania,
Tylko czekają dziewicy zdania:

„Każdy wiek,“ rzekła— „ma swe turnieje,
„Gdzie dla zwycięzcy wieniec kraśnieje.
„Nie teraz chwila sokole młody,
„Zamknąć się w cichém szczęściu zagrody;
„Gdy mężem sławnym wróci młodzieniec,
„W kółku domowém splotę mu wieniec.“

Deotyma.

ZAMOJSKI I CHMIELECKI.

OBRAZEK HISTORYCZNY.

W lipcu roku 1621 zjechał pan wojewoda kijowski Tomasz Zamojski do Równego na Wołyń. Minęło zaledwie półroku, jak na sejmie w Warszawie, czyniąc zadość żądaniu Reginy z Fulsztyna Herburtównéj, wdowy po hetmanie Żółkiewskim, oddawał królowi Zygmuntowi III. pozostałe po nim pieczęć wielką i buławę koronną, przypominając zgon jego bohaterski wśród cecorskiéj równiny. „Umarł ten co je nosił, ale tak że jego trupa nie przestąpił nieprzyjaciel do państw W. Kr. M. (mówił do króla). Odbieżany od swoich, nie odbieżał świątobliwego zamysłu swego za ojczyznę umrzeć.... Wskazywa on do Waszmościów Mpp. senatorowie, abyście opatrzyli w czas dobrze tę ojczyznę, póki nie nastąpi nieprzyjaciel.... Nie pomurujecie tak prędko zamków, wałów nie posypiecie, przyjdzie wam już nie cegłą, nie piaskiem, ale własnemi piersiami zasłonić tę ojczyznę; uzbrójcie zatém piersi, nietylko żelazem, ale sercami szlachetnemi; to będą najpewniejsze okopy i wały.“

Wojewoda kijowski godny syn Jana Zamojskiego, patrzał jasno na sprawy krajowe, wołał więc, zaklinał na Boga o pośpiech w przygotowaniach wojennych, które często robiły się tak opieszale, jakby zgoła nikogo nie obchodziły i krzątał się bardzo, aby tak za swoje, jak za Rzeczypospolitéj pieniądze, ściągać ludzi do wojska, przeciw robiącemu także wielkie przygotowania pogaństwu. Równe dostało mu się w posagu za żoną Katarzyną z Ostroga, wojewodzianką wołyńską, tam też spotkał szlachcica Stefana Chmieleckiego, który strawił wiek młody na wojaczce w usługach książąt Ostrogskich. Wiele o nim ludzie mówili, a wojewoda który wiedział że był na cecorskiém polu, na czele zastępu ochotników z Ukrainy, oraz ludzi zbrojnych księżnéj Ostrogskiéj, kazał go do siebie przywołać.

Zamojski siedział sam, w jednéj z komnat zamkowych, gdy oznajmiony przez pokojowca wszedł Chmielecki z niskim ukłonem, który nie był bynajmniéj dowodem nikczemnéj uniżoności, ale téj czci, jaką obudzał w ubogim szlachcicu dostojnik koronny, co radził o bezpieczeństwie Rzeczypospolitéj i czuwał nad jéj całością. Wojewoda do tych oznak czci był nawykły od dzieciństwa. Syn wielkiego kanclerza, założyciela akademji Zamojskiéj, doświadczał przyjaźni

królów i możnych tego świata, witany był mowami, procesjami; biskupi i senatorowie wysyłali na przeciw niego dworzan swoich z uprzejmemi słowy, gdy do nich zjeżdżał. Jakób król angielski ojciec Karola I. słał mu kosztowne upominki, skoro zaś wracał z zagranicy do Zamościa, mieszczanie czekali na niego dla powitania przed miastem, a całe duchowieństwo, infułat, z kapitułą do późnéj na wyżywienie siebie i rodziny; kiedy więc zawołano go na pokoje do wojewody kijowskiego, był nieco zmieszany tym zaszczytem i pokornie przy drzwiach się zatrzymał. Bardzo bowiem mijało się z prawdą owo przysłowie, że *szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie,* nawet wtedy kiedy wojewoda był ludzki i rozumny, cóż dopiero gdy był rozzuchwalony bogactwy i znaczeniem, a pychą nadęty.



Chmielecki po zwycięztwie nad tatarami wjeżdża do Lwowa wraz z wozami, na których przywieziono odbite z jasyru dzieci.

nocy w kościele, gdzie zaraz *Te Deum laudamus* na podziękowanie Bogu odśpiewano. Akademicy nie omieszkali przy téj okoliczności mnóstwo wierszy i mów pochwalnych podać do druku.

Chmielecki w innych życia wzrosł warunkach; był prostym w wojsku towarzyszem, lub siedział na roli, w ubogiéj chacie, w Krasniańskiéj włości księżny Ostrogskiéj. Ożeniony z panną Chocimirską także herbowną, ale i ubogą jak on szlachcianką, zaledwie mógł starczyć

— Dziękuję waszmości, żeś się tu stawił z taką gotowością, rzekł Zamojski, wiem żeś człowiek rycerski i że mi pomożesz w tém, cośmy wszyscy i bożém i przyrodzoném prawem ojczyznie powinni, a mianowicie w tak niebezpiecznym razie. Miałem tu już od kozaka wiadomość, że widział tatarów na suchym Jahorliku, że sułtan Gałga przeprawuje się u Podolskiego Kamieńca.

Chmielecki machnął ręką i głową przecząco pokręcił.

— Nie spodziewam się ich prędzéj, aż na niebie ujrzą nowy miesiąc, rzekł. Tak mi się już ta *trybulacja* naprzykrzyła, żebym rad im coprędzéj, abym się z niemi bił.

— Jednak mówią niektórzy, że waszmość na cecorskiém polu z całą czeredą ku Prutowi uciekałeś, odbieżawszy naszego sławnéj pamięci hetmana....

Oburzenie płomykiem przebiegło po twarzy Chmieleckiego i roztliło się iskrą w wyrazistém oku. Odstąpił kilka kroków naprzód i odezwał się stłumionym, lecz dobitnym głosem:

— Jam uciekał? ja com chciał w jakim takim porządku część wojska uprowadzić, com wołał na towarzyszów, którzy potraciwszy umysły szlacheckie uchodzili tłumnie, że na moją szyję biorę ich bezpieczeństwo!.... Mnie pan hetman rząd taboru powierzył, dwóch nas tam było szlachciców, cośmy stali mocno przy intencjach hetmańskich, nie mogliśmy przeciw wszystkiemu wojsku przemódz, a nikt nie chciał przy swoich hetmanach za króla i Rzeczpospolitę sławnie umierać, wszyscy za Prut na Bukowinę uchodzili w bród, na którym dla wielkiéj wody trzeba było pływać, a z tamtéj strony tatarowie i wołochy zdrajcy, jako trzcina z ziemi wyrastali. Panie wojewodo! dodał z rozżaleniem, nie stało żołnierzów ojca waszmości sławnéj pamięci, a choć téż jeszcze i są, zapomnieli powinności swéj.

— I mój ojciec i nieboszczyk pan Zółkiewski, co to jeszcze pospołu z królem Stefanem nad bezpieczeństwem i całością Polski radzili, mawiali zawsze, że chcąc muzułmańską potęgę złamać, trzeba ją zwalczyć na jéj własnym gruncie.

— Święta prawda! Rzeczpospolita przenigdy nie będzie w pokoju, póki na tatarskich karkach nie wjedzie za Dunaj. Teraz Pan sprawiedliwy wielkie karanie dopuścił na nas, za nasze niedbalstwo. Krwawe łzy oczy napełniają jak przyjdzie wspomnieć o zginionych braciach, o hetmańskiéj siwéj głowie, co padła pod mieczem pogańskim, jak ofiara za nasze grzechy. Pana Boga tylko proszę, aby prędko pomstę zdarzył, zobaczycie wtedy waszmość panie wojewodo, że starożytna Bończa (1) moja, prędzéj się krwią zarumieni, niż hańbą ucieczki okryje.

— Polegam na waszmości, odrzekł mu z ufnością Zamojski. Trzeba nam mieć na pieczy granice Ukrainy i Podola, gdyż po tym strasznym *akcie* cecorskim poganie wytchnąwszy sobie, pewnie będą co czynić. Na cienkiéj nitce wisi i zdrowie i całość Rzeczypospolitéj. A tu na taki raz nie widzę żadnéj gotowości, nietylko do boju, do ratunku, ale i obozowéj straży. Ruszyć się z kim nie masz; nie masz wodzów, pieniędzy, ludzi!....

— Macie mnie waszmość panie wojewodo na zawołanie w tę stronę, w któréj zatętni tatarskie kopyto, i ze mną ze dwustu ochotników gotowych zawsze bronić przed nieprzyjacielem, te kąty popluskane krwią braci. Jeżeli nam zbywa na dostatkach, nie zbywa na *animuszu*.

— Niech was Bóg utrzymuje, bo ludzie czemuś strasznie poziębli. Rozesłałem rotmistrzów swych na różne miejsca, pragnę żebym z tysiąc ludzi usarzów zaciągnąć mógł, do tego pięciuset rajtarów. Wam mości Chmielecki oddaję pod władzę ludzi moich z Ukrainy, którzy z powinności sprawują wojenną służbę w tych stronach. Z Krasnego może stanąć do boju trzysta koni, z Szarogrodu drugie tyle, ochotnicy ze szlachty o których wspominacie hufiec powiększą. Nie mamy fortec, nie mamy straży granicznych, brońmyż piersiami naszemi Rzeczpospolitą.

— Tak nam Boże dopomóż! odpowiedział uroczyście Chmielecki.

— Żebyś zaś waszmość nie miał zakłopotania o chléb dla żony i dzieci naznaczam *jurgieltu* dwa tysiące zł. rocznie, do tego przydaję w dożywotnie używanie miasteczko Nowy Międzybóż i sioła Szczuczyńce i Dewce, a zechce się wam trochę gospodarować, to wam puszczę całą włość Krasniańską, posag mojéj żony, w dzierżawę łaskawą.

---

(1) Herb Chmieleckiego.

— Wolne W. M. żarty miłościwy wojewodo, rzekł Chmielecki do nóg się kłaniając, ale gospodarstwo nie bardzo mi się nadaje, kiedy pogański okrzyk w uszach świszczy. Niech to tam sobie już się moja pani małżonka rządzi, z tém co nam udzieli szczodrobliwość miłościwego pana. Nie wiele ja zgoła wiem o domowych sprawach. Niech ino dla mnie będzie koń dobry i towarzysze wierni, żeby z niemi na szlaku czatować, a tym czasem Bóg zapłać W. M. panu, panie wojewodo, za ten chléb dla moich dzieci, za który wam piszę powolne służby moje.

I znowu skłonił się wdzięcznie, lecz z godnością do nóg pańskich.

Od tego czasu policzony w poczet sług wojewody kijowskiego, pobierał roczną płacę i dochody z nadanych sobie ziemi. Wkrótce też mógł dać dowód męstwa swego, bo kiedy Zamojski ciągnął pod Chocim, gdzie go wzywał sam królewicz Władysław, właśnie wtedy wpadli tatarzy i Chmielecki zniósł jeden ich zagon z niewielką garstką ludzi, nabrał dużo więźniów i przyprowadził ich Zamojskiemu, do którego właśnie wieść nadeszła, że pokój stanął pod Chocimem. Wtedy Chmielecki dawszy ten pierwszy dowód gorliwości wojewodzie, ukraińców swych odprowadził i sam zasiadł w Krasném na straży.

Napady tatarskie tak nagłe i niespodziewane najmężniejszych wodzów wprawiały w osłupienie, ciężko bowiem uzbrojona konnica polska nic im poradzić nie mogła. „Próżno wiatr po polu gonić (mawiano) kiedy tatarzy porzuciwszy kulbaki i oręże pierzchają.“ Na tak szybkich napastników trzeba było równie zwinnych obrońców, takiemi też byli ukraińcy Chmieleckiego; ludzie silni i zdrowi, do boju ochotni, na rączych siedząc koniach, wytropili wszędzie tatara i dościgli go w pogoni. Właśnie w tych czasach, zależne od chanów krymskich, hordy tatarów nogajskich zwanych niekiedy budziackiemi od zadniestrzańskich stepów Budziaku, lub białogrodzkiemi od tatarskiego portu Kilji czyli Białogrodu, szerzyły swoje napady wzdłuż zachodnio-północnych wybrzeży morza Czarnego. Na ich czele, uosobienie srogości i fanatyzmu, stał wódz ze krwi dawnych wodzów mongolskich zwany Kantemir, czyli *miecz krwawy*, lub *krwawe żelazo*. Jeden z posłów polskich do chana krymskiego tak postawę Kantemira opisał: „Odziany żelazną zbroją, w ogromnym na głowie kołpaku, niezmiernéj, nakształt słonia postawy i strachem przerażającego wzroku“ (1). Przewyższał wszystkich murzów krymskich swoją nienawiścią dla polaków, srogością swoich napadów i bezprzykładną szybkością z jaką przenosił się z miejsca na miejsce. W nagrodę obdarzyła go Porta paszalikiem Sylistrji, a Kantemir rosnąc w powagę, coraz zuchwaléj otrząsać się zaczął ze wszechwładztwa chanów krymskich, coraz śmieléj wojował z niemi, aż poddał Krym sułtanowi tureckiemu. Oburzony ówczesny chan Szahin Girej, obejrzał się z krwi chciwą wściekłością w około siebie, szukając zemsty. Znalazła mu się właśnie pod ręką żona Kantemira i cała jego rodzina zamieszkała w Krymie. Wszyscy wśród najsroższych męczarni zamordowani zostali, małżonkę zaś murzy, dla odznaczenia, dość zwyczajną zresztą u tatarów karą, upieczono żywcem na rożnie.

Na tę wiadomość Kantemir wpadł w gniew straszliwy, a dzika jego natura nie mogąc znaleść ulgi w zemście nad potężnym jednak zawsze nieprzyjacielem, rozszalała się w nienawiści i krwi pragnieniu. Lubo Szahin Girej bronił Kantemirowi naruszenia pokoju z Polską, wisiał on jednak nad jéj pogranicznemi ziemiami jak burza piorunna, a jego nogajcy wyrywali się na zdobycz do ziemi lackiéj.

Tymczasem w jesieni r. 1622 wybrał się z Polski z wielkim przepychem poseł wielki, książe Krzysztof Zbaraski, wysłany od Rzeczypospolitéj do Konstantynopola, na potwierdzenie zawartego pod Chocimem sojuszu, a wieść o jego podró-

(1) Szajnocha. — Opowiadanie o królu Janie.

ży wlała promyk pociechy w serce nie jednéj ofiary, nieszczęsnego losu cecorskiéj bitwy.

O milę od Konstantynopola stérczała nad morzem wieża smutnie głośna na całą Polskę z prześladowań i mąk, których w niéj doznawali jéj synowie. Była to owa bolesnéj pamięci Jedykuła czyli Czarna Wieża, do któréj po raz drugi teraz dostał się książe Korecki, w któréj tęskne dni liczył, w oddaleniu od ukochanéj żony i kraju, hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski. Korecki, lubo nie upadając na duchu wjeżdżał do stolicy Islamu, z podniesioną głową i przygrywając sobie na kozackiéj kobzie, nie wyjechał już ztamtąd żywy, a tylko zwłoki jego po uduszeniu w więzieniu z rozkazu sułtana, wyrzucone przez okno i zagrzebane w piasku pod wieżą, pobożni ziomkowie tajemnie w beczce smołą oblanéj, przykryte kobiercami, do ojczyzny uwieźli. Koniecpolski wykupiony przez rodzinę, wrócił szczęśliwie z poselstwem i stanął zaraz gdzie go powoływała powinność, na czele wojska na szlaku, którym zwykle ciągnęło pogaństwo i gdzie zawsze czujny ze swemi jezdnemi, czatował już Chmielecki.

Ciągle uwiadamiany przez swych szpiegów w Krymie i w Białogrodzie o poruszeniach wojsk tatarskich, donosił Tomasz Zamojski królowi, że zbliża się niebezpieczeństwo, zaklinał go aby myślał o całości państwa swego i przyczynić kazał większą liczbę wojska kwarcianego, lecz Zygmunt III. nie bardzo się o to troszczył, wyjechał nawet następnego roku na wiosnę do Gdańska i Poznania. Od strony zatém wiecznie przez nieprzyjaciół zagrożonéj, która bezustannie krwawym haraczem rycerzy, niewiast i dzieci opłacała wyznawcom proroka, całość i bezpieczeństwo reszty Europy, pozostały tylko pełne poświęcenia i zapału piersi tych, którzy z przekonania lub z instynktu pojmowali, że gdzie nie ma innéj zapory, należało wałem z własnych ciał swoich usłanym, ukochaną zasłonić ziemię.

W pierwszém zaraz starciu, Chmielecki z szablą podniesioną wpadłszy śmiało na tatarów, nie mało ich trupem położył, aż tak siekąc w prawo i w lewo, sam został w bok postrzelony i zaledwie utrzymać się zdołał na koniu do końca bitwy, o któréj pomyślnym wypadku wieść, wyprawił wraz z jeńcami do hetmana Koniecpolskiego. Sam zaś osłabiony upływem krwi zdał dowództwo Janowi Dzikowi i zmożony cierpieniem odpoczął wśród rodziny w Międzybożu. Tymczasem zaś tatarzy do reszty pokonani, uszli do ordy w mniejszéj o cztery tysiące liczbie, a Kantemir straciwszy dwóch synów i dwóch braci, zawrzał sroższą jeszcze chęcią zemsty i zgromadzał na Polskę wojska ogromne.

Jeszcze nie zupełnie zdrów Chmielecki dowiedział się o rozesłanych uniwersałach hetmańskich, donoszących o grożącém niebezpieczeństwie. Próżno żona nalegała na niego żeby zdrowie szanował i wytchnął sobie. „Nie wytrwam, wołał, powlokę się za wojskiem“ i zaczął się zbierać na wyprawę, a mężny umysł orzeźwił w nim nadwątlone chorobą ciało i już zdrów prawie pośpieszył do hetmana zbierającego znaczniejsze siły i oczekującego na tatarów, którzy po przeprawie przez Dniestr u Martynowa, rozpuścili w mgnieniu oka swoje straszliwe zagony i już obciążeni łupami, pędząc licznych jeńców przed sobą, wracali znów ku Dniestrowi na bród martynowski.

Bezecna ta tłuszcza krymskiego i nogajskiego tatarstwa, nabrała teraz tyle chłopców i dziewcząt w handel do serajów tureckich, że na trzy mile rozciągał się pochód jeńców i teleg z kosztownościami zrabowanemi po kościołach i po domach szlacheckich. Sami łupiezcy ciągnęli z tyłu tém śmielsi, że ich Koniecpolski pozorném cofaniem się oszukał, sądząc więc że hetman lęka się spotkania z niemi dla sił nierównych, rzucili się w stronę, gdzie stało wojsko koronne.

Wraz z pierwszym brzaskiem dnia 20 czerwca 1624 Polacy ujrzeli płomienie nie daleko od nich zapalonéj przez tata-

rów wioski i pierś ich zawrzała szlachetném zwycięztwa pragnieniem. Zaczęły się w obozie przygotowania, a gorące modły do Przedwiecznego ulatywały z przepełnionych żałością serc chrześcjańskich. W téj uroczystéj chwili szło o śmierć lub życie nie tylko owych mężnych rycerzy, ale całego tego nieszczęsnego ludu, tego słabego drobiazgu, który już dziki tatarzyn w swojéj miał mocy i pędził na hańbę i niewolę między niewiernemi. Wszystkie oczy zwrócone były na wieś płonącą, z umysłem podnieconym zbliżaniem się stanowczéj chwili i o dziwy! z unoszących się płomieni i dymu, na jasnym błękicie nieba krzyż się utworzył i wyznawców krzyża napełnił błogiéj wróżby nadzieją. Rzucili się w tę stronę konie wypuszczając, Kantemir też z liczném natarł wojskiem, lecz po krwawéj całodziennéj bitwie ustąpić z placu musiał, Koniecpolski zaś w porządnym szyku na nich następując, wysłał naprzód dwanaście lekkich chorągwi z Odrzywolskim i Chmieleckim, którzy pędząc przed sobą tatarów aż do Dniestru i rąbiąc ich na wszystkie strony, dokonali świetnego zwycięztwa.

Gdy z jednéj strony znikające niedobitki w rzece się topiły, z drugiéj rzewny i przejmujący roztaczał się obraz. Na nieobjętéj okiem przestrzeni, procesje rozszlochanych niewiast i dzieci, ciągnęły ku wybawicielom, padając przed niemi na kolana, czcząc jak świętych, błogosławiąc jak najwyższych dobroczyńców. Daléj rozpierzchłe wśród zamieszania bitwy, trzody bydła i owiec, także do ordy uprowadzane, teraz opuszczone biegając, głośnym rykiem wylęknienia napełniały powietrze; tu i owdzie sączył krew świeżą jeszcze trup bezgłowy jeńca, którego smutna dola w ręce tak mściwego tatarzyna oddała, że zmuszony opuścić swą ofiarę, wolał ją zabić; a pod nogami trzód i wśród potoków krwi pomordowanych, walały się naczynia poświęcane—relikwiarze, kielichy, monstrancje rzucone na drodze wśród pośpiechu, wraz z ornatami, makatami i różnemi przedmiotami zbytku, pozabieranemi z szlacheckich domów. Gdy hetman dla uroczystego podziękowania Bogu ciągnie do Halicza, tu ze wszech stron nakazane zjeżdżają się wozy, dla zabrania rannych i dzieci, które bezsilne od wielkiego płaczu i żalu, pousypiały na polu niebożątka nie znając ani nazwiska rodziców swoich, ani miejsca zkąd je zabrano. Kilkanaście takich wozów odstawił Chmielecki do Lwowa, a w oczach mężnego żołnierza, który sam będąc ojcem pojął łatwo i osieroconych rodziców i zgubionych dzieci niedolę, znalazła się dla tego nieszczęsnego drobiazgu rzewna łza litości. Już wozy pełne były, gdy dosłyszany wątły jęk za krzakami oznajmił, że jeszcze jedna w téj stronie oddycha ofiara. Poszukano troskliwie i znaleziono przy trupie młodéj kobiety, trzyletnie dziecko od płaczu zsiniałe. Któż mógł powiedzieć zkąd porwane i gdzie się obracają żałośni jego rodzice?... Lubo przywykli do podobnych widoków rycerze, użalili się przecież nad jego smutną dolą, jakiś stary towarzysz podniósł z ziemi i z troskliwością matki utulił, a sam Chmielecki posadził go na konia przed siebie.

We Lwowie jednocześnie się dowiedziano o zwycięztwie nad nieprzyjacielem i o zbliżającym się hufcu, a okrzyk błogosławieństw dla wybawców, wraz z dziękczynną modlitwą do Stwórcy, wzbił się w powietrze. Wszystkie dzwony miasta uroczystemi spiżu dźwięki zawtórowały głośnéj radości, liczne zaś duchowieństwo, w pontyfikalnym stroju, rozpoczęło procesjonalny pochód z krzyżem w ręku, na powitanie obrońców krzyża. Wszystko co żyło, biegło za niemi składając ręce, sypiąc kwiaty, łzy lejąc rzewne, a kiedy wozy z dziećmi stanęły na rynku, wszczęło się nie do opisania zamieszanie, bo każda rodzina pragnęła dostać sierotę, żeby ją jako zakład błogosławieństwa bożego w domu przytulić. Kobiety wyciągały ręce do dzieci, które nieco uspokojone, już się do nich uśmiechały, bezdzietne chciały zabierać po dwoje.

Odtąd nieprzerwaném było zadaniem

Chmieleckiego na każdym kroku niepokoić najezdców i łupy im odbierać. Niech panowie, którym poruczona piecza nad Rzeczpospolitą, radzą jak stanowczo złemu zapobiedz, on prosty wojownik robi tymczasem co mu powinność każe, niesie codzień prawie życie swoje w ofierze na ołtarz powszechnego dobra, a życia tego tak potrzebnego krajowi nic nadwerężyć nie może; trud go nie znęka, pocisk nie dosięże, niebezpieczeństwo znakiem krzyża ś. odpędzi. Jeżeli rodacy zrazu nie oceniają należycie jego usiłowań, radziby innego widzieć regimentarza, najpierw ocenia go dziki tatarzyn, który do imienia jego za każdym razem dodaje obelżywe przekleństwo, a matki tatarki straszą nim w Krymie dzieci swoje.

Następnego roku napadł na zagon wracający z ziemi bełzkiéj z wielkim plonem ludzi i spłoszył tatarów tak, że sam chan uciekł na błota nieubrany. Odbił Chmielecki więźniów z saméj dzierżawy Rzeczyckiéj do 5,000, a pogańskiemi trupami zasłał pola. W 1526 r. kiedy ciągle groziły napady, hetman Koniecpolski odciągnięty został z wojskiem do Prus przez króla zaprzątniętego wojną ze Szwecją, a Chmielecki mimo że ubóstwem swojém wymawiał się od regimentarstwa, pozostał sam na Ukrainie z częścią kwarcianych i zaporożców, sam odpowiedzialny za bezpieczeństwo całego kraju.

Wszedł Kantemir i Nuradyn sułtan z licznemi zastępami, które od garstki polaków sroga pod Białocerkwią spotkała klęska. Znów odebrane przez Chmieleckiego dzieci, rozwożono drabiniastemi wozami po okolicy, a szereg mogił co do dziś dnia jeszcze zaklęsłemi już kopcami miejsca dawnych walk znaczy, wzniósł się po nad licznemi trupy, z których samych tatarów, 11,000 naliczono.

Tego zwycięztwa pokój był owocem, byliby się wprawdzie wkrótce znowu do Polski wyprawili tatarzy, ale ich wstrzymała czujność Chmieleckiego, który ich poruszeń z oka nie spuszczał, niczém się nie ubezpieczając i przestrzegając zarazem, żeby żadnéj zaczepki ze strony kwarcianych i kozaków nie było. U dworu tymczasem rosły trwogi, życzono sobie innego regimentarza na Ukrainie i to doszło do Chmieleckiego. On który zaniedbał osobistego dobra, nie myślał o żonie, o dzieciach, ciągle na krésach z wytężoném okiem pohańców upatrując, ubolewał srodze nad tém nieuznaniem postępowania swego, zapragnął się usunąć. „Daj Boże, aby to prędzéj nastąpiło (pisał do Zamojskiego) bo już mi nie stawa o czém służyć. Więcéjbym wskórał pługa pilnując, niż odważnie piersi nadstawiając, czego nikt nie chce widzieć i rozumieć.“

Lecz widział jego czyny i pojmował nieomylnym instynktem swego serca lud okoliczny, którego on mienia i życia strzegł pilnie, a z ust wdzięcznych, ocalonych przez niego ze srogiéj niewoli, wypłynęła pieśń do naszych przechowana czasów. Kończy się temi słowy:

Takie ludzi wszystkich głosy,
Staną tobie za kolosy,
Stanieć to za piramidy,
Żeś tureckie łamał dzidy.

Cny Chmielecki, mężu sławny,
Jakiego świat nie miał dawny,
Nie jeden wiek, nie dwa minie,
A twa sława nie zaginie.

Niemniéj oceniał go ten, który pierwszy dał mu możność służenia tak skutecznie krajowi, przyjmując go do swoich usług. Tomasz Zamojski ciągłe mając dowody jego gorliwości, przekonał się, że skromny i zaledwie znany na Ukrainie chorąży bracławski (1) był jednym z najzasłużeńszych w kraju mężów. A w tém nastąpiło sławne jego pod Bursztynem zwycięztwo, w którém odbito 10,000 więźniów, poseł zaś wyprawiony przez Chmieleckiego do króla z wieścią o pogromie złożył u nóg monarchy szablę i sahajdak ze strzałami, zabitego przez naszych Mambet-beja syna Kantemira.

Ta klęska na długo ubezsilniła tatarów, głosy pochwalne i wdzięczne wzniosły się na cześć Chmieleckiego, a Zamojski pomyślał że należało Rzeczypospolitej nagrodzić człowieka, który tak świetnie jej

(1) 1626 r. został chorążym bracławskim.

sztandar w obec łupiezkiego pogaństwa podtrzymuje. Właśnie w Warszawie kończył się sejm, w czasie którego był przytomny poseł Karola I. króla angielskiego, jako pośrednik w umowach między Gustawem królem szwedzkim, a Polską. Pan podkanclerzy Zamojski, pamiętny gościnności od królewskiego domu w Londynie doznanéj, wspaniale przyjmował posła i obdarował go koniem tureckim, oraz klejnotami wysokiéj wartości, czemu uwierzyć łatwo, wiedząc że co do upominków, panowie polscy umieli się w hojności z królami mierzyć. Pobyt w stolicy był wówczas bardzo niebezpieczny z przyczyny zarazy, lecz Zamojski pozostał wytrwale przy pieczętarskim swoim urzędzie i wyruszył do Zamościa dopiéro wtedy, kiedy obecność jego nie była potrzebną. Ledwo milę ujechał, przypada do niego goniec z doniesieniem o śmierci księcia Aleksandra Zasławskiego, który po nim wziął województwo kijowskie. Znów więc krzesło w senacie opróżnione, a co większa, na wiecznie niepokojoném pograniczu Rzeczypospolitéj urząd ważny nie sprawowany. Zamojski zadumał się z troską o dobry byt téj ziemi ukraińskiéj, któréj srogich klęsk nieraz był świadkiem, wspomniał że tu nietylko o Ukrainę, ale o kraj cały idzie i wraz myśl jakaś zadowoleniem promienna, czoło mu rozjaśniła, a zdumiony dwór odebrał rozkaz jechać nie do Zamościa, lecz napowrót do Warszawy.

Przybywszy, mimo słabego zdrowia, kazał natychmiast prosić króla o prywatne posłuchanie, co mu łatwo było otrzymać przy powadze, jakiéj używał i zażyłości jaką miał z sekretarzami królewskiemi.

— Wiesz W. Kr. Mość, powiedział, że W. Kr. Mości, jako Panu życzliwie i prosto rad służę, dla tego też dziś wracam do stóp Jego Majestatu, aby przypomnieć W. Kr. Mości, że osierocone śmiercią księcia Zasławskiego województwo kijowskie, potrzebuje mieć dzielnego i roztropnego męża u steru, coby nieprzyjaciół pogranicznych i swawolę kozaków powstrzymał. Na to miejsce jednego znam nad wszystkich godnego; jest to Stefan Chmielecki chorąży bracławski, który tam od lat dziesięciu piersiami swemi Rzeczpospolitę zasłania, stérawszy już zdrowie swoje i mienie na rycerskich sprawach.

— Ależ to chudy pachołek, który zostaje w usługach Waszmości, rzekł król. Co na to powiedzą panowie, gdy go wyniosę na senatorskie krzesło?

— Miłościwy królu, dawno on już zasługą swoją wzniósł się wysoko między synami tej Rzeczypospolitéj, która powtarzam, nie ma nad niego gorliwszego obrońcy. Jej to pan chorąży bracławski, a nie mnie służy.

— Już tu pan Adam Sanguszko myśli o tym urzędzie, nadmienił król, nie odmawiając wyraźnie, ani téż nie obiecując.

Lecz nie dał się odstręczyć podkanclerzy, wiedział bowiem że przemawiając za Chmieleckim, ojczyznie oddaje usługę; walcząc tedy z podszeptami zazdroszczących tak wielkiego wyniesienia ubogiemu szlachetce, gorącemi prośbami wymógł na wahającym się królu przywilej na województwo dla chorążego i uniżenie monarsze za otrzymaną łaskę podziękowawszy, do Zamościa powrócił, nie wyjawiając się z tém, co z sobą wiezie. Lecz powrót podagrycznych cierpień już od niejakiego czasu go trapiących, zatruł mu chwile téj szlachetnéj, godnéj prawego obywatela radości. Wiódł z sobą nagrodę zasłużoną dla obrońcy drogiéj ojczyzny i chciał mu przywilej wręczyć własnoręcznie, w tém oto choroba do łóżka go przykuła. Kazał jednak pisać do Chmieleckiego, aby wraz z żoną i dziećmi zjechał do niego.

Choć to niby nic nie wiedziano o przywileju przywiezionym przez pana z Zamościa, jednak głuche wieści ztąd czy z Warszawy, dolatywały do Chmieleckiego, który własnym uszom nie śmiał wierzyć. Pani chorążyna skorsza przyjąć do serca nadzieję i słusznie przeświadczona że jej mąż godnie się zasłużył krajowi, budować zaczęła na mocy tych wieści wspaniałe *zamki na lodzie.*

— Nie łudź się, moja panno, mówił

jéj mąż, prędzéj mnie w gonitwie za nieprzyjacielem głowę położyć, niż wojewodą zostać.

— Już co ja wiem, to wiem, odpowiadała chorążyna, całując męża w rękę i uśmiechając się do obrazu swych marzeń, pamiętała zaś troskliwie, żeby się jak można było najprzystojniéj do Zamościa wybrali i żeby żaden dworski lekkomyślny, nie znalazł powodu zażartować z ich szlacheckiéj prostoty. Zajechali jak zwykle do marszałka i dowiedzieli się ze smutkiem, że pan chory, łóżka prawie nie opuszcza. Gdy jednak na obiad przyszli, zwrócone mieli oczy; a chorążyna po biciu przyspieszoném serca swego, czuła że jego przyjazd miał związek z ich tutaj przybyciem. Jakoż po ukończonej Mszy przeszli do głównych komnat, a pan Zamojski uroczystym głosem zawezwał przed siebie Chmieleckiego. Przytomni umilkli w oczekiwaniu czegoś ważnego. I rzeczywiście ważna to była chwila, która płomieniem szlachetnego zapału, podnosiła młode piersi przytomnéj tam, a nieznanéj ubogiéj szlachty, co trzymając się dworskiéj klamki, nie śmiała sięgnąć po wieniec zasługi, w jéj uznanie nie wierząc.



Miło mi, rzekł, że Waszmość Panu pierwszy senatorskiéj godności powinszować mogę.

pojawił się i pan Zamojski nieco zdrowszy, nic wszakże Chmieleckiemu nie wspominając z jakiego go wezwał powodu. Tylko co się był zaczął rok 1630 i nazajutrz nabożeństwo uroczyste zgromadziło w kaplicy mieszkańców zamku. Był téż tam przytomny sekretarz królewski Piotr Oleśnicki. Wszyscy ku niemu

Była to więc święta chwila braterstwa i wiary, szlachcic na zagrodzie stawał się *rzeczywiście* równym wojewodzie i chociaż to był wyjątkowy wypadek, który jedynie tyle cnoty z jednéj strony, a z drugiéj tyle zasługi, spowodować mogły, nie mniéj przecie radośnie, błogo i ufnie zakołatały wszystkie serca.

Piotr Oleśnicki wręczył Chmieleckiemu przywilej królewski na województwo kijowskie, a Zamojski wyciągnął do niego dłoń przyjaciela i brata.

— Miło mi, rzekł, że Waszmość Panu pierwszy senatorskiéj godności powinszować mogę.

— Miłościwy panie, przemówił ze wzruszeniem Chmielecki. Jeżeli Król Jegomość uznał mnie godnym tak wysokiego urzędu, więcéj w tém waszéj niż mojéj zasługi. Kto mi dał zbrojnych ludzi, żem mógł z niemi gromić pohańców, kto nagradzał kozaków męztwo, wypłacał żołd zaległy kwarcianym...

— Ej! panie wojewodo, przerwał mu Zamojski, nie ma za co chwalić człowieka, że pełni swoją powinność, mając środki po temu.

Wesoło było i huczno dnia tego w Zamościu; podkanclerzy wyprawił dla uczczenia nowego wojewody, sute wesele słudze swemu panu Borowskiemu, a ogólna radość zdawała się go porywać i wpływać ożywczo na osłabione zdrowie. Był przy ślubie i u stołu, gdzie Chmielecki nie jak dawniéj przy szarym końcu, ale już jako gość dostojny, pierwsze miejsce przed gospodarzem zajął. Podkanclerzyna z wdziękiem i prostotą prawdziwéj pani, przygarnęła do siebie wojewodzinę, tak że ta przejęta jéj dobrocią i ośmielona rozgadała się na dobre, opowiadając jéj swe przeszłe troski domowe i ciągły o życie męża niepokój.

W Warszawie tymczasem, na królewskim dworze, wyrażano się o téj sprawie z przekąsem.

— Nie będzie ładu w Rzeczypospolitéj, odezwał się przy królu książe Janusz Zbaraski, skoro senatorscy słudzy, przy senatorach na Radzie zasiadać będą.

— Radzibyśmy oglądać nową wojewodzinę, dorzucił ktoś z boku, która biegała za kurami i gęsiami, wtedy kiedy jéj mąż za tatarami się uganiał; jak téż jéj ta godność do twarzy?

— Już to rzecz pani podkanclerzyny *ją uformować*, powiedział wojewoda derbski. Odebrałem list od pana hetmana (Koniecpolskiego) w którym narzeka, że pewno pan Chmielecki zostawszy wojewodą, jego słuchać przestanie i zacznie robić po swojéj głowie.

Tu na wezwanie króla, przeczytał mu list hetmana z różnemi komentarzami i dodatkami, które w umyśle monarchy wzbudziły nieufność przeciw Chmieleckiemu.

— Powątpiewam i ja téż o panu wojewodzie, rzekł po chwili Zygmunt. *Honores mutant mores* (1).

— Nie zawsze miłościwy królu, odparł mu na to kuchmistrz koronny Piotr Żeroński. Pan podkanclerzy będzie go do tego prowadził, aby powolnością, życzliwością i wiarą zasługiwał na tę łaskę W. Kr. Mości. A musi na nią ciągle zarabiać, choćby dla tego, że ubogi. Dawszy honor, trzeba dać i chleba miłościwy królu.

— Toć to jest, rzekł znów król. Lepiéj było podobno trochę niżéj sieść, ale że się tak panu podkanclerzemu zdało, tom ja uczynił.

Gdy tak różne głosy odzywały się o Chmieleckim, zawistnych zaś było najwięcéj, Zamojski pisząc do króla, między innemi tak mu za wywyższenie mężnego wodza dziękował:

„Dziękuję żeś W. Kr. Mość, za uniżoną prośbą moją, dźwignąć raczył *ex humili loco* (2) cnotę i dzielność poddanego i sługi swego, która nie wiele ma podobno *patronów* i *promotorów* u W. Kr. Mości miłą, jedno domu W. Kr. Mości *suffragia* (3) a siebie sama. Zaczem jako posług jego *felicitas debetur* (4) W. Kr. Mości samemu, tak i te podniesione cnoty *gloriam* (5), sam W. Kr. Mość będziesz miał całą. I lubo ich mało o to prosiło, siła będzie dziękowało, siła chwaliło, siła tą się łaską W. Kr. Mości do odważnych Rzeczypospolitéj usług zapalało. A choć-

(1) Zaszczyty zmieniają obyczaje.
(2) Z niskiego miejsca.
(3) Głosy.
(4) Szczęśliwość się należy.
(5) Chwała.

by nie wiele, siła będzie,kiedy ci co umieją rzeczy szanować“ (1).

Tymczasem Chmielecki zabawiwszy kilka dni w Zamościu zbierał się do Warszawy, dla podziękowania królowi, lecz wiadomość o nowém niebezpieczeństwie Ukrainy, w inną stronę jego kroki odwróciła. Zaledwie jednak przyjechał do Nowego Międzyborza, cierpienie do łóżka go przykuło; zachorował niebezpiecznie na wrzód w gardle, z czego téż wkrótce i umarł.

W Warszawie król Zygmunt mimo wszystkich podszeptów niechętnych, przypomniał sobie, że Chmieleckiemu słusznie się należy chléb dobrze zasłużonych, wysłał mu więc na ręce Zamojskiego przywilej na starostwo owruckie. Lecz jednocześnie z królewskim przywilejem, przyszła do Zamościa wieść o śmierci wodza, który z obrony dzielnego ramienia swego, żałosną Ukrainę osierocił. Ciało zawieziono dla pogrzebania do Baru, a Fabjan Birkowski ów kapłan posiwiały w obozach, wymownemi słowy, nad zastygłemi zwłokami głosił jego czyny i do ich naśladowania zagrzewał. Dzieci i żonę zostawił on bez majątku o który dbał tak mało, że nieraz Zamojski posyłał swoich officjalistów, żeby się zajęli siewem w jego dzierżawach, gdyż on zapatrzony na skradających się u pogranicza tatarów, niewiedział co się w polu u niego dzieje. Lecz o jego rodzinie pamięta Rzeczpospolita, dla któréj krew przelewał, pamięta dawny pan i przyjaciel Zamojski. Król zostawił ją przy niektórych włościach w województwie kijowskiém, podkanclerzy żonie nie odebrał trzymanych przez męża dzierżaw i jurgieltu, a synów wziął na nauki do Zamościa, gdzie sam w ośm lat późniéj z pomnożoną jeszcze wyższemi urzędami chwałą, w chrześcijańskiéj pokorze, życie zakończył i złożony w grobie, obok rodziców z napisem który sam lękając się szumnych pochwał, za życia jeszcze złożył i w którym przypominał, że *niegdyś* wielki kanclerz i t. d. i t. d. (tu cały szereg tytułów wylicza) *teraz proch i robactwo.*

(1) List T. Zamojskiego do króla.

Gdy nie stało tych mężów, zjawili się inni, co zaświecili jasno rycerskiemi czynami, na tle niemniejszéj zasługi, w ofierze cierpienia i niedoli, jaką składał cały naród trapiony bezprzestanku łupieztwem pohańców. I długie lata jeszcze powtarzały się te smutne sceny niepokoju, sieroctwa i niewoli, skrapiane łzami i krwią; powtarzały się usiłowania ocalenia indywidualnie bohaterskie, a polepszenie ogólnego bytu bezsilne, ztąd téż cały ich wątek pełny cudnego poezji uroku, lecz niestety! rozdzierający serce brakiem rozumu politycznego. Ciągnął się on aż do opanowania Krymu przez Rossją roku 1783, a nigdy nie dojrzéć nam tyle wytrwałości i umiejętnego sił zjednoczenia, aby raz na zawsze położyły azjatyckiéj dziczy nieprzepartą zaporę. Nie wpłynęły wiele na zmniejszenie klęsk ogólnych, ani rycerska odwaga pojedynczych obrońców, ani pobożne starania zakonu Trynitarzy mającego w regule wykupno więźniów z niewoli. Małą część ocalonych, dojrzéć można zaledwie, w ogólnym nieszczęść obrazie. Jan Sobieski jeszcze jako hetman zwycięztwami swemi pod Niemirowem i Kałuszą odbiwszy kilkadziesiąt tysięcy jeńców różnego wieku, powtarzał rzewne sceny wygranéj Martynowskiéj, tymczasem Zachód, który raźno postępował na praktyczéj drodze pomyślności, bo mu Polska od wroga cywilizacji tarczą była, nie był już w stanie pojąć idealnéj naszego rycerza postaci, nazywał go bohaterem z romansu (1), my zaś dziś owiani świętością wielkich ofiar i cierpień tak wielkich, łzy nad niemi lejem rzewne, które jak niegdyś owa rosa poranna, przy któréj lud boży zbierał mannę pożywną, niosą nam naukę i namaszczenie.

(1) Pani de Sevigné nazwała Sobieskiego rycerzem z romansu Calpreneda.

J. Smigielska.

Wyjątek z dzieła drukującego się w Krakowie,

pod tytułem:

FANTAZYJNE OBJAWY ZMYSŁOWE,

przez prof. Dr. W. SZOKALSKIEGO.

Mało znajdujemy epok w historji, w którychby więcéj było między ludźmi wiary a mniéj rozumu, jak w średnich wiekach; dla tego też w owéj kolebce naszego obecnego społeczeństwa, wykluło się mnóstwo legend i przesądów, któreśmy tradycyjnie odziedziczyli i do dziś dnia otrząść się z nich nie możemy. W ówczesném przekonaniu powietrze napełnione było jakiemiś latającemi dziwotworami; lądy zaludnione były smokami; w morzu pływały monstra, a djabeł czychał zewsząd na człowieka, którego ciągle pilnowali anieli. Święci Pańscy, a nawet sam Zbawiciel, zstępował co chwila na ziemię; gdzieś za krańcami świata otwierał się raj roskoszny, gdzieś w głębi ziemi jęczało piekło z gorącą smołą, z syczącemi wężami i madejowém łożem; między ludźmi zaś opętani, czarownice, upiory i strzygi, a w każdym niemal kącie jakaś pokutująca dusza lub zaczarowana księżniczka. Noc zaludniała świat potępieńcami, od których broniły zaklęcia, amulety i kabalistyczne obrzędy, dopóki kogut nie zapiał i swym żandarmskim głosem widma do grobów nie pozapędzał. Dziś dzięki Bogu! przekonania te zbladły niesłychanie i nie są już w modzie, ale ponieważ wygodniéj na gorąco wierzyć, jak na zimno zastanawiać się nad rzeczą, pozostały więc jeszcze w głębi przekonań naszych wyobrażenia, w które dosyć jest silnie uderzyć, aby się całém piekielném odezwały echem.

Rozpowszechnienie nauk obserwacyjnych oswoiło massy ludności z tajemnicami przyrody, a ponieważ jest w naturze naszéj, że nam to imponuje, czego nie znamy, przestaliśmy się lękać pioruna od czasu, jak wiemy, że jest li tylko sprawą elektryczności. Ognik na grobie, deszcz krwawy, zorza północna, gwiazdy latające i t. p., zajmują nas tylko, ale nie straszą, a od chwili jak sami zaczęliśmy robić cuda, jeździć parą po lądach i morzach, rozmawiać z sobą przez druty telegraficzne, balonem wyścigać orły, lub przepowiadać zaćmienie i objawy komet, wszystko co nas otacza, straciło w oczach ogółu swoją uczoną cudowność. Uczony jedynie, byle nie taki, który jak wilk zapatruje się na gwiazdy, jest jeszcze w stanie podziw z piersi zachwyconéj wydobyć, jak ów derwisz na Czatyrdachu w sonecie naszego wielkiego poety, ale gmin obchodzi się dziś za pan brat z przyrodą. Proszę mu się przypatrzyć, np. w Paryżu, gdzie dosyć schylić się prawie, ażeby podjąć jakiś okruch wiadomości, czy myślisz, że go co dziwi albo straszy? — bynajmniéj. Dla niego świat cały jest jakby jakąś na sprężynie ruszającą się mechaniką, a choć jéj sam nie zna, to jest jak najściśléj przekonany, że ją akademja zna doskonale i że do niéj li tylko dotąd klucza dorobić nie mogła, boby ją tak dobrze jakby sam Pan Bóg mogła nakręcać. Tam tylko, gdzie chodzi o świat wewnętrzny, o ów *mikrokosmos,* którym my sami jesteśmy, tam rzeczy zupełnie się mają inaczéj, tam dla ludu wszystko jest tajemnicą, tam ustaje naraz wszelkie mędrkowanie i rozpoczyna się od razu taka sama ciemnota, takie same uprzedzenia, takie same zabobony, jak w średnich wiekach. Lud nie pojmuje człowieka, nie zna ani życia, ani śmierci, ani zdrowia, ani choroby, ani zmysłu, ani umysłu, ani czucia, ani ruchu, ani działań ciała, ani działań duszy i wszystko, co tylko w owéj dziedzinie wychodzi

z codziennego kółka, staje się dla niego przyczyną uwielbienia, podziwu lub strachu. Chcąc te strachy rozpędzić, potrzeba koniecznie postawić nasz rozum w możności, ażeby o nich mógł sądzić. Wyższe naukowe sfery rozżarzyły już w tym celu dostateczne światło, ale cóż potém, że się tam gdzieś świéci, kiedy massy są jeszcze ciemne i przechowują zabobonne tradycje. Prawda jest, że w owéj ciemności mieści się wiele poetycznych odcieni, którym nie brak na ułudnym powabie, ale czyż dzień jasny nie przedstawia więcéj jeszcze cudów i czyż one nie więcéj czarują nas jeszcze od tego, co mgliste oko dostrzega przy niewyraźnym blasku księżyca?

Dzisiejsza nauka nie jest już jak dawniéj ową tajemnicą Izydy, do któréj dochodziło się przez ciężkie próby, przebywając wodę i ogień; nie jest ona wprawdzie każdemu jeszcze dostępną, jednakże jéj promienie dochodzą od czasu do czasu nawet do najciemniejszych społecznych zakątków. Teorje o widmach, widziadłach i innych złudzeniach zmysłowych obiły się już o uszy publiczności, ale dotąd nie wielkie jeszcze przyniosły korzyści. Nie jednemu zdaje się, że już wie wszystko, jak zjawiska te nazwie przywidzeniami. Inny znowu powie ci, obojętnie ruszając ramionami, że to są jedynie tylko widziadła czyli *hallucynacje*. Ale cóż to są przywidzenia i hallucynacje? — O to go nie pytaj, bo on jest do owego rojącego sobie chorego podobny, któremu się zdaje, że już się na pół wyleczył, skoro się dowie, jak się jego choroba nazywa. Inny złapawszy gdzieś na ulicznym bruku kilka zdań oderwanych, rzuci ci niemi śmiało w oczy, ażeby nie być za nieuka uznanym; inny znowu junak naśmiewa się z tych, co albo wprost wierzą, albo wprost wyznają, że żadnego nie mają zdania, a potajemnie do kabalarek i jasnowidzących chodzi i głowę zupełnie traci, jeżeli mu własna wyobraźnia jaką psotę wyrządzi.

Znajomość naszéj ludzkiéj natury tak jest jeszcze mało w massach upowszechnioną, że trudno jest, ażeby ją powszedni rozum dostatecznie pojmował; przyszło tylko do pewnego kompromisu między przesądami przodków naszych, a filozofją obecną, który jednak nie zadawalnia nikogo i pozwala wzrastać zabobonom pod oczami prawdy.

Widząc więc, że na drodze żywego słowa z nikim się porozumieć nie można, przedsiewziąłem. . . . . . z nikim już więcéj o widmach i widziadłach nie mówić. Chcąc jednakże o tyle o ile umiem, fałszywe sprostować zdania, sądzę, że mi dla moich tyle przynajmniéj zrobić należy, ile dla pewnego kapitana w Burgundji zrobiłem, to jest: wystawić im jasno i zrozumiale, jakim to sposobem najzdrowszemu nawet człowiekowi, najdziwaczniejsze rzeczy przywidzieć się mogą.

. . . .

Jednego dnia koło wieczora, było to w lecie, (podczas pobytu mego w górach burgundzkich) zawezwano mnie o dwie przeszło mile do niebezpiecznie chorego dzierżawcy. Skwar słoneczny był już ustał; doliny leżały w cieniu i wierzchołki skał tylko jaskrawym pałały ogniem. Mnie i mojemu koniowi było jakoś raźno na sercu, stanęliśmy więc w godzinę na miejscu. Kary poczekał przy płocie, jam zaś wszedł do chorego, ale zastawszy go daleko lepiéj jak mi mówiono, odjechałem niebawem w zamiarze korzystania z spodziewanego blasku księżyca, ażeby dłuższą trochę, ale nierównie przyjemniejszą drogą do domu powrócić. Wszelako inaczéj się stało, bo na podwórzu plebana stał pod szopą przy żłobie siwosz nadleśniczego i tak raźno zarżał do mojego konia, że mnie chętka wzięła wstąpić do probostwa i uścisnąć za rękę poczciwego księdza i gościa jego, byłego kapitana huzarów. Oba przyjęli mnie z radością; gospodyni przyniosła kilka winogron, séra i dzban krajowego wina: zasiedliśmy więc w altanie dzikim chmielem porosłéj, i tak się zagadali, żeśmy kościelnemu zegarowi uwierzyć nie mogli, gdy nam dwunastą zadzwonił. Czas więc nam było w drogę, zwłaszcza, że się coś zanosiło

było na burzę. Pleban przewidując że do domu na sucho nie dojedziemy, proponował, abyśmy przenocowali. Jabym może był na to zezwolił, ale kapitan się uparł; siadłem więc rad nie rad na konia, aby nie uchodzić za delikacika paryzkiego, co się deszczu boi.

Jechaliśmy przeszło pół mili porządnym kłusem na płaskim grzbiecie wyniosłéj, ale wązkiéj góry, która dwa głębokie od siebie dzieliła parowy, nareszcie pożegnałem kapitana mając zjechać na jedną jéj stronę, kiedy jemu nierównie daléj na drugą zjechać wypadało. Niebo było czarnemi pokryte chmurami, ciężkie powietrze w piersiach zatykało oddech, głęboka cisza panowała dokoła, a wśród niéj łoskot kopyt na nagiéj skale nieprzyjemne wcale robił wrażenie. Nadjechawszy nad krawędź góry, zlazłem z konia i puściłem go jak zwykle wolno przed sobą na ścieżce wijącéj się wśród urwisk i zarośli, prawie nad brzegiem głębokiéj przepaści, a w tém niebo rozdarło się na raz, cała okolica zajaśniała jakby jakim piekielnym blaskiem, piorun uderzył gdzieś w bliskości i deszcz lunął od razu potokiem. Koń cofnął się, chrapnął nozdrzami z przestrachu i skoczył raptem w gęstwinę; szczęściem że mu pęd dalszy wstrzymywały zarośla i skały, a może też i ulewa, która na raz ścieżkę naszą zamieniła na szumiący potok pędzący z sobą massę kamieni. Wicher zerwał się nagle i zawył w dolinach, gdzie mu także echo grzmotów wtorowało. Niepodobna było iść daléj, ale szczęście że to wszystko trwało niedługo. Niebawem wiatr rozwiał chmury i księżyc pokazał się jasno na czystém lazurowém niebie; wyszedłem więc z pod skały, przy któréj trzymając konia za cugle, znalazłem sobie schronienie i jak tylko woda wolniéj po ścieżce płynąć zaczęła, w dalszą puściłem się drogę. Ma się rozumieć że przybyłem do domu przemokły do nitki i że nie trzeba mię było długo do spoczynku zachęcać. Spałem też jak nigdy podczas mojego trzynastoletniego w Paryżu pobytu i słońce już stało wysoko, gdy mię obudził turkot zajeżdżającego wózka, a zaraz potém służący, którego pani kapitanowa po mnie przysłała z prośbą, ażebym zaraz przyjeżdżał, albowiem mąż jéj dostał pomieszania zmysłów.—Ale cóż się stało? zapytałem posłańca zdziwiony, a przecież dopierom go widział.

— Nie wiem panie doktorze! ale koń sam przyszedł nad rankiem do domu, pani przestraszyła się bardzo i kazała nam pana szukać. Zaraz wyszliśmy w kilkoro i spotkaliśmy pana nie daleko na drodze bez czapki, w podartym i od stóp do głowy błotem obwalanym surducie, jak gdyby gdzieś w błocie się tarzał. Przybiegł do nas, ciągle rozprawiał rękami i coś niewyraźnie bełkotał o dominikanach, o ogniu, o trumnie i Bog wié nie co jeszcze. Aneta i Eugenjusz zaprowadzili go do domu, a mnie pani kazała po pana przyjechać. Ma się rozumiéć że lecieliśmy na leciutkim dwukolistym francuzkim wózeczku, co tylko koń mógł wyskoczyć, i sam nie wiem, jak stanęliśmy na miejscu.

Wszedłem do pokoju. Nadleśniczy już przebrany i umyty żywym przechodził się krokiem, był już zapewne nieco spokojniejszy, ale twarz podrapana, podbite oczy, dzikie spojrzenie i pewien wyraz niespokojnéj egzaltacji zmieniły go zupełnie. Poznał mnie natychmiast i podał mi rękę.—Na rany boskie! co się panu stało? zawołałem.—O! wiele to o tém mówić, odpowiedział; ale siadajno pan naprzód i odpocznij, a ty pani żono pomyśl o śniadaniu. Wyrazy te zdziwiły mnie więcéj jeszcze, bo nie spodziewałem się, ażeby mój chory miał tyle przytomności. Postrzegłem jednakże zaraz, że mowa jego była wyraźnie zmieniona, głos chrapliwy i że język nie bardzo jakoś posłuszny woli. Usiadłem spokojnie, nadleśniczy chodził zadumany i rzekł nareszcie stanąwszy na raz przedemną:—Wiész doktorze, że tchórzem nie jestem, a jednak widziałem dziś rzecz tak nadzwyczajną, że mnie strach jakiś ogarnia, cóż chcesz to jest mocniejsze odemnie, i dopiero teraz pojmuję co to jest uciekać przed kar-

taczami. Chodził potém znowu i znowu rzekł po chwili: Słyszałeś téż pan kiedy, ażeby kto widział sam siebie w trumnie i sam był na swoim własnym pogrzebie? a jednak ja dziś byłem na moim, a jeszcze gdzie? w jakimś dominikańskim kościele: ha! ha! ha! dodał śmiejąc się na głos, byłoby to bardzo pocieszne, gdyby nie było tak straszne i gdybym choć cokolwiek z tego rozumiał.—Ale powiedz że mi pan, co się stało? bo i ja nic nie rozumiem.—Trochę cierpliwości, mości doktorze, rzekł patrząc jakby z niechcenia przez okno na konia, którego służący odprzęgał. Musisz naprzód wypić szklankę białego wina, bo pewnie nic nie jadłeś jeszcze, a musieliście gnać jak wszyscy djabli, bo deresz ledwie na nogach stoi. Cała ta scena zajmowała mnie niesłychanie. Musiałem wszelako jeść i pić, dopóki nadleśniczy nie osądził, że już mam dosyć, i do osobnego potém nie zaprowadził mnie pokoju.

— Przypominasz sobie pan, rzekł mi natenczas, zasadzając mnie naprzeciw siebie w wygodnym fotelu, jakeśmy się rozjechali na górze, otóż widząc że nie żartem zanosi się na burzę, spiąłem konia, ażeby jak najprędzej stanąć u siebie: aż tu na raz piorun trzasnął mi prawie za uchem i deszcz lunął jak z cebra. Szczęściem, że to było tuż przy opuszczonéj na górze owczarni; skryłem się więc w zwaliskach, pod dziurawym dachem przywiązałem, konia do żerdzi i siadłem sam na kamieniu. Naraz podnoszę głowę i widzę, że się ogień pali pod skałą, ot, pod tą skałą, co to pan wiész przy drodze, gdzie pasterze zwykle kartofle pieką. Zdziwiło mnie trochę, bo cóżby oni tam robili po nocy i ciekawość mię wzięła do ognia się zbliżyć. Szedłem więc ku niemu pomimo deszczu, ale jakoś usuwał się przedemną, aż naraz spostrzegłem naokoło siebie jakby strome skały i wśród nich otwór do ciemnéj pieczary; z jéj zaś głębi dochodziły mnie jakieś smętne śpiewy. Po tém wszystko się zmieniło raptem i znalazłem się sam nie wiem jakim sposobem w ciemnym, nieznanym kościele. Trzech księży stało przy ołtarzu, w stallach siedzieli dominikanie, a na środku stała świecami obsawiona trumna. Zbliżyłem się do niéj, i wystaw pan sobie, ujrzałem w niéj samego siebie okrytego białém prześcieradłem; księża śpiewali ciągle, czterech z nich zbliżyło się do trumny, wzięło ją na ramiona, inni ze świecami poszli za nią w parach i zanieśli ją gdzieś daleko, bo coraz słabiéj świeciło ich światło i coraz więcéj głosy ich słabły. W końcu było ciemno i głucho; aż tu zbliża się do mnie jakiś mnich zakapturzony, jedną ręką mi drzwi pokazuje, a drugą mię tak silnie w ramię uderza, że dotąd mnie jeszcze boli i dotąd niém dobrze władać nie mogę. Niewiem co się daléj stało, ale już dosyć było jasno, gdy przyszedłem do siebie, i znalazłem się na drodze wśród kałuży. Wstałem, lecz nogi chwiały się podemną, upadłem kilka razy jak pijany i na ostatek zawlokłem się instynktowo do domu. I cóż pan powiész na to? zapytał mnie nakoniec, i znowu zamyślony zaczął chodzić po pokoju.

Słuchałem tego opowiadania z wielkiém zajęciem. Trudno mi było prześlepić, że kapitan miał nieco twarz skrzywioną; że językiem nie dobrze władał; że jedno oko patrzyło nieco zyzem i miało trochę rozszerzoną źrenicę i że owo ramię, w które ów mnich miał niby uderzyć, było w swych ruchach niezręczne i leniwe. Domyśliłem się więc łatwo, że to był jeden z owych słabych ataków apopleksji, po których coraz mocniejsze następują potém.

— Trzeba ci krew puścić szanowny kapitanie! rzekłem mu na to wziąwszy go za puls.—A to dla czego? zapytał mnie żywo. Bo to było uderzenie krwi do głowy, łatwo powtórzyć się może.—Rób pan co potrzeba ale trudno mi pojąć, jaki może mieć związek krew z tém wszystkiém, co na własne oczy widziałem; jak krew mogła śpiewać mi w uszy, jak mogła uderzyć mię w ramię a potém wrzucić w kałużę? Jużci prawda że to wszystko były jakieś dziwaczne fantazje, bo przecież wiem że na górze nie ma kościoła, że mnie dominikanie nie pochowali jeszcze; ale krew jest to sobie

krew czerwona, a to wszystko, czego doznałem było jakby objawieniem na skaranie boże. I jakże to z sobą pogodzić? Dobrze jeżeli pan tak powiész staréj Klaudynie, która ot właśnie z cebrem przez podwórze idzie, ale mnie pan tym sposobem nie zaspokoisz.

— Mój kapitanie! rzekłem mu wtedy, dobywając lancet z kieszeni; już ja to panu jutro wszystko objaśnię, a teraz siadaj pan zaraz i każ mi przynieść bandaży.

Nie będę opowiadał szeregu wypadków. Nadleśniczy przyszedł powoli do siebie, ale nadzwyczajne widzenie na górze, które się w okolicy rozeszło, niesłychanie wpłynęło na jego umysł. Nie wierzył w jego realność, jednak sobie ciągle niém głowę łamał. Z początku zbywałem go jak mogłem gdy mi zadawał pytania, sądziłem nawet że wkrótce o wszytkiém zapomni: ale widząc że utonął w najdziwaczniejszych przypuszczeniach, że wszedł na najprostszą drogę ku monomanji, lub czemuś gorszemu jeszcze, postanowiłem dowieść mu naprzód, że dla nas lekarzy jego fantazmata nie przedstawiały nic nadzwyczajnego, a przekonawszy go, że nie różnił się niczém od innych chorobliwych marzycieli, miałem zamiar objaśnić mu rzecz całą i zmusić go do tego, ażeby wszystko za rzecz bardzo naturalną uważał.

Wykonanie tego planu było niesłychanie trudne; bo trzeba wiedzieć, że kto z francuzem chce przyjść do końca, ten nigdy z nim długo dysputować nie powinien; tylko mu krótko i węzłowato rzecz tak wystawić, ażeby była jasna jak dwa a dwa są cztery. Na nieszczęście maksyma ta nie dała się zastosować do mego zadania, bo wszystko trzeba było tłumaczyć, począwszy od samego zarodka, co chwila zbijać zarzuty i powracać często na ten sam punkt z którego się wyszło. Usiłowania moje nie były jednak bez skutku; chory mój zaczął powoli rozpatrywać się w rzeczach i mniéj się zatrważać od czasu, jak je jaśniéj pojmował, nakoniec zwyciężyłem go zupełnie, jakem mu powiedział, że jest w méj mocy, pogrążyć go w stan taki, w którym na jawie nawet widziéć będzie niestworzone rzeczy.

Wiadomo jest, że wiele narkotycznych leków, np. opium, wilcza wiśnia (belladona), tyndera, (stramonium), a przedewszystkim indyjskie konopie (chaszysz) mają własność obudzać przeliczne widziadła. Opowiedziałem więc memu choremu wiele wypadków, które mi literatura i własne doświadczenie dostarczyły i tak go rozciekawiłem, że mnie sam potém wyzywał, ażebym mu dziwadła pokazywał. Wybrałem więc indyjskie konopie, jako najniewinniejszy ze wszystkich środek, i zadałem mu stosowną dozę, ubezpieczywszy się pod każdym względem, ażeby szkodliwych nie wywołać następstw. Było to w roku 1850, już w jesieni około drugiéj popołudniowéj godziny; kapitan przyjął lekarstwo z widoczném niedowierzaniem, zapalił sobie glinianą fajeczkę i wyszedł ze mną do ogrodu. Dobre z Paryża nowiny o powodzeniu partji napoleońskiéj, do któréj duszą i ciałem należał i nadzieja przyszłéj cesarskiéj restauracji rozruszały go powoli; zaczął więc żartować, wesołe opowiadać anegdotki, a potém wyśmiewać się ze mnie, że coś djabeł nie przychodzi, który go miał dzisiaj odwiedzić. — Tak mi dziś jakoś raźno, jak gdybym miał lat czternaście; zdaje mi się, żebym w téj chwili susem na ten płot wskoczył, i nuż się śmiać na całe gardło, rękami wywijać i podskakiwać. — Poleciałbym do góry jak ptak, rzekł prawie krzycząc, i tak jestem szczęśliwy jak ów cygan o którym mi pan mówiłeś, co to sto złotych ukradł, kiedy był królem, a potém uciekł. A to mi dopiero cygan! ha, ha, ha, dalibóg wyborny! niechajże cię za niego pocałuję i objął mnie obu rękami. Ale cóż to jest? zawołał, jakże ci nos urosł, ot, oczy mi nim wybijesz, a twoja głowa, jak się do góry przedłuża; ale nie, to mi się zdaje tylko, szczególna rzecz jednak, jak mi się téż mogło przywidziéć. Mój kapitan był w brylantowym

humorze, oczy mu ogniem szczęścia pałały, twarz lekkim jaśniała rumieńcem, puls był nieco przyspieszony, ale mi go dobrze nie pozwolił pomacać i rzekł:—nie mam czasu myśléć teraz o medycynie, kiedy te georginie tak ładnie tańcują. Ale cóż to znowu? z każdego kwiatka wygląda główka w czepeczku a cały krzak idzie na gęsich nóżkach, a to rzecz szczególna, albo ten pies z pawim ogonem—cóż u licha tu się w moim porobiło domu? Czy mnie kto oczarował? czy co? a ha! przypominam sobie, to twoje lekarstwo, doktorze.

Tu nastąpiła kilkunasto-minutowa pauza, w któréj mówił ze mną jak najrozsądniéj i wciągnął mnie do swego pokoju, ażeby mi jakiś list własnoręczny Napoleona I. pokazać. Ale tu znowu raptem siada na krześle, zasłania sobie oczy, jakby go światło raziło i na raz komenderować zaczyna: — Szwadron trójkami w prawo zachódź! równaj się — stępo! kłusem marsz! marsz! Zerwał się potém, popatrzył chwilkę w ogród i obracając się do mnie dodał: — Ale gdzie oni lecą warjaty? ot wprost do tego jeziora, potoną, dalibóg potoną, stój, stój! Co się téż ze mną dzieje! rzekł reflektując się trochę doktorze z długim nosem, oczarowałeś mnie, daję ci słowo honoru! jakieś dziwne rzeczy wiją mi się przed oczyma! i położył się na sofie. — Jadę! jadę! zawołał potém jakaż to dobra sanna w téj Rossji! ale nie wiedziałem, że do sanek zaprzęgają strusie, czy téż wielbłądy z wołowemi nogami. A ty prześliczna Hebe! jakiż mi złocisty podajesz puhar! szampan, dalibóg szampan! musi być od Montebello, daj, daj! niechajże łyknę! i miłośnie ściągając rękę złapał za wielki drewniany kałamarz i chlusnął na siebie atramentem. To, równie jak i moje parsknięcie od śmiechu, ocuciło go na raz:— Jakiż ja stary głupiec! zawołał, Ot i Hebe mi się przyśniła— a cóż teraz moja jejmość powié na te plamy na koszuli? Doktorze! musimy się jakoś wyłgać, bo będzie biéda!

Konieczne to pomieszanie realności z illuzją trwało blisko trzy godziny. Kapitan miał zupełną przytomność, odpowiadał jak najlepiéj na wszystkie pytania, był zupełnie pewien siebie, reflektował się, wierzył, że mu się śnią na jawie najdziwaczniejsze rzeczy; nie mógł jednak swoich przywidzeń opanować, lub je od siebie odgonić. Opuściłem go o zmierzchu, a nazajutrz zastałem doskonale. Opowiadał mi, że się w nocy jak najlepiéj ubawił, bo mu się śniły nadzwyczaj przyjemne rzeczy.

— A cóż pan powiesz teraz na owego nieboszczyka w trumnie, co to go pan na górze widziałeś?—I cóż mam powiedziéć, rzekł śmiejąc się głośno, jeżeli nie to samo, co o téj czarownicy Hebe, która mnie atramentem oblała. Ot, wszystko są to marzenia; śmiech mnie pusty jeszcze dotąd bierze, jak sobie przypomnę owego psa z pawim ogonem, albo owe georginy w czepeczkach, które na gęsich nogach tańcowały. Chwała Bogu, śmiej że się z nich do woli, pomyślałem sobie, bo pewnie nie będziesz już sobie tak głowy nad niemi łamał, jak nad owemi dominikanami na górze. Fantazja twoja występowała przed tobą na scenę i truchlałeś na jéj utwory, a teraz żartujesz sobie z niéj, jak gdybym cię za kulisy zaprowadził i dał drut w rękę, którym ją, jak marjonetkę, poruszasz.

HONORATA Z WIŚNIOWSKICH ZAPOVÉ.

Wśród śniegiem ubielonych starych olbrzymów karpackich, w ubogiéj krainie Hucułów, nad bystrą rzeczką Czermosz, leżała cicha wioska Żabie. Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświeciły krzyż zatknięty na drewnianym jéj kościołku, gdy pakowny powóz ruszył z przed plebanji, na progu któréj proboszcz staruszek otoczony gronem wieśniaków, serdecznem błogosławieństwem żegnał podróżnych. Z głębi powozu śliczna trzynastoletnia dziewczynka poglądała smutnie na uciekające po drodze zielone gaje, przecięte srebrną nicią rzeki, a gdy cały krajobraz zniknął w oddali, długo powstrzymywane łzy zabłysły w jéj oczach.



— Coś niesporo ci rozstawać się z brzegami Czermoszu, szepnęła jéj matka, a przecież cieszyć się powinnaś skoro dążymy w okolice Sniatynia nad Prut, kędy po raz pierwszy ujrzała światło dzienne.

*

— Nie pamiętam już stron rodzinnych a tyle drogich wspomnień wiąże mię z temi które opuszczam, odparło rozżalone dziewcze; tęskno mi za biednym ludem który do nas przylgnął tak serdecznie, za tym wreszcie cichym domkiem, kędy tyle chwil spokojnych i szczęśliwych przebyliśmy razem.

— Nic w tém dziwnego moja dzieweczko, wtrącił ojciec, który dotąd pogrążony był w milczeniu, toć i nam pono nie wesoło, dodał zwracając się do żony, choć to już nie po raz pierwszy wypada przenosić się z miejsca na miejsce, trudna rada, skoro taka wola Boża; ot ani marzył człowiek gospodarząc za młodu na ojczystym zagonie, że przyjdzie kiedyś tułać się po świecie za kawałkiem chleba!

— Pielgrzymami jesteśmy na téj ziemi, dorzuciła poważnie żona, nie godzi się wyrzekać na zmianę miejsca skoro Bóg w czém innem nie skąpi swéj łaski.

— Ach! prawdę wyrzekłaś matko, rzekło dziewcze, rzucając się na jéj szyję, nie godzi się smucić, gdy jeszcze tyle dobrego widzimy przed sobą!

— Nad Prutem równie jak nad Czermoszem znajdziesz ubogie dziateczki do nauczania i wdzięcznych rodziców, którzy nieposkąpią ci swego błogosławieństwa, rzekł z uśmiechem ojciec, zachodzi tylko różnica, że lud tam nie w takiéj pogrążon nędzy jak nasze Hucuły.

— To mię téż najwięcéj do nich przywiązało i żal serce ściska mimowolnie ilekroć pomyślę, kto im zastąpi mą opiekę.

— Ten sam, któren wlał miłość dla ubogich prostaczków w serca nasze, rzekła łagodnie matka.

Za całą odpowiedź dziewczynka wzniosła oczy do nieba i złożyła kornie dłonie, powóz wjeżdżał właśnie na górę z któréj widać było Karpaty ozłocone promieniem wschodzącego słońca—o, patrzcie! zawołała, patrzcie jak cudownym blaskiem gorejà śnieżne korony tych wyżyn, rzec by można że to odblask wszechświatłości do któréj zdają się zbliżone; o! góry moje ukochane, kiedyż was znów obaczę? ach jakże tęskno być musi żyć w równinach temu, który nawykł witać i żegnać słońce wśród waszych wspaniałych wierzchołków!

Znać było po tych pełnych zapału słowach, że poezja górskiego życia niezatarta jeszcze w odludnéj stronie Karpat cywilizacją europejską, nacechowała swém piętnem serce młodéj dzieweczki i usposobiła ją do zamiłowania wszystkiego co dobre i piękne.

Powóz toczył się zwolna po skalistéj drodze, można więc było nasycić się widokiem wspaniałéj do koła przyrody, która tém cudniejszą wydała się tym, którzy ją na zawsze żegnali. Ojciec podróżującéj rodziny powołany był nowém urzędowaniem do Galicji, swéj siedziby w młodości, gdy więc po kilkodniowéj podróży otrząsnęli się ze smutnych wrażeń wyjazdu, wszyscy, z niewymowną radością powitali białe domki Zabłotowa, miejsca obecnego swego przeznaczenia. Pierwsze chwile nowosiedlin w lichéj mieścinie naznaczone były tylko odwiedzinami dawnych przyjaciół i krewnych; późniéj nieco więcéj zawiązano stosunków, pomiędzy innemi zaznajomił się z naszą polską rodziną młody literat czeski, którego urzędowanie powołało do Zabłotowa. Wszelkie chwile wolne od obowiązkowej pracy poświęcał on naukom, co przy wrodzonym rozumie i powierzchowném wykształceniu, czyniło rozmowę jego nader zajmującą i miłą. Wszystkie urzędowania wówczas były w rękach niemców. To téż czech, któren nadto jeszcze w miejsce munduru nosił polską czamarę i białą konfederatkę, stał się wkrótce przedmiotem ogólnego zajęcia.

— Więc pan w istocie nie jesteś niemcem tylko słowianinem?—pytała go z naiwną ciekawością młoda dzieweczka przy pierwszém spotkaniu, a gdy potwierdzającą odebrała odpowiedź, poczęła się przysłuchiwać uważnie zajmującemu opowiadaniu o zwyczajach, obyczajach i stanowisku obecnemu czeskiéj krainy. Bystrego i chciwego wiedzy umysłu, niewymowną znajdowała roskosz ilekroć zaczerpnąć mogła w źródle umiejętności. Młody cu-

dzoziemiec odgadł wkrótce to usposobienie i przy bliższém zaznajomieniu, ofiarował się być jéj nauczycielem. Łatwo odgadnąć, że niezadługo wielkie uczyniła postępy; młody mistrz radując się niemi, przekonywał się zarazem, że w sercu jego rozbudza się dla miléj uczennicy, niczém nie zatarte uczucie—i nie dziw—lubo zaledwie z pierwszego wyszła dzieciństwa, tak cała jéj postawa jak wewnętrzne usposobienie było nad lata. Piękne i harmonijne rysy twarzy, duże ciemne oczy płonące tkliwym i smętnym blaskiem, czyniły ją sympatyczną każdemu; rzekłbyś że ta wiotka postać wkrótce uleci do nieba, zkąd zesłana tylko na chwilę, aby zaświecić jasnym drogoskazem doskonałości duchowéj i utrwalić w ten sposób wiarę we wszystko co wzniosłe i szlachetne. Młody czeski wędrowiec, podziwiając cudną barwę tego wdzięcznego pobratymczéj ziemi kwiatu, umiał również zjednać przychylność dla siebie.... bo gdy po kilkomiesięcznym pobycie, opuszczał Zabłotowo, na ręce jego błyszczał skromny niezapominajką zdobny pierścionek. We trzy lata potém, urocze dziewcze wyrosło w pełną powabów dziewicę, która wierna pierwszemu przyrzeczeniu nieczułą była na westchnienia licznych wielbicieli. Spotkała się wreszcie z przyjacielem młodości i w ubogim kościołku wioski Kornik nad Prutem, pobłogosławionym został związek małżeński panny Honoraty Wiśniowskiéj, z uczonym profesorem czeskim Karolem Zap. Niedługo potém uwiózł on do Lwowa młodą swoją małżonkę; rozstanie z rodzicami napełniło jéj serce niewymowną żałością, osierocona w swéj miłości dziecięcéj tém mocniéj ukochała człowieka z którym przebiegać miała społem drogę życia. Podobnie jak owa niewiasta z Pisma która przechodząc do kraju męża wyrzekła: Bóg twój, Bóg mój, lud twój, lud mój, Honorata ślubowała w głębi duszy stać się godną i miłującą obywatelką ziemi, która ją przybrała za córkę. Zobaczymy w dalszém jéj życiu jak ciągle dokładała starań, aby spełnić to postanowienie. W pierwszych chwilach pobytu we Lwowie, zabrała się do nauki czeskiego języka i w krótkim czasie potrafiła gładko na piśmie wyrażać w nim swe myśli. Życie umysłowe poczynało właśnie wówczas rozbudzać się w Pradze. Wydawano kilka czasopismów jako to: *Kwiaty*, pod redakcją znakomitego powieściopisarza Thila, *Złote kłosy*, *Czeska pszczoła*. *Lumir* i wiele innych, było więc obszerne pole do pracy na czeskiéj niwie. Zachęcona przez światłego męża któren w chwilach wolnych od zatrudnień domowych, wolał widzieć ją z książką lub piórem w ręku, a niżeli oddaną próżnościom i zabawom świata, pani Zapové sprobowała pisać po czesku obrazy osnute na tle rodzinnego życia swych ziomków; posłała je do Pragi, a gdy mile przyjęte zostały przez czytającą publiczność, zachęciła się do dalszéj pracy w tym rodzaju. Kilka lat niepostrzeżenie ubiegło we Lwowie dla dwojga małżonków, zobopólna miłość z każdym dniem wzrastała. Pan Zap'ovy który przeniósł się do Galicji jedynie w celu zbadania dokładnie obyczajów, języka i literatury pobratymczego narodu, spełniwszy swój zamysł, począł starać się o powrót do kraju, gdzie obecność jego mogła być użyteczną ziomkom. Nie łatwa to była sprawa zmienić znów miejsce urzędowania, i po długich dopiero staraniach, udało mu się wykonać swój zamiar. Bolesne było rozstanie Honoraty z ojczyzną, tém bardziéj, że opuszczać ją musiała dla nieznanego kraju, gdzie narodowość przytłumiona od dwóch wieków rządem i napływem niemców, żadnych już praw niemiała. Podróż cała, którą odbyć musiała z chorém dziecięciem na ręku, niemiłym już była przedwstępem. Młoda kobieta przeniosła ją jednakże mężnie, zatrzymała się dni kilka w Krakowie aby zwiedzić ojczyste pamiątki, a potém już prosto wyruszyła do Pragi. Na granicy czeskiéj znalazła się po raz pierwszy w potrzebie przemówienia językiem, którym dotąd tylko pisać i czytać umiała, niespodziewanie jednakże dobrze wywiązała się z tego zadania,

z wielkim podziwem męża. Profesor Zap liczy się do najukształceńszych mężów w Czechach, dom jego stał się wkrótce ogniskiem przy którém gromadzili się ochotnie wszyscy przedstawiciele literatury czeskiéj, walczący pod chorągwią narodowości, przeciw zgrai obojętnych lub zaprzedanych niemczyznie ziomków. Honorata uczuła się szczęśliwą w pośród téj garstki ludzi dobréj woli, podejmowała ich z równie serdeczną gościnnością jak własnych rodaków, niezadługo też zjednała sobie pomiędzy niemi miłość i poważanie. Życie jéj płynęło swobodnie i cicho, przeplatane staraniem około męża, dzieci i czynami miłosierdzia, wrodzonéj jéj cnoty. W literackiém kole które utworzyła około siebie, nie jeden młody talent rozwinął się szczęśliwie, wsparty przyjazną jéj dłonią. W wolnych chwilach zajmowała się zawsze piśmiennictwem, przełożyła na czeski język dwie komedje znakomitego pisarza naszego J. Korzeniowskiego, *Okrężne, i Qui pro quo,* które przedstawiają dotąd w Pradze z wielkiém powodzeniem i umieściła znów w czasopismach kilka historycznych obrazków; były to tylko jednakże niby próby jéj pióra, na inném albowiem polu chwalebnéj poświęciła się pracy. Pojmując całą ważność wpływu niewiasty na młode pokolenie powierzone jéj pieczy, rada była przedewszystkiém podnieść zaniedbaną umysłowość kobiet czeskich i nakreślić dla nich podstawy gruntownego narodowego wychowania, w tym więc celu najwięcéj pisała. Złączona jedną świętą myślą, z zacnéj pamięci rodaczką Klementyną Hofmanową, za wzór ją sobie obrała. Rękopism wydany na dochód karlińskiego kościoła, pod tytułem: *Niezapominajki ofiarowane naszym dziewicom* (Nezabudky, dar našim pannàm) jest wiernym odbiciem myśli Pamiątki po dobréj matce. W przedmowie autorka w ten sposób odzywa się do swych czytelników: „Obowiązkiem każdego jest przyczynić się do ogólnego dobra; co do mnie inne jeszcze przyczyny podały mi pióro do ręki, chciałam się wywdzięczyć narodowi, pomiędzy którym znalazłam tyle życzliwości; chciałam okazać jawnie miłość jaką chowam w sercu dla drugiéj méj ojczyzny. Pracować dla dobra młodego pokolenia, wskazywać mu drogę chrześcijańskiéj doskonałości, jest bezwątpienia najwyższą roskoszą każdego myślącego człowieka, którego hasłem Bóg i oświata. Jeżeli więc słowa moje znajdą współczucie w młodych sercach, jeżeli pobudzą je do zamiłowania cnoty, aż nadto będę wynagrodzoną za mą pracę, tém bardziéj gdy mi pozostaje błogie przekonanie, że przyczyniam się do moralnego dobra dzieci tych wszystkich, którzy mi na czeskiéj ziemi otworzyli przyjacielskie serca i dłonie.“ Daléj mówi znowu, że zabierając się do swéj pracy, wczytywała się pilnie w obce dzieła o wychowaniu, za główną zaś przewodniczkę obrała rodaczkę swoją Klementynę z Tańskich Hofmanową. Wyraża jeszcze życzenie aby książka jéj znajdowała się w ręku każdego myślącego dziewczęcia i zastąpiła mu czcze i próżne czytania. Życzenie to spełniło się w przyszłości, wszystkie albowiem matki zajęte wychowaniem córek z wdzięcznością przyjęły *Niezapominajki*, a rady w nich zawarte głęboko utkwiły w niejedném młodem sercu. Odwieczna prawda, że pomyślność wywalczona nawet zasługą czynów bez zmazy, nie może być trwałą na ziemi, jawi się wybitnie w życiu Honoraty. Zaledwie bowiem użyła kilku lat szczęścia, serce jéj szlachetne i czyste niby djamentu niepokalane kryształy, srogą przejęte zostało boleścią; boleść ta mimo hart bogobojny wrodzony młodéj kobiecie, podkopała śmiertelnie wątły i tkliwy jéj organizm. Po nieszczęsnym dla Galicji 1846 roku, skutkiem politycznych przewinień uwięziono we Lwowie stryja jéj Teofila Wiśniowskiego, którego żona Kornelja z Bieńkowskich, była dla niéj drugą matką i ukształceniem swém wpłynęła wiele na rozwój jéj umysłu. W oddaleniu od kraju i rodziny, Honorata tém mocniéj uczuła żałość ukochanéj krewnéj, żałość, która niezadługo w rozpacz się zmienić musiała, gdy Teofil Wiś-

niowski za wyrokiem podpisanym przez austrjackiego ministra Metternicha śmierć poniósł męczeńską. W następnym roku zaledwie pani Zapové ochłonęła z bolu i zgrozy, nadeszły znów dla Pragi pamiętne strasznemi wypadki, dni wiosenne 1848 roku.

. . . .

. . . .

Zdrowie Honoraty ciężko wstrząśnięte tém wszystkiém co przebyła, po raz pierwszy wtedy groźne przedstawiło objawy. Krew rzucała jéj się ustami i długi czas upłynął zanim uczuła niejakie polepszenie. Skoro tylko mogła znów zabrać się do życia, czynu umyśliła korzystać z chwili, w któréj kobiety czeskie zgromadziły się w jedno zebranie aby ułożyć prośbę o uwolnienie uwięzionych i zwrócić ich uwagę na rzecz o któréj dotąd nie pomyślały, to jest na zaniedbanie umysłowe, które niedozwalało matkom kształcić dzieci ku sławie i pożytkowi kraju. Zaprowadzona przez męża na owe zgromadzenie, wypowiedziała odważnie i gorąco, jak w dziedzinie ducha niewiasty obszerne mają do działania pole. Nastały dla ziemi czeskiéj czasy w których daremną by była walka z orężem w ręku, wszyscy zatém prawi obywatele winni byli w zgodzie, miłości i pokoju działać bezustannie aby kiedyś siłą ducha pokonać groźne zastępy fizycznéj przemocy, a któż lepiéj nad kobiety mógł się do tego przyczynić? czyimże rękom przeznaczono wypielęgnować młode pokolenia, nadzieje jaśniejszéj przyszłości? Na te słowa wyrzeczone z głębokiém uczuciem, poruszyły się wszystkie serca i głośne oklaski przyjęły szlachetną polkę, przemawiającą w sprawie narodowości czeskiéj. Wszystkie niewiasty przyrzekły jéj swe współdziałanie, przystępując natychmiast do stowarzyszenia *starannego wychowania dziewcząt*. Honorata przyjęła w niém obowiązek sekretarki, który wymagał najwięcéj pracy, potrzeba było albowiem zbiérać ofiary, wzywać po całym kraju członków, aby się łączyli wraz z drugiemi, oraz układac ustawy instytutu pedagogicznego. Nie potrzebujemy mówić, że pani Zapové starała się w czyn wprowadzić ulubioną myśl swoją, z całym zapałem zacnego serca przejętego miłością ziomków, ale czémże są wszystkie zamiary dla dobra kraju, jeżeli nie znajdą poparcia i uświęcenia w miłości, zgodzie i jedności braterskiéj? senną marą znikającą za lada przeciwnego wiatru powiewem. Nie doszły jeszcze widać wówczas Czechy do owego szczytu doskonałości moralnéj, który stanowi jedynie trwałą podstawę bytu uciśnionych narodów. Ohydne widmo niezgody zakradło się pomiędzy nich nagle i wraz z wielą innemi dobremi zamiarami zniweczone zostały zamysły Honoraty. Serce jéj napełniło się wtedy żałością i goryczą wielką, zdrowie znów się zachwiało, opuściła więc chwilowo Pragę i udała się wraz z dziećmi w rodzinne strony. Widok ukochanych rodziców, krewnych i ojczystéj ziemi, dla któréj mimo oddalenia głęboką miłość zachowała w sercu, najzbawienniejszy wywarł skutek. Po kilkomiesięcznéj nieobecności powróciła z nowemi siły do walki przeciw nieprzyjaznym okolicznościom. Mąż wspierał ją gorliwie; przyszedł wreszcie czas, że oboje pokonali wszelkie trudności i Honorata zamierzyła wkrótce samoistnie otworzyć instytut; lekarze radzili aby jeszcze przed tém odbyła podróż do Włoch dla polepszenia zdrowia, posłuchała ich rady i pobywszy czas jakiś pod łagodniejszém niebem, rozpoczęła ostateczne niezbędne czynności, gromadziła uczennice, umawiała im światłych professorów, urządzała mieszkanie, aż wreszcie i oznaczyła dzień otwarcia zbawiennego zakładu.

Są wypadki w życiu, w których Bóg objawia ludziom widocznie, że w jego rękach pozostaje kierunek spraw świata i najszlachetniejsze zamysły spełznąć muszą, jeżeli nie uznał w swéj niepojętéj dla nas mądrości, że nadeszła pora wprowadzić je w wykonanie. Tak się stało i z zamiarem Honoraty: w chwili gdy wszystko było gotowe, uśpiona widać tylko, a tlejąca w niéj zawsze choroba, gwałtownie

się rozwijać poczęła. Ani tkliwe starania męża, ani pieszczoty trojga drobnych dziatek, nie mogły wstrzymać jéj postępu! Poświęcenie i otwarcie instytutu nastąpiło wtedy gdy założycielka przykutą już była do łoża ciężką niemocą! Rozpoczęła mimo to wykład nauk wedle planu pierwotnie przez nią skreślonego i o ile tylko mogła była jeszcze duszą wszystkiego. Zdarzyło się jedną razą, że uczuła się nieco lepiéj, powstała spiesznie i wsparta na ramieniu męża weszła niespodziewanie do szkolnéj sali.



Dziewczęta otoczyły ją z radością, rozpytywała je wszystkie z pieczołowitością matki, cieszyła się ich zadowoleniem. Obeszła potém każden zakątek zakładu, czyniła tu i owdzie uwagi nad wykonaniem swych pomysłów, słowem była czynną i baczną na wszystko, jak za czasów zdrowia. Mąż i przyjaciele radowali się tém polepszeniem, nie przeczuwając że były niby ostatnim konającéj lampy odblaskiem. Trzy dni zaledwie minęło, a cierpienia tak się powiększyły, że ani lekarze, ani sama chora, nie mogła już mieć żadnéj nadziei. Poznawszy jasno stan swój zapragnęła zwrócić rodzicom powierzone sobie dzieci, gdy nie mogła już kierować ich wychowaniem. Ze ściśnioném sercem opuszczały dziewczęta dom, w którym podczas kilkomiesięcznego pobytu najtkliwszém otoczone były staraniem. Niezadługo potém miła ich opiekunka w obec rozpaczającego męża, przyjaciół, dzieci i przybranéj rodziny, przygotowana na drogę wieczności przez światłego i świętobliwego księdza Wacława Stulca, oddała Bogu ducha uświęconego miłością i chwalebną pracą. Cała Praga, a mianowicie młodzież i przedstawiciele literatury czeskiéj, odprowadzili tłumnie jéj zwłoki na cmentarz Prosecki. Tam na wzgórzu obok kościoła świętego Wacława, kędy rozległy widok na królewską Pragę ginie w mglistéj na wschód dali, w którą Honorata z miłością i tęsknotą zwracała oczy ku swéj ojczyznie, wznosi się grobowiec z następującym napisem:

HONORATA Z WISNIOWSKICH

ZAPOVÉ

Narożena 5 dubna 1825 w Śniatyniu

V HALÍCI

Umrela 4 lednia 1856 v Praze.

Duch nie zginie przez skonanie,
A dla ziemi u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mię wznosiły.

Bogdan Zaleski.

Rękopism Niezabudki wydany został po śmierci autorki na korzyść nowo budującego się na przedmieściu Karlińskiém kościoła. Na ostatniéj kartce zamie-

ściła następujące wyrazy: „Zaczęłam dnia 10 października 1844 roku, skończyłam 1845 w dniu 12 kwietnia, Boże dopomóż mi nadal w pracy dla pożytku bliźnich!" Wydawca dodał jeszcze dopisek który świadczy wymownie o miłości jaką rodaczka nasza umiała zyskać sobie w czeskiéj ziemi.

„Inaczéj zapisane było w księdze wieczności; niespełna w rok potém, właśnie w chwili gdy zamierzała wprowadzić w wykonanie skreślone przez siebie ustawy wychowania czeskich dziewic Honorata Zapové zakończyła młody żywot swój! W dniu 4 stycznia 1856 roku zaprzestało uderzać serce, które nas tak umiłowało! Wtedy gdy osierocona rodzina opłakuje wzorową małżonkę i matkę, żałosna ojczyzna na równi z nią boleje nad stratą jednéj z najszlachetniejszych córek swoich! Pokój jéj popiołom, a cześć jéj pamięci!"

Ale. z Ch. Borkowska.

NARZECZONA PASTORA.

(THE MINISTER'S WOOING).

POWIEŚĆ,

pani **Beecher Stowe**, autorki *Chaty wuja Tomasza.*

Podobnie jak wszystkie dzieła słynnéj amerykanki, powyżéj wymieniona powieść mile została przyjętą przez czytającą publiczność. Na wstępie autorka obiecuje, zaznajomić nas z życiem i obyczajami amerykańskiéj społeczności, w epoce jéj pierwotnego rozwoju; zamierza ona oddać cześć wielkim religijnym duszom, jakotéż instytucjom i obyczajom, z których bujnego posiewu wyrosła teraźniejsza pomyślność Ameryki. Pomimo powyższego założenia, nie sądźmy, ażeby powieść tę można było nazwać w ścisłém znaczeniu historyczną, jest to raczéj szkic obyczajowy, w którym pewne charaktery, podniesione do wysokości ideału żywém i pełném uczucia nakreślone są piórem.

Stosując się do porządku przyjętego przez autorkę, zaczniemy od zaznajomienia czytelników z osobą wdowy Katy Scudder, która jest matką Marji, bohaterki romansu.

„Katy była niewiastą w całém znaczeniu słowa praktyczną, to jest, że żadne zatrudnienie domowe nie było jéj obcém; wszystkie obowiązki, od pieczenia ciasta, aż do zamiatania pokoju, własną wykonywała ręką, bez pomocy służącéj, któréj utrzymanie przy szczupłych funduszach uważała za rzecz zbyteczną. Nie sądźcie jednak, ażeby porządki i zatrudnienia domowe przeszkadzały jéj do pełnienia innych obowiązków gospodyni domu, owszem umiała ona przyjąć i zabawić gości, a codziennie w poobiedniéj porze można ją było widzieć siedzącą w oknie z robotą i książką w ręku.

„Młoda i ożywiona dziewczyna z czarném okiem, z uśmiechem swobody na ustach, a z rozumem i dowcipem w mowie, ściągnęła mimowolnie wielu wielbicieli, z których każdy złożyłby chętnie u stóp jéj cały swój majątek, gdyby Katy uśmiechem lub spojrzeniem dała znak, że przyjmie taką ofiarę, ale na podziw wszystkim piękna dziewczyna nie raczyła nawet spojrzeć na żadnego z nich. Już ludzie różnie o tém mówili i byli tacy, którzy przepowiadali jéj, że starą zostanie panną, kiedy nad wszelkie oczekiwanie, Katy zażartowała sobie z domysłów świata, poślubiając człowieka, o którym nikt nie marzył nawet, ażeby mógł zostać jéj mężem. Młodzieniec ów, nazwiskiem Je-

rzy Scudder, z szlachetną i energiczną duszą łączył poetyczne usposobienie, co nad wszystkie przymioty przyczyniło się najwięcéj do zjednania mu serca praktycznéj Katy, która jak po większéj części tego rodzaju niewiasty, nie miała w sobie ani okruszyny poezji, ale téż za to lubiła widzieć w innych osobach zalety, których nie posiadała sama, podobnie Indjanom oddającym hołd obcemu im językowi pierwszych europejskich przybyszów.

„Naturaliści twierdzą, że brak jednego zmysłu wynagradza się przewagą drugiego, podobnie mężczyzni z idealnem usposobieniem znajdują w kobietach dopełnienie warunków, których im niedostaje. Czy pamiętacie tę małą kataraktę Niagary, co rzuca srebrną i przejrzystą zasłonę nad jaskinią, nazwaną grotą tęczową? Ktokolwiek stanie na skale widzi się w grocie okolony siedmiobarwną tęczą? Podobnie wesoła i rządna Katy z upodobaniem przejrzała się w tęczowéj świątyni, w duszy swego kochanka.“

Ale nie sądzoném jéj było cieszyć się długo tém szczęściem, albowiem po kilku latach małżeńskiego pożycia pozostała wdową z jedyną córką Marją, która w epoce niniejszéj powieści występuje już jako zdobna w przymioty serca i pełna wdzięków dziewica. Marja odebrała od matki skromne ale staranne wychowanie; umiała czytać i pisać poprawnie w ojczystym języku, na tém i na nauce religji ograniczało się jéj umysłowe wykształcenie, ale za to ręczne roboty z dziwną wykonywała łatwością. Przymioty ojca i matki połączone były w osobie Marji, obdarzona duszą szlachetną i poetyczną, z upodobaniem przysłuchiwała się wykładowi Dra. Hopkins teorji Edwarda o naturze cnoty. Nieraz bystrość jéj pojęcia zdumiewała szanownego pastora, a mądre pytania i odpowiedzi wychodzące z ust dziewczęcia, wprawiały go w rodzaj takiego zachwytu, jak gdyby ujrzał nagle postać anioła, wychylającego się z za obłoków. Zdawało się często że gonił on za jéj obrazem, jak Dante ścigający swoją Beatryczę przez wszystkie stopnie sfer niebieskich. Jakoż nie wiele brakowało do rozwinięcia w sercu pastora silniejszego i dokładniej określonego uczucia, kiedy przeciwnie w umyśle i w sercu Marji tkwiło tylko głębokie uznanie cnót i zasług godnego kapłana i przyjaciela jéj matki, łącznie z najwyższym szacunkiem przychylnéj i wdzięcznéj uczennicy. Pomiędzy towarzyszami lat dziecinnych Marji, był Jakób Marvyn, bliski jéj krewny. Kiedy wyrosłszy już na młodzieńca, powrócił Jakób z podróży po obcych krajach, przywiózł z sobą wyobrażenia wcale różne od tych, które się przechowywały w kole jego rodziny. Otóż od téj chwili uczczono go nazwą niedowiarka, a matka Marji niechętném patrzała okiem na czuły stosunek, łączący młodzieńca z jéj córką i to było powodem, że zabroniła jéj wyraźnie myśléć o nim. Jako najposłuszniejsza z córek, Marja postanowiła święcie nie myśléć o nim nigdy, chyba tylko w pewnym razie, to jest przy odmawianiu pacierzy, ale że te modlitwy często się powtarzały, zrozumiecie więc, miłe czytelniczki, że zapomniéć o nim nie było rzeczą tak łatwą. Wszystkie pogłoski dochodzące jéj uszów o niekorzystnéj stronieJakóba, o pogardzie jaką okazywał dla nauk teologicznych, miasto odrywać go od niéj, jeszcze silniéj imie jego wyryły w jéj sercu, nasuwając myśli o niebezpieczeństwie duszy młodzieńca i o potrzebie ratunku. Ażeby dać poznać lepiéj stosunek dwojga kochanków, przytoczymy ustęp z rozmowy, kiedy Jakób zszedł niespodzianie Marją, siedzącą w oknie od ogrodu.

— Marjo, ty jesteś nabożną i pełną wiary chrześcijanką, ale doszedłszy już po ciernistéj i trudnéj drodze do szczytu téj doskonałości, czyżbyś się zechciała troszczyć o zbawienie tak nędznego, jakim ja jestem grzesznika? a jednakże przyznaj, że niegodzi się pozostawiać nas samym sobie na drodze zwątpienia i zaguby.

— Czyż sądzisz, że nie troszczę się o ciebie? ja, com tyle dni i nocy przepędziła modląc się za ciebie, nie zasłużyłam doprawdy na takie wyrzuty! Pastor

nasz mówił ostatniéj niedzieli, że gotów by był poświęcić własne zbawienie dla dobra krewnych i braci. Chociaż wielu ze słuchaczy nierozumiało jego mowy, ja ją pojmuję teraz, czując że gdyby to było w mojéj mocy, oddałabym duszę za ciebie!

„Stojąc smutnie pochylona, z oczami łez pełnemi, z rumieńcem zapału na licu, przypomniała w téj chwili Jakóbowi, widziany niegdyś w jednéj z europejskich katedr obraz matki boleści:

Poważnéj, świätléj litości promieniem,
Z dziewiczą twarzą, lecz z wieczności wzrokiem,
Smutnéj, lecz innych zbrodnią i cierpieniem,
Która w milczeniu zdaje się głębokiém,
U wrót Edenu płakać najgoręcéj
Nad temi dziećmi, co nie wrócą więcéj.

„Słowa dziewicy, wypowiedziane z siłą i uczuciem, poruszyły serce młodzieńca. Jak błyskawica, która rozświeca w okamgnieniu cały krajobraz miast, zamków, rzek i odległego morza, tak jeden promyk budzącego się, w duszy młodzieńca, uczucia, odsłonił mu całe życie jego. Jakże ciemną i nędzną wydała mu się ta własna postać w porównaniu z duszą kobiety, która z miłości dla niego, przed żadną nie zadrżałaby ofiarą.

„Na tę myśl dziwne uczucie trwogi przebiegło po jego żyłach i po chwili milczenia, przemówił cichym i zmienionym głosem: Marjo! widzę teraz że jestem wielkim grzesznikiem i słuszność ma twoja matka; ja nie mam prawa być twoim mężem, bom niegodzien ciebie. Nie sądź jednak ażebym nie pragnął się poprawić, owszem, w twojéj mocy jest moje zbawienie, ty mię oświecaj, ty mów, ja ciebie zrozumiem i zrobię się lepszym.

— Czyż potrafię uczyć cię Jakóbie?

— Potrafisz, bo jesteś wyższą odemnie. Wyznaję ci, że w niegodnym przybyłem tutaj zamiarze. Doznając przeszkód ze strony twojéj matki, postanowiłem podstępem pozyskać twe serce, ale usłyszawszy te serdeczne wyrazy i widząc łzy gorące w twoich pięknych oczach, czuję się być upokorzonym i wyznaję przed tobą całą nicość moją.

„Czego nie mogły sprawić uczone kazania pastora, dokazała tego jedném prawie słowem, młoda purytanka, jakoż na zakończenie rozmowy, podała kochankowi biblję, którą on przyjął z uszanowaniem i pocałował z uczuciem. Skoro Jakób oświadczył Marji, że za dni parę w daleką udaje się podróż, łzy zakręciły się w oczach dziewicy, ale skromność była pieczęcią zamykającą jéj usta. Pożegnali się i rozstali w milczeniu.“

Nie możemy pominąć poetycznego opisu wieczoru, tak zgodnie odpowiadającego tkliwemu i marzącenu usposobieniu Marji.

„Już zniknął rumieniec zachodu, a księżyc srebrny i zaokrąglony przeglądał przez gęste gałęzie jabłoni. Czasem tylko krzyk świerszcza przerywał powszechne milczenie, a głos jego tak smutnie odbijał się w uszach śmiertelników, jak odzywają się może brzmienia ludzkiego języka, w uszach światlejszych i wyższych od nas istot. Czasami wietrzyk zaszeleścił pomiędzy drzew gałęziami i niósł na ziemię deszcz białych listków oświetlonych padającemi nań z ukosa promieniami księżyca. Tam znów blady promyk miesiąca igrał z wysoką główką wybujałéj trawy, która oskrzona jego światłem poruszała się swobodnie i wesoło, niby jaki nowo narodzony święty, obudzony po raz pierwszy w objęciach raju. To znowu dochodziły słabo łagodne, odwieczne tony odległego morza, najsmutniejsze, najwięcéj tajemnicze dźwięki ze wszystkich głosów natury. Zawsze to samo głębokie roskoszne i zdradzieckie, tajemnicze i okropne morze. Gdzież on? pomyślała zadumana Marja, a spojrzawszy z żalem na ścieżkę, po któréj często przechadzała się z Jakóbem, poskoczyła nagle do ogrodu i znajomą dobrze drogą pobiegła na wierzchołek wzgórza, zkąd widok na przystań Newportską rozciągał się daleko.

„Wschodzący szeroko księżyc rzucał na morze swój zwój srebrzysty i drżący, kiedy liczne okręty, niby ćmy srebrno-skrzydlate ślizgały się po falach tam i i napowrót, a jeden z nich najwspanialszy i naj-

większy rozmiarem, przechadzał się poważnie pod białych żagli osłoną, niby ptak śnieżno-pióry. Serce Marji zadrżało przeczuciem na widok okrętu, bo zdało jéj się, że na nim zobaczyła tego, który uprowadzał z sobą połowę jéj istoty. Usiadła pod samotném drzewem, a skłaniając głowę na dłoni, długo, i długo z modlitwą na ustach ścigała go oczyma dopóki okręt nie zniknął zupełnie w przestrzeni nakształt tych mglistych chociaż wdzięcznych snów wyobraźni." „Następnie powróciła do swego pokoju Marja, a przy pełném świetle księżyca spostrzegła zdziwiona leżący list na podłodze. Zapaliła natychmiast świecę i rozpieczętowawszy ze drżeniem, poznała rękę swego przyjaciela. Pożegnalna odezwa kochanka kończyła się temi słowy: Nie możesz, nie powinnaś kochać tak niegodnego miłości, jakim ja jestem; nie równie lepszy i zacniejszy niechaj się połączy z tobą, ja tylko zastrzegam sobie prawo do przyjaźni i braterstwa twego, ty bądź przyjaciółką i świętą moją. Pragnąłbym gorąco, ażeby książka, którąś mię obdarzyła i modlitwy twoje mogły mię podnieść do wysokości, na jakiéj ty się znajdujesz. Klucz do mego serca złożył Bóg w twoich rękach. Bądź zdrowa, droga Marjo, niezapomnij w twoich modlitwach wspomnieć czasami o grzesznym, lecz kochającym cię krewnym Jakóbie."

Pani Scudder zauważała wzruszenie Marji, a zagadnąwszy ją zręcznie dowiedziała się od niéj, że ów niedowiarek Jakób był przedmiotem jéj kochania. Jakkolwiek ta niespodziewana wiadomość mocno zaniepokoiła matkę, pocieszała się myślą, że czas i późniejsze doświadczenie wywrze wpływ zbawienny na przyszłe postanowienie córki. Z kolei wypada zaznajomić czytelników z osobą pastora Hopkins, jako z postacią historyczną, która zajmuje dość ważne miejsce w powieści. Jedynym błędem, jaki mu przyznaje autorka była chęć zamienienia nauki ewangelji w teologiczne rozprawy, którą do tego posuwał stopnia, że w chwilach zapału musiał wypowiedzieć swoje filozoficzne przekonania bez żadnego względu na to, czy znajdzie lub nie, chętnych ku temu słuchaczy. Wielką zaletą, cechującą tego kapłana, była miłość bliźniego, któréj dowiódł w życiu pełném poświęceń, bądź wyszukując i pocieszając biednych, bądź też nauczając i wykupując afrykańskich niewolników, wtenczas kiedy nikt jeszcze nie pomyślał zająć się ich losem.

„Wziąwszy na uwagę, że szanowny pastor nie był usposobiony do łatwego przyjęcia romansowych wrażeń, należy przypuścić, że tylko z wielką ostrożnością i szacunkiem mogła była miłość wcisnąć się przez drzwi jego pracowni. Pierwsze uczucie, jakiego doznał, było dziwnego uroku i nieznanéj słodyczy, ale nie domyślał się nawet zkąd i z jakiego pochodziło nieba. Jak ów dąb ogromny i stary, który z obnażonemi ramiony, wytrzymuje z cierpliwością chłód metalowo-błękitnego, zimowego nieba, a dumny wielkością swych kształtów, nie troszczy się o liście i nie wzdycha do innego bytu, kiedy tymczasem w kwietniu zaczyna drgać nowe w starym olbrzymie życie, ciepło przebiega po gałęziach jego, następnie poruszają się pierwsze zawiązki pączków i chociaż dąb nic nie wie o tém, już pierwiastek tworzenia czynny jest w jego łonie — podobnie nowe, nieznane dotąd życie ogrzało duszę i ubarwiło myśli zacnego pastora, odkąd obrał mieszkanie w domu wdowy Scudder i zajął się kształceniem umysłu jéj wdzięcznéj córki. Wrażenie jakie rozmowa z Marją sprawiała nieraz na pastorze i zmiana zaszła od pewnego czasu w jego codziennych zwyczajach, nie uszła bacznego oka pani Scudder, która pałając czcią jak najgłębszą dla jego osoby, nie dziw, że doświadczyła uczucia dumy i szczęścia na myśl, że najukochańsza i jedyna jéj córka może stać się godną połączyć los swój z losem tego człowieka."

W dalszym ciągu powieści opisuje autorka dom rodziców Jakóba Marvyn. Niemożemy pominąć charakterystycznego obrazu pani Marvyn matki młodego bohatera romansu...... Pani Marvyn posiadała zamiłowanie porządku w wysokim

stopniu, ale nadto odznaczała ją pewna wyższość pojęć i uczuć, któréj brakowało jéj mężowi. Wypełniając sumiennie wszystkie obowiązki gospodyni domu, umiała ta pani tak rozrządzić czasem, że znajdowała zawsze kilka godzin dla ulubionych umysłowych zajęć. Dość było przejrzeć tytuły książek rozrzuconych przed nią na stole, ażeby wyprowadzić wniosek, jak wielce jéj dusza była spragniona tego duchowego pokarmu. Historja, biografja, encyklopedja, matematyka, słowem rozliczne gałęzie nauki były przedmiotem jéj studjów i badań. Nie dość na tém, każdy przedmiot w dziedzinie sztuki, budził w jéj duszy tak żywe zajęcie, że nieraz złożywszy książkę, goniła marzeniem za tą krainą fantazji i czarów, która dla niéj dostępna była tylko z opisów. Owe rozmyślania, o nieporównanych pięknościach dzieł wielkich mistrzów, odrywały ją nieraz od ziemi w wyższą, niebiańską sferę za którą tęskniła. Ale krótko trwało złudzenie, bo skoro tylko spojrzała na szare ściany domu, lub posłyszała głos męża, przypominającego jéj prozę domowego zajęcia, powracała prędko w świat rzeczywisty, chociaż może nie bez pewnego żalu, ale z rezygnacją silnéj woli, przejętéj głęboko uczuciem swoich obowiązków.

W epoce do któréj odnosi się to opowiadanie, utrzymywanie niewolników domowych w Nowéj Anglji, zupełnie oddzielną nosiło cechę od niewolnictwa w strefach południowych. Trudna uprawa ziemi, wymagając wielkiéj czynności i przemysłowych środków, była powodem że ogół ludności nie mógł polegać wyłącznie na pracy rąk niewolniczych.

Dodać do tego należy i tę jeszcze przyczynę, że od samego początku, pomiędzy klassą myślących i sumiennych ludzi w Nowéj Anglji, zrodziły się pewne skrupuły względem niewolnictwa i dla tego systemat plantacyjny, rozwinięty w innych częściach Ameryki, nie przyszedł tutaj do skutku, a posiadacze niewolników używali ich do posług około domu i tak ich umieli przywiązać do siebie, że zdawało się, jakoby ci stanowili nieoddzielną część każdéj rodziny. Do takiéj klassy należała służąca państwa Marvyn imieniem Candace.

Jak o tém wspomnieliśmy już wyżéj, pastor Hopkins był uważany powszechnie za opiekuna murzynów, to téż znalazł nagrodę w nieograniczonéj wdzięczności, jaką mu okazywali biedni niewolnicy. Podobnież służąca murzynka, o któréj jest mowa, przywiązała się do zacnego kapłana z całą serdecznością i prostotą, właściwą ludziom téj rassy. Wprawdzie obiegała wieść w stolicy, że piewsze usiłowania pastora, podejmowane w celu nauczenia Candace, były nie wiele skuteczne, a to z powodu jéj własnego oryginalnego poglądu na rzeczy dotyczące się wiary. Tak np. kiedy pastor starał się ją przekonać, że wszyscy ludzie są winni pierworodnego grzechu, ona ruszając głową stanowczo odpowiadała: jam nigdy nie jadła ani zakosztowała tego jabłka, dajcież mi więc z niém pokój! Ale kiedy żadne dowody nie mogły zachwiać przekonania niewolnicy o nieomylności jéj wyobrażeń, jeden czyn szlachetny zniewolił ją odmienić zdanie na korzyść nauki pastora. Stawił się przed nią, dawno niewidziany krewny, który pozostawał w służbie jako niewolnik, u bardzo przykrego pana, a pierwsze słowo jego było wyrazem wdzięczności dla zacnego kapłana, który za pewną summę, zebraną po części z własnych funduszów, po części zaś z dobrowolnych ofiar i jałmużny, wykupił go ze srogiéj niewoli. Usłyszawszy to, zawołała murzynka z uniesieniem: jeżelić on to uczynił, gotowa jestem uwierzyć jego nauce co do joty. Skoro po raz pierwszy po tém doniesieniu zobaczyła pastora, rzekła do niego z uczuciem uwielbienia i radości: niech Bóg was błogosławi, panie, za to, żeście biednego oswobodzili więźnia. Odtąd już wierzyć będę waszym słowom. Nie potrzeba wam teraz przekonywać mię długo, rzeknijcie tylko, a ja się przyznam, żem wszystkie jabłka pozrywała z drzewa i zjadła.

Jakkolwiek miłém było dla zacnego pastora uznanie jego zasług, przez tych samych, dla których dobra poświęcał się całe życie, cierpiał on mocno nad tém, że jego nauka tak mało wywierała wpływu na massy ziomków, a najwięcéj, że ci nawet, którzy byli filarami kościoła, czerpali swoje bogactwa z tak ohydnego źródła, jakiem był handel niewolnikami. Otóż postanowił jeszcze raz wystąpić śmiało przeciwko najzamożniejszym obywatelom, a za cel pierwszego pocisku wybrał Szymona Brown, który z tego samego źródła ciągnął swoje korzyści, chociaż był jednym z najwięcéj szczodrych członków towarzystwa, na którego czele stał Dr. Hopkins. Skoro zwierzył się ze swoich zamiarów wdowie Scudder, ta pani dowiedziawszy się o ich treści, okrzyknęła się przeciwko temu, przedstawiając niemożność przyprowadzenia do skutku takowego planu. *(dokończenie nastąpi).*

O UBIORACH.

Oto leży przed nami rycina mód paryzkich, czyż zatém idzie, aby je niewolniczo naśladować, aby mimo wszystko wysilać się na zbytek ozdób, na nieustanną zmianę kroju i materji w odzieży? Oddawna zauważano, że piękność ubrania leży w jego prostocie połączonéj ze smakiem wytwornym. Taki ubiór niezaprzeczenie zdobi postać całą i nie może być obojętnym dla kobiety, która z natury swojéj ubiega się o estetyczność w tém wszystkiém co ją otacza. Sposób téż ubierania się, mimo jednych dla wszystkich mód i krojów, tak zwykle charakteryzuje kobiétę, że wpatrzywszy się weń bacznie już coś o jéj moralnéj naturze z niejaką pewnością wyrzec można i widząc przesadną strojnisię narzuconą różnokolorowemi fatałaszkami, przyzywającą spojrzenia wielką ilością kwiatów, piór i świecideł, lub téż dziwacznie i pretensjonalnie ułożonemi włosami, nie bardzo rozminiemy się z prawdą twierdząc, że to nie człowiek, któremu w życiu myśl wyższa przewodniczy, ale lalka pokazująca się na to aby ją oglądano. Niech wielkie panie z zamożnych krajów, zmieniają raz wraz kosztowne materje na ich własnéj ziemi wyrabiane, to jeszcze do wzrostu fabryk się przyczyni, niech i u nas bogate kobiéty używają roje szwaczek, tém lepiéj, że ubogie dziewczyny będą od nich miały utrzymanie, ale większość kobiét miernego majątku, pragnąca słusznie szlachetnym wdziękiem nacechować ubranie swoje, a nie mająca wiele materjalnych środków po temu, powinna wcześnie przywykać do zręcznego używania igiełki, a tym sposobem do łatwego przyozdobienia się własnym przemysłem. Téj większości radebyśmy szczególniéj przyjść w pomoc podawanemi tu rycinami i opisami, przypominając, że piękność sukni bardziéj od jéj zręcznego kroju, niż od kosztowności materjału zależy; więc można być dobrze ubraną, a skromnie i niekosztownie, kiedy się własną ręką stroje swe wypracuje. To zaś filozoficzne przestawanie na małém, wielkiego jest w życiu naszém znaczenia miłe siostry. Przestawać na małém pod względem materjalnym, jest to częstokroć módz stać się wielką bogaczką w świecie uczucia. Kobiéta umiejąca dać sobie radę z małemi środkami; idzie śmiało za głosem serca, bo czuje że mężowi nie ciężarem, ale owszem pomocą się stanie.

Obecnie kobiéty w Warszawie zalecają się prostotą ubrania. Każda nosi to co ma w swéj garderobie byle było czarnéj barwy. A właśnie to nieubieganie się za szatą najświeższego kroju, jest pierwszym rozumnym krokiem na drodze umiarkowania w zbytkach. Odzywają się niektórzy o przebranie się na krój staropolski i projekt ten musi się bardzo uśmiechać strojnisiom z powołania, bo co to za śliczna rzecz rzucić na raz wszystkie suknie, a pojechać do sklepów nowe kupować, lecz wyznajemy, że wszystkie dotąd czynione próby w téj mierze bardzo się nie powiodły. Dla czego? bo strój jest wyrazem epoki, gdy ta przebrzmi wraz z objawami życia ją cechującemi, gdy to życie stosownie do nowych potrzeb inne sobie wyrabia warunki, tém bardziéj przeminąć muszą jego cechy zewnętrzne. Widok ubioru naddziadów podnosi nam pierś przyspieszoném serca biciem, jakby dolatujące nas echo czynów ich bohaterskich, lecz jest to relikwia, któréj już dziś w całym jéj majestacie nawet odtworzyć nie umiemy. Już bowiem ucywilizowana Europa mniéj więcéj jeden krój odzieży

przybrała i może go ten i ów kraj stosownie do swego klimatu zmodyfikować i uprościć, ale odłączać się jakby murem chińskim od całéj rodziny narodów europejskich, wtedy właśnie kiedy zkąd inąd wyciągamy do siebie bratnie dłonie, kiedy koleje żelazne przenoszą nas z taką łatwością z jednego punktu ziemi na drugi, jest rzeczą któraby się długo utrzymać nie mogła. Wśród ciągłego zetknięcia się w stosunkach politycznych, handlowych i społecznych, muszą stracić narodowości, dawne swe, drobne cechy zewnętrzne, co nie znaczy żeby z uczucia i języka miał się wykreślić ten święty wyraz *ojczyzna*, bo podstawa jego głęboko wkorzeniona w saméj treści życia narodów, w ich cnotach, tradycji i obyczaju; tą więc treścią życia będą one zawsze śpiewać każdy swą pieśń osobną, w ogólnéj rodzinie, którą stosunki polityczne i społeczne nastrajają do jednego chóru. Zresztą jeżeli nam idzie koniecznie o przebranie się, zważmy że wiele, bardzo wiele jeszcze innych rzeczy zrobić nam pierwéj wypada.... przebierzemy się na ostatku.

Kobiéty w Warszawie powtarzam, mniéj dotąd od mężczyzn do tych odmian się kwapiące, ubierają się ciągle czarno i skromnie. Na Święconém w jednym ze znaczniejszych domów uroczysty przedstawiało widok pięćdziesiąt blisko kobiét w gładkich, czarnych, jednakowych sukniach, z ubraniami na głowie z czarnéj krepy, lub wstążek. Możnaby było sądzić, że się pierwej zmówiły na tę jednostajność; nie —je tylko kierował trafny instynkt ich serca.

Magazyny nasze nie wiele dotąd przygotowały nowości, bo też i mało kto o nich myśli. Paki nadeszłe z zagranicy z lekkiemi sukniami leżą jeszcze nie pootwierane. Najwięcéj dotąd używają kamlotu i *pou de soie* czarnego. Pierwszego dostać można w dobrym gatunku po cenie od trzech złotych do rubla, z drugiego suknia od trzydziestu do pięćdziesięciu rubli kosztuje. Staniki robią najwięcéj do paska pod szyję zamknięte, które z łatwością do wykładanego kołnierzyka można zrobić otwartemi, rozpiąwszy kilka haftek od góry. Rękawy dają takie jakie widzimy na rycinie, lub też suche, u dłoni spięte z dwiema bufami u góry. Długie paletoty należą zawsze do najbardziéj używanego kroju płaszczyków, ale i burnusy dają się widzieć. Oglądaliśmy w magazynie p. Kwiatkowskiego duże chustki i szale czarne kaszmirowe, bardzo dogodne na wiosenne okrycie. Chustki od ceny 6 do 8 rubli, szale od 12 do 16. Osoby starsze używają zawsze do ubrania wizytowego mantylek, które są wyrabiane z aksamitu i czarnego *pou de soie*. Pierwsze wyrabiają po cenie od 30 do 50 rubli stosownie do gatunku aksamitu, drugie od 20 r. do 30 i 40. Chustek wełnianych koronkowych zwanych *Cambrai*, dostać można za 15 rubli lub 20, jeżeli deseń bogatszy. Do mniejszego ubrania noszą pelerynki i zuawki z tego samego co suknia materjału.

Kapeluszy wiosennych także jeszcze nie wiele. Zdaje się że czarne słomkowe i włosianne popielate lub także czarne, będą bardzo używane. W magazynie p. Klementyny (dawniéj Józefowicz) przygotowano takowe po cenie 16 do 18 pol. zł. bez ubrania. Również zalecające się lekkością i dobrym smakiem widzieliśmy tam kapelusze z krepy białéj, pokrytéj czarnym tiulem i czarnemi wstążkami ubrane. Cena ich wynosi od 10 do 12 rubli. Dla osób młodych i dzieci coraz bardziéj upowszechniają się kapelusze okrągłe z wywiniętém do góry rondem zwane *węgierkami*. Z boku zdobi je pióro i takie zwykle 50 zł. pol. kosztują — bez pióra 36 a nawet 30 zł.

Do ubrania głowy pełno zawsze siatek z kordonku lub sznelki po rub. sr. 4 i chusteczki koronkowe, (fanchon) także mniéj więcéj w téj cenie. Ubrania z wstążek, koronek i aksamitek czarnych są tańsze lub droższe, według gatunku i ilości użytego materjału, od 4 do 6 rub. sr.

Paski czarne z klamerkami także czarnemi, lub srebrnemi ciągle są w modzie.

OPIS ROBÓT.

N. 1. Deseń ten służy wyłącznie na kanwę, użytym być może na słupy do ornatów, węższy w tym rodzaju na stuły; wyrobiony jak poniżéj opiszemy, naśladuje złoto litą materję. Na dwa słupy potrzeba kanwy białéj jedwabnéj (lub tańszéj pół jedwabnéj) łokci 3 i ćwierć szerokiéj cali 10. Jedwabna kosztuje złp. 6 gr. 20; pół jedwabna złp. 4 gr. 15. Paciorków przezroczystych szklannych, buntów 3, jeden po złp. 3 gr. 15. Filozelli pasemek 5, jedno po złp. 1. Włóczki angielskiéj ciemno-orzechowéj pasemek 6, pasmo po gr. 3. Igłę długą cienką z długiém uszkiem. Kiedy masz wszystko przygotowane, podłożywszy deseń z łatwością możesz go przenieść na kanwę, używszy do odrysowania farby wodnéj żółtej. Miejsca grubą linją oznaczone, potrzeba obwieść włóczką ciemno-orzechową, używszy ściegu wązkiego, płaskiego, a najlepiéj ściegu szydełkowego, to jest zarzucić nitkę od prawéj ręki do lewéj i przeciągnąć wziąwszy ścieg igłą, ale uważaj żeśmy powiedzieli o tych tylko co są oznaczone linją czarną, kropkowane pozostaną bez obwódki. Teraz weź filozellę żółtą, przedziel nitkę na połowę, bo taka jaką masz ze sklepu za gruba, i zacznij pół ściegiem krzyżowym, biorąc na każden ścieg jedną paciorkę, zarabiać tło, uważając żeby paciorki były ciągle w jednym

kierunku położone, i dla tego nie odwracaj roboty, tylko za każdym rzędem powracaj z nitką do góry i znów rób dalej rząd następny, ściśle zachowując obwód rysunku.

N. 2. Bukieciki na rogi kołnierzyków które teraz robią najczęściéj czarne.

N. 3. Mozajkowy dywan lub poduszka na kanwie. Weź kanwę zwyczajną nicianą, wązkiemi aksamitkami naszyj jak na deseniu ukośne kwadraty, w miejscach gdzie się łączą daj ze złotéj lub srebrnéj plecionki krzyżyki, a krzyżową robotą, włóczką angielską zaszyj tło według upodobania różnemi kolorami, robiąc kwadraty na ośm ściegów długie i szerokie.

N. 4. Kołnierzyk atłaskiem i węzełkami.

N. 5. Mankietki takież jak kołnierzyk.

N. 6. Kołnierzyk atłaskowy u brzegu wdzierguje się koroneczka szeroka jak deseń wskazuje.

N. 7. Mankietki takież.

N. 8. Szlak i róg do chustki od nosa; trzeba podłożyć z lewéj strony odpowiedni deseniowi kawałek batystu, na około przydziergać płaskiem ściegiem ząbki; deseń robi się ściegiem guipiurowym, bo ten mocno trzyma podłożony materjał. Jak wykończysz robotę, wytniesz z lewéj strony batyst, tak żeby tylko arabesk był dubeltowy.

N. 9. Szlak do chustki od nosa atłaskiem.

N. 10. Szlak szerokiém dzierganiem lub atłaskiem.

N. 11. Drugi tym samym sposobem.

N. 12. Alfabet.

N. 13. Kołnierzyk wykładany (à revers), deseń atłaskowy na podwójném cienkiém płótnie lub żaknocie, do otwieranego szlafroczka; linja poprowadzona równolegle do brzegu znaczy stębenkę.

N. 14. Mankiety do tegoż; należy je przyszyć do buf z cienkiego muślinu.

N. 15. Szlak do obrusa kościelnego.

N. 16. Ten kołnierzyk robi się niezwykłym sposobem. Najprzód ukroj go podwójnie z batystu lub cienkiego linonu, na pojedynczym wydziergaj płasko okrągłe górne ząbki oraz będące w środku każdego listki. To uczyniwszy podłóż drugi ukrojony kołnierzyk i duże szpiczaste zęby dziergaj już na dubeltowym. Następnie wytnij ostróżnie zwierzchni batyst z pomiędzy okrągłych ząbków a dużych szpiczastych, przez co otrzymasz kołnierzyk złożony niby z trzech płaskich falbanek, umieszczonych jedna nad drugą. Nie trzeba, zdaje się, dodawać, że ząbki brzegowe dziergają się na podwójnym batyście, od szyi oznaczone dziurki także będą na podwójnym batyście.

N. 17. Mankiet takimże sposobem.

N. 18. Kołnierzyk atłaskiem, żyłkę przechodzącą przez środek listków i łączącą je, można zrobić czarną bawełną; ta forma używa się do szlafroka zamkniętego.

N. 19. i 20. Kołnierzyk i mankiet angielskim haftem.

N. 21. Wstawka atłaskiem haftowana.

N. 22. Róg do chustki. Sucha gałązka robi się czarną bawełną.

N. 23. Bukieciki na rogi kołnierzyków do których użyć można czarnéj bawełny; w tym rodzaju są teraz najbardziéj używane.

N. 24. i 25. Imiona na chustki do nosa, żyłki z bawełny czarnéj.

N. 26. Ozdobny daszek na lampę (abat-jour). Trzeba przygotować w dużym formacie arkusz białego, po jednéj stronie glansowanego papieru, takiejże wielkości arkusz bibułki angielskiéj. Pędzelek, gummę i kawałki materji stosownéj do kolorów, jakie masz na rysunku, możesz użyć i papieru kolorowego, ale z materji jedwabnéj podkładane kwiaty, ładniejsze.

Położywszy na deseniu kawałek właściwego koloru materji łatwo można odrysować obwód i podług niego wyciąć. Do każdego kwiatka potrzeba wyciąć trzy kawałki stopniowo co raz to mniejsze; to podkładanie potrójnéj materji wydatnia cienie. Gdy tak przygotujesz wieniec, wraz z liśćmi, i gałązkami, trzeba cały deseń położyć na dużym arkuszu glansowanym, podłożywszy deskę z miękkiego drzewa i obwodzić do koła ostrym scyzorykiem tak, żeby przecinając wierzchni deseń zarazem przecinanym sposobem rysować i na glansowanym papierze. Tu należy zachować wielką uwagę bo trzeba najwyraźniéj ponadcinać obwód i żyłki deseniu żeby światło się przebiło, a jednak nie docinać zupełnie, bo trzeba żeby cały wieniec nie odłączył się od papieru i wszystkie listki, gałązki, kwiatki, pozostały również nie oderwane.

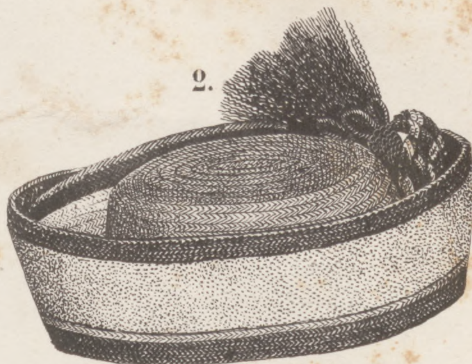
Kiedy już cały deseń jest tym sposobem nadcięty scyzorykiem, rozrobiwszy gummę trzeba umoczyć pędzelek, lekko pociągnąć materję, najprzód większy kawałek, potém mniejszy, w końcu najmniejszy, i podkleić z lewéj strony która jest nie glansowaną kwiaty, listki, gałązki, zupełnie podług rysunku; kiedy już cały wieniec podklejony, trzeba pociągnąć gummą brzeżne i górne zęby deseniu zawsze z lewéj strony nie glansowanéj, wziąść arkusz bibułki angielskiéj, uważnie położyć i miękkim płótnem przyciskać żeby się zęby przykleiły; kiedy gumma wyschnie wycina się zęby nożyczkami i skleja dwa brzegi całéj formy, aby w ten sposób zrobić daszek.

KÓŁKO DOMOWE.

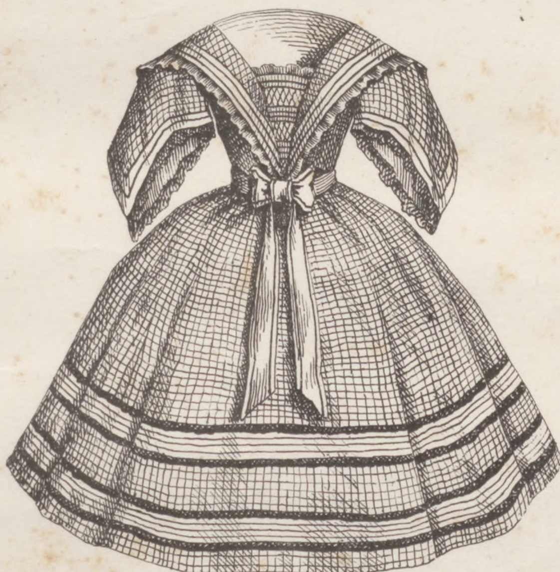
1.



2.



3.



4.



5.



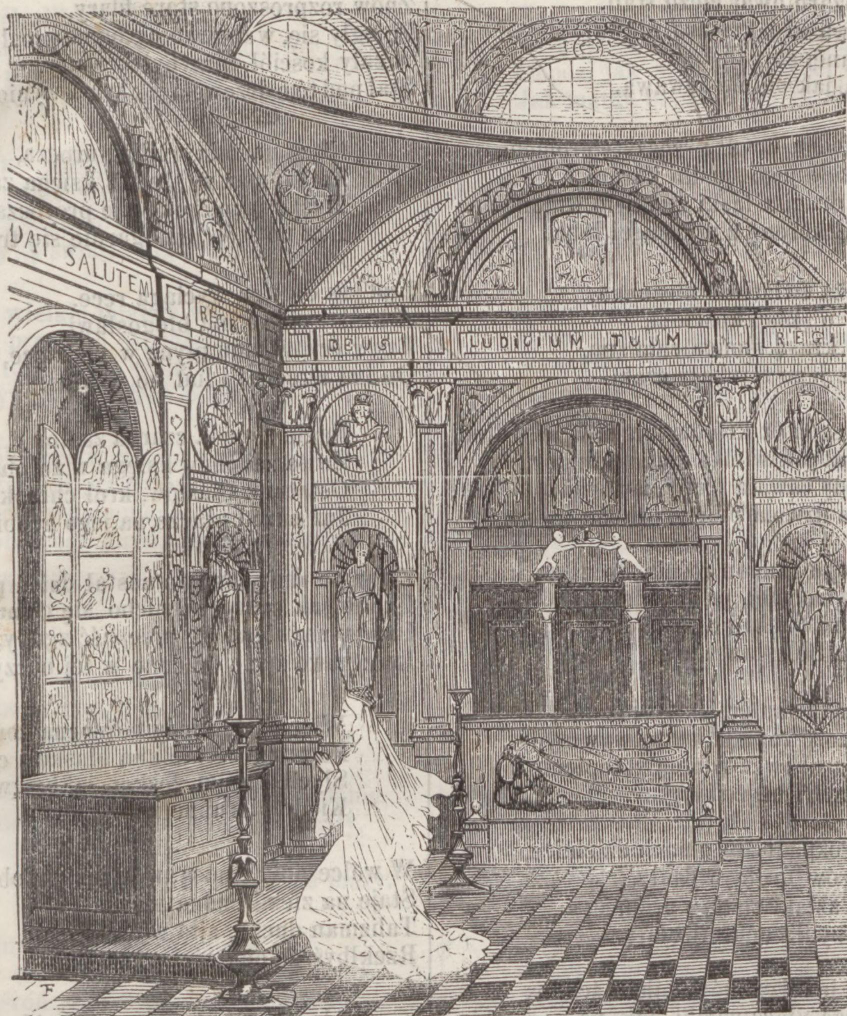
6.



Lit: L. Piechaczek. Odbito w Zakła: A. Dzwonkowskiego i Spółki

UBIORY DZIECINNE.

1. Sukienka dla chłopczyka. 2. Kapelusik węgierski. 3. Sukienka dla dziewczynki. 4. Paltocik. 5. Sukienka. 6. Paltocik dla chłopczyka.



Wnętrze kaplicy Zygmuntowskiéj w Krakowskiéj katedrze.

WIDZENIE.

Widziałem we śnie gmach wielki, stary,
Sięgał on nieba jak Tatry czołem,
Zegarem wieków jego filary,
A gmach ów cały wspomnień kościołem.

W przysionku gmachu stała chrzcielnica.
Obok bohatér pierwszy w koronie,
Grom u stóp jego i błyskawica,
W gwiazdach kąpało się jego skronie.

Miecz trzymał w ręku, kreślił granice,
I wyrył szczerbiec mieczem na bramie,
I oczy jego niby gromnice,
Po Dniepr od Tatrów sięgało ramię.

I stał bohater w przysionku starym,
Poranna nad nim świtała zorza,
On sam był tutaj sklepu filarem,
Choć sklep miał przestrzeń wielkiego morza.

Mocarz ów ziemi naszéj był synem,
Bo miecz i krzyż był w jego prawicy,
I życie wielkim chrześcjańskim czynem,
I miłość prawem jego dzielnicy.

Za tym przysionkiem, w progu kościoła
Słyszałem burzy groźne pioruny,
A jak w noc, ciemność była dokoła,
Jeno blask krwawéj przedzielał łuny.

W łunie pożaru dwaj męże stali,
Wielcy, poważni jak stara sława,
Po rozhukanéj stąpali fali,
A fala była jak obłok krwawa.

Mąż jeden upadł przeszyty gromem,
I z czoła jego spadła korona,
Lecz drugi z łaski znakiem widomym,
Podjął koronę z przepaści łona.

Od tego męża światłość nieznana,
Biła o łuki, o sklep kościoła,
Twarz jego krasą słońca rumiana,
Promienie z jego tryskały czoła.

Pierwszego z królów miecz w jego dłoni
Jaśniał jak wielka zorza północy,
A kiedy chwałą bitwy zadzwoni,
Żaden dzwon, piorun nie ma téj mocy.

Bluszcz z jego ramion rośnie do góry,
Nakształt ogromnéj, pajęczéj sieci,
Oplata ołtarz, ganki i chóry,
A imię męża Bolesław trzeci.

Zniknął bohatér, inne widzenie;
Ciemność zapada, stare wawrzyny
Niby grobowca zdobią sklepienie,
Ale umarli męże i czyny.

Na cztery rozpadł się gmach dzielnice,
Jęk bohatérów groby wydały,
Bo krwawe szlaki znaczą granice,
A orzeł skrzydła opuścił biały.

Długi jęk dzwonów bije o ściany,
Słychać płacz wielki, jak na pogrzebie,
I Chrystus płacze ukrzyżowany,
Smutna aniołów pieśń dzwoni w niebie.

Wśród żałobnego grzmi burza śpiewu,
Piorun wystrzelił w ołtarz kaplicy,
Jak znak widomy Pańskiego gniewu;
W mgle zapadł obraz Boga-Rodzicy.

W tém... słyszę... dzwonu głos nagle rośnie
Dzwoni jak gdyby na zmartwychwstanie,
W grobach drżą ojców kości radośnie,
Bo dnia wielkiego świta zaranie.

Wychodzi z cieniów i wznosi dłonie,
Rycerz i tułacz z kijem pielgrzyma,
Korona z cierniów wieńczy mu skronie,
A z oczów świeci dusza olbrzyma.

Cały gmach hymnem zabrzmiał wesela,
Kij się pielgrzyma w miecz chrobrych zmienia,
W cierniowym wieńcu, z mieczem mściciela,
Spłaca on w trudach dług odkupienia.

Znów rozproszone stare filary,
Zbiegły się, w drzewo ogromne zrosły,
A cały kościół, przybytek wiary,
Stał nad tém drzewem jak krzyż wyniosły.

Cisza nastała wielka, urocza,
Zatem mąż wyszedł z księgą zakonu,
Myśl z jego czoła bije prorocza,
Lud do stóp jego garnie się tronu.

Lud jak do ojca wyciąga ręce,
A król i ojciec mu błogosławi,
Łzy z oczów ludu płyną w podzięce,
On lud ukochał i lud go wsławi.

Nagle zapada czarna zasłona,
Zwita zakonów księga w żałobie,
Ostatni z Piastów, król chłopków kona,
Już naród płacze na jego grobie.

Znów po dniu jasnym nastał dzień próby,
I znów jak przedtem niebo się chmurzy,
I znów rozwiera się przepaść zguby,
Lecz nowe życie drzemie w téj burzy.

Wiecie, że kiedy północna zorza
Powstaje w wielkim blasku i chwale,
Słychać szum, łoskot, jakby gwar morza,
Kiedy piorunne zahuczą fale.

W walce dnia z nocą, w mglistym obłoku,
Staje na ziemi cudna niewiasta,
Talizman ducha, siła w jéj wzroku,
Rzekłbyś, że ona córką jest Piasta.

Ale na rękach ma z róż kajdany,
Wiotka jéj postać jak lilja biała,
Za lada wiatru powiewem drżała,
Jakby jéj wieniec ciężył rożany.

Stał anioł z krzyżem tuż przy jéj boku,
Lecz go nie widzi piękna dziewica,
Chociaż swym wzrokiem tonie w obłoku,
Do róż się ziemskich śmieją jéj lica.

Nagle w jéj oczach, w duszy krysztale,
Budzi się walka silna, namiętna,
Żywo jéj serca igrają fale,
Postać w obłoku zapada smętna.

Anioł co trzymał krzyż brylantowy,
Szepnął do ucha jéj słowo wieszcze,
Mgła z niéj opadła już do połowy,
Ale ją róże krępują jeszcze.

W tém dzwon żałobny bije o mury,
Jęk w nim narodu smutnie zadzwonił,
Dziewica wzniosła oczy do góry,
Jéj wzrok za niebem myślą pogonił.

I w tejże chwili opadły róże,
I krzyż chwyciła już w obie ręce,
Tak były piękne oczy jéj duże,
Jak oczy świętych natchnionych w męce.

Hymn wielki zabrzmiał w murach kościoła
Jak gdyby naród zmartwychwstał cały,
A biła jasność z królowéj czoła,
Mocą jéj światła mgły się rozwiały.

Świetne i wielkie miałem widzenie,
I nagle w przepaść zapadłem ciemną,
Patrzę.... to nie jest senne złudzenie,
To rzeczywistość i grób podemną.

Grób wielki, ciemny jak Wawel stary,
Gdzie legł przeszłości rycerz ostatni,
Święty wspomnieniem bólów, ofiary,
Grób drogi sercu, jak całun bratni.

. . . .
. . . .

A jest wieść bracia, w starym Krakowie,
Co u stóp mogił jak lutnia leży,
Co ma i szaty i serce wdowie,
Smutne, jak dzwony Marjackiéj wieży,—

Jest wieść, jak ludu rzewne podanie,
Że kiedy naród w łzach tonie cały,
Kiedy do Boga wznosi wołanie,
Z grobów Wawelu wstaje duch biały.

Jak opiekuńczy ów duch anioła,
Co dotąd czuwa nad swym narodem,
Chodzi wśród murów wspomnień kościoła,
Niewiasta z licem świątłém i młodém.

Z różańcem w ręku, w żałobnéj szacie,
Bo w sukni białéj z szlaki czarnemi,
Chodzi jak matka po dzieci stracie,
Jak matka błaga Boga za niemi.

Na szyi perły błyszczą gwiazd wiankiem...
Kiedy się modli za przyszłość ludu,
Łzy z jéj ócz płyną jak rosa rankiem,
Jak rosa, twórczą moc mają cudu.

Stąpa poważnie polska królowa,
Serce narodu ów Wawel stary,
Rzekłbyś, oblęka szata godowa,
Gdy cień jéj wstaje, jak ołtarz wiary!

Bo lud, Jadwigi czci cień grobowy,
Bo tak ją naród ukochał cały,
Jak swój najdroższy wieniec cierniowy,
Miłością czystą, jak zdrój ze skały.

Co żyje w Bogu, to nie umiera,
A ma jak Chrystus wstać w majestacie,
W dniu wielkiéj nocy grób się otwiera,
Lecz zmarli w innéj budzą się szacie.

Bo zważcie bracia, minął wiek stary,
Gdy miecz Joanny, miecz czystéj chwały,
Kiedy Jadwigi kielich ofiary,
Odkupił naród i podniósł cały.....

A więc kraj niechaj będzie kościołem,
I lud kapłanem świętych ołtarzy,
W wieżę co nieba dosięgnie czołem,
Żaden grom strzelić się nie odważy.

Władysław Chomętowski.

WSPOMNIENIA RODZINNE.[1])

I.

Wola Libertowska.— Portrety familijne.— Ciotka moja Matylda z Gostkowskich Wesslowa —Mąż jéj starosta Libertowski. — August III. i Minister jego Brühl. — Co to jest sztuka dworowania.—Król-Dzierżawca.— Brühl mam ja pieniądze?... — Marnotrawstwo jest czasami najskuteczniejszym sposobem uniknienia głodowej śmierci. — Nabożeństwo nabożeństwem, a interes interesem.—Harpagon i jego szkatułka.—Lukullus w porównaniu najskromniejszy z ludzi. — Archiwa klasztorne i rodzinne. — Pogadanki domowe.—Marja Józefa z Wesslów Sobieska, królewicowa Polska.—Jéj synowica matka Tekla (Marja Klementyna) zakonnica u panien Sakramentek w Warszawie.

Jedna z czterech siostr mojego ojca Matylda, weszła w związki małżeńskie w pierwszych bieżącego stólecia latach, z Karolem Wesslem starostą libertowskim. Był on jedynym synem Teodora Wessla, słynnego ulubieńca i przyjaciela od serca króla Polskiego Augusta III. Teodor hrabia Wessel jenerał-adjutant Jego królewskiéj mości, wielki podskarbi koronny, wojewoda Łęczycki, naczelnik partji saskiéj w czasie bezkrólewia, był rodzonym synowcem Marji z Wesslów Sobieskiéj, małżonki królewica Polskiego Konstantego, najmłodszego syna Jana III i Marji Kazimiéry. Wuj mój Karol hrabia Wessel, w czasie ożenienia

[1]) Pierwsza część tych wspomnień była drukowaną przed kilkoma laty p. t. *Pamiętników* w Bibliotece Warszawskiéj.

z ciotką moją Matyldą, mieszkał o mil trzy od Kromołowa, w dobrach swego starostwa Woli Libertowskiéj. O nim, jako o człowieku będącym z charakteru i nawyknień najwydatniejszym objawem swojego czasu, poniżéj nieco obszerniéj się rozpiszę, obecnie zaś dla nadania pewnéj systematyczności opowiadaniu mojemu, muszę sięgnąć w głąb czasów, i otworzyć rodzinną księgę wspomnień, oraz ustnych podań mogących być w rozwinięciu wypadków najpewniejszą dla mnie wskazówką.

Gdy w pierwszéj młodości mojéj bywałam w Woli Libertowskiéj, umysł mój wielce zajmowały okrywające wszystkie ściany komnat, stare portrety i wizerunki familijne, których postacie, ubiory i oblicza bynajmniéj nieprzypominały owych kontuszowych z wygoloną głową i zawiesistym wąsem, szczero polskich typów zdobiących po większéj części znane mi portrety familijne. Wizerunki większéj i mniejszéj objętości będące na ścianach komnat w Woli Libertowskiéj, przypominały nieznane naszéj powszechności, sztywne, wymuszone, wymuskane postacie dworu Ludwika XIV w pudrze, perukach, harcapach, w obcisłych haftowanych ze stojącemi kołnierzami jedwabnych, lub aksamitnych granatowych frakach, w żabotach z koronki brabanckiéj, długich jedwabnych pełą wyszywanych tak zwanych westach, nader krótkiéj i wąskiéj wzdłuż zawieszonéj szpadzie i trójgraniastym kapeluszu, (chapeau-claque). Niektóre z tych postaci były widocznie wyróżowane i wyblanszowane, ich peruki wijące się w nieprzeliczone pierścienie majestatycznie spadały na ramiona i obejmowały całą głowę i szyję, a rysy nosiły widocznie cechę obcego niesławiańskiego pochodzenia. Jedyny szczegół objawiający pewien z miejscowością stosunek, był order Orła Białego którego błękitna wstęga z lewego ramienia spadająca i Orzeł Biały błyszczący u szyi na złotym łańcuchu zawieszony, zwiastowały polskich dostojników. Były to wizerunki wszystkich książąt rodziny elektorskiéj saskiéj zasiadającéj kiedyś na tronie polskim, w liczbie tych jaśniała całkowita, dorodna postać Augusta III, oraz portret mniejszych rozmiarów słynnego jego ministra Brühla. Te dwa wizerunki i trzeci inny, całe postacie przedstawiające, były najcelniejsze i najwydatniejsze tego zbioru pamiątki. Portret króla wyrażał dorodnego mężczyznę, prześlicznych rysów twarzy, wysokiéj wspaniałéj postawy, ale bez żadnego wyrazu, wyższy umysł i duch cechującego. Odgadniesz w nim niemal człowieka, którego zwykłém zajęciem jest piecza o własném podniebieniu i rozrywkach, którego ubiór dworski świetnie odbijający się od ciemnego tła obrazu jest jedynie okolicznościowym i pożyczanym, mającym się rychło zamienić na myśliwską hulankę. Niebyło tu ani śladu owego zamiłowania sztuki, o którém tyle mówią, tak dzieje, jak pozostałe po tym królu w Dreznie pamiątki; przeciwnie widok tych bezmyślnych rysów nasuwał przekonanie, że sztuka była raczéj w etykiecie dworu saskiego, jak w osobistych króla tego upodobaniach i w rzeczy saméj otoczył się dziełami sztuki, które ojciec jego skrzętnie zebrał, wydawał ogromne summy na zbytek, którego nie lubił, na obrazy, nie będąc ich znawcą. Jego intelligencja tak była leniwa i ograniczona, że nigdy się nie mógł nauczyć języka swoich poddanych, wyłączną jego namiętnością i zajęciem było polowanie, wśród którego zdawało mu się, że rządzi swemi dwoma państwami, ale władza rzeczywiście była w ręku faworyta, który tak był zręczny, że zdołał wmówić w króla, przywilejów swoich zazdrosnego, że sam wyłącznie najwyższą piastuje władzę. August III jedynie dumę i wspaniałość po ojcu odziedziczył, ale daleko mu było do zdolności i talentów, które tamten posiadał. Zarówno jak ojciec dobrodziejstwy przemógł swych nieprzyjaciół; był on wszakże królem polskim tylko z nazwiska, bez sympatji dla narodu, którym władał, przemieszkiwał wśród niego tylko jedynie w owych chwilach, gdy obcy napastnik dziedziczne jego kraje zdobywał, [1]) niby dzierżawca, który niespodziewając się spuścizny przelać na swe dzieci, wysysał z niego wszystkie soki żywotne, nietroszcząc się co z nim daléj będzie. Inny wprost przeciwny widok przedstawiała postać faworyta królewskiego Brühla; wiadomy jest powszechnie charak-

([1]) Było to w czasie wojny siedmioletniéj, gdy Prusacy zdobywali kraje Elektora Saskiego trzymającego wówczas przeciw nim z Cesarzem i Rzeszą niemiecką.

ter jego, streszczający w sobie najróżnorodniejsze wady i przymioty jakie się w człowieku znaleźć mogą. Wyuzdana pycha i chęć wzniesienia się, zmyślana pokora form i obejścia, duma i podłość, niegodne marnotrawstwo publicznego grosza i chciwość szukająca zysku w nikczemném frymarczeniu urzędów i starostw gorszące obyczaje w potwornem połączeniu z jakimeś szczególnego rodzaju nabożeństwem i bigoterją, tak nam malują dzieje tego wszechwładnego za rządów Augusta IIIgo w Rzeczypospolitéj, ministra. I tak w pośród chciwych, drapieżnych i machiawelskich kombinacji zamykał się co rano w swoim sypialnym pokoju. Tu przed stołem okolonym świecami w kształcie katafalku, modlił się po całych godzinach klęcząc i bijąc się w piersi. W téj postawie nachodzili go słudzy, domownicy, a nie rzadko wielcy dygnitarze koronni i obcych dworów ambasadorowie. W takich razach Brühl zwykł był mawiać: niedziw że gdy dzień cały poświęcam ziemskiemu Panu, chwil kilka oddaję Panu Ziemi i Nieba, a to wyrzekłszy spokojnie przechodził z przybywającemi do swojego gabinetu, gdzie układał najniegodniejsze plany, intrygi, podpisywał dekreta ucisku ludu, lub sprzedaż jakiegoś urzędu. Niepodobna udawać co dzień i to lat wiele, musiała się znaleść w sercu tego chciwością i marnotrawstwem znikczemniałego człowieka, kryjówka gdzie tlała miłość Boga, ale jakże ta miłość mało wpłynęła na bieg życia téj niecnéj duszy?..

Brühl zawołany myśliwy bo w myślistwie widział najpewniejszy sposób do zdobycia łask pana, doskonały do pohulanki, zręczny do wszelkich igrzysk, został pierwszym władcą kraju stopniowo i jedynie przez schlebianie pańskim fantazjom. Powierza on prace gabinetowe w inne ręce, aby tym sposobem stał się nieodstępnym prawie osoby króla; towarzyszy mu na polowanie, otacza podłemi pochlebstwy, ogania twarz jego z much gdy śpi, podaje laskę i kapelusz, gdy wyjeżdża na spacer, wsadza do powozu i t. p. oddaje uwłaczające osobie dygnitarza państwa usługi. Zawołany ten dworak dnie całe trawi w milczeniu, siedząc obok bezczynnością trawionego króla, który ciszę przerywał jedynie przez te słowa: „Brühl, mam ja pieniądze?" tak jest najjaśniejszy panie, było codziennie niemal powtarzaną odpowiedzią faworyta. Żeby te wyrazy czynem poprzeć musiał się dopuszczać niecnych występków o których wyżéj mowa była, w stosunkach między-narodowych. Brühl miał politykę skrytą, kłamliwą, krzywą, i pokątną; pełzający przed swoim panem, słodki, uprzejmy, wytworny w towarzystwie, zdradziecki w prywatnych interesach, słaby i niedbały jako ojciec rodziny, wszędzie i zawsze był najnikczemniejszym z ludzi. Jego próżność, i wyuzdany zbytek przechodzą wszelką rzeczywistość, ów Lukullus, który pożyczył kiedyś antreprenerowi teatru 5.000 szal zdawałby się nędzarzem obok faworyta Augusta III. Jakież pióro zdoła godnie opisać uczty, na których pana swojego w swych zamkach i pałacach przyjmował?.. Gdyby nie mój zbytek mawiał, niestałoby mi na kawałek chleba, czyniąc przez te słowa alluzją do wymagań króla, sowicie zbytek jego opłacającego.

Otóż te wszystkie znamiona duszy, charakteru i nawyknień Brühla, najwydatniéj się wyrażały w jego portrecie, na jednéj z ścian jadalnego pokoju w Woli Libertowskiéj umieszczonego. Oczy jego chytrością połyskujące, przypominały molieroskiego skąpca rzucającego łakomym wzrokiem na przyniesioną mu historyczną szkatułkę, a igrający dyplomatyczny pół uśmiech, na ściśniętych ministra ustach, dostatecznie wskazywał jego usłużność w drażliwéj kwestji rozdawnictwa łask królewskich.

Wiele razy i to już w późniejszym wieku oglądałam te dwie postacie niedbałego króla i nikczemnego faworyta, zawsze ich widok sprawiał na mnie jednakowe wrażenie obrzydzenia, wstrętu i żalu.

Na przeciwległéj ścianie tejże saméj komnaty, był portret przedstawiający w całéj postaci kobietę w długiéj szkarłatnéj sukni z tarczą na lewéj ręce i hełmem na głowie, w stroju jak nam zwykle malują Minerwę. Jéj energiczna postawa, rysy pełne słodyczy i wdzięku, wyraz oczu malujący zarazem łagodność i dowcip, życie i myśl, ubiór fantastyczny, jaskrawy mocno mnie do niéj przyciągały i nigdy nie zaniedbywałam rozpytywać się osób starszych, o

szczegóły życia kobiety, którą ta postać przedstawiała. Był to portret Marji z Wesslów Sobieskiéj królewicowéj polskiéj [1]).

Za każdą bytnością moją w Woli Libertowskiéj mocno mnie postać królewicowéj zajmowała już to ze względu obrazu jéj wielkich rozmiarów, nastręczającego się oczom moim, już téż dla jéj nazwiska skupiającego w sobie świetne epizody, jednego z najpoetyczniejszych dziejów naszych okresu. Nigdy nie zaniedbałam wszelkich o życiu Marji i jéj małżeństwie, dopytywać się szczegółów, w czém mi wielce dogadzali dostarczając mi ich obficie, tak ciotka moja Wesslowa, jak mąż jéj starosta Libertowski, wnuk po rodzonym bracie, oraz matka Tekla, zakonnica u Panien Sakramentek w Warszawie, rodzona jéj synowica, przez nią wychowana, mająca już lat 15 wieku w chwili skonu Marji, a zatém najdokładniejsze o niéj mogąca podać szczegóły.

W następujących rozdziałach podzielimy się z czytelnikiem, temi nabytkami w czystém źródle podań rodzinnych czerpanemi; nie mniéj w archiwach klasztorów, już to fundowanych przez królewicową, już przez nią w ostatnich życia latach zamieszkałych, już téż w archiwum rodziny Wesslów, które mamy przed sobą, pomocy szukać będziemy.



Wizerunek Marji-Józefy z Wesslów Królewicowej Konstantowej Sobieskiej
Według płaskorzeźby będącej na jej pomniku grobowym, w kościele PP. Sakramentek w Warszawie, (rysował F. Tegazzo.)

[1]) Nierozumiem dla czego wszystkie niemal wizerunki przedstawiające Marję Sobieską, wyobrażały ją już to jak wyżéj w stroju Minerwy, już téż w sukni dworskiéj, kiedy jak wiadomo, pani ta jeszcze roku 1730 w kościele Ojców Reformatów we Lwowie, przyjęła habit trzeciego zakonu ś. Franciszka i tego już prawie do śmierci nie zdejmowała.

II.

Zamek Pilecki.—Wspomnienie Jeremijasza Wiśniowieckiego. — Wizerunek Marji Sobieskiéj. — Wdowi czepek zamieniony na klasztorny welon. — Synowcowie królewicowéj. — Pamiątki po królu bohaterze.— Dlaczego korona uchodzi z rodu Sobieskich? — Drobiazgowa chciwość i niezgoda są wszystkiego przyczyną.— Narada familijna. —Posłannik Brühla. — Jaki pan taki kram. — Kwestja sprzedaży dóbr królewicowéj.— Opozycja domowa.—Ojciec Gwadalbert spowiednik, kwestję sprzedaży rozstrzyga. Wdanie się w nią obojga królestwa. — Ambicja i chęć wywyższenia się synowców królewicowéj. — Uczucie religijne przemogło rodową dumę.—Wszechwładny minister pokonany przez ubogiego zakonnika.

Na jednéj z skalistych gór stérczących w pośród szerokiéj doliny, wznosi się wspaniały zamek Pilicki, starożytna Zbarawskich i Warszyckich siedziba. U stóp jego rozłożone miasto Pilica z swemi kościołami i wieżyczkami, z których kościół Farny w starożytności swojéj, gubi nazwisko założyciela. Jedynie z aktów kościelnych dowiedzieć się można, że probostwo w tém miejscu, erygowane roku 1432 we 20 lat późniéj do godności prelatury wyniesione zostało, że Filip Padniewski, biskup krakowski wzniósł tu kaplicę w roku 1601, że nieco późniéj bo w lat 11, kościół ten został kollegiatą i fundusz na wikarjuszów naznaczony. W r. 1630 Jerzy Zbarawski dziedzic Pilicy wystawił tu inny kościół poświęcony swemu patronowi, a przy nim fundusz na szpital na 12 starców naznaczył. Po Zbarawskich przeszła Pilica do rodziny książąt Wiśniowieckich. Ów dzielny Jeremijasz Wiśniowiecki, obrońca Polski przeciw tatarom i kozakom, ojciec króla Michała, jako resztki ogromnego majątku na obronę kraju poświęconego, oddał Pilicę w posagu córce swojéj Annie Warszyckiéj; takim sposobem zamek i miasto, przeszło w posiadanie Warszyckich. Ostatnim z rodu tego dziedzicem, był Stanisław Warszycki miecznik koronny, kasztelan krakowski który w r. 1732 sprzedał je na własność Marji Sobieskiéj.

Owóż w pierwszych miesiącach roku 1753 w zamku Pilickim w jednej z jego obszernych frontowych komnat, z których widok rozchodził się na całą okolicę i leżące u stóp góry miasto, siedziała, mówi podanie familijne, w wysokiém na kółkach krześle niewiasta, tak około 68 lat mieć mogąca. Twarz jéj ściągła, blada, nosiła na sobie cechy cierpień duszy, zmarszczki zaś któremi skronie były poorane, nie zdawały się być wynikiem starości, ale raczéj trosk życia. Oczy błękitne z wyrazem pełnym łagodności i dobroci objawiały przecież charakter energiczny, silny i niepospolitą woli potęgę, a usta nieco ściśnięte, głowa do góry podniesiona, wejrzenie pewne i stanowcze, zwiastowały, poskramianą wiarą, ale nie zupełnie uleczoną rodową dumę i chęć wywyższenia siebie i swoich. Ubiór na pół zakonny świadczył o pobożnych téj niewiasty nawyknieniach; stanowiła go długa suknia koloru bronzowego białym sznurkiem Św. Franciszka opasana, a jedyną jego ozdobą, był długi różaniec w piękne duże granaty nawleczony. Był to ostatni dar, małżonce najmłodszego syna swojego Konstantego, Marji Józefie z Wesslów, przez nader łaskawego dla niéj króla ofiarowany. Długa zasłona z czarnéj krepy uzupełniała, to pełne poważnéj duchowości ubranie. Marja trzymała w ręku książkę do nabożeństwa, w czarny oprawną safjan modliła się do wizerunku Pana Jezusa stojącego na małym, o białéj marmurowéj klapce, stoliku. Komnata w któréj królewicowa siedziała, ozdobiona była w stylu poważnym Ludwika XIV. Najważniejszą jéj ozdobę stanowiły dwa wizerunki przedstawiające króla Jana III Sobieskiego w ubraniu jakie nosił w czasie pamiętnéj walki, roztrzygającéj losy Chrześcijaństwa, to jest w pancerzu i hełmie, oraz królewica Konstantego w mundurze jenerała-majora (maréchal de camp.) wojsk francuzkich.

Oprócz tych wizerunków, ściany szarą jedwabną obite materją, ozdobione były wielu po tym królu pamiątkami, odnoszącemi się głównie do słynnego pod Wiedniem zwycięztwa. Były tam chorągwie, buńczuki, proporce, bogato w złoto i kamienie oprawna broń, kulbaki, czapraki, pół księżyce, zawoje i skrzywione szable, były tam i wizerunki świętych, relikwiarze, obrazy wyrażające sceny z pisma świętego, to znów puchary, roztruchany, połączone herby Sobieskich i Wesslów, jako to złota tarcza i jelenie rogi na czerwonem tle nader misternie wyrobione, słowem komnata ta mieściła w sobie szczególne zbiegowisko sprzecznych wyobrażeń, to jest rodowéj dumy i pokory ewangielicznéj, chrześcijań-

skich świętości i wojackich pamiątek. Dwa weneckie okna o drobnych szybach, żelazną opatrzone kratą, udzielały cokolwiek dziennego światła temu przybytkowi rodzinnych pamiątek. Stół kobiercem przykryty, papierami i księgami zarzucony stał w środku, po bokach były ławy i gdzie nie gdzie, porozstawiane krzesła machoniowe, złotym francuzkim, brokardem obite. Dwóch mężczyzn od 20 kilku, do 40 lat wieku, [1]) mieć mogących w postawie zamyślonéj, jakby zafrasowanéj, wolnym przechadzali się krokiem wzdłuż komnaty. Starszy z nich wysoki i barczysty, ubrany był po cywilnemu w długi czarny aksamitny frak na jeden z przodu guzik zapięty. Młodszy miał na sobie mundur jenerała-adjutanta królewskiego; frak ponsowy i złote szlify, oraz gwiazda orderu Orła Białego, złotem wyszyta, błyszczała mu na piersiach. Z rysów twarzy tych trzech osób wyczytać można było, że ważną jakąś rozbierali kwestję i że zbliżała się stanowcza chwila ostatecznego onéj roztrzygnienia. Po długiém milczeniu, kasztelanic Zakroczymski starszy z dwóch mężczyzn przystanąwszy przed krzesłem Marji Sobieskiéj — i cóż wasza królewska mość, rzekł do niéj, pretendujesz zrobić?.. Zostaw nas waszmość w pokoju, odpowiedziała księżna; jeżeli to co od nas wymagają, ma być dobre w skutkach, dość jeszcze będzie czasu koncessją podpisać, jeżeli zaś ma być złe, to lepiéj że się nigdy nie stanie. Ci ludzie chcą nas pozbawić tego tam kawałka ziemi, znojną pracą przodków naszych nabytego, nie dosyć mają korony, którą nieboszczyk król krwią swoją na niewiernych tak drogo okupił!.. Mościa księżno podchwycił rumieniąc się młodszy mężczyzna, nie potrzeba winować, ani najjaśniejszego króla, dziś nam łaskawie panującego, ani narodu, ale raczéj chciwość i niesforność członków rodziny wielkiego króla. jeżeli korona z domu Sobieskich uszła, chciwość to, drobiazgowa, pieniężna, wyuzdana próżność i duch awanturniczy Marji Kazimiery wszystkiego złego są przyczyną. Kobieta ta, zła żona, najgorsza matka, i najniższego rzędu intrygantka, nie umiała się nawet wznieść do charakteru i stanowiska królowych intrygantek kraju swojego, które jak naprzykład Katarzyna de Medicis, wyuzdaną swą ambicją, kartę dziejów swych zakrwawiły. U Marji Kazimiéry pycha nawet zmalała, skarłowaciała, byłbym wolał krwawe objawy dumy i nienawiści, tak groźno ciążące, nad głowami Hugonotów, jak te nędzne drobiazgowe, knowania, nie koronę, nie fanatyzm, i władzę, ale chciwość łupu mające na celu.

„Panie synowcze, rzecze Marja Józefa, przestań waszmość; zapominasz, że nam mającym nie długo marności tego świata, w przedwczesnym grobie klasztornéj celi zakopać, nie przystało słuchać takiéj mowy. Zagrzęzłeś waszmość w dworskich i dyplomatycznych intrygach, zdaje ci się że jedna tylko jest zbrodnia na świecie, a tą jest chybiony cel, zabiegów, ambicji i marnych tego świata zaszczytów. Nie zgodzimy się już z wami; dwom panom, Bogu i światu służyć nie można, nam tylko klasztorna klauzura jest na celu, nie długo ustąpimy z widowni tego świata, który nigdy dla nas wielkich nie miał ponęt, aby się zamknąć w tym przedwczesnym, jak wielu nazywa grobie, a który przecież dla mnie jest upragnioném schronieniem."

Tu Marja się głęboko zamyśliła; po kilko chwilowém milczeniu, jak gdyby odpowiadając na rzuconą poprzednio myśl synowca, „a tak, rzecze, niezgoda to wysunęła koronę z rodu Sobieskich. Jakób kłócił się z matką o ojcowskie skarby, matka siedząc w Żółkwi przeciw wyborowi własnego syna instygowała. Podniósł Pan swą prawicę na niesforną rodzinę, rozproszyła się jak kiedyś lud Boży po obcych ziemiach. Ja jedna z noszących bohatéra nazwisko, ja odepchnięta, wzgardzona, bom nie królewskiego rodu, błąkam się jeszcze po ojczystéj ziemi, ale i tę mi wydrzeć usiłują."

Uspokój się wasza królewiczowska mość rzekł kasztelanic Zakroczymski, starszy, z obecnych synowców królewicowéj, wszak wam tu nikt gwałtu nie czyni, ani król jegomość, ani jego zaufany minister imci pan Brühl. Wasza królewicowska mość zrobisz jak zechcesz, trzeba wszelako przyjąć pana kommisarza ministra, o co wielce waszmość miłościwą panią obliguję, zwłaszcza że o ile mi wiadomo sama wasza królewi-

[1]) Teodor Wessel urodzony w r. 1725 z Wojciecha kasztelana warszawskiego, i Załuskiéj i drugi Wessel, kasztelanic zakroczymski.

cowska mość, propozycją tę ministrowi uczynić miałaś.”

„My?... jako żywo! nigdyśmy ministrowi wprost tego kupna nie proponowali. Wszak ci on to, kiedy tu był w zeszłym roku na jesieni, gdyśmy go prosili o rekomendacją dla waszmości panie Teodorze, rzekła obracając się królewicowa do młodszego synowca— o rekomendacją do króla jegomości, aby swe fawory na was zwrócić raczył, zapytał się nas zwracając do czego innego rozmowę, czy nie jesteśmy w intencyi sprzedania naszych majętności?... Odrzekliśmy mu że wzdychamy do spokojności, a mianowicie do osiedlenia się gdzie przy klasztorze, gdziebyśmy się już bez przeszkody oddać mogli sprawom Bożym i pieczy około naszego zbawienia, że być może, że pomyślimy o sprzedaży wolniejszym czasem. Na to powiedzenie moje minister summitując się i kłaniając, prosił abyśmy jemu dali w razie sprzedaży pierwszeństwo, myśmy jemu to dość obojętnie przyrzekli i na tym to fundamencie on dziś tego kupna pretenduje.

— Tak nieinaczéj, rzekł kasztelanic Zakroczymski; ów Brühl, jest to wąż któregośmy na łonie naszém odżywili, ciepłem zagrzali, aby potém wyssał wszelką krew z żył naszych, aby się karmił znojem kmiotków i ubogiego ludu naszego... Wszak ci to ten człowiek, nie syt starostw i urzędów koronnych, które co rok gradem prawie na niego spadają, dobra u nas skupuje i nie długo połowy ziemi w Rzeczypospolitéj będzie panem. Król też jegomość ślepo w nim zakochany na wszystko zezwala, bo mu z tem dobrze że jest ktoś kto za niego myśli, pracuje i rządzi, byle mu tylko strzelby i kieliszka z rąk nie wytrącił.

— Stój! waszmość panie bracie, przerwał jenerał-adjutant Teodor Wessel, ani słowa więcéj; nie pozwalam lżyć króla w mojéj obecności, Brühla bronić nie myślę ale waszmość szanuj pomazańca Boskiego.

—Z waszeci tęgi dworak jak widzę, pochwycił kasztelanic, jam przecie starszy brat.

—Szanuję waszmość pana kasztelanica, ale mam wdzięczność dla Augusta III, obowiązek nie tylko wiernego poddanego, ale śmiem powiedzieć przyjaciela.

— Nie unoś się tak waszmość i znaj respekt dla obecnéj tu najjaśniejszéj królewicowéj. Powiedziałem też zdanie moje o Brühlu, bom go nigdy jeszcze w bawełnę nie obwijał. Nie dopiéro człowiek ten czychając jak na swą zdobycz, na majątki jej królewicowskiéj mości, wszystkich używa sposobów aby ją do sprzedaży znaglić. I teraz ot korzysta z wielkiego afektu i wysokiéj estymy najjaśniejszej królewicowéj, dla księcia biskupa krakowskiego i Imci księdza Belawity. Aby skłonić tych prałatów do namowy tejże miłościwéj pani, do przychylenia się jego życzeniom, nie szczędzi im umizgów, schlebiań i obietnic. Co bądź się stanie, ciągnął daléj kasztelanic, obracając mowę do królewicowéj, ja pokorną suplikę do waszéj królewicowskiéj mości zanoszę abyś kommisarza Brühla przyjąć raczyła, Brühl jest człowiek zły i mściwy a niebezpieczny, bo ma władzę w ręku.

Niech że i tak będzie kiedy waszmość tak mówisz, każ mu wejść —ale długiéj audiencji dać nie mogę, bo jestem słaba... Na te słowa Marji Józefy, jenerał Teodor Wessel zadzwonił i wchodzącemu rękodajnemu, rozkazał aby wezwał do jéj królewicowskiéj mości, czekającego na posłuchanie pana kommisarza ministra. Nie wyszło dwóch minut, wszedł do komnaty pan kommisarz ubrany po polsku, z wyrazem przebiegłości w oczach, uśmiechem chcącym być szczerym na ustach z udaną pokorą z ciekawém wejrzeniem i poczynając od drzwi trzy głębokie oddawszy pokłony, wyjął z za kontusza obwiniony w papier, zapieczętowany kilkoma pieczęciami list swojego pryncypała, który położył na rękawie z wyż lewéj ręki i z uszanowaniem królewicowéj podał, poczem cofnął się ku drzwiom. Marja Józefa skłoniwszy głowę, wzięła list i oddała kasztelanicowi Zakroczymskiemu, który go na głos przeczytał. Po skończoném czytaniu i kilkochwilowém milczeniu, wszystkich osób należących do téj sceny; Choć tu sam waszmość, rzekła królewicowa do kommisarza— bo upadli jesteśmy na zdrowiu i głośno mówić nie możemy. Dziwi nas tak wielka pana ministra reklamacja o zbycie majątku, który nam jest miły ... Tu kommisarz kłaniając się do ziemi pokornie przełożył, że pan minister mając zamiar

niebawem wyjechać do Saksonji, radby co prędzéj ten interes ukończyć. — A toć przerwała żywo królewicowa, pan minister wie z naszego listu pisanego do księdza Belawity, że my wcale tego interesu teraz kończyć nie chcemy... Tu królewicowa spotkała błagające spojrzenie jenerała; poczém odnowiło się znów dość przykre dla wszystkich milczenie. Zresztą, rzekła jakby namyśliwszy się Marja Józefa, zdajemy się na explikacje waszmości i do kontraktu przystąpić deklarujemy, zostawując waszmości do napisania punktów przedugodnych kilka godzin czasu... To mówiąc księżna powstała z krzesła, a podawszy rękę kasztelanicowi Zakroczymskiemu, przeszła do swoich sypialnych komnat. Gdy pozostali sami kommisarz z jenerałem Wesslem i kasztelanicem Zakroczymskim, który wkrótce wbiegł nazad do komnaty plenipotent Brühla począł obu synowcom przekładać korzyści z tej sprzedaży, dowodząc, że po zejściu królewicowej Jéjmości łatwiej im jako sukcessorom dostojnej ciotki będzie się dzielić kapitałem, niż dobrami, różne tu jeszcze dodając perswazje i uwagi. Po długiej rozmowie, która na obu synowcach królewicowej pewne uczyniła wrażenie, zwłaszcza, że do perspektywy faworów królewskich do których oba cichaczem wzdychali, pan kommisarz umiał nader zręcznie interesowną ich żyłkę poruszyć, ci trzéj panowie rozeszli się. Pan kommisarz pamiętny słów królewicowéj, dających mu nadzieję z jéj strony przystąpienia do kontraktu, wziął się czémprędzéj do objeżdżania dóbr i spisania inwentarzy. W mgnieniu oka rozeszła się wśród dworzan, oficjalistów, mieszczan i chłopów wieść, że księżna ostatecznie dobra Pilicę sprzedała. Smutek i zamieszanie były powszechne, gdyż księżna prawdziwie od swych podwładnych kochaną była. Wiadomość ta wstrząsnęła nie tylko zamkiem, ale leżącém u jego stóp miasteczkiem, przyległemi mu wioskami, i boleśnie zatętniała o wnętrze murów Pilickiego klasztoru, którego jak wiemy królewicowa była fundatorką. Tegoż dnia wieczorem ojciec Gwadalbert prowincjał przyszedł w towarzystwie braciszka do zamku, a przystąpiwszy pokornie, w korytarzach zażądał posłuchania. Wpuszczony natychmiast do komnat I-go piętra, gdyż bywał tam częstym i pożądanym gościem jako spowiednik i poufny przyjaciel domu, zastał Marję w téj saméj komnacie, w której widzieliśmy ją rozmawiającą z synowcami i udzielającą posłuchania kommisarzowi Brühla.

— Cóż to ja się dowiaduję, rzekł ojciec Gwadalbert, usiadłszy na krześle obok swéj penitentki, pani nasza miłościwa chce nas pozbyć z kretesem i to niegodziwemu heretykowi? w cóż się obróci nasz klasztor Pilicki, żyjący z darów jéj szczodrobliwości, w co się obrócą dziatki jéj w Chrystusie, kmiotkowie i ubodzy jéj dóbr, którym jest matką i orędowniczką? Zapomniałaś wasza królewicowska mość, a wielce miłościwa pani, o ciężkiéj odpowiedzialności któraby za ten czyn, na tobie ciężyła. Czyż to dla marnych ludzkich hołdów, ten oto pokorny nad pokornemi Bóg maluczkich i pastuszków, tak cudownie cię wzniósł nad innych w hierarchji światowych dostojeństw, abyś jedynie o sobie i własnym pamiętała spokoju?... niebaczysz miłościwa księżno, że się nazywasz Sobieską i że krew krzyżowców i obrońców wiary, w żyłach twoich płynie [1]).

Wchodzisz w umowy i kompromisa z lutrem, wrogiem twojego kościoła i ojczyzny; co więcéj sprzedajesz mu kawał téj szczero-katolickiéj ziemi, krew i prace swych kmiotków!.. Mój wysoki afekt i szczera rekognicja dla waszéj królewicowskiéj mości pani mojéj miłościwéj, mój respekt dla wysokiego jéj dostojeństwa i charakteru, nakazują niegodnemu jéj słudze, złożyć u jéj stóp pokorną suplikę, aby téj grzesznéj ramoty zaniechała.

— Wchodzimy odrzecze Marja w słuszność powodów, przez waszą wielebność przytoczonych, ale cóż mamy robić, my niefortunni, nagabani ze wszech stron od nieprzyjaciół naszych, których życzliwi nam nawet, naprzeciw nas nasyłają [2]).

Oto jest list księcia biskupa krakowskiego, który nas powagą swoją, do uczynienia zadosyć propozycjom Brühla nakłania; coś

[1]) Matka Marji była córką słynnego w dziejach oblężenia Wiednia przez Turków komendanta téj stolicy Staremberga, potomka słynnych w czasie 3-éj krucjaty krzyżowców.

[2]) Załuski zasiadał wówczas na stolicy biskupów krakowskich, był on z Marją Józefą ścisłemi powinowactwa i przyjaźni połączony związkami. (*p. a*)

wasza wielebność w téj chwili przytoczył, my sami w sobie to rozważali, zgłębiali a w rezultacie uznali, że dla interesu ukochanego synowca naszego jenerała-adjutanta królewskiego, jak i dla naszej własnéj spokojności, wypada nam tę ofiarę uczynić. Jesteśmy upadli na siłach, podeszli w wieku, nam trzeba spokoju, którego zdala od kłopotów, interesów świata i li w obrębie klasztornych murów szukać zamierzamy. Wyznam jednak szczerze waszéj wielebności, że wszystko na bok odtrąciwszy, bojaźń zemsty ministra, najbardziéj mi na sercu ciąży. Czuję się w obowiązku podnieść w dostojeństwie dom mój coraz bardziéj na splendorze i majątku upadający. Pragnę aby mój synowiec pan jenerał pozostał na zawsze w Saksonji pod opieką jéj książąt, gdyż tu w królestwie elekcyjném w przypadku śmierci króla, nié ma dla niego widoków.

Ojciec Gwadalbert cierpliwie wysłuchał długiéj przemowy królewicowéj, wyrazista wszakże twarz jego zdradzała smutek i nieukontentowanie, zwłaszcza gdy księżna objawiła mu swe zamiary, co do kwestji zabezpieczenia losu synowca swego. Po chwili milczenia—to co wasza królewicowska mość, rzecze surowo spowiednik, miłościwie raczyłaś mi objawić, gorzką przeszywa mnie boleścią, bo widzę oczywiście, że światowe rzeczy więcéj cię zajmują, niż piecza o własném zbawieniu. A więc dla mamony, która w lat kilka lub kilkanaście, jak to nędzne ciało w proch i zgniliznę się obróci poświęcasz wasza królewicowska mość wiarę i ziemię w swém łonie popioły przodków twoich noszącą; o! jakże silne być muszą pęta przykuwające cię jeszcze, do tego padołu łez i śmierci, kiedy tyloletnia moja praca nad twém zbawieniem, nędznym interesem ziemi jest zniweczona!...

— Przebaczenia, przebaczenia, zawołała nagle przejrzawszy Marja, wznosząc ze skruchą ręce do nieba, powiedzcie nam wielebny mój ojcze, co mamy uczynić?..

— Roztropność nakazuje dysymulować, to jest nie zrywać ostatecznie, a skoroś wasza królewicowska mość, do kontraktu przystąpić deklarowała, oświadcz kommisarzowi, że dopiéro na wiosnę rzecz ukończysz, przez co zyskasz zwłokę. Tymczasem napisz do królowéj, która tak wysoką dla waszéj królewicowskiéj mości ma estymę, ażeby was w tak ciężkiéj opresji ratowała, i ministra od téj pretensji odciągnęła. Gdy ojciec Gwadalbert słów tych domawiał nadzwyczajny ruch, zmieszane głosy jakby płacz i narzekania dały się słyszeć w sąsiednich komnatach. Drzwi się otwierają nagle, wchodzi rękodajny z doniesieniem, że cała gromada włościan z sołtysem na czele, oraz marszałek i domownicy pragną mieć szczęście oglądać oblicze jéj królewicowskiéj mości i pomówić z nią w interesie własnym. Było to żądanie, które w zamku Pilickim zawsze uwzględnione bywało. Marja wzruszona rozmową z prowincjałem ze drżeniem wsparła się na ramieniu rękodajnego i przeszła do zewnętrznych komnat. Tu to odbyła się scena nie do opisania, między domownikami, deputacją włościan i Pilickiego mieszczaństwa, a ubóstwianą ich panią i dziedziczką.

— Nie opuszczaj dzieci twych, miłościwa pani, wyjąknęli wszyscy chórem, płacząc i szlochając, kto nas będzie ratował, wspierał, leczył, od biedy, choroby, głodu, śmierci zasłaniał, wołali jedni; kto będzie uczył pacierza dzieci nasze, wołali drudzy; nie opuszczaj nas miłościwa pani, powtarzali kilkakrotnie. Królewicowa zalawszy się łzami, ani jednego słowa z wielkiego wzruszenia nie była w stanie wymówić; nie mogąc się oprzeć usilnemu żądaniu swych ludzi, których serdecznym kochała afektem w przerywanych łkaniem słowach przyrzekła, że ich nigdy nie opuści i do sypialnych wróciła pokoi. Pod silném wrażeniem téj sceny, dała rozkaz nie wpuszczania dnia tego synowców do siebie, a przyzwawszy kommisarza ministra, oświadczyła mu swój zamiar odłożenia interesu do wiosny i list do królowéj na prędce skreślony wręczyła.

List ten spodziewany przyniósł skutek. Brühl mimo najgorętszych życzeń stania się właścicielem zyskownych dóbr Pilicy, musiał odstąpić zamiaru swojego w skutek wdania się w tę sprawę obojga królestwa i bądź, że się nie chciał narazić królowéj

węzłem szczeréj przyjaźni z Marją Sobieską połączonéj, bądź z wrodzonéj sobie lekkomyślności o swych planach zapomniał, a mieszkanie do Warszawy, gdzie przy klasztorze panien Sakramentek osiadła i w roku 1761 Bogu ducha oddała, czego szczegółowy opis jak i głównych wypadków jéj życia, w następujących damy rozdziałach.



Nie opuszczaj dzieci twych miłościwa pani...

względy swoje rodzinie królewicowéj, głównie zaś Teodorowi Wesslowi zachował. W lat trzy późniéj Marja przeniosła się na

(*d. c. n.*)

PIERWSZY RANEK W NEAPOLU

NAPISAŁ

JÓZEF KREMER.

Wybrzeże Sta Lucia ulica Toledo—muzeum Burbońskie—katakomby—pałac Capo di Monte i Posilippo [1]).

. . . .

Otóż wczoraj mimo znużenia mojego aż w późną noc nie znachodził mnie sen, tak jakoś w sercu i głowie czułem się rozkołysanym. Bo to przecież nie bagatela powiedzieć sobie: „jestem w Neapolu, sąsiaduję poufale z Wezuwiuszem, otóż mieszkam sobie o ścianę z Pompeją, więc ze starym rzymskim światem, otóż żyję wśród tak oryginalnego neapolitańskiego ludu, oddychając w téj krainie zwanéj słusznie kawałem nieba na ziemię spuszczonym. Ani tedy myśląc o Morfeuszu, to siadałem do stolika, bazgrząc notatki moje, czy rozmawiając z tobą cny lubo nieznany mi czytelniku — to znów stawałem na balkonie otwartym i wypuszczałem jakby ptaszki, z ciasnéj dusznéj klatki uczucia i myśli po

[1]) Wyjątek z niedrukowanego jeszcze IV tomu podróży do Włoch.

téj morskiéj nieprzejrzanéj przestrzeni, co choć otulona nocą świeciła, mrugała, promienista własnemi światełkami, jak wśród snu biedą znękanemu człekowi, mruga dusza własną poświatą i promieni nadzieją a przeczuciem błogiém. A tuż przedemną ciągnie się daleko w morze owo ciosowe wązkie ramię, a na końcu jego siadł na straży zadumany Castello del'Ovo, rysując ponurą ciemną sylwetę swoją, na tle spokojnych a cichych wód. Niekiedy gdzieś na bardzo dalekiém morzu, przemykają się rybackie łodzie, one widne, bo jak światełka błędne goreją na nich płonące łuczywa,—czasem słychać echo dalekie, to wiosło rzucone w łódź, czasem przylatuje przez fale cichy odgłos pieśni i znów wszystko umilkło. Samo tylko morze nie śpi, a wybija lekkiém uderzeniem sekundy, minuty, o węgły ciosowe Castello del'Ovo.

Jak wszystko na świecie, tak się też skończyły te nocne dumania. Zasnąłem.— Dziś rano przekonałem się, że nic za darmo w tém życiu. Zapłaciło się komarom za romantyczne marzenia i za okno otwarte. Ale komary neapolitańskie są najzaciętsze, najokrutniejsze z pośród całego swojego rodu. Garson wnoszący rano kawę, oświadczył jak najsolenniéj, że wieczorem koniecznie wybrać należy jedno z dwojga — bo albo miéć okno otwarte a nie świecić w pokoju, albo też świecić, zamknąwszy jednak poprzednio okna. Od téj przeto chwili wracając wieczorem do domu, trzymaliśmy się święcie metody neapolitańskiéj, przepisanéj raz na zawsze — garson niosący świece, stawiał je w korytarzu, potém wchodził omackiem do pokoju, tam zawarłszy okno, dopiéro wnosił świéce. Nie zawadzi atoli osłonić się jeszcze niby fortyfikacją namiotkiem gazowym, którym opatrzone są łóżka; takowe namiotki właśnie na cześć tutejszych komarów zowią się *zanzariere*. Mimo jednak tych wszystkich ostrożności, nie zawsze ujdziesz cało, bo w cichéj nocy usłyszysz tuż nad sobą te zawzięte zanzary, co drwiąc z ciebie nucą sobie szatańskie swoje piosenki, jedne huczą basem tak głębokim, że ci aż dziwno zkąd w tych potworkach takie głosy potężne, inne przyśpiewują dyskantem cienkim, piskliwym, a to właśnie najgorsze wrogi, to istne djabliki, najwięcéj zaciekłe na ród ludzki. Jestem najmocniéj przekonany, że to rodzaj zupełnie różny od naszych polskich dobrodusznych komarów. Więc słuchasz jak na mękach onego koncertu, co ci gra i brzęczy tuż nad twarzą; czekasz aż cię który z tych muzykantów nie palnie włoskim swoim sztyletem i czekasz z rezygnacją jak jaki biedny autor przewidujący, że go lada kiedy utnie który z recenzentów, co już tuż około niego burczą i brzęczą. Lecz o tém sza! bo po cóż ludzi drażnić i wyzywać. — Zamiast przeto niebezpiecznego gadulstwa, radniéj wziąść za kapelusz i ruszyć w dal, by oddać pierwsze pokłony przesławnemu *Museo Burbonico*, które tutaj zwykle *Studii Publici*, częściéj jeszcze krótko więc z lenistwa *Studii* zowią. Z mojego planiku miasta, bez wielkich kombinacji zgadłem, że to nie lada podróż mnie czeka, a jednak postanowiłem jak na raz pierwszy pieszo odprawić tę pielgrzymkę, by się *con amore* rozpatrzyć w tym dziwnym neapolitańskim świecie.

Z mojego hotelu jąwszy się na lewo, po kilku minutach pochodu, staję na Sta Lucia. — Sta Lucia, to raj dla neapolitańskiego ludu, ona żyje w nim na jawie, ona odwiedza go we śnie, ona mu się uśmiecha w marzeniach, a brzmi, a tęskni w pieśniach jego. S-ta Lucia jest pobrzeżem (Chiaja), jestto jakoby bardzo długa a wielce szeroka ulica, po lewéj stronie bieży rząd przeciągły domów dość brudnych, okopciałych wcale niepokaźnych, choć rosłych a zamaszystych, po drugiéj zaś stronie rozlega się morze. Wzdłuż morza to jest wzdłuż ciosowéj balustrady obrębującéj morski brzeg, stanęły szeregi nieprzejrzane wrzaskliwych straganów. Każdy stragan osłoniony daszkiem płóciennym, każdy niby skośny pulpitowy, by tém jawniéj mógł nęcić pokusami swojemi. Więc tu rozłożone już otworzone ostrzygi czekające połknienia, więc raczki a raki, więc pająki morskie a ryby smażone, a nadziewane pomidory, więc się święcą one wszystkie przesławne *frutti di mare* i niewiedzieć jakie przysmaki Znajdziesz tu pomarańcze i kukurydze i ciasta, a przedewszystkiém makaron, a z przeciw stojących

domów spieszy na skinienie *vino bianco i nero*. Jakże się tu dziwić, że wszystkim marinarom, fachinom, lazaronim, serce się śmieje na samą myśl Stej Lucji. Bo on nie tylko dla siebie znajdzie czego dusza zapragnie, ale ma pod ręką wszystko, co jeno mu potrzeba, by zmiękczył sentymenta zrazu może nieużytéj kochanki swojéj. Przecież obaczymy jeszcze dokładniéj w innéj chwili Sta Lucia. Mijamy hotel rzymski, co malowniczo wystąpił w morze więc z daleka patrzy jak strugany z drzewa na pałacyki, jak cacko niby ręką pacholęcia postawione na zwierciadełku.

Znów żwawo maszerując, dosięgniesz za kilka minut Largo di Palazzo. On objęty z jednéj strony kościołem S. Francesco di Paolo, co zatacza z obu stron w półkole przepyszną kolumnadę swoją — z drugiéj strony rozparł się pałac stołeczny króla. Cóż o tym pałacu powiedzieć! Ot to, że wielki i dużo w nim okien, że rozsiadły i podsiadły, że jak wszystkie budowle rządowe w Neapolu malowany we dwa kolory, bo z ceglasta-pomarańczowo i kamienno-zielonkowato. On zaiste ogromny, a przecież wcale go niestać na wielkie uderzające wrażenia, choć go zmurował w r. 1600 Fontana. On olbrzymi co do wielkości, lecz okaże się małym na duchu jeżeli sobie przypomnisz te formy pełne grozy, a majestatu florenckiego pałacu, on zjałowieje i zwietrzeje, jeżeli odżyją w tobie te czarodziejskie malownicze pałace co je stawiał w Genui Gal. Alessi.

Z Largo już nie zbyt oddalona owa zawołana na świat cały *strada di Toledo*. Na samym jéj początku, umieściła się wspaniała kawiarnia *Cafe di Europa*, jednak o téj jéj wrzekoméj wspaniałości, także sobie później więcéj powiemy.

Byłżeś kiedy cny czytelniku na jednéj z najcelniejszych, najludniejszych ulic Paryża lub City londyńskiéj, zwłaszcza w czasie jakiegoś niezwykłego ruchu, gdy bruki wezbrały tłumem ludzkim, niby żywemi falami, gdy krzyki, wołania i śmiechy, unosiły się nad ciżbą i w powietrzu, niby brzęk rojącego się ula. Otóż wiedz, że to wszystko furda i żarty obok strady Toledo w Neapolu. Gdy wejdziesz w tę ulicę zapoznasz się za życia, jakby z piekłem Dantego. Ktoś rzekł czy napisał, że cudzoziemiec każdy stanąwszy pierwszy raz na Toledo, przysiągłby, że tu rewolucja w najwyższéj potędze a wykipieniu swojém, mnie się zaś zdawało, jak gdyby kilka tysięcy warjatów, jednym zamachem wyrwanych z czubków i wolnych od dozorców, rzuciło się na ulice z szałem bezprzytomnym, rozhukanym. Czujesz się wśród tych opętańców, sam opętanym, bo tu wszystkich ugryzła tarantuła.

Toledo jest główném tętnem całego Neapolu, więc tu świat huczny przekupniów, fachinów a drabów przeróżnego gatunku. A są ich całe chmary. Ale to jeszcze mniéjsza, gorsza że nikt z nich po ludzku nie chodzi, lecz każdy pędzi, goni, jakby tuż za nim licho gnało, a wśród biegu wrzeszczy straszliwie, niby wzięty na męki. Jeden na pół nagi z czerwoną czapką na głowie i ze skaplerzem na gołych opalonych piersiach, inny przyodziany czerwono, zielono, żółto, patrzy jak olbrzymia dzika papuga, na innym powiewają łachmany, frak bez jednéj poły, łokcie wyglądają zuchwale na świat, ale on nie pyta, niby nie widzi, nie słyszy, pędzi na złamanie karku, krzycząc na gwałt. Jeden z nich z koszem na głowie, w którym kilkanaście pomidorów, drugi chce sprzedać trzy kraciaste stare fartuchy, inny znowu flaszkę atramentu, tamten wyciągnąwszy ręce wysoko po nad siebie pokazuje dwie lalki, inny na głowie niesie koślawe brudne karło, ten sprzedaje winogrona, ów limoniadę lub ryby smażone, które same zdaleka węchem się anonsują i t. d. A na trotoarach pcha się z pośpiechem ciżba ludzi to z eleganckiego, to ze szaraczkowego świata; na progach sklepów znów stoją krzykały, całém gardłem zachwalając towary. Środkiem ulicy spieszy ekwipaż za ekwipażem i całe wojsko jednokonnych dorożek, a wszystkie z dzwonkami, a każda rada drugą wyprzedzić, więc czasem toczą się dwa rzędy, czasem trzy, a czasem nawet zapchają sobą drogę, iż ani rusz naprzód, więc znów pożądana pora do krzyków i wrzasku. Nabrałem przekonania, że jak u małych dzieci, tak téż u tego ludu krzyk jest potrzebą fizyczną, warunkiem zdrowia; każdy musi się wy-

krzyczéć, wyhałasować, dopiéro mu jakoś spokojnie a błogo w duszy i na sercu. Niekiedy do tego tłumu nadjeżdża *Calesso*, czerwono malowana na dwóch wysokich kołach o dwóch dyszlach, o jednym koniu. Koń ubrany w dzwonki, w czuby, kutasy i w pióra, krom tego, na grzbiecie jego świeci rodzaj wysokiéj wieżyczki mosiężnéj z dzwonkiem, a na szczycie téj wieżyczki chorągiewka, na głównem siedlisku kolasy rozpiéra się dwóch padronów, między nich wcisnęła się wojażerka podsadzista, która znów na podołku trzyma bambina, po naszemu dziecko. Za plecami tych dwóch Ichmościów kucznął mały chłopak a czasem i dwóch. Z tyłu kolaski deska czerwona, szeroka, podchodząca daleko pod jéj korpus. Tutaj niby już pod kolaską siadło dwóch zwiniętych w kłębek, nogi ich dyndają pod środkiem kolasy — na tejże desce stanęło jeszcze trzech, czasem czterech, oni najczęściéj stoją na jednéj nodze bo drugiéj nie ma gdzie położyć, ale trzymają się oburącz, by koziołka nie machnąć. Na dyszlu siedzi woźnica, ale nie sam jeden bo dyszel długi, koń daleki, więc obok siebie mógł usadowić ze dwóch sąsiadów. Z tyłu biegnie ulicznik, co choć pieszo, rad korzystać z pory i ułatwić sobie drogę, więc biegnie trzymając się stopnia onéj deski. Gdym dawniéj widział podobne sceny malowane w albumach, zdawało mi się, że to żart przesadny, że to karykatura, lecz wierz mi czytelniku, że to istne *fac simile*, a nieraz fotograf rzeczywistości. Takie kolasy w ten sposób opakowane, jeszcze częściéj spotkasz na gościńcach okolicznych Neapolu. Krom tego cisną się wzdłuż strady Toledo tłumy jucznych koni, mułów, a zwłaszcza osiełków, a każde z tych ciężko obładowanych zwierzątek brzęczy dzwonkami, a każde strojne w kutasy i pstre szmatki i inne przybory. Tu postępuje osiełek poważnie, na nim cała piramida baryłek arcymisternie na sobie ułożonych, a za baryłkami prawie na ogonie siedzi padrone, spasły, tykający niemal bruku nogami, za nim znów inny osiełek lub muł, po obu jego bokach wiszą kosze pełne pomidorów lub brzoskwiń. Za nim dziewczyna popędza czworonożną ofiarę, szturchając ją kijem uzbrojonym na końcu kolcem żelaznym. Ona sama na głowie dźwiga kosz pełny pomarańcz, ustawionych z matematycznym dowcipkiem, na samym szczycie olbrzymia pomarańczą, a w nią wbity kwiatek. Często na jednym koniu lub osiełku siedzi dwóch ogromnych chłopców. Tu i owdzie zebrało się w gęstą ciżbę mnóstwo ludzi, czekających chwili sposobnéj, by przerzucić się na drugą stronę ulicy. Teraz przecież przerwa chwilowa, mała luka w szeregu powozów, w oka mgnieniu kłąb ludzki jakby stulony wąż rozwinął się i sunął błyskawicą na przeciwległy chodnik. Ogłuszony, otumaniony bekiem i rykiem zwierząt, dzwonkami, wyciem, krzykiem przekupniów, wrzaskiem rozmawiających, ruszasz daléj, sam gnany gorączką jakby w złym śnie. W tém nowy łoskot,—rząd doboszów występuje z poprzecznéj ulicy i zażarcie tnie swoję sztukę, za niemi oficer wyprężony jak na drutach tupie z góry kamienie, za oficerem żołnierze stąpają z miną tak buńczuczną, jak gdyby jakie świata pogromcy. W téj chwili z drugiéj ulicy pojawia się nowy widok, parami ruszają małe chłopcy przebrane po księżemu w kapeluszach o ogromnych brzegach na głowie, z niemi kilku duchownych przestrzegających porządku. Ba! bo duchowni i świeccy i zakonni w habitach przeróżnéj barwy, nie mało przyczyniają się do urozmaicenia Toledo. Często gęsto atoli tutaj zwłaszcza na rogach ulic, wśród tych szatańskich hałasów, uśmiecha się lubo lękliwie do znękanego przechodnia światek spokojności błogiéj,— są to kwiaty zebrane w ogromném mnóstwie a rozmaitości; kwiaciarki wiążą je w bukiety, to maluczkie, to olbrzymie, a wszystkie zaprawdę uchodzić mogą za arcydziełka swojego rodzaju, tak umiejętnie i artystycznie są podobierane w nich kwiaty, a te kwiaty świeże, pokrapiane ciągle sztucznym deszczykiem, odwdzięczają się zapachem i raźnością rześką barw i kształtów. Zaledwie jednak spojrzałem na tę lubą dziatwę natury, a już znowu jakby złowrogą siłą pchany, spieszyłem naprzód bez tchu. Gdy mi się udało jako tako przyjść do siebie, zdobyłem się na tyle, żem się wśród tych zamętów zawrotnych, mógł jakoś przypatrzyć bliżéj téj

ulicy. Już ci ona dość prosta, ale wznosi się coraz to wyżéj, a tak długa, że trzeba było dobrze trzech kwadransów czasu, by ją zmierzyć własnemi nogami od końca do końca. Za to przecież wcale nie jest szeroką, a tém mniéj wspaniałą. Domy w niéj dalekie od wszelkiéj elegancji, a ilość w zaniedbanéj, oblecialéj, spłowiałéj toalecie, tylko balkonów bez liku. Są téż tutaj domostwa, które uparcie przywłaszczyły sobie nazwę pałaców, choć nie wiem jakiém prawem, bo ani z miny, ani z czupryny nie patrzą na pałace, a przytém zakurzone i brudne. Dziwna to rzecz, że tu ani śladu tych bogatych, modnych, świecistych sklepów, któremi błyszczą inne stolice europejskie. Kawiarnie zbyt filozoficzne, zbyt mało mają pretensji i próżności, a cukiernie chyba w ostatniéj potrzebie a biedzie, zdołają znęcić ku sobie. Bym nie zapomniał o jednéj osobliwości Strady Toledo, a właściwéj i innym ulicom i placom neapolitańskim, powiem wam, że tu i owdzie w jakimś spokojniejszym kąciku, widzisz budkę drewnianą, niby to ołtarzyk, niby kapliczka, a to stragan limoniadziarki. On cały wylepiony obrazkami świętych, ubrany w kwiaty sztuczne lub żywe. Całe wojska szklanek to większych, to mniejszych, stoją obok stosów cytryn i pomarańcz. Baryłka zawieszona na osiach w ciągłym ruchu a kołysaniu, chowa w sobie wodę z lodem, cukrem i sokiem cytrynowym, a nie braknie w niéj nigdy ukochanego anyżku.

Otóż macie wizerunek choć wiotki Strady Toledo. Jak córki do matki są do niéj podobne inne ulice, zwłaszcza łączące jakieś punkta ważniejsze w tém wrzaskliwém mieście. By za jednym zamachem odbyć rzecz z ulicami Neapolu powiedzmy, że i inne ulice w miarę jak przestają być prądem dla przepływających tłumów, tém więcéj ich bruki mrowią się własną, miejscową ludnością.

Jakoż, jeżeli już w północnych Włoszech widzisz kobiéty, rzemieślników pracujących na ulicy, cóż dopiéro dzieje się w Neapolu! Przerozmaite warsztaty wyniesione na bruk stanęły obozem, ślusarze i kowale, szewcy, stolarze i krawcy, zegarmistrze, tokarze i tkacze, kołodzieje, siodlarze, blacharze, rymarz, introligatóry i t. d. odbywają trudy dzienne swojego żywota po swojemu, to jest nie spiesząc się zbytnio z robotą, a za to dużo rozmawiając, wrzeszcząc i śpiewając; ba! smarzą, gotują, jedzą, piją i śpią na ulicy; kobiéty szyją, lub kołyszą, kąpią i powijają dzieci nic nie dbając na przechodzących. Wierzyłbyś cny czytelniku, że widziałem na otwartym bruku ulicznym zecera mającego rękopism przed sobą i składającego najspokojniéj w świecie czcionki! Z obu stron, tuż obok niego przebiegali hałaśnie przechodnie;—on nie dbał o nich, ba! bo i tak musiał się uganiać z rojem zajadłych much.

Możecie sobie wyobrazić, jak swobodnie i głęboko sobie odetchnąłem, gdy nakoniec przecież po prawéj ręce jak jaki zbawca mój roztworzył się plac obszerny, a na nim stanął pałac burbońskiego muzeum. Ta budowa również jak ów pałac królewski jest kompozycji Dominika Fontany (1510 — 1592). I tutaj widać, że Fontana należy do szkoły Andr. Palladiusza, lecz że żył w czasie, w którym twórczość artystyczna, migotała się jedynie jeszcze gwiazdką przymgloną nad czołem artystów, bo znać, iż mistrzowi brakła owa potęga wysokich poglądów komponująca architektoniczne dzieła na wielką stopę. Budowa ta choć ogromna, rozłożysta, przecież przemawia drobnemi myślami, a nie unosi, nie uskrzydla uczuć widza.

Jednak w tych ścianach zamknął się świat głębokiego znaczenia. Kto się zpoufali z tym światem, już na zawsze do niego należy, a choćby już zeszedł w późniejsze lata jeszcze odrodzi się młodością, oko jego duchowe, oddawna przygasłe rozgoreje poświatą. a w sercu jak w świątecznéj kaplicy znów poranno, znów odbędzie wesele z dawną miłością swoją — odprawiając złote wesele z pięknością, co się nigdy nie starzeje, ale zawsze jest młoda, wiecznie odradzająca się świeżym urokiem.

. . . .

Puściłem się dorożką przez Toledo, który wrzał, szumiał, huczał zwykłém sobie hałaśném życiem, bo tu przez rok cały, kipią nieustanne zapusty, chwila obecna tu panią, tu nie ma jutra, a bez maski swawolą nie-

cne frymarki. Zewsząd głuszy namiętna wrzawa, chaotyczny zamęt; zapamiętałe zabiegi ścigają się po bruku. Przejechawszy wzdłuż całéj téj ulicy jeszcze otumaniony gwarem, nie ochłodłem, nie uspokoiłem się w sobie, gdy już woźnica zatrzymawszy się, zawołał poważnie: „stanęliśmy na miejscu! tu *S. Gennaro dei Poveri*—tu katakomby.”

Klasztor—dziedziniec cichy, milczący—gardziel skalna spuszczająca się w głąb. Zstępujemy po wschodach, przyjmuje nas co wam ścisną serca, a włosy na głowie podniosą.”—Zadzwonił - pojawił się drugi *custode* także starzec choć nieco młodszy, jego podwładny. Starzec drżącą ręką sięgnął po zawieszone na kołkach dwie latarnie blaszane. Przez ten czas miałem sposobność przypatrzenia mu się bliżéj. Kilka kosmyków białych włosów na chudéj czaszce —skóra na twarzy jak u mumii sucha, z niéj silnie występuje nos o ostrych konturach, nadając fizjonomji wyraz ptasi,



Muzeum Burbońskie.

odźwierny umarłych, starzec co sam chodzącym grobem. Spojrzał na nas zeszklonemi oczami, długiém spojrzeniem, a głosem przeciągłym dudniejącym, jakby z trumny rzekł: „Więc Signori chcecie pielgrzymować po państwie śmierci i zniszczenia, pragniecie jeszcze za życia rozpatrzyć się w wieczności mieszkaniu?” Nieco zdziwiony takiém pytaniem, odrzekłem dość oschle: „Potośmy przyjechali, by widzieć katakomby.” A on znowu głosem bezdźwięcznym grobowym: „Obaczycie tedy katakomby! Ale Signori! przygotujcie się na widoki straszne usta bezbarwne, bezzębne, oczy przygasłe, postać jego drżąca, dygocąca, ku ziemi nachylona, jakby już szukająca w niéj przytułku dla siebie. — Biedaka dni i godziny już są policzone. Starowina zapaliwszy latarnię wziął do ręki ogromny pęk zardzewiałych kluczy, a spierając się na kiju, ruszył w drogę—towarzyszowi kazał nas wyprzedzić o kilkanaście kroków, podawszy mu do rąk drugą latarnię.

Stanęliśmy wśród katakomb. One całe wykute w tufie wulkanicznym, co jest skałą miękką i łatwą do obrobienia. Środkiem

ciągnie się przestrzeń szeroka, wysoka, a dość okazała. Jéj strop sklepiasty spoczywa tu i owdzie na okrągłéj arkadzie opartéj na dwóch kolumnach. Od boków biegną konarami korytarze niższe i węższe. Ściany prawie jak plastry w ulu pełne wydrążeń. Niekiedy te jamy są znaczniejszych wymiarów, najczęściéj atoli są wielkości trumny, a umieszczone niemal tuż przy sobie; czasem jest ich kilka rzędów po nad sobą.

— *Vedete!* — *Vedete!* ozwał się głosem jak z pod ziemi nasz zgrzybiały przewodnik i zbliżając drżącą ręką latarnię do jednéj z tych jam, oświecił bielejące w niéj kości i czaszki.

Vedete! — *Vedete!* znów woła i pokazuje malowania lub mozajki. Są to najczęściéj głowy *en face* malowane, rysy twarzy skośniałe, zdrętwiałe, patrzą się na nas wejrzeniem surowém, groźném. I znów postępuje naprzód nasz mentor, brzęczy pęk kluczy, a w ręku drżącém, dygoce i klapie latarnia blaszana. Staje—oświeca dół głęboki umieszczony w ziemi, na dnie jego coś się szarzy—to cały stos kości wielkiéj liczby umarłych, niegdyś razem pochowanych. Tu i owdzie otwór w sklepieniu! Witamy go z jakąś dziwną radością, bo ze smętnych głębin skonu i śmierci, patrzymy na promienne błękity nieba, jakby na pocieszenie Boże. Szerzy się ten podziemny świat daleko w łono ziemi, przechodzimy przez przysionki, sale, kaplice, obszerne grobowce, istne labirynty. Znać, że tu niegdyś piętrzyły się trzy nad sobą kondygnacje, ale one dziś już nieprzystępne, — widać tylko niekiedy schody, to prowadzące w górę, to zstępujące w dół.

Na zawsze jednak będzie tajemnicą i epoka w któréj powstały te katakomby, i cel dla którego były wykonane. Nowocześni badacze dowiedli jasno i dobitnie, że one nie były sprawą pierwotnych chrześcijan, jakto jeszcze niedawno mniemano; jest téż rzeczą również pewną, że te katakomby nie powstały nigdy z łomów kamieni, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Owszem, domyślać się trzeba, że katakomby Neapolu są dziełem pradziadowych, przedhistorycznych czasów. Być może, jak niektórzy mieć chcą, że ludy stare Kampanji poczyniły te pieczary na przypadek wojen, a nieprzyjacielskich napadów. Nie ma téż prawie wątpliwości, iż te podziemne przestrzenie były używane za miejsce pogrzebów, ale to dopiéro wtedy, gdy kościół chrześcijański już stanął w tryumfie nad światem pogańskim. Nigdzie albowiem nie znaleziono w nich ani malowania, ani napisu odnoszącego się do dziejów męczeństwa. Mimo to wedle zdania dziś prawie powszechnie przyjętego, umarli zaludnili wcześnie te podziemia, bo w pierwszych stuleciach wiary naszéj, biskupi i osoby poważne u społeczności wykowali sobie kaplice i grobowce, a obok nich rzesza wierna chętnie się chowała po tych nocnych cmentarzach.

Wielkiego zajęcia są przedewszystkiém malowidła, któremi tak hojnie ozdobione są groby i ściany. Zostawując innym ostateczne wyrokowania o tych dziełach wymagających nie pobieżnego między niemi pobytu, ale raczéj długich, sumiennych studjów, ograniczę się uwagą, która każdemu się nastręcza, choćby jedynie przy powierzchownem rozpatrzeniu się w tych obrazach, to mozajką, to pędzlem stworzonych. Otóż możnaby rzec, iż te malowania są trojakiego rodzaju. Jedne są wykonane w stylu sztuki starożytnéj, klassycznéj i te są zapewne najdawniejsze, a zaiste najwięcéj ze wszystkich celują artyzmem; drugie są zupełnie bizantyńskie i przypominają wedle mojego zdania, najdawniejsze mozajki u Ś. Marka w Wenecji, — te są jak się zdaje, najpóźniejsze. Trzecie zaś stanowią jakby przejście z pierwszych do drugich. Widać tedy, iż te malowania nastręczyć mogą wyborną sposobność nauczenia się dziejów najstarszéj sztuki chrześcijańskiéj. Żal atoli bierze, że wiele z tych dzieł malowanych zgasło, niektóre nawet są tak zepsute, iż zaledwie ślady z nich zostały. Prawda, że znów inne zachowały całą świeżość farb, te farby jednak są znów tak świeże, tak czerstwe, że budziły we mnie mimowolne podejrzenie, że je odnowiono za naszych czasów. Malowania przedstawiają to Pana Jezusa, to mężów lub niewiasty święte — inne zaś zdają się być wprost wizerunkami nieboszczyków tutaj pochowanych.

Mimo kości a grobów, których takie potężne zastępy, wrażenie którego tu doświadczasz, dość podobne do uczuć jakich doznajesz zwiedzając, jaki zwykły rozłożysty ale obcy ci cmentarz – ba! może nawet cmentarz takowy posępniéj jeszcze działa na duszę naszą, bo nam przedstawia świeże jeszcze groby skrapiane łzami, pielęgnowane z miłością, uświęcone modlitwą, w boleści pogrążonych rodzin i przyjaciół. A tu w tych katakombach kości należą do pokoleń przed wielu wiekami zmarłych, więc obcych, więc więcéj obojętnych dla generacji dzisiaj żyjącéj. Nie ma też w tych katakombach grobów ŚŚ. Męczenników, ani krwi ich, więc uczucie które cię tu przenika, lubo jest pełne uroczystości i powagi, brakuje mu jednak głębokiéj rzewności, a religijnego skruszenia. Wszak i światło dzienne i błękity nieba, które tu i owdzie rozświecają grobowe ciemnice, łagodzą ponurość straszliwą tego umarłego świata. A może też przemowa tak posępna, którą nas na wstępie powitał stary *custode*, wręcz jéj odwrotny sprawiła skutek. Bo owe słowa starca przygotowały nas do widoków zbyt ohydnych, zbyt straszliwych, gdy przeto te nasze napięte oczekiwania nie spełniły się w zupełności, cóż dziwnego, że katakomby nie miały w oczach naszych téj nawet posępności okropnéj, którąby nieodzownie na nas działały, gdyby nie owe przesadne oczekiwania przez starca w nas zbudzone. Taka albowiem jest serca ludzkiego dziwaczna natura.

Właśnie w ten sposób rozbierałem w myśli wrażenia swoje tu doznane, gdy custode już opuszczając ten świat umarłych odezwał się do niego i do nas, niby pożegnalną przemową, a to znów właściwym mu głosem grobowym i nawet jeszcze żałobniejszym niż zwykle. Jakoż głos jego w téj chwili był tego rodzaju, że mi przypomniał niedorzeczne niańki, które ukrywszy się za drzwiami udają bobo, dobywają głosu grubego, by straszyć drobną dziatwę. Tym razem jednak przeholował stary! Mimowolnie przyszło mi na pamięć, żem gdzieś słyszał lub czytał, jako od niepamiętnych czasów, dozorcy katakomb neapolitańskich zwykli frazesami żałobnemi a głosem grobowym, potęgować uczucia smętne zwiedzających osób, bo w miarę większego wrażenia spodziewają się sowitszéj zapłaty. Już tedy patrzałem innemi oczyma na tego dziada — to komedjant! — On frymarczy śmiercią i kośćmi. Jego towarem jest cuch z grobów a okropność uczuć przejmujących serce przychodnia! On dla tego tak potęguje ten towar swój, by go drożéj sprzedał, przehandlował. Nie jestże to nowa sprzeczność? — pieniądz, ów przedstawca doczesnych potrzeb zarobiony na śmierci—i na wieczności dreszczach! Lecz podobno sprzecznością nad wszystkie sprzeczności jest to, że ten zgrzybiały człek handryczy grobami, a odgrywa na nich komedje i nie myśli o tém, że lada godzina sam w dół wpadnie. Jestem prawie pewny, że w chwi'i, gdy to czytasz czytelniku mój, już oddawna jego towarzysz stanąwszy u łoża nieboraka, pokazał sąsiadom umarłego wołając: „*vedete! vedete!*” Świeć mu tam Panie!

Od *S. Gennaro dei Poveri* więc od katakomb, już niezbyt daleko do pałacu czyli willi królewskiéj *Capo di Monte*. Więc jedziemy na oglądziny.

Już to prawda, że tutaj ludzie pięknie się sprawili, pałac sam wielce przepyszny i wspaniały, a rozłożyste jego ogrody i parki prawie jeszcze cudniejsze, lecz te dzieła człowieka nikną, maleją obok arcydzieł Bożéj natury. Bo tutaj widok na świat w koło, na golf, na Wezuwiusz, na miasto tak czarodziejski, że cię upaja, odurza urodą swoją, że zapominasz wskróś o obrzydach szkaradnych onéj dopiero widzianéj nocnéj trupów stolicy. Nie opisując atoli ani o téj cudności natury, ani pompy i parady którą pyszni się wnętrze pałacu, ani świetnych dzieł sztuki, w które on się ustroił niby cackami błyskotnemi, wspomnę tylko, że pod tym rajskim światem stworzonym dziwami sztuki i natury, dyszą w głębi podziemnéj one katakomby. Tak jest — te katakomby nurtują aż pod pałac *Capo di Monte*, bo pod całą tę górę, na któréj on stanął wraz z wdzięcznemi ogrodami swojemi, podkopali się umarli. Na ziemi życie radosne i pełne weselnego uroku, w głębi w przepaściach ziemskich czai się śmierć, i wyszczerzają zęby czaszki trupie. Niektó-

rzy architekci lękają się nawet o ten pałac cudny, twierdząc iż on z całym swoim powabem rozkosznym, a wdzięcznym zbytkiem może kiedyś zapaść się, w one straszne ciemnice; zwłaszcza w czasie trzęsienia ziemi, które bywa dość częste w tém sąsiedztwie z Wezuwiuszem.

Co się zaś tyczy świetlic samego pałacu powiem jedynie, że mnie uderzyło tutaj przeważne zamiłowanie w kolorze czerwonym. Posadzki sal, komnat, zaprawiane pąsem jaskrawym, story z pąsowego jedwabiu adamaszki na ścianach pąsowe.

Mniemam iż zamiłowanie w silnych, czystych, a nawet jaskrawych kolorach, jest tutaj na włoskiém południu Europy jakby cechą smaku narodowego; znajdujemy to upodobanie we wszystkich warstwach tutejszéj społeczności. Najuboższy lazaron arcyszczęśliwy, gdy mu się pali na głowie czapka zawiesista pąsowa, a kobietom z ludu, serce się śmieje do każdéj szmatki farbowanéj jaskrawym jakim kolorem. Warto téż pamiętać, że i starożytne ludy lubiły barwę żywą, silną. W Pompei całe ściany mieszkań, nawet kolumny malowane na czerwono. Wiemy też jak to zwykle wszystka dziatwa drobna choćby na północy zrodzona, raduje się farbami pełnemi, czerstwemi. Dodaj że właśnie na ostatniém południu pod równikiem ziemia i niebo, wody i kwiaty, świecą całym przepychem barw, że tam i ptaki, niby żywe kwiaty odziewają się pierzem złocistém, mieniącém się we wszystkie barwy tęczy, ale za to te ptaki nie śpiewają! One tylko wrzeszczą i hałaszą. Przeciwnie im daléj na północ, tém więcéj kwiaty i ptaki, niebo i wody i cała natura ciemnieje, bieleje, szarzeje. Ale za to nasz szaraczkowy słowik, ów śpiewak północnych gajów, nuci treny tak rzewne, serdeczne, że ci się w duszy coś zasmieje i zapłacze. Może to wszystko ztąd pochodzi, iż wśród południa, kędy natura zewnętrzna buja w całéj swojéj potędze, siłą wiecznie młodą, życie zwraca się na zewnątrz, przeciwnie na północy, kędy gaśnie potęga materji a zewnętrznego świata, życie cofa się w głąb siebie, staje się wewnętrznem, duchowem?

O tém jednak byłoby wiele prawić, zatém zamiast długich rozwodów w téj rzeczy przenieśmy się na drugi koniec ogromnego miasta. Nawracamy — pędzimy napowrót przez *Strada Capo di Monte*, przez całe *Toledo*, potem znów przez *S. Lucia*, wzdłuż willi *Reale* przez *Chiaja*, a po żwawéj blisko godzinnéj jeździe, ruszamy wprost do groty *Posilippo*.

Gdy ta góra skalista Posilippo zastępuje ludziom drogę do morza, więc starocześni Rzymianie przemagając narody i naginając dzieje świata pod rozkazania swoje, przyuczyli się téż i głuchym mocom natury nakładać jarzmo żelaznéj swojéj woli. Dali się tedy we znaki i téj skalistéj górze. Aby ułatwić kommunikacją przekuli ją na wylot, a tak stworzyli ową grotę słynną na cały świat. Dzieło prawdziwie rzymskie więc olbrzymie, bo długość tego tunelu dochodzi tysiąca łokci, a wysokość 25 łokci. Prawda, iż on wcale nie szeroki, nawet wązki, bo w szerz liczy jedynie 10 łokci. Ściany harde ciemnéj skały obrosłe powojem, girlandami kaktusów i bluszczem, witają wędrowca na wstępie. Wjeżdżasz do groty. W pierwszych sekundach już głuszą cię łoskoty, brzęki, huczenie, dzwonienie a turkoty i tętnienia końskie dudnieją zamętem. A z każdą sekundą gaśnie światło dzienne, zamiast słonecznych promieni, oświecają drogę lampy wiszące, od stropu groty rozsiewając poświatę mdłą, niepewną, fantastyczną. Kłusem pędzące wozy, powozy, osiełki, muły juczne, dzwoniące, cisną się przez grotę. Co chwila spotykasz trzody szkopów, beczących owiec, około nich szczekają pilnujące psy i znowu pcha się rogate stado ryczących wołów, za niemi pastuchy z dzidami na koniach. A te zwierzęta dziwnych nabierają kształtów wśród téj niezwykłéj dla nich poświaty. Wzdłuż saméj ściany ruszają wieśniacy piechotą, wołając i krzycząc w ciemnościach na siebie.

A gdy jak rzekłem tunel wązki, bo jedynie na dziesięć łokci szeroki, zatém dwa powozy tylko wielce ostrożnie mijać się mogą, więc tu niezmiernie ciasno, ścisk niesłychany. Woźnica twój klnąc, żżymając się wstrzymuje często gęsto konie, rusza tylko stępo, czasem nawet zupełnie staje, bo owce wbiegły pod konie, pod powóz, albo woły zastąpiły koniom drogę i rogate ich głowy, fantastycznie oświecone dużemi oczami zaglądają do powozu. A wszystkie te hałasy,

krzyki ryki i szczekania, odbijając się o skalne ściany i strop, głuchem grzmią echem. Kurzawa wznosi się gęstemi kłębami, nad tą całą massą żyjących, ruszających się jestestw. Płomienie żółte olejnych lamp oświecają zawieszone w powietrzu obłoki ciężkiego pyłu, przenikając je brudném pomarańczowem światłem, więc jakby łuną piekielną. Chroniąc oddech, zatykasz sobie usta, zamrużasz oczy. Jedziesz i jedziesz a tu niéma końca téj drogi podziemnéj. Jakieś strachy dziwne, dziecinne cię cisną, w tém znienacka zapromieniało na wysokim stropie, nad nim jasno świecisto otwór umajony krzewami, więc przez niego wpływające do groty promienie słoneczne zafarbowane lubą zielonością, zamieniły się jakby w tęskną, rzewną, księżycową poświatę. Wnet atoli to widziadło znikło i znów otacza cię owo oświecenie wstrętne, pomarańczowe, demoniczne. Znów jedziesz a jedziesz, aż tu przecież po długiéj tęsknicy, widzisz drugi koniec groty, witasz znowu światło dzienne i oddychasz przeczystém powietrzem słoneczném. Huczenia, turkotania umilkły choć jeszcze szumią i dudnią w uszach, a gruba warstwa kurzu na sukniach przypomina biedy które przebyłeś, albo raczéj na próbkę doświadczyłeś, tym razem atoli nie pojedziemy z sobą w dalszy tak uroczy świat, lecz nawrócimy przez grotę, bo właśnie przed nią ze strony miasta wstąpimy na Posilippo, by odwiedzić grób Wirgiliusza ową brzmiącą w ustach wszystkich pobliskich uliczników Tombę di Virgilio.

Jakoż przewodników nie braknie, jest ich cały sztab na każdą miarę. Od lewéj strony wchodu do groty, lubo w znaczném przed nim oddaleniu wznoszą się schody wspaniałe, szerokie, niby pałacowate ale za to strasznie nieczyste i zaćmione. Potém szeroka, brukowana droga prowadzi wężykiem przed górę. Ona choć stroma gwałtownie się wspina, ale nie ckliwa wcale, bo co chwilę odpoczywając stajesz i obzierasz się na panoramę, którą natura, boża artystka stworzyła, malując ją barwami rozpuszczonemi w złocie promieni słonecznych. Widzisz tuż pod sobą Chiaję i ogrody willi Reale, które szlakiem zielonym wyhaftowały rąbek morskich zwierciadeł. Eleganty miastowe i lazarony zmalały w jasełka drobne i te koniki i karetki przesuwają się jakoby w istnéj szopce. Tam daléj duma Wezuwiusz w hardym, butnym spokoju. *Portici*, *Torre del Greco* i *Castellamare* uśmiechają się w szczęściu swojém, przezierają się w morzu—daléj w zaciszu jakby za fioletową szybą migoce *Sorento* i *Capri*. Na boku drogi naszéj stanęły domki, to niby wieś. Tu tak sielankowo, milcząco żebyś nigdy nie zgadł, żeś tak blisko wrzącego, grzmiącego Neapolu. Przed domami siedzą sobie szyjące, szwargotne dziewczęta i starsze niewiasty, więc gwaru, a chichotania, a śpiewek nie braknie. Czasem ta lub owa z nich cię zagadnie na pół żartem, na pół na prawdę o mały datek na *bottiglia*, niby na napitek.

Przecież już stajemy przy skromnéj furcie drewnianéj tak sobie patrzącéj na świat, *per modum* polskich, wiejskich, starych wrót. Trzeba poczekać zanim przybiegnie właściciel winnicy z kluczem. Przybiegł nie zadługo, ale niby straszliwie zadyszany do ostatka zmęczony, by nas przekonać jakto on poświęca się dla forestierów.

Za furtą zieleni się winnica wysadzona jakby drogim klejnotem, brzemieniem świecących gron, lecz prócz tego wszędzie jeszcze buja samorodna roślinność bogata ochocza. W każdéj szczelince skalnéj mają gniazdko swoje, różnokształtne powoje, co rozchodząc się z cicha po ścianach siwych, ubierają stare głazy w sukienkę majową; zewsząd ciżba dzikich, kwitnących krzewów, a gdzie im się tylko udało, rozpierają się aleosy twarde, sztywne, a dziwaczą po swojemu kaktusy, lub marzą rozkochane myrty. Niekiedy nad nami zadygoce oliwa liściem lekkim, eterycznym, srebrzystym, lub figa ocienia dróżkę od skwarów, rozkładając się nad nią ciemnym, gęstym splotem. Nasza ścieżka wąziuchna, kręta, to podnosi się kilku schodkami w górę, to znowu się opuszcza w dół, a wije się ciągle wśród wzniosłéj trawy i ziół wysokich. Zewsząd zaległa święta cisza, a samotność uroczysta. Czasem tylko dolatuje nas turkot, łoskot i gwar, co huczy gdzieś głęboko pod nami, zda się że słyszysz jakby walki rozpasanych żywiołów, w przepaścistych otchłaniach ziemi. Ot jesteśmy wprost nad

grotą Posilippo! Jeszcze kilka kroków, jeszcze kilka schodów w dół — a tuż przed nami Wirgiliusza grób!

Jestto grobowiec murowany i sklepiony—wnętrzny obszar jakby średniéj izby – w ścianach jest kilka nisz w których niegdyś stały popielnice. Na zewnątrz i z góry na sklepieniu i po bokach wyrastają ze szczelin starych murów bluszcze i drzewka i krzewy, niby wiecznie kwitnące girlandy, a wianki co nie umierają nigdy. Otóż taki jest grób wielkiego wieszcza który tu pochowany był 19 lat przed narodzeniem Zbawiciela.

Wirgiliusz syn wielkiego rzymskiego świata, podobnie jak ta ojczyzna jego, stanął na pograniczu dwóch epok historji. On na łonie starożytnéj spółeczności zrodzony, śpiewał dawnéj Romy chwałę i śpiewał sielskie rozkosze i szczęście wsi spokojnéj, jednak w tych pieśniach swoich, mimowolnie stał się przyszłości ludzkiego rodu wieszczem.

Wirgiliusz śpiewą w czasie gdy Rzym przeszedłszy przez południk swojéj potęgi już był dokonał zadania swojego na świecie; on śpiewa w epoce gdy duch rodzimy Rzymu już stracił swoją życiodawczą, dziejową, pierwotną moc i gdy już w atmosferze świata unoszą się wróżby innych przeznaczeń człowieka na ziemi. Wirgiliusz z woli swojéj a przytomnéj sobie myśli, jest wiernym synem Rzymu, ale w natchnienia chwilach, gdy jest uchwycony potęgą wyższą, tajemniczą, wtedy to wieszczy, proroczy uczucia nowe, nięznane spółczesnym mu pokoleniom, uczucia co dopiero po wielu, wielu stuleciach, będą tętnem serca późnych pokoleń.

Ztąd téż Wirgiliusz stał się mistrzem, a wzorodawcą wielkich poetów ludów chrześcijańskich. Wirgiliusza duch w trzynaście wieków po skonie cielesnego życia, staje się przewódcą Dantego przez Piekło, Czyściec i Niebo.

A patrzmyż! Właśnie w roku gdy ostatni Piast, ów Wielki Kazimierz, zasiadł na majestacie polskim (1333), zjawia się tu na Posilippo, tu przed grobowcem Wirgiliusza młodzieniec, który będąc synem zamożnego kupca z Florencji, sam był kupcem. Bawił wiele lat w Paryżu, zwiedził z polecenia ojcowskiego, cały ówczesny przemysłowy świat, by poznawszy ogromne znaczenie handlu, pojętego na wielką a szlachetną stopę, zamiłował powołanie swoje. Bo oddawna widział z niechęcią ojciec, że w synie odzywała się ochota do poezji. Młodzieniec podróżując po krajach, przezierając ludy, przybył i tu do Neapolu. Odprawił pielgrzymkę do grobu śpiewaka Enejdy— stał w długiém zamyśleniu przed grobowcem tym dumając i marząc, aż z razu jakby gromem Bożym rozświeciło się w duszy jego. W obec tego grobu zrozumiał siebie i zrozumiał zadanie swoje na ziemi. W téj chwili świętéj, wyprzysiągł się na zawsze handlu i przemysłowych zabiegów — on w téj chwili ślubował sobie, że będzie poetą.—I dotrzymał swoich ślubów. Tym młodzieńcem był Jan Boccacio.

NARZECZONA PASTORA.

(THE MINISTERS WOOING).

POWIEŚĆ,

pani **Beecher Stowe**, autorki *Chaty wuja Tomasza.*

(Dokończenie).

Pastor odpowiedział z powagą.

Myślałem już o tém dużo i za nic w świecie nie porzucę mego zamiaru. Przy pierwszém kazaniu każdemu z nich wytknę wszystkie jego grzechy.

— Ależ na Boga, czy zastanawialiście się nad tém, że możecie zaszkodzić interesowi naszego kościoła, boć Szymon Brown, trudniący się handlem niewolnikami, jest najhojniéjszym z jego opiekunów."

— Tak jest w rzeczy saméj, ale mam nadzieję, że on najprędzéj ze wszystkich wyrzecze się tego ochydnego dzieła. Ufam jego jasnemu poglądowi, o którym miałem

sposobność przeświadczyć się podczas wczorajszéj rozmowy. Ja go przekonam, że z jego własnych logicznych zasad wypada, że powinien przychylić się do spełnienia moich zamiarów.

— Ja zaś sądzę, że zostaniecie zawiedzeni w waszych oczekiwaniach i że nie tylko nie przystanie na wasze żądanie, ale jeszcze rozgniewa się i zerwie z kościołem.

— Czyż pani mniemasz ażeby człowiek, który jest gotów ponieść ofiarę z własnego zbawienia dla dobra ogółu, nie zechciał poświęcić kilku tysięcy źle nabytego grosza, dla szczęścia całego świata?

— On może daleko chętniéj poświęciłby własną duszę aniżeli okręta, bo to jest znowu oddzielna kwestja, i może Szymon Brown nie poczuwa się do obowiązku spełnienia téj drugiéj ofiary — odpowiedziała naiwnie pani Scudder.

— Powiedziałbym w takim razie, że jest obłudnikiem. Ale nie powinienem się uprzedzać przeciwko niemu zawcześnie. Pójdę zaraz do niego i odkryję mu moje zamiary.

— Ależ zastanówcie się dobrze nad tém, że powinniście z wielu względów szanować przyjaźń tego człowieka. Wszakże to on złożył przedpłatę na dwadzieścia egzemplarzy waszego systematu teologicznego?

— Pytam się czemu pani przypominasz mi o tém? zawołał pastor zrywając się nagle z rozpłomienionem obliczem i z iskrzącemi oczami.

Pytam się jaki mieć może związek mój system teologiczny z tym przedmiotem?

— Jakto, czyż nie jest rzeczą największéj wagi, ażeby prawdy ewangieliczne należycie wyświecone i pojęte zostały? a jeżeli ci, którzy łakną tego duchowego pokarmu, przez jakikolwiek krok nierozważny pozbawionemi go zostaną, nierównie zapewne więcéj złego niż dobrego wypłynie ztąd dla ogółu.

— Pani, ja raczéj pierwéj zatopię mój systemat w głębinach morza, niźli się zgodzę na to, ażebym miał zboczyć dla niego z drogi obowiązku. Moje teologiczne wyznanie polecam Bogu, sam zaś pójdę tam dokąd mię powinność woła.” Przy wymawianiu ostatnich wyrazów, postać jego wyniosła i twarz poważna, świetną ozdobiła się aureolą, a skoro odwrócił się, pierwsze jego wejrzenie padło na Marję, któréj wielkie błękitne oczy błyszczały ogniem dziwnego zachwytu, jakby uczuciem smutku i wesela promiennego łzami i uśmiechem zarazem.

Zrozumiał wyrażenie tych oczów nasz bohater, a jego męzka i silna dusza z upodobaniem rada była się przejrzeć w drżącem lecz słodkiem zwierciadle duszy kobiéty. W téj chwili spotkały się ich oczy w jednem z tych wejrzeń szybkich jak błyskawica, które są tajemniczem ogniwem dusz szlachetnych, a ulegając mimowolnemu popędowi zbliżyli się do siebie. On wziął w swe ręce jéj obie dłonie, a wpatrując się w jéj lice z wyrazem zachwytu i zdumienia rzekł uroczystym głosem: oby błogosławieństwo Boże spłynęło na ciebie! a powiedziawszy to, wydalił się z pokoju.

Pani Scudder zbliżyła się do córki, a kładąc rękę na jéj ramieniu powiedziała do niéj: Marjo, czy wiesz że on cię kocha?

— O! wiem o tém matko, i ja go kocham serdecznie, on jest tak wielki i szlachetny.” Matka spojrzała się badawczem i bystrem okiem na córkę, która zaraz po wyjściu pastora zaczęła sprzątać i ustawiać szklanki po herbacie, a jéj oczy były tak czyste i spokojne jak niebo czerwcowe.

Ona mię nie rozumie, pomyślała matka.

Wprost z pomieszkania pani Scudder udał się pastor do domu Szymona Brown. Nie wdając się w opisy szczegółów niepowiązanych ściśle z treścią saméj powieści, powiemy tylko, że wszelkie przełożenia ze strony pastora nie wywarły żadnego wpływu na pana Brown. Po długiéj i żywéj rozprawie rozeszli się z największem oburzeniem.

Szczęśliwiéj powiodło się pastorowi w domu państwa Marvyn, gdzie wystąpił z protestacją przeciwko niewolnictwu afrykańskich murzynów. Na liczne przełożenia jego, odpowiedź pana Marvyn zamykała się w tych słowach: „upewniam pana że obstając za niewolnictwem, nie myślę bynajmniéj uniewinniać siebie, ale mówię z mocnego przekonania, że żaden z sług moich nie zechce przyjąć usamowolnienia, chociażbym takowe zechciał im ofiarować.”

— Zawołajmy więc ich i zapytajmy się; do nich należy przyjąć albo odrzucić ofiarę.

Zrobiono na prędce naradę, w skutku któréj zawołano niewolnicę. Skoro pastor spostrzegł nadchodzącą murzynkę, zagadnął ją natychmiast: powiedz szczerze, jak myślisz, czy to jest rzeczą sprawiedliwą, ażeby negrowie byli niewolnikami białych?

Twarz niewolnicy przybrała w téj chwili ciekawy wyraz nieśmiałości i zakłopotania, kiedy w rzuconém z ukosa wejrzeniu na państwa Marvyn, błagalne przebijało się uczucie.

— Nie zważaj na nas Candace, rzekła pani Marvyn, „odpowiedz szczerze pastorowi na jego pytanie." Murzynka stała jeszcze czas jakiś w milczeniu, a badawcze oko widza mogło było dostrzedz przesuwającą się po czarném obliczu chmurę, niby ponury obłok zasępiający ciemną powierzchnią wody, kiedy przyśpieszony oddech niewolnicy o silném świadczył wzruszeniu.

— Jeżeli mam wyznać prawdę, więc powiem, że niewoli naszéj nie uważam wcale za rzecz słuszną. Kiedy generał Waszyngton przebywał tutaj, słyszałam go, czytającego deklarację wolności i bil prawa; wtenczas to rzekłam do mego Cato: jeżeli się okaże prawdą, cośmy słyszeli, mam nadzieję, że będziemy używać zupełnéj swobody. I tak być powinno, a nie inaczej, boć spojrzyjcie na mnie i przyznajcie, że nie mam kopyt ani rogów, jestem rozumną istotą i kobietą nie gorszą od innych." Wypowiedziawszy te ostatnie wyrazy, podniosła murzynka głowę w górę, z pewną dumą i wspaniałością, poczem dodała: mój Cato także jest wolnym z urodzenia, bo równy jest każdéj z rozumnych istot, które używają praw swobody."

— Czyż możesz zaprzeczyć temu, że byłaś zawsze szczęśliwą z nami?!! odrzekł pan Marvyn.

— W istocie, nie mogę użalać się na was, owszem wyznaję że byliście zawsze najdroższemi memi przyjaciołmi.

— Powiedz że nam szczerze, czy pragnęłabyś zostać wolną, gdybyśmy chcieli obdarzyć cię swobodą?"

— O! zapewne, żebym pragnęła, bo któżby nie życzył sobie być wolnym? i uważcie to dobrze," rzekła podnosząc raptownie rękę do góry — „że nie dla tego pragnę usamowolnienia ażeby uciekać od was, lub uniknąć pracy, ale dla tego tylko, ażeby poczuć się wolną. Boć przyznacie sami, że każdy niewolnik, nie będąc panem swojéj osoby, nie może nic według własnéj woli zrobić dla nikogo, ani obdarzyć go niczem.

—Dobrze więc, od dnia dzisiejszego darzę cię wolnością — odrzekł pan Marvyn uroczystym głosem.

Zadrżała na tę wieść Candace, a zakrywszy twarz obiema rękami poskoczyła ku drzwiom pokoju, poczem zarzuciła fartuch na głowę i pobiegła do kuchni, gdzie radość jéj nadzwyczajna wylała się w obfitéj powodzi łez i jęków.

— Widzicie, rzekł pastor, jak drogą jest wolność dla każdego człowieka.

Szczęść wam Boże, panie Marvyn, za ten czyn miłościwy.

Nie możemy pominąć w dalszym ciągu tego opowiadania dwóch osób, które jakkolwiek podrzędną rolę grają w powieści, jednak zręcznie są naszkicowane piórem autorki. Jedną z nich jest pułkownik Aaron Burr, potomek znakomitéj rodziny, a wnuk człowieka, którego genijusz przez długie lata był świecznikiem przewodniczącym Anglji, na drodze jéj społecznego rozwoju. Rozum, dowcip i zręczność, słowem wszystkie przymioty, będące zadatkiem pomyślności i sławy, połączone były w osobie Aarona Burr, ale niepomierna żądza zadość uczynienia podszeptom próżności i namiętnościom, uczyniła go zimnym egoistą i zatamowała drogę do nabycia sławy na obszerniejszem i szlachetniejszem polu. Można powziąść wyobrażenie o charakterze tego człowieka, z pisanego przez niego listu z miasta Newport do jednego z przyjaciół, któremu donosi o wrażeniach jakich doznał w skutku zawiązania stosunków z nowemi osobami. Oto jest jego zdanie o pastorze Hopkins, o którego szlachetnych dążnościach, mieliśmy już sposobność przekonać się, z zamieszczonych powyżéj ustępów. „Jest to człowiek bezwątpienia wielce prawy i szlachetny, ale nie posiada najmniejszéj znajomości świata, ani ludzi, pomiędzy któremi żyje. Według jego mniemania, ażeby wpływać na massy, dość jest wykazać dobrą i złą stronę przedmiotu, poczem zdaje mu się że już dopiął swego celu, nie domyślając się wcale, że dowodzenia jego

nie obchodzą nawet nikogo. Przypuśćmy, że zasady pastora mają słuszność za sobą, cóż jednak z tego wypływa? Od samego początku świata żadna moralna nauka nie przeważyła w praktyczném wykonaniu cyfry 25% rocznego procentu." Tego człowieka Marja poznała na jednym z wieczorów, a chociaż jego powierzchowność sprawiła miłe wrażenie na umyśle purytanki, nie było w tém jednak nic więcéj nad proste upodobanie dziecięcia, z jakiém przypatruje się nowym i nieznanym przedmiotom. Zdaje się, że sam Aaron Burr, który znał doskonale różne słabostki serc niewieścich, przekonał się prędko poznawszy Marję, że wszelkie zabiegi, jakieby mógł czynić w celu pozyskania jéj względów, pozostałyby zupełnie bezskutecznemi i to było powodem, że ograniczał się zazwyczaj, w rozmowach z Marją, na wymienieniu kilku słów uprzejmych. Kochanką jego, w obecnéj chwili, była pani Frontignac, kobiéta szczebiotliwa zalotna i płocha, która, dziwnem zrządzeniem losu, jednoczącego tak często ostateczności, zbliżyła się do Marji i przywiązała się do niéj z całą serdecznością.

Wspomniawszy o dwóch osobach należących do akcessytu powieści, wróćmy się do bohaterki romansu, któréj idealna postać zasępić się ma wkrótce mgłą smutków i tęsknoty, która musi być dopełnieniem uroku, nad czołem każdego z ziemskich ideałów.

Cały rok upłynął od czasu odjazdu Jakóba, a żadna wieść o nim nie doszła do uszów Marji. Wiele scen nowych i różnych przesunęło się przed jéj oczami, ale przemknęły one prędko niepozostawiając śladu po sobie. Zajęcia jéj były jednostajne, jak zazwyczaj na czytaniu lub szyciu przepędzała znaczną część doby, w chwilach zaś wytchnienia oddawała się miłym marzeniom o dawnych a pełnych uroku godzinach przeszłości. Najmilszém miejscem przechadzek dla Marji, były brzegi rodzinnego jéj morza, to téż nie mogła się nigdy dość nacieszyć widokiem tego butnego olbrzyma, z błękitną piersią a z podniesioną grzywą, co w starości swojéj, tak pełen sił młodzieńczych, tak wielki przestrzenią a rozszalały gniewem, bije z wściekłością o boki nadbrzeżnéj skały i obryzguje ją pianą, jakby urągał się z jéj oporu, w nadziei przyszłego tryumfu. Z upodobaniem słuchała Marja odwiecznych tonów tego wielkiego hymnu, lub przyglądała się błękitnéj, nieskończonéj, wiecznie falującéj przestrzeni i wtedy jéj oczy gubiąc się w przestworzu sięgały daléj i daléj, aż nakoniec, kiedy jéj dusza oderwana całkiem od ziemi przeglądała przez gwiaździsty sklep nieba, patrząc się na nią, rzekłbyś, że to powiewnych kształtów dziewczę, z pozoru tylko ziemską przybrało powłokę, bo w tych chwilach boskiego zachwytu, nie była już ona tą ziemską zwyczajną istotą, ale raczéj nieskończonym duchem, mieszkanką nieba, towarzyszką najwyższéj miłości i nieśmiertelnego piękna.

Jak w owym dniu przemienienia, kiedy rybacy galilejscy ujrzeli szaty i oblicze Pańskie promienne światłością bielszą od śniegu, podobnież i my śmiertelni mamy pewne chwile życia, w których dusza oderwana od ziemskiéj powłoki, w niebieskiém kąpie się świetle.

Wtenczas znikają wszelkie bóle i troski które by nas mogły przykować do ziemi, jak nikną także z serc naszych przyjaciół wszystkie grzechy i zmazy. Wtedy widnokrąg nasz się rozszerza, a każdy przedmiot promieni od złota i drogich kamieni. W podobnych chwilach, nieobecni, dawno niewidziani przyjaciele, okrążają nas w aureoli nieśmiertelnego światła. Jakże są piękne postacie żony, męża, matki, ojca lub czarnookiéj córki, kiedy przestrzeń czasu i miejsca nas od nich dzieli. Mieszkając z niemi i bawiąc się razem widzimy błędy lub słabostki, właściwe każdéj istocie, ale kiedy są nieobecni ci serca naszego ukochani, cokolwiek było w nich dawniéj złego, znika z naszéj pamięci, a ta tylko duchowa część ich najpiękniejsza, przechowuje się i pozostaje z nami. W godzinie zmartwychwstania ujrzymy naszych przyjaciół takiemi zupełnie, jakiemi się nam rysują w owéj pamiętnéj chwili. Wspomnienia owych dni pięknych były przedmiotem rozmyślań Marji, to też drogie dawno niewidziane postacie wyglądały świąteczno i jasno, bez żadnéj plamki, ani skazy na czole, a dawne wrażenia odzywały się w jéj piersiach, niby echo pieśni rodzinnéj, gdy ta w obcéj

doleci nas stronie. (Ten ustęp tak kończy autorka:)

„Zatrzymaliśmy się na chwilę, nad opisem téj pięknéj krainy ideału, jaką w pewnych godzinach stwarza sobie dusza nasza i radzibyśmy przedłużyć tę chwilę uroku, ze względu, że przed nami jest przepaść, któréj przebyć nie możemy bez drżenia. Ale napróżno byśmy zwlekali, prędzéj czy późniéj, tę czarną dolinę przejść nam koniecznie wypada.

Już wieczór zapadał, kiedy Marja powróciwszy z samotnéj przechadzki do domu, przez wpół otwarte drzwi posłyszała rozmowę prowadzoną w pokoju matki. Te były pierwsze wyrazy, które doleciały jéj uszów: „Skoro ta wieść doszła do pani Marvyn, załamała ręce nieboga i padła bez przytomności na ziemię, jakby uderzona piorunem.” Na te słowa złowrogiem przeczuciem zadrżało serce Marji, myśli poplątały się bezładnie w ciemnym labiryncie trwogi, aż w końcu zapadła jéj dusza w stan odrętwienia, jakoż władze jéj umysłu i serca w zupełną na chwilę pogrążone zostały bezwładność.

Pani Scudder i jéj znajoma, Miss Prissy siedziały w nogach łóżka, żywą zajęte rozmową, kiedy drzwi otworzyły się po cichu i Marja podobna więcéj do ducha niż do żyjącéj istoty, prześliznęła się przez próg pokoju i zbliżyła ku nim, z licem bladem jak chusta i z wyrazem nieméj trwogi w dużych błękitnych oczach, poczem z gorączkowém drżeniem położyła dłoń drobną i białą na Miss Prissy ramieniu i rzekła: „powiedz co się to znaczy, on może już nie żyje?” Obie kobiety spojrzały po sobie, poczém pani Scudder wyciągnęła ku niéj ręce i zawołała: O moja córko!—„Matko, matko!” poczem Marja zamilkła i padła na ziemię, z rozwartemi i w słup obróconemi oczami, ale po chwili odezwała się znowu najprzód niewyraźnie z jękiem i łkaniem, a potém nieco dobitniéj:

— Czy pewnemi jesteście tego, czy to być może, ażeby on umarł?

— „Niéma żadnéj wątpliwości moje dziecię. Powiem ci więc tylko, uspokój się i zgadzaj się z wolą Bożą.

— Postaram się być spokojną, ależ Boże, Boże, ja nie myślałam nigdy ażeby on mógł umrzeć.— O matko, droga moja matko, cóż mam począć teraz?....

Położono ją na łóżku, w jéj nogach usiadła p. Scudder w milczeniu, a Miss Prissy poszła po pastora. Skoro wszedł Hopkins do pokoju Marji, znalazł ją leżącą na łóżku z zamkniętemi oczami. Ta jedna krótka chwila wyryła na jéj licu ślady wielkiéj boleści, tak zdała się bladą i zmienioną, jak gdyby długie lata cierpień były jéj udziałem. Tylko lekkie drżenie ust i powiek świadczyło o jéj życiu. Za danym przez panią Scudder znakiem, ukląkł pastor przy łóżku dziewicy i zaczął się modlić. Język modlitwy, wypływającéj ze skruszonego serca, jest wszędzie i dla wszystkich jednakowy. To święte natchnienie, co w łzach boleści i żalu dodaje nam skrzydeł archanioła i odrywając od więzów wznosi aż do nieba, — ta wielka modlitwa dusz szlachetnych, w najtrudniejszych chwilach życia, na szczycie cierpienia lub w godzinie skonu, jest zawsze jedną i tą samą. Cesarz Karol V i Marcin Luter, wielcy dowódzcy dwóch przeciwnych obozów, w ostatniéj godzinie życia, z tąż samą modlitwą w ustach powierzali zapewne ducha Bogu.”

Pragnąc zadość uczynić obowiązkowi sprawozdawcy, nie możemy pominąć pięknego ustępu, w którym z okoliczności ciężkiéj próby jaka dotknęła duszę Marji, tak się wyraża autorka, mówiąc o cierpieniach i troskach życia. „Cierpienie jest rzeczą boską i panuje na tronie świata, boć najświetniejszą ze wszystkich koron, była korona cierniowa. Wiele jest książek traktujących o tajemnicach cierpienia, ale jedna jest tylko, która je wieńczy aureolą chwały i największy smutek, najwyższą nazywa rozkoszą, na wspomnienie téj myśli błogiéj, że przez cierpienie stajemy się członkami tego wielkiego chrześcijańskiego cyklu, na którego czele stanął sam Zbawiciel. Wszechmocna mądrość obdarzyła duszę ludzką siłą, która wzrasta w miarę powiększających się cierpień. Mówią, że nieszczęśliwi po wycierpieniu tortur, doznają dziwnego uczucia zachwytu; jest to reakcyjne działanie naszéj natury, świadczące najwymowniéj o świętych i miłosiernych dążeniach opatrzności.

Po dniach wielkich walk i smutków, musi nastąpić reakcja, bo kiedy ciało upada

pod brzemieniem katuszy, wtedy duch Boży najpotężniéj w nas działa, a niebieską krzepiąc siłą, unosi naszą duszę w krainę uciech i czarów, niedostępną dla wrażeń śmiertelnego świata.

Ogrodnicy, w celu obdarzenia róży zdobniejszą szatą, pozbawiają ją światła i wilgoci w ciągu jednego lata; w takim stanie, pozostaje w cieniu smutna i opuszczona róża, rzucając listek po listku, i zwolna nachylając się ku ziemi. Ale w téj właśnie chwili, kiedy owa róża, utraciwszy już wszystkie listki, zda się być z pozoru dotknięta śmiercią, zadatek nowego życia czynnym jest w jéj pączkach, z których wkrótce mają się rozwinąć bogate i obfite liście z całym przepychem kwiecia i woni. Otóż nim ten kwiat cudny, Boży, nawiedzi ten ogród niebieski, co jest duszą naszą, potrzeba pierwéj porzucić wszystkie ziemskie uciechy, niby te umarłe liście.

Od czasu smutnéj wieści, minęło już kilka miesięcy, a z ich upływem, burzliwy potok uczuć, w strapioném sercu Marji, zamienił się w strumień rzewnego ale spokojnego smutku. Późniéj nastała dla niéj ta błoga cisza, w któréj czystém zwierciadle, jak w wodach uśpionego jeziora przejrzała się jéj piękna dusza, aż nakoniec jéj twarz długo spokojna smutkiem, jak w owych kamiennych posągach rezygnacji, opromieniła się dziwném niebieskiém światłem, tak samo, jak gdyby jaka niewidzialna ręka postawiła świecznik, po za tą uroczą rzeźbą, która jest emblematem smutku i cierpliwości. Wtenczas to, z ust jéj wypływały wyrazy cudnéj anielskiej słodyczy, niby dziwnie urocze dźwięki, wychodzące po raz pierwszy z rozmaitych wrót nieba. A stała się odtąd widoczną jakaś świętość, siła i mądrość w jéj wejrzeniu i słowach, chociaż napróżno byś tam już szukał téj naiwności dziecięcéj, lub potulnego wzroku gołębicy, z nieświadomością, znaczenia smutku lub grzechu. Dość było raz badawczém rzucić na nią okiem, ażeby ją zaliczyć do rzędu wybranych, którzy przepłynąwszy morze burz i niepokojów, obmyli swe szaty we krwi baranka, pragnąc je bielszemi uczynić od śniegu. W jéj oczach jak w obrazie Syxtyńskiéj Madonny, dostrzegało oko widza, z uczuciem zachwytu i trwogi, tę nieznaną głębię, tę niezmierną przestrzeń boskiego spokoju, którego doścignęła jéj dusza, zmierzywszy wprzód cierpień nieprzejrzane ogromy."

Pani Scudder widząc uroczy spokój na licu córki, cieszyła się w duszy, że nadeszła chwila, w któréj będzie mogła przyprowadzić swoje plany do skutku. Jak o tém wspomnieliśmy już wyżéj, najmilszém jej było życzeniem, ażeby Marja zaślubiła pastora. Otóż z tą myślą przyszła do pokoju córki pewnego wieczora i następującą zawiązała z nią rozmowę:

— W téj chwili właśnie mówiłam o tobie z szanownym naszym Pastorem. Wierzaj mi Marjo, że wielkie zalety tego męża, nie są dotąd jeszcze należycie ocenione przez ludzi.

— W istocie matko, on należy do najzacniejszych i największych ludzi na świecie, a przytém tak pełen jest pokory.....

— Kochasz go bardzo, wszak prawda moje dziecię?

— O! bardzo, odrzekła Marja.

— Muszę ci więc powiedzieć, że ten zacny nasz Pastor, prosił mię dzisiaj o twoją rękę.

— O moją rękę! zawołała Marja zdumionym głosem.

— Tak jest, moje dziecię. Żądanie jego nie zadziwiło mię wcale, ponieważ już dawno uważałam w nim chęć oświadczenia téj prośby.

— Więc dawno już wiedziałaś o tém matko?

— Tak jest, a ty Marjo, czy nie uważałaś tego także?

— Nigdy!

Po téj rozmowie nastąpiła chwila milczenia.

Marja stała nieporuszona obok łóżka, z oczami wlepionemi w ziemię, z długiemi rozpuszczonemi włosami, które w nocnym nieładzie spadały na jéj białą szatę. Pani Scudder wpatrywała się z niespokojnością w jéj twarz bladą i nieporuszoną, jak posąg z białego marmuru.

— Niechaj i tak będzie, odezwała się znowu matka.

Głębokie westchnienie było jedyną odpowiedzią dziewicy.

— Kochasz go moje dziecię i nie wąt-

pisz zapewne, że jesteś nawzajem od niego kochaną.

— Tak jest, nieinaczéj droga matko.

— Spodziewam się, że go kochasz więcéj niż kogo bądź na świecie.

— O tak jest, tak! —odpowiedziała zanosząc się od płaczu Marja, —nie ma już tego na świecie, ktorego bym więcéj nad niego kochała. W przeciągłym jęku, który towarzyszył tym słowom dziewicy, mniemałbyś, że słyszysz pożegnalne brzmienia ostatniéj struny młodzieńczych nadziei. — Pani Scudder usiłowała uspokoić wzruszenie Marji, całując ją i obsypując pieszczotami, ale nie mniéj przeto trwała w powziętym zamiarze, którego przyprowadzenie do skutku, uważała za rzecz najzbawienniejszą dla ukochanego dziecka.

Marja, któréj surowe purytańskie wychowanie, wzbraniało ulegać zbytecznie popędom serca, poczytywała okazywanie podobnego wzruszenia, za słabość niezgodną z jéj charakterem i dla tego, użyła całéj mocy duszy, ażeby przytłumić w sobie ten wybuch serdecznego żalu i okazać się spokojną.

— Jeżeli on mię prawdziwie kocha, w takim razie sprawiłoby mu to wielką boleść, gdybym odmówiła.

— Bezwątpienia, przyjaźń jaką mu okazywałaś przez czas tak długi, obudziła w jego sercu nadzieję, że potrafisz za jego miłość równém odwzajemnić się uczuciem.

— Z wyjątkiem ciebie jednéj, kocham go matko więcéj niż kogo bądź na świecie — czy sądzisz, że to już będzie dostatecznem dla niego?

— Jakto? nierozumiem cię wcale, wytłómacz się wyraźniéj.

— Zdaje mi się, że przywiązanie takie jest dostateczném dla zamęźcia i że jak zostanę jego żoną, pokocham go może więcéj.

— Zapewne, kochane dziecię.

— Ale nie mogę tego zataić przed tobą matko, że wolałabym raczéj, ażeby on nie żenił się ze mną, to jest, żeby dawny nasz stosunek pozostał tenże sam na zawsze.

— Wszystkie dziewczęta mówią tak samo przed ślubem.

— Czyż i ty matko myślałaś podobnie w chwili twego zamęźcia?

Zagadniona w ten sposób przez córkę zmięszała się pani Scudder, bo przypomniała sobie, że uczucie jéj dla kochanka, którego wybrała za męża, było tak prawdziwe i serdeczne, że żaden cień wątpliwości ani obawy nie mroczył jéj myśli.

Po chwili namysłu odpowiedziała wzruszonym głosem:

— Moje położenie było zupełnie odmienne od twego, bo mój charakter był pełen siły i woli. Ja mogłam tylko kochać albo nienawidzieć, a oprócz tego, pamiętaj jeszcze o tém Marjo, że nie znałam człowieka, którego bym mogła porównać z twym ojcem.

— Dobrze więc, matko, zrobię jak mi powinność każe. Postaram się uczynić tego człowieka szczęśliwym, dopomagając mu o ile będzie w méj mocy i przyczyniając się z nim razem do uszczęśliwienia ogółu. Bo w rzeczy saméj, to życie jest krótkie, ale dużo powinniśmy czynić dla dobra braci; poczém dodała jeszcze: jak chcesz, niech się tak stanie matko, chętnie oddam mu rękę i zostanę jego żoną.

— O droga córko! to było zawsze najserdeczniejszém, jedyném życzeniem mojéj duszy.

— Jeśli tak jest,—życzenia twoje możesz uważać już za spełnione i cieszę się nadzieją, że błogosławieństwo twe towarzyszyć mi będzie. Wyroki Boga są nieodmienne ale wielkie i miłościwe.

W skutku przytoczonéj rozmowy, pani Scudder udała się do pokoju Pastora i zawiadomiła go o postanowieniu córki.

Szanowny Pastor powitał tę wieść przychylną z uczuciem ale z powagą, jaka wszystkie jego cechowała czynności; podniósł oczy do nieba i dziękczynną wzniósł modlitwę w krótkich, ale pełnych namaszczenia słowach.

Chęć przypodobania, rola światowego kochanka, nie była zupełnie w charakterze Pastora, to też zabiegi jego w celu pozyskania żony były tak nieuczone a przytém nieśmiałe, że jedynie tylko przenikliwy umysł pani Scudder mógł odkryć tę świeżą a tajemniczą stronę jego serca. Niepotrzebnie może dodamy, że postępowanie

jego po danem słowie nie zmieniło się w niczém względem narzeczonéj. Oczekiwał on spokojnie téj chwili, w któréj miał się połączyć z dozgonną towarzyszką życia.

Upłynęło parę miesięcy na oczekiwaniach, a tymczasem przybliżał się już wyznaczony dzień ich ślubu. Większą część tego czasu przepędzała Marja w towarzystwie pani Frontignac, która zawiązawszy z nią ścisłą przyjaźń, schroniła się pod jéj skrzydła przed zabiegami i natarczywością pana Aarona Burr. Pełna powagi i uroczego smutku Marja w poświęceniu się dla przyjaciołki, znajdowała pociechę, która jest dostateczną nagrodą wszystkich dusz szlachetnych.

Nie będziemy zatrzymywać się nad opisem rozlicznych uczuć, jakie napełniały serce Marji, w téj nowéj dla niéj epoce, a przejdziemy do rozwiązania powieści, którą możemy streścić w następującéj osnowie:

Promienie zachodzącego słońca, złociły nagie, nadbrzeżne skały i zagajone drzewami pagórki, kiedy młoda narzeczona powracała z przechadzki i przybliżała się ku domowi w głębokiem pogrążona zadumaniu. Nagle przebudził ją szelest, a zanim odwróciła głowę, usłyszała za sobą głos mężczyzny, który ją zwał po imieniu. Spogląda.... ale postać stojącego przed nią młodzieńca, zdała jéj się być cieniem oddawna niewidzianéj ukochanéj osoby. Zaledwie zdołała sprawdzić tożsamość rysów twarzy znajomego młodzieńca, już była w jego objęciach. Tak, tenże sam, za umarłego poczytywany, Jakób pochwycił ją bladą i chwiejącą w silne ramiona i unosił ku jéj mieszkaniu, a z ust kochanki, od czasu do czasu wyrywały się ciche wyrazy przestrachu, zdumienia, to znowu smutku lub niewymownéj radości, bo cała harmonja rozlicznych tonów odzywała się w tych słowach, jak gdyby za dotknięciem wszystkich najżywszych strun jéj serca. W jednéj krótkiéj godzinie zamknęła Marja opowiadanie trzech lat zawiedzionych nadziei, niepokoju i bólów. Ze swojéj strony, opowiedział Jakób przygody, które były powodem rozgłoszenia fałszywéj wiadomości o jego śmierci. List, który niedoszedł we właściwym czasie do rąk Marji, zawiadamiał ją o wypadku a zarazem o cudownem ocaleniu Jakóba. Odzyskała go więc Marja, tegoż samego, pełnego sił i młodzieńczego zapału Jakóba, owszem, upiększonego moralnie, bo ciężkie próby których doświadczył w podróżach, pogodziły go z samym sobą, z Bogiem, z ludźmi i podniosły duchowo. Radość jéj była wielką, ale myśl smutna omroczyła wkrótce czoło dziewicy, bo odzyskując kochanka, musiała go powtórnie utracić na zawsze. Jakób dowiedział się od niéj o danem Pastorowi słowie, a zarazem o niezłomnem postanowieniu, że dotrzyma święcie danéj obietnicy.

Ta nowa silna walka nieosłabiwszy postanowienia dziewicy, podniosła ją do wysokiego szczytu, do którego dosięgają tylko dusze wybranych, których czoła opromieniają się aureolą cnoty i poświęcenia. Ale nagroda uwieńczyć miała idealną miłość Marji. W chwili kiedy młoda purytanka gotowa już była poprzysięgnąć dozgonną wiarę Pastorowi, w przytomności dawnego swego kochanka, szlachetny narzeczony zrzekł się do jéj ręki prawa na korzyść młodzieńca, z którym połączył ją na zawsze.

Na zakończenie przytoczymy ustęp, w którym tak odzywa się autorka do czytelniczek:

„Jeżeli zdarzyło się wam kiedykolwiek doświadczyć serdecznego, żadną rachubą nieskażonego uczucia, jeżeliście miały nieograniczoną wiarę w bohatera, który był ideałem waszego serca, jeżeli nakoniec miłość wasza była tak wielką, że wszelkie egoistyczne cele i światowe względy, musiały ustąpić przed nią, jak mgły poranne rozwiane w blasku słonecznym, a jeźli w chwili poświęcenia doznałyście gorzkiego zawodu od tego, dla którego każda zdała wam się być małą ofiara,—dziękujcie nie mniéj Bogu za ten jeden promyk niebieskiego światła; wrota zamknięte dla was otworzą się znowu; radujcie się, że ów gość z nieba zawitał do waszéj duszy i pielęgnujcie ten skarb w sobie, jako dar największy waszéj boskiéj istoty.”

Władysław Chomętowski.

O UBIORACH.

Paryż 2 Maja 1861 r.

Jeżeli sądzicie, że Paryż w obec wypadków obchodzących tak całą Europę w ogólności, jako też poszczególnie Francją — spoważniał cały, to się bardzo mylicie. Że społeczeństwami dzieje się tak, jak z pojedynczemi ludźmi. Jeden załzawione oczy wznosi w Niebo, bo mu ciasno, duszno i smętnie, a drugi z pełnéj życia piersi, okrzyk wesela wydobywa, gdyż się czuje silny i szczęśliwy. W Paryżu więc, w tym punkcie ześrodkowującym wszystkie prądy życia wielkiego narodu, jest miejsce na wszystko i wszelkiego rodzaju usposobienia człowieczego ducha, wybitnym pulsem dają znać o sobie. Ci tu pochyleni pracą posuwają naprzód naukę, tamci żyją na giełdzie, lub krytykują pod nosem politykę cesarza i marzą o reformie społeczeństwa; inni posyłają westchnienia i okrzyki zapału tym, których zaledwie ogrzewa w cierpieniu blade słońce nadziei, a wśród ogółu myślących, czujących i spekulujących, zawsze oddziela się pewna gromadka goniąca za uciechą, szałem wesołości spędzająca troskę z czoła.

Więc ta gromadka zawsze, mimo wszystko, bawi się, tańczy, szaleje. Bale, koncerta, zabawy różnego rodzaju następują jedne po drugich a z pośród nich, jeden tylko ogólny głos woła na kobiétę: „Bądź piękną, piękną przedewszystkiem! wtedy tylko wielbioną będziesz! *Il faut embellir l'idole, pour que l'idole soit digne d'être adorée.* My tego do naszych nie zawołamy kobiét, lecz poradzimy im raczéj prawdziwą zasługą jednać sobie szacunek i miłość.

Dużo ubiegających znalazło się w Paryżu o zapowiedziane przez p. Violet: *boite de Jouvence*, niby rodzaj pudełka Pandory z którego mają wysypać się na kobietę wszystkie skarby piękności, ale cóż, nie uczyniono natychmiast zadość licznym obstalunkom, gdyż zawiódł jeden kosmetyk, tam zaś ma być wszystko, co wdzięk twarzy podnosi. Blask oczu przez naznaczenie u ich brzegu ciemnych linji, białość i przezroczystość skóry za pomocą umiejętnie nakreślonych żyłek, rumieńce lica i karmin ust z barwy od roślin zapożyczonéj. Wprawdzie z powodu téj cudownéj skarbnicy Jouvence, ktoś z mężczyzn napisał: „Jakto! piękna kobieta ma być koniecznie podobną do karty jeograficznéj i nakreślać na swych ramionach niby bieg wielkich rzek kuli ziemskiéj?" Lecz na to mu zaraz odpowiedziała jedna z kobiét miny nie tracąc: „Widzę że to napisał ktoś, co się popisuje z tém, że goni za prostotą i naturalnością, ale ręczam, że każda kobiéta tém piękniejszą, i godniejszą kochania mu się wyda, im go lepiéj oszukiwać potrafi."

Paryżanki zaczynają się buntować przeciw owym pancerzom stalą okowanym, które nazywają balonowemi spódnicami: znajdują je nie dosyć giętkie. Więc zaraz nowy pomysł przychodzi uczynić zadość nowemu kaprysowi. P. Leopold Jonas już otrzymał patent wynalazku na *jupe multiple*, spódnicę pomnożoną, lub wieloraką, czy jak to wam jasno wytłomaczyć. Są to nieprzyliczone bufy sztywnego muślinu, podtrzymywane u dołu zręcznie w nich ukrytą stalową obręczą, a z wierzchu przysłonięte ładną, gładką spódniczką. Najtańsze mieć można za kilkanaście franków, ale te które są z wierzchu ozdobnie haftowane, do znacznie wyższéj ceny dochodzą.

I znów przychodzi mi na myśl francuzkie wyrażenie, które mnie wprowadza w kłopot jak go wam dać w wiernym przekładzie. *L'art de se juponner* powiadają francuzki, wiele znaczy w powierzchowności kobiety. Twierdzą nawet, że od téj sztuki ułożenia spódnic, zależy powab jéj ruchów i szlachetność postawy. My mniemamy przeciwnie, że na ten wyraz szlachetnéj godności, bardziéj cały nastrój jéj moralnego usposobienia, niż układ spódnic wpływa. Żeby jednak i tym ostatnim oddać sprawiedliwość, trzeba dodać, że suknia nieco szerzéj przez ich sutą fałdzistość rozłożona, lepiéj kibić kobiecą ubiera, niż żeby w około niéj obwisła, niekształtnie przy nogach się plącząc; ale też kobiéty przesadziły w mierze i goniąc za kształtnością wpadły w karykaturę. Pojąwszy, że się obawiają wąskich sukien żeby w nich nie wyglądały jak parasole w pokrowcach, życzyć im należy pomiarkowania w przeciwnéj ostateczności. Wiosna wywołała już na kapelusze paryżanek fijołki, bzy i konwalje, a nowe materje wełniane środkujące między barężem, i popeliną, lekkich i ładnych dostarczają im sukien.

Jedwabne materje noszą zawsze broszowane lub haftowane i z takich suknie robią się zwykle gładkie. Pięknie wyglądają te, na których rzucik z kwiatów wystaje aksamitnym deseniem. Widzisz tam bratki, niezapominajki, różyczki. Kolory, fabrykanci usiłują odkradać kwiatom. Są materje zielone jak rezeda lub barwinek, ciemno różowe jak fuksja. Nowym materjałem do kobiecego ubioru jest teraz w Paryżu, niezmiernie cienki, przezroczysty muślin do gazy podobny, jednak trwały i prać się dający, znany pod imieniem *gaze en fil d'Ecosse.* Leciuchne czepeczki, powiewne suknie wyrobione z tego materjału bardzo piękne, a prostotą wdzięczne, stanowią ubrania. W ogólności na ulice suknie bez garnirunków uważane są za najstosowniejsze — z gładkich ma-

terji strojniejsze garnirują u dołu spódnicy kilkoma falbankami z czarnéj mantyny przez środek przemarszczonemi (ruches) w pośrodku których mieści się węższa znacznie, kolorowa falbanka, niekoniecznie jednakowego, ale zastosowanego do sukni koloru. Rękawy robią różnych krojów mniéj więcej już znanych—zapięte u ręki zawsze są mniéj strojne — otwarte używają się na większe ubranie, do którego wiele dodają świeżości ozdobne bufy białych rękawków. W ogóle co do mody odezwiemy się do czytelniczek naszych w sposób w jaki odpowiadają paryzkie modniarki cudzoziemkom chciwym najświeższych tego rodzaju nowości.

— Pani, cóż noszą w Paryżu? zapytuje przybyła.

— Ależ pani odpowiada wtedy zwykle z lekkiém zdziwieniem w głosie modniarka, noszą wszystko co jest w dobrym guście.

Paryżanki bowiem nie trzymają się niewolniczo raz przyjętego kroju, ale go często przekształcają stosownie do swéj twarzy, postawy i upodobania i słusznie, że te co tworzą mody odzieży i pod tym względem na szeroką przestrzeń ziemi dyktują prawa, próbują wszystkiego, jak co komu lepiéj przypadnie.

Warszawa.

Z przyczyny wyjątkowego zimna w tym roku, zaledwie w pierwszych dniach maja, mogłyśmy zdjąć te nasze poczciwe, ciepłe, długie salopy z futrem, których krój zrodził nasz klimat ostry, z których z początku wyśmiewają się trochę francuzki, dla tego że nie widziały takich na paryzkich bulwarach, ale które nakoniec rozgościwszy się u nas, same sobie sprawić rade, jeżeli tylko.... mają za co. Zdaje się jednak, że już je schować można bezpiecznie do jesieni i futrzany zarękawek, na chroniący od słońca parasolik zamienić. Sklepy też nasze przygotowały już dosyć takowych, najwięcéj z *pou-de-soie* czarnego z białą potrzewką. Na strojniejszych są ozdoby z sieczki i obszycia z koronek i te w cenie do 10 i 12 rubli dochodzą. Przezorne jednak i oszczędne kobiéty, które zwykle chodzą piechoto, wolą się zaopatrzeć w parasoliki średniéj wielkości, zwane *en tout cas* dla tego, że mogą być użyte zarówno jako ochrona od słońca, lub od deszczu, a które po 4 i 5 rubli dostać można.

Kapelusze zawsze podnoszą nad czołem pękiem kwiatów, wstążek lub garnirowaniem sutszém niż po bokach. Kwiaty z piórek czarnych, lub z krepy są bardzo używaną do nich ozdobą. Skromny kapelusz z brukselskiéj słomki, ubrany wstążką i objęty u brzegu ronda na cal szerokiém obłożeniem czarném, można dostać za 6 rubli. Strojniejszy, ubrany kwiatami czy koronką, lub z cieńszego gatunku słomki, do 10 rubli w cenie dochodzi. Widzieliśmy u p. Klementyny niezmiernie lekki i elegancki kapelusz włosiany popielaty, ubrany kwiatami z piórek, za cenę 72 zł. *Tudor* lub *Ecossais* dla młodych osób z piękném piórem do 10 rubli w cenie dochodzi.

Nadszedł także do tego magazynu transport różnych okryć wiosennych i letnich, w cenie od złp. 70 do 200. Zauważaliśmy jedno ochrzczone mianem *polki*, coś nakształt dawnych surdutów damskich i dawniejszych jeszcze kontusików, zrobione z czarnego *pou de soie*, niezmiernie ozdobnie wykończone, uwydatnia kibić całkowicie i kształtnym osobom będzie bardzo do twarzy. Cenę téj polki oznaczono nam na 450 złp. Taniéj nieco miéć można okrycie poważniejsze, długie, z równie tęgiéj materji wyrobione, wszystkie jednak okrycia czarne, tak jedwabne jako też i wełniane droższe są od popielatych i bronzowych. Wielki zapas mantyl, burnusów i paletotów, sprowadził także p. Włodkowski, są one duże w ogólności, gdyż takie teraz używane. Okrycia letnie, mogące się prać, są nawet bardzo dostępnéj ceny, bo od 2 ½ do 5 rubli, daléj wełniane od 9 do 20 rubli. Są bardzo kształtne popielate obszywane plissą z czarnéj mantyny, są z kapturami piękniéj ułożonemi niż u owych zeszłorocznych beduinów, w cenie od 22 do 30 rubli. Widziałam tam także czarny paletot z peleryną z koronki *guipure*, któréj końce aż do dołu, niby szlak szeroki spadały. Wprawdzie koronka jest trwała i może być do czego innego użyta, ale cena 500 złp. czyni ten ozdobny paletot nie dla każdego dostępny.

Pikowania białe na czarném, wypustki białe przy czarnych mantyllach, są niezmiernie w modzie. Długie żale cesarzowéj Eugenji po stracie siostry, żałoba na innych europejskich dworach sprawiła, że barwa smutku stała się panującą barwą i odziewa zarówno tych, których boleść dręczy i którzy swą szatę pragną uczynić téj boleści wyrazem, jak i tych dla których jest tylko nieco oryginalniejszą odmianą zewnętrzną.

Oprócz gładkich, suknie z falbanami zawsze są używane, tylko ich dają albo pięć do dziesięciu drobnych, albo też nad jedną trzy ćwierci łokcia szeroką, dwie lub trzy wąziutkie. Widziałyśmy suknię z popielatéj wełnianéj materji obszytą plissą takąż samą, szeroką do pięciu cali, na kilka cali od brzegu spódnicy podniesioną, a obszytą po dwóch stronach, na cal szeroką, czarną wstążeczką fałdowaną *tuyauté*. Ta plissa podnosiła się z prawego boku na łokieć przeszło w górę, w ząb spiczasty, który trzy czarne duże guziki, niby linją pionową przecinały. Takiż sam wystrój z fałdowanéj wstążeczki otaczał rękawy i stanik w kształcie zuawskiego kaftanika. Na innéj znowu sukni także szarego koloru uważałyśmy taki wystrój. Na pół łokcia przeszło długie pasy z czarnéj

materji, obszyte także po dwóch stronach fałdowaną wąską wstążeczką i razem z nią nie dochodzące czterech cali szerokości, rzucone były ukośnie na samym dole spódnicy, w niespełna półłokciowych przestankach, tworząc tym sposobem niby szlak złożony z wydatnych linji pochyłych, na tle jaśniejszém. Suknie czarne kaszmirowe lub tybetowe obszywają albo wodą z czarnéj mantyny, albo też dwoma na cztery cale szerokiemi jedwabnemi falbankami, dodając taki sam wystrój do rękawów i stanika; suknia taka tworzy ubranie pełne dobrego smaku.

Staniki robią jak zwykle; wycięte, do większego ubrania i wtedy kładzie się pelerynka z białéj lub czarnéj koronki, a zwyczajne suknie zapięte pod szyję z wystrojem z wstążki z przodu, lub też z klapami otwieranemi. Do najgustowniejszych ubrań na ulicę liczy się suknia z paletotem z tegoż samego materjału. W rękawach żadnéj ważnéj zmiany. Zręcznie rysują kibić i dobre są na dnie chłodne rękawy gładkie od łokcia i spięte u dłoni, a koronką lub wyłożonym mankiecikiem zdobne, od ramienia zaś do łokcia bardzo szerokie, w kontrafałdy ułożone i tworzące dużą, spadającą bufę.

Z materji jedwabnych, wiele przywieziono kratkowanych w wązkie prążki czarne na tle perłowém lub popielatém; deseń zwany *chiné* na materjach jedwabnych wraca się znowu; szerszych dostanie w dobrym gatunku po dwa ruble łokieć, węższych po 8 do 9 złotych.

Oprócz dawnych bareżów i *barége crinoline* przybyły piękne lekkie wyroby zwane *gaze grenadine* celujące przezroczystością i połyskiem. Są one w rzucik, lub w kratki srebrzyste, po 5 złp. łokieć a na suknię dostatnią 24 łokcie wychodzi. Do nieco gęściejszych a bardzo pięknego pozoru materji należą — wełniane, lub mieszane z jedwabiem zwane *mozambique* najczęściéj w rzucik haftowany szydełkiem. Téj materji szerokości podwójnéj kosztuje łokieć złp. 8, węższa z jedwabiem mieszana, mogąca być użyta na strojną lekką suknię, sprzedaje się po sześć złp. łokieć.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Kwiaty ze skóry. Kwiaty te naśladują rzeźbę z drzewa i służą do ozdoby ram, lub szkatułek drewnianych. Potrzeba wziąść po 1-sze skórki cielęcéj, lub baraniéj jak najcieńszéj wyprawnéj na kolor naturalny; po 2-ie machinek oznaczonych numerem 1—2—3—4, które każdy ślusarz zrobić potrafi, podług załączonego rysunku; po 3-cie wykrojonych z tektury wzorów liści i płatków kwiatowych, jakie używają do roboty papierowych kwiatów; po 4-te ćwieczków ćwierć zamkowych i lakieru czystego bez koloru, który się sprzedaje w składach, flaszka po złp. 3. Przygotowawszy to wszystko, trzeba wyciąć podług wzorów, płatki kwiatowe i listki ze skóry i moczyć je 24 godzin w zimnéj wodzie, poczém wyjmują się i osączają z wody suchą gąbką. Weź wtedy żelazko Nr. 1 i wyciskaj nim żyłki na listkach, według rysunku na liściach bukietu wyrysowanego na naszej tablicy — do listków kwiatu róży, które nie potrzebują żyłkowania, biorą się żelazka z gałkami Nr. 2 stosując wielkość gałek do wielkości listków, które z lewéj strony wytłaczają się aby były wypukłe. Tak powytłaczane i pożyłkowane listki pozostawić trzeba aby należycie wyschły — wtedy dopiéro pociągają się lakierem—jeżeli chcemy aby były ciemniejsze można je pociągnąć raz, drugi i trzeci uważając jednakże, aby za każdém pociągnięciem dobrze wyschły. Bukiet większy, lub mniejszy stosownie do wielkości szkatułki drewnianéj, lakierowanéj na kolor skóry, układać należy na wierzchu według deseniu bukietów na naszéj tablicy oznaczonych numerem 5 i 6, każdy listek należy przybijać ćwieczkiem, uważając aby jeden na drugi zachodził, żeby ćwieczków znać nie było — najlepiéj przy każdym listku zostawiać kawałek skóry, niby szypułkę i ćwieczek w nią wbijać, przytrzymując go dla wygody tłuczkiem oznaczonym Nr. 3—Pod Nr. 4 jest szpikulec którym przekłuwa się otwór dla włożenia ćwieczka.

Numer.	
10, 11,	Kołnierzyk i mankietki ściegiem pośpiesznym (point de poste) lub atłaskiem.
12, 13,	Kołnierzyk i mankietki na batyście szerokiém płaskiém dzierganiem.
14, 15,	Wstawka szeroka i wstawka węższa;
16, 17, 18,	Czepeczek dla małego dziecka z dwóch kwaterek i środkowéj wstawki.
19, 20, 11,	Narożniki do chustek.
22, 23, 24,	Cyfry.

25, zasłona przed Najświętszy Sakrament (ombraculum), deseń z wystawy aparatów kościelnych w Warszawie. Potrzeba wziąść łokieć kanwy białéj, półjedwabnéj (cena złp. 4 gr. 15), bajorku złotego 3 luty, (lut złp. 2 gr. 15), kilka sznurków białych mlecznych paciorków i złotéj tasiemki łokci 30, (łokieć gr. 5), narysowawszy najpierw deseń na kanwie, wszywa się ją w krosienka i wyszywa kielich i kłosy bajorkiem pokrajanym w kawałki, wielkości piątéj części cala, nasuwając na każden ścieg jeden kawałek na igłę nawleczoną żółtym jedwabiem. Hostja zarabia się paciorkami, krzyżyk zaś w pośrodku czarnym jedwabiem, ściegiem krzyżowym—szlak do koła wyszyć potrzeba złotą tasiemeczką. Robota ta pięknie się wydaje oprawna w ramy białe, ze złotemi ozdobami.



Rozrzewniony król objął jéj szyję, złożył pocałunek na czole i kreśląc znak krzyża, rzekł: „Bóg z tobą dzieweczko" str. 75.

WSPOMNIENIA RODZINNE.

(Dalszy ciąg).

III.

Pochodzenie i ród synowéj Jana III.—Helena Starembergówna ochmistrzyni księżniczki Teressy Kunegundy.—Matka Delorme, pierwsza przełożona panien Sakramentek w Warszawie.—Młodość Maryi Wesslównéj i jéj opowiadania bratance Klementynie (matce Tekli). — Ojciec królewicowéj starosta Rożański. — Wizerunek Jana III, życie domowe tego monarchy w Willanowie, prace jego i nawyknienia.—Marja Kazimiera, charakter jéj, stosunki z mężem, rodziną i dworem.— Scena gniewu i nieukontentowania.—Francuz Hebel i stłuczone popiersie.— Życie w Willanowie.—Ministrowie polscy zwani ramionami króla. — Synowie królewscy, ubiór ich cudzoziemski i nieukontentowanie króla.—Książe Jakób.—Niefortunna konkurencja. — Zdrada Austryi. — Dobra Radziwiłłowskie.—Zwyczaje na dworze Willanowskim.— Dziwna miłość i zaręczyny. — Powrót Marji Wesslównéj do klasztoru. — Pożegnanie z królem. — Złowieszcze przeczucia.— Uczennice w kapitularzu klasztoru PP. Sakramentek.— Wieść przerażająca.— „Dzieci módlcie się za dusze wielkiego króla waszego Jana III." — Kilka słów o tym monarsze.—Jakób Sobieski kasztelan krakowski, ojciec króla.—Charakter i usposobienie Jana III. — Król elekcyjny.—Dziś i jutro.

Marja Józefa Wesslówna, starościanka Rożańska, królewicowa Polska, pochodziła z jednéj z najmożniejszych i najzasłużeńszych szlacheckich rodzin w kraju. Protoplasta jéj a pradziad królewicowéj Stefan Wessel, hetman ziemi Siedmiogrodzkiéj

przybył na jakiś czas przed Stefanem Batorym do Polski, gdzie został powołanym na podkomorstwo Nowogrodzkie. Syn jego Szczęsny walcząc przy boku króla, w nagrodę męztwa otrzymał kasztelanją Ciechanowską. Franciszek krajczy koronny i Wojciech chorąży nadworny na polu bitwy, pod Byczyną i Połockiem za panowania Zygmunta III życie swe równie jak i majątek dla ojczyzny poświęcili. Pierwszy z nich wystawił kościoły w Makowie i Dziektorzewie, drugi był fundatorem istniejącéj dotąd świątyni ojców Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu w Warszawie. Jan wojewoda Płocki fundował klasztor Reformatów w Pułtusku, żył za Jana Kazimierza i bił się tęgo przeciw Szwedom. Ojcem królewicowéj był Stanisław Wessel, starosta Różański, matką zaś Helena z hrabiów Starembergów, córka słynnego gubernatora stolicy Austrji, w chwili jéj oblężenia przez Turków. Starosta Rożański znajdując się przy królu w czasie pamiętnego pod Wiedniem zwycięztwa 1683 r. poznał nadobną Starembergów córę i za zezwoleniem monarchy pojął ją za małżonkę. Ojciec młodéj dziewicy, nie sprzeciwił się temu związkowi, skoro poznał jéj skłonność dla polskiego rycerza. Położył jednak za warunek aby starościna Różańska, posiadała odpowiedni wysokiemu swojemu urodzeniu urząd, w domu królowéj polskiéj, następnie aby pierwsze dziecko zrodzone z jéj małżeństwa z panem starostą, w Wiedniu na świat przyszło. Stało się zadosyć życzeniom hrabiostwa Starembergów; dobry król Jan chcąc skojarzyć gorąco upragnione przez ulubieńca swego małżeństwo, wszelkim wymaganym warunkom zadosyć uczynić rozkazał. Helena Starembergówna w wilją ślubu zastała na swéj gotowalni nominacją na ochmistrzynię dworu księżniczki Teressy Kunegundy córki królewskiéj, w rok zaś potém za pozwoleniem kamery dworu, wyjechała do Wiednia, gdzie przyszła na świat córka jéj Marja Józefa Wesslówna, późniejsza królewicowa polska. Helena Starembergówna, aczkolwiek gorąco od męża kochana, nie znalazła szczęścia na dworze do którego ją duma rodzicielska tak stanowczo i nieodwołalnie przeznaczyła. Częste wycieczki starosty Różańskiego, to w głąb, to za granicę Rzeczypospolitéj z polecenia królewskiego czynione, pozostawiały biedną starościnę w oddaleniu od męża, dla którego ojczyznę i rodziców porzucić musiała. Cierpki charakter Marji Kazimiery, duch intrygi i zawiści ogarniający wszystko co ją otaczało, niemiłym czynił Helenie pobyt u jéj dworu. Chcąc uniknąć częstych stosunków z królową, oddała się z całą sumiennością swym obowiązkom domowym, oraz wychowaniu siedmioletniéj księżniczki Kunegundy, do któréj prawdziwie macierzyńską przywiązała się miłością. Dobra jéj wola, silny jednakże znalazła opór ku temu w charakterze wychowanki. Księżniczka miała drażliwe i dumne usposobienie Marji Kazimiery. Lubo nie tyle chciwa, może więcéj jeszcze przejęta była wrodzoną ambicją i pychą. Starościna Różańska codziennie walczyć musiała nie tylko z nieswornym charakterem dziecka ale z obojętnością na jego moralne ukształcenie matki i słabością ojca.

Królowa zajęta drobiazgowemi intrygami dworu, frymarczeniem urzędów i korrespondencją pokątną z zagranicą, niewidywała prawie nigdy dzieci swoich. Król zaś aczkolwiek najlepszy ojciec, nie umiał utrzymać potrzebnéj karności w rodzinie. Biedna ochmistrzyni pociechy i pomocy nigdzie znaleść nie mogła, a w nadmiar przykrości, wychowanie jedynaczki swojéj w obce oddać musiała ręce. Okoliczność ta niemniéj jak częste wycieczki męża i dworskie niesnaski gorzko wpłynęły na jéj zdrowie. Skutkiem łez i bezsenności zapadła na chorobę piersiową. Złe olbrzymim postępując krokiem wkrótce zniweczyło wątłą istotę i Marja Wesslówna przedwcześnie została sierotą. Starosta Różański zawsze publicznemi zajęty sprawami, nie widywał prawie córki, a królowa znudziwszy sobie opiekę dziecka, oddała je do klasztoru. Wiadomo, że Marja Kazimiera dla dopełnienia ślubu uczynionego, w chwili rozpoczęcia wojny przeciw Turkom, wystawiła kosztem swoim kościół i klasztor panien Sakramentek w Warszawie. Sprowadzone do niego zakonnice, założyły instytut wychowania panien, w którym początkowo kształciły się tylko córki panów, wyższéj szlachty i osób dworu królewskiego. Pierwszą przeoryszą

tego klasztoru była matka Delorme [1]) rodem francuzka połączona kiedyś z staróściną Różańską węzłem serdecznéj przyjaźni. Pod jéj to wpływem i bezpośrednią opieką przez lat sześć wychowywała się Marja Józefa Wesslówna. Od niéj zaczerpnęła hart bogobojny, który jéj nie odstępował wśród najboleśniejszych chwil życia lub uciech świata.

W krótkich przerwach nauk, jak *np.* w czasie wakacji, świąt, lub pobytu ojca w Willanowie, często do ulubionéj królewskiéj rezydencji robiła wycieczki. „Były to najszczęśliwsze chwile mego życia" mawiała do swéj bratanki Klementyny Wesslównéj, późniejszéj matki Tekli. Oglądałam zawsze wtedy ojca świeżo przybyłego z podróży, miewałam różne rozrywki i zabawy których sama nadzieja czyniła już lżejszemi, długie klasztornéj ciszy godziny. Nie mogę w ogóle narzekać na chwile mego dzieciństwa, lubo w siódmym roku straciłam matkę, pieszczoty jakiemi obsypywano mnie w klasztorze, nie pozwalały mi czuć goryczy sieroctwa. Czule kochałam ojca, on też chcąc mi wynagrodzić częste chwile rozłączenia, wbrew ówczesnym zwyczajom w stosunkach rodziców z dziećmi, nie szczędził mi pieszczot i pobłażania."

Król Jan III pełen uprzejmości i dobroci dla swych dworzan szczerym polubił affektem śliczną starosty Różańskiego dzieweczkę. Bywało że księżniczka Teressa Kunegunda w towarzystwie młodéj Wesslównéj odwiedzała ojca w poobiednich godzinach. Zimny i ponury charakter córki nie przystawał jakoś do pełnego szczeroty i szlacheckiéj otwartości humoru króla. Pieszczoty jego przyjmowane niekiedy z pewnemi oznakami niecierpliwości, zwracały się często ku córce przyjaciela; w rzadkich chwilach swobody lubił się z nią bawić i rozmawiać wesoło, o każdéj zaś prawie porze dnia miała przystęp do jego gabinetu. W ostatnich latach życia Jan III otyłością nękany, lubił nie raz zadrzemać. Zdarzało się często wtedy, że mała staróścianka wszedłszy na ławeczkę za jego krzesłem stojącą, lekko go ręką po głowie głaskała. Pewnego razu gdy się ocknął a Marja z bojaźni odejść chciała, wstrzymał ją mówiąc nieco chrapliwym głosem: *pozostań dzieweczko.* Stosunki staróścianki z królową były nie równie rzadsze, widywała ją tylko niekiedy w porze obiadowéj gdy schodziła do dolnych komnat, gdzie była sala jadalna. Okazje wszakże te nie często się zdarzały, gdyż królowa zmiennego humoru zwłaszcza w owym czasie domowych niesnasek z księciem Jakóbem, pod pozorem zdrowia, rada była jadać w wewnętrznych swoich pokojach. Nikt się nie uskarżał na to chwilowe zamiłowanie samotności, gdyż Marja Kazimiera, o tyle była przez swych dworzan nienawidzoną, o ile swemi wymaganiami przywidzeniami i przesadą, nabawiła ich nieraz trwogi i kłopotu. Wszystkie wszakże swe kaprysy odkładała zazwyczaj na dnie powszednie prywatnego pożycia z mężem, dziećmi i dworzanami, więcéj zbliżonymi do jéj osoby. W dniach przeznaczonych na wielkie przyjęcia, lub gdy raczyła usiąść do stołu wraz z królem, dygnitarzami koronnemi i często nawiedzającemi Willanów cudzoziemcami, przeobrażała się zupełnie. Była wesoła, wiele mówiąca, uprzejma i dowcipna, mówiła zwyczajnie po francuzku lubo i polską nie źle się wyrażała mową. Miała wiele łatwości w wysłowieniu, ale zbyt mało rzeczywistego wykształcenia. Była nadzwyczaj przesądna; przewrócona solniczka na stole, sztuciec na krzyż złożony, nieparzysta liczba biesiadujących strachem i gniewem ją przejmowały. Nieomieszkiwała wtedy okazywać marszałkowi całego swego nieukontentowania, usta jéj ściskały się konwulsyjnie, a skry sypały z oczu zwróconych zwyczajnie na króla. Kto ją widział wówczas zbliska pewno nie byłby marzył aby ta kobiéta tak przesądna i drobiazgowa uchodzić mogła kiedyś za najrozumniejszą, i za najdowcipniejszą niewiastę swojego czasu [1]). Jest niezaprzeczonym faktem, że

[1]) Była ona sprowadzona wraz z innemi zakonnicami przez królowę Marję Kazimierę z Francji, najprzód do Lwowa a potém do Warszawy. Dla tego klasztor Sakramentek był początkowo instytucją czysto francuzką a język nadsekwański jest tam dotąd urzędową mową i nawet wiele modlitw i nabożeństw starofrancuzkim językiem po dziś dzień odprawiane bywają. (*Przyp. Aut.*)

[1]) Marja Kazimiera de la Grange, córka margrabiego d'Arquien kapitana gwardii przyboczéj księcia Orleanu, przybyła do Polski z Marją Ludwiką Gonzagą, któréj matka jéj była ochmistrzynią. Jako wdowie po Janie Za-

mąż jéj zarówno intrygom, jak własnéj sławie i zwycięztwom zawdzięczał koronę.

Wyuczona kiedyś na dworze Marji Gonzagi, któréj była faworytą, owych dworskich manewrów, ciemnemi i krętemi drogami wiodących do wielkich celów, wdowa po hetmanie Zamojskim, przygotowała elekcją króla wpierw, niż protegujący ją gabinet wersalski o niéj pomyślał! Ta kobieta, która w czasie elekcji męża tak znaczącą potrafiła odegrać rolę, po jego śmierci nie umiała być ani królową, ani matką.

W czasie, w którym Marja Wesslówna przebywała w Willanowie, królowa miała lat około 50 zachowując jeszcze ślady niepospolitéj piękności. Wesslówna rzadko ją widywała, gdyż Marja Kazimiera nigdy prawie nie przychodziła do pokoju księżniczki, z którą zwykle przebywała. Wiadomo że królowa polityką zajęta żadnego w moralném wychowaniu dzieci nie brała udziału, a tém samém przebywać z niemi w komnatach na ich mieszkanie przeznaczonych nie mogła. „Nie wiem, mówiła często królewicowa do swéj synowicy, nie wiem czemu to przypisać, czy wrodzonéj mojéj nieśmiałości, czy téż przeczuciu trosk i nieszczęść, których dla mnie w poźniéjszych latach, królowa stać się miała przyczyną, ale mimo swéj wielkiéj piękności ta kobiéta nieopisaną we mnie wzbudzała trwogę. Gdym ją zdaleka widziała uciekałam jak od zapowietrzonéj, lub kryłam się drżąc cała od strachu.“

Mimo wielkiego wpływu i widocznéj przewagi królowéj nad mężem miała i ona czasem chwile, w których potrzebowała wezwać do siebie całéj zręczności i dyplomatycznéj przebiegłości, na jaką jéj wyuzdana duma zdobyć się mogła. Kto wié, czy tym chwilom panowania nad własnemi namiętnościami, nie zawdzięczała uległości męża wszystkim jéj zachceniom, wiemy albowiem, że charaktery słabe po wybuchu nieukontowania, tém skorzéj wracają pod ulubione jarzmo. Otóż król Jan był czasami jak wiadomo w prywatnych swych z żoną stosunkach gwałtowny i porywczy, były to chwile i przechodnie chmurki na horyzoncie ich pożycia, których przejście wynagradzał słaby małżonek, stając się powolnym wszelkim kaprysom i wymaganiom kobiecym. Marja Kazimiera znała charakter męża i bardzo zręcznie umiała nim na swą korzyść władać. Dla tego, mimo znanéj swéj gwałtowności, w obejściu z królem stawała się słodką, łagodną, przymilającą i zalotną. Taktyka ta tak była zręczną i pewną w swych następstwach, że Jan III śmiały i nieugięty w boju, wyraźnie słabł i malał w obliczu swéj żony. Co więcéj, nie mógł znieść najmniejszego jéj zachmurzenia, a jéj łzy i smutek były największą jego pożycia małżeńskiego plagą.

mojskim, wojewodzie sandomirskim r. 1665, nuncjusz papiezki Odescalchi, pózniejszy papież Innocenty XI dawał ślub z w. hetmanem koronnym Janem Sobieskim, do którego wyniesienia na tron w lat 10 późniéj wpływem swoim, intrygami, nie mniéj się przyczyniła, jak wielkie zwycięztwa jéj męża nad Ottomanami. *(Prz. Aut.)*

Nie trzeba sobie wszakże wystawiać, aby system łagodności przez królowę przyjęty, nie ulegał czasami zmianie i najzupełniejszemu przeobrażeniu, stosownie do kapryśnego i zmiennego jéj humoru. Bywały chwile w których francuzka gniewem i namiętnością miotana, wychodziła w obec króla z granic przez siebie przyjętego planu postępowania, a nawet i przyzwoitości. Następny wypadek przez Marją Wesslównę synowicy swéj opowiadany, ten odcień w charakterze stosunków między małżonkami istniejących najwydatniéj wyraża: „Pewnego dnia (mówiła Marja) w godzinach poobiednich, towarzyszyłam księżniczce w jéj odwiedzinach u króla. Zajęte obie zabawkami, które dobry ten ojciec w gabinecie swym dla nas gromadził, siedziałyśmy na małych taborecikach w środku komnaty, gdy hajduk będący na służbie, raptownie drzwi roztworzył i donośnym zawołał głosem: Królowa! Na te słowa księżniczka zerwała się i spojrzała ku drzwiom z wyrazem niezadowolenia, ja zaś jednym skokiem znalazłam się za biórkiem królewskiém, gdzie w framudze w murze wykutéj, obrałam sobie schronienie. Pozostałam tak przez cały czas rozmowy królowéj z swym małżonkiem. Te odwiedziny Marji Kazimiery w gabinecie królewskim, zdarzyły się w pośród jéj najzaciętszych z księciem Jakóbem niesnasek. Królowa chodząc po komnacie i niby rozmawiając o rzeczach potocznych, śmiejąc się i łatki przypinając niektórym dworzanom, ujęła

jakby przez roztargnienie stojące na biórku króla, popiersie syna swego Jakóba, a bawiąc się niém, położyła w kącie na marmurowéj spluwaczce. Król czy nie uważał, czy też nie chciał dla świętéj zgody zwracać na to uwagi, dość, że popiersie tak pozostało.

Nazajutrz hajducy królewscy porządkując komnaty pałacowe, spostrzegli popiersie królewica tak niewłaściwie położone. Nie wiele myśląc, przenieśli je i postawili na zwykłém miejscu. Król, który zrazu nie wielką przypisywał wagę temu czynowi rozdąsanéj matki, pozostawił je na swém biórku, aleź jakie było przerażenie małżonka, gdy dnia następnego królowa przybywszy do gabinetu, przypadkiem zwróciła oczy na nieszczęśliwe popiersie. „Czyż i tu, wyjąknęła z gwałtownością, w miejscu gdzie jestem pod opieką i obroną W. K. Mości, znosić muszę widok strasznéj fizjognomji moich najzaciętszych wrogów?... precz ztąd ta postać niewdzięcznego syna, albo noga moja w téj tu komnacie już nie postoi.” To mówiąc, schwyciła gwałtownie popiersie księcia i rzuciwszy je o ziemię, wybiegła szybko z gabinetu królewskiego. Na hałas upadającego popiersia wbiegł kamerdyner francuz Hebel, widząc po ziemi szczątki alabastru, podjął je w milczeniu i wyszedł z komnaty. Kamerdyner ten, (ciągnęła daléj Marja) acz francuz rodem i szczodremi łaskami królowéj obsypywany, o tyle jéj nienawidził, o ile szczerém a nader rzadkiém u jego rodaków, do króla przywiązał się uczuciem. Bywało, że Hebel bez poprzedniego rozkazu, ale chcąc panu swojemu oszczędzić widoku łez, dąsów i złego humoru Marji Kazimiery, nie omieszkał nigdy uwiadomić go, gdy królowa zbliżała się do jego gabinetu, skrzętnie zbierając papiery i przedmioty, mogące stać się powodem jakiéj sceny nieukontentowania lub rozczulenia.

Gorszący wypadek z posążkiem księcia Jakóba, był zapewne głównym powodem téj przezorności.”

Z powyższego opowiadania królewicowéj Marji łatwo pojąć można, jak przykre wspomnienia małżonka Jana III, w dziecięcéj jéj wyobraźni pozostawiła.

Marja bała się jéj jak ognia; do téj dziecinnéj trwogi, nie mało zapewne przyczyniło się instynktowe przeczucie srogich męczarni, które szlachetnemu jéj sercu w późniejszym czasie dumna królowa zgotować miała. Dla tego o ile pamięć dobrego króla drogą była sercu Wesslównéj, o tyle postać Marji Kazimiery w późnéj nawet starości, w strasznych jéj się przedstawiała barwach. Przemieszkując w klasztorze po raz trzeci i ostatni, królewicowa nigdy o niéj nie wspomniała, a gdy zmuszoną była czasami rzucić okiem na jéj portret na ścianie jednego z korytarzy klasztornych zawieszony, odrywała wzrok od niego, blednąc i szepcąc po cichu pacierze.

Ale wróćmy się jeszcze do pierwszych lat życia Marji Wesslównéj i jéj pobytu w Willanowie. Życie codzienne w téj królewskiéj rezydencji, nie różniło się niczém od życia powszechności naszéj zamożniejszéj szlachty; król wstawał regularnie o godzinie piątéj z rana, pił buljon i jadał na śniadanie jedną potrawę z wołowiny lub baraniny, którą niezmiernie lubił, po czém przechadzał się po ogrodzie do godziny ósméj. Główném jego zajęciem w owych godzinach, było przypatrywanie się robotom koło jednego ze skrzydeł pałacu, którego budowa jeszcze w roku 1686 rozpoczęta, stanowczo za jego życia ukończoną być miała. W tych rannych godzinach wsparty na ramieniu Hebla, lubił się przechadzać z placu budowli do ogrodu i znów z ogrodu na miejsce budowli, osobiście robotami kierując. Tu też siedząc na krześle, pilnie śledził najdrobniejsze szczegóły wznoszącego się gmachu, chwaląc jedne, przyganiając drugim z rzadką trafnością i znajomością rzeczy. Z miejsca fabryki kazał się zwykle zanosić na krześle ku Wiśle, gdzie według jego planu wykonywane były plantacje drzew i roboty zabezpieczające od wylewu rzeki. O ósméj wracał do gabinetu, gdzie przyjmował ministrów, już to stale przy nim w Willanowie zamieszkałych, już też z Warszawy z raportami przybywających. Dygnitarzy tych zwanych: *ramionami króla*, nie licząc hetmanów było siedmiu, jako to: wielcy marszałkowie, koronny i litewski, podskarbi koronny i litewski, podkanclerzy koronny i litewski, oraz marszałek nadworny.

Kilku z pomiędzy nich musiało zawsze być w bliskości króla, zajmowali więc pokoje prawego już wykończonego skrzydła. Gdy przyjeżdżali z Warszawy, mieli przywiléj, że ich poszóstna kareta, otoczona paziami i hajdukami na koniu, zajeżdżała przed sam pałac, kiedy prywatni musieli piechotą przebywać całą przestrzeń, dzielącą bramę od pałacu. Przywilej ministrów mieli tylko: prymas, biskupi, senatorowie i posłowie obcych dworów.

Godzina pierwsza z południa, była godziną obiadową w Willanowie, do téj też godziny, król codziennie z ministrami pracował. Po obiedzie, po zwyczajnéj drzémce, dawał posłuchanie, poczém łącznie z królową przyjmował odwiedziny cudzoziemców, posłów zagranicznych, senatorów, przedniejszych panów, uczonych wszystkich narodów, zwłaszcza polskich i francuzkich, których towarzystwo bardzo lubił i wysoce cenił.

O godzinie dziesiątéj, zwyczajnie wracał do swych pokoi, gdzie długo w noc czytywał. Życie króla w Willanowie było ściśle rodzinne. Synowie królewscy, z wyjątkiem księcia Jakóba, zamieszkiwali pokoje obok ojcowskiego gabinetu. Jan III wielce się zajmował ich wychowaniem, kierował naukami, uczył musztry i zręcznego władania szablą.

Mimo swéj nieszczęsnéj dla rodziny słabości, monarcha ten niezmiernie pilnował tak dzieci jako ich nauczycieli i najsurowiéj regularności w naukach przestrzegał. W brew powszechnie wówczas przyjętego zwyczaju, nie tylko na obcych dworach, ale u zamożniejszych polskich rodzin, dzieci królewskie jadały z rodzicami i dworzanami, zwłaszcza gdy dwór znajdował się w Willanowie, w Żółkwi lub innéj wiejskiéj rezydencji. W czasie w którym Marja Wesslówna chwilowo zamieszkiwała w Willanowie, wszystkie dzieci królewskie z wyjątkiem księcia Jakóba zostawały przy rodzicach. Książe Jakób przemieszkiwał zwykle w Paryżu, rzadko się w Willanowie pokazywał, a od czasu niesnasek z królową nierównie rzadziéj odwiedziny swe ponawiał. „O ile zapamiętać mogę (mawiała Marja Wesslówna) książe Jakób nosił się zwyczajnie po francuzku, na wzór wielkich panów dworu Ludwika XIV. Frak czarny lub granatowy aksamitny, złotem i jedwabiem haftowany, wielkiemi stalowemi guzami zdobny, spiczaste w palcach trzewiki ze złotemi sprzączkami, długie jedwabne czarne pończochy, płaski, trójkątny kapelusz pod pachą, pudrowana peruka *z harbetilem* w tyle, mała szpada, zwana rożenkiem, oto był zwyczajny strój królewica. Dziwną on przestawiał sprzeczność z podgolonemi głowami, długiemi żupanami, wylotami i szablami królewskich dworzan. W owym bowiem czasie, moda francuzkich strojów nawet u dworu nie była się jeszcze rozpowszechniła, zwłaszcza u mężczyzn."

Powierzchowność księcia Jakóba, lubo Marja Wesslówna jako o synu swego dobroczyńcy z przyjaznem uprzedzeniem mówić mogła, nie była ani miła ani zajmująca. Jakkowiek młody jeszcze (mógł mieć lat około 30) książe Jakób nieprzyjemne na umyśle Wesslówny pozostawił wrażenie. Nic w jego powierzchowności nie zwiastowało syna bohatérskiego pogromcy Turków; o ile Jan III był miły, uśmiechający się, pięknego wzrostu, prawdziwie polskiéj szlacheckiéj twarzy, o ile dzielnie wyglądał w czamarze i przy litym pasie, o tyle najstarszy z jego synów, niski, trochę ułomny, blady i ponury, z głosem cienkim i piskliwym, unikający ludzi i nawzajem od nich unikany, sympatycznym dla młodego serca i umysłu Marji być nie mógł.

Królewic w rzadkich swych jak to już powiedzieliśmy w Willanowie odwiedzinach, zwykle przesiadywał w przeznaczonych dla siebie komnatach, nader rzadko pokazując się na pokojach zamkowych i to tylko w dniu uroczystego przyjęcia. Odwiedzał czasami króla w jego gabinecie i to w godzinach w których nie spodziewał się, zawsze niemiłego z matką spotkania. Królowa nie mogła mu przebaczyć świeżo jeszcze doznanego upokorzenia, które na dom królewski i własną osobę nieszczęsném swojém przeznaczeniem, a może też niezręcznością sprowadził. Jak wiadomo niefortunna konkurencja o wdowę po Ludwiku, margrabi Brandeburgskim, jéj wiarołomstwo i miłość na korzyść piękne-

go i do szczepu starych panujących rodzin należącego współzawodnika, wzbudziło w sercu Marji Kazimiery niecierpliwość i gniew, które nieszczęśliwie na stosunki jéj z synem oddziaływały. Żeby odgadnąć dostatecznie powód gniewu matki i upokorzenia syna, potrzeba nam się wrócić nieco w przeszłość tyle bogatą w różnorodne dla rodziny Sobieskich wypadki.

Znane jest w dziejach imie księcia Bogusława Radziwiłła, który zrodzony z niemki, brandeburki, w wierze kalwińskiéj chowany, niecnych dopuszczał się względem ojczyzny swojéj, Rzeczypospolitéj polskiéj przekroczeń. Na wieczną nazwiska swego zakałę był za Jana Kazimierza w obozie szwedzkim, a odstępcę od lennictwa Rzeczypospolitéj, wuja swego elektora brandeburgskiego, otwarcie i żarliwie popierał. Niechęć swą ku własnéj ojczyznie zachował do śmierci, jakoż w testamencie swoim opiekę nad małoletnią córką i ogromnym majątkiem temuż elektorowi zostawił. Księżniczka Ludwika Radziwiłłówna, chowana przez swego opiekuna w Królewcu, nagle z rozkazu elektora przewiezioną została do Berlina, gdzie jako najbogatsza może w Europie spadkobierczyni, została przedmiotem ubiegania się o jéj rękę wielu książąt z domów panujących. Elektor wszakże nie bacząc na prawa polskie nie dozwalające Radziwiłłównie zamęźcia z cudzoziemskim księciem, przeznaczył ją dla swojego syna margrabiego Ludwika, który ją w r. 1681 zaślubił. Nie długo trwało to małżeństwo — w lat siedm margrabia Ludwik zszedł z tego świata pozostawiając młodą wdowę, jako cel nowych zabiegów i intryg. Królewic Jakób z namowy matki, łaknącéj przywłaszczyć domowi Sobieskich tytułem małżeństwa ogromne na Litwie Radziwiłłowskie majątki, wyjechał do Berlina, gdzie się zaprezentował na pokojach elektorowéj wdowy, nieżyjącego już elektora Wilhelma, opiekuna i ojca pierwszego męża Ludwiki Radziwiłłównéj. Młody elektor jakkolwiek nie bardzo sprzyjający projektowanemu z księciem Jakóbem małżeństwu, nie śmiejąc wszakże narażać sobie króla polskiego, obojętném zrazu na zabiegi królewica patrzał okiem, ale w końcu znaglony namowami posłów, polskiego i francuzkiego, bratowę swoją skwapliwie do tego małżeństwa namawiać począł. Młoda wdowa bez żadnego przywiązania, jedynie z namowy uroczyście swą rękę królewicowi polskiemu przyrzekła i dzień ślubu naznaczyła. Gdy się to dzieje dwór austrjacki, ściśle związkami rodzinnemi z domem elektorów na Falzu połączony, chciwy także dla krewnego małżeństwa z bogatą wdową, wysyła do Berlina młodego księcia Neuburgskiego, którego piękna powierzchowność, układ i dowcip, nader niebezpiecznym czyniły dla księcia Jakóba współzawodnikiem. Ludwika Radziwiłłówna poznała młodego krewnego domu rakuzkiego na bankiecie u posła austrjackiego i łatwo odgadnąć następstwo téj pierwszéj znajomości; wywiązała się z niéj miłość dwojga młodych. Uczucia téj pary wspierane przez posła austrjackiego, który jéj w własném mieszkaniu widzenie się ułatwiał tém silniéj wybuchły, im więcéj w osobistém położeniu Radziwiłłównéj przeszkód znalazły. Korzystała ona z wyjazdu księcia Jakóba do Warszawy, aby się z ulubionym, węzłem małżeńskim potajemnie w kaplicy poselstwa austrjackiego połączyć. Elektor i elektorowa matka w trudném bardzo byli położeniu, przeczuwali prawdę, stali między sprzecznymi interessami dwóch potężnych domów, przeważnie na losy Brandeburgji wpływających, którym narazić się nie mogli i nie chcieli, chcąc więc uniknąć odpowiedzialności niegodziwego wiarołomstwa, umyślili wyjechać z Berlina. Po ślubie, nowożeńcy nie pożegnawszy się z dworem, na zawsze opuścili stolicę, udając się na mieszkanie do Hamburga. Łatwo odgadnąć wrażenie, jakie wiadomość o téj brzydkiéj intrydze zrobiła na dworze Jana III i w całéj Rzeczypospolitéj. Królewic Jakób mocno tą sprawą dotknięty, osobiście poniżony i upokorzony, zamknął się w swych pokojach w Willanowie i przez kilka tygodni z nich nie wychodził. Któż zdoła opisać gniew i nieukontentowanie Marji Kazimiery! Rozdąsana francuzka, nie mogąc na nieszczęście poruszyć gabinetu wersalskiego, pamiętnego jéj intryg i zawiści przed wojną turecką, całą burzę na głowę nieszczęśliwego męża i syna zwróciła. „Chwila zerwania mał-

żeństwa księcia Jakóba z Ludwiką Radziwiłłówną, rozpoczęła (mówiła Marja Wesslówna) nieszczęśliwy okres kłótni i niesnasek członków rodziny Sobieskich między sobą i zatruła ostatnie lata panowania nieszczęśliwego a dobrego króla. Naród polski zawsze wielki i szlachetny, gwałtownie uczuł obelgę wyrządzoną monarsze i bohatérowi swemu. Powstała w sejmie silna partja, chcąca uchwalić konfiskatę dóbr Radziwiłłównéj, ale środek ten gwałtowny i barbarzyński odrzucony został przez zdrowszą część izby, a zwłaszcza przez samych litwinów, którzy poparci osobistém zdaniem króla, wskazali całą jego niedorzeczność i gwałtowność przeciwną duchowi praw Rzeczypospolitéj. Projekt konfiskaty upadł sam z siebie, a Jan III jął się środka legalnego i bardziéj z wrodzoną jego prawością zgodnego. Poseł polski w Wiedniu uroczyście zaprotestował przeciwko małżeństwu wdowy po margrabi Brandeburgskim, z księciem Neuburgskim, a nuncjusz papiezki w imieniu swego dworu w słowach pełnych uszanowania i względności acz prawdy, postępowanie domu Rakuzkiego potępił. Cesarz nie mogąc bezwstydnéj swéj, w całéj téj sprawie interwencji zaprzeczyć, użył tu środka, którego się zawsze dwór jego we wszystkich dyplomatycznych trudnościach chwytał, środka oddalenia złego i kłopotliwego położenia, przez wybiegi.

Zaprojektowano małżeństwo księcia Jakóba z siostrą nowo zaślubionego męża Ludwiki Radziwiłłównéj, oraz cesarzowéj żony Leopolda I-go. Jeżeli księżniczce Jadwidze Eleonorze nie brakło na pokrewieństwie z domami wielkich rodzin panujacych, posag jéj zbyt szczupły nie mógł iść w porównanie z fortuną, dóbr Radziwiłłowskich dziedziczki. Ale jakkolwiek znane było zamiłowanie do pieniędzy królowéj, inny był powód pierwotnego odrzucenia ze wzgardą przez dwór willanowski austrjackiéj propozycji. Polska i szlachecka krew Jana III-go sprawiedliwie oburzyła się na ten duch drobiazgowych intryg i machiawelskich pokuszeń dworu którego przed parą laty zwycięzkim swym orężem od niewoli Ottomańskiéj wybawił. Przez lat cztéry nie było mowy o projektowaném małżeństwie, w końcu dopiéro niewyczerpana nigdy duma królowéj, widząc w niém podwyższenie rodu Sobieskich przez bliskie połączenie z domem austrjackim, wymogła na królu pozwolenie i książe Jakób poślubił r. 1692 księżniczkę Jadwigę Eleonorę, siostrę szczęśliwego swego współzawodnika. Księżna ta wcale się w Willanowie za pamięci Marji Wesslównéj nie pokazywała. Jak się domyślano, kwestja etykiety grała wielką rolę w oziębłości obojga księstwa dla rodziców. Królowa zawiedziona w nadziejach bezpośredniego połączenia syna z domem rakuzkim, z góry traktowała jego żonę, któréj pochodzenie nie tyle jéj się być zdawało świetném. Królewic szczerze do żony przywiązany, nie śmiał jéj narażać na przyjęcie, którego chłód zawczasu przewidywał. Zamieszkiwała młoda para już to w Paryżu i Wiedniu, już też na Szląsku w zamku Oławskim, który od cesarza Leopolda I-go na własność nabyła. Królewic Jakób był synem chrzestnym króla Ludwika XIV-go i królowéj angielskiéj i zawsze bardzo mile w Wersalu bywał przyjmowany. Monarcha Francji, mimo swéj niepohamowanéj dumy, miewał dla księcia chwile czułości i w listach swych do Jana III-go i Marji Kazimiery mianem *notre fils* go wspominał. Na lat sześć przed zgonem Jana III-go królewice Aleksander i Konstanty mieszkali jak to powiedzieliśmy w Willanowie i daleko sympatyczniejsze, zwłaszcza drugi, od brata w sercach i umysłach dworzan, pozostawili wrażenie. Książe Aleksander najdorodniejszy z braci, przypominał ojca, lubo mu brakło téj wspaniałéj a szczero-polskiéj postawy, którą się odznaczał Jan III.

W młodości swojéj, książe Aleksander podobieństwem do ojca, serca ku sobie nęcił, ale bliżéj poznany, odpychał pewnym egoistycznym chłodem, który tworzył dziwną sprzeczność z pełném czerstwości i świeżości jego obliczem. Lubił polowanie i zabawy, a nad to wszystko cenił wygody życia, którym wszystko, a nawet koronę poświęcił. W pierwszéj młodości swojéj był złośliwy, psotny, samolub, nadzwyczajnie psuty od matki. Królowa serdecznie się śmiała z figlów, które płatał dworzanom, zowiąc je dowcipnemi. W obejściu

jego nie było nigdy téj szczeroty, cechującéj wiek młody; miał on rodzaj wesołości docinkowéj, lekceważącéj, złośliwéj i pogardliwéj, zupełnie antypatycznéj naszemu plemieniu. Obok tych cudzoziemskich przywar w obejściu jego i mowie wszystko obczyznę przypominało; zwykle ubierał się i wyrażał po francuzku, co tém było dziwniejsze że z wyjątkiem królowéj i przebywających obok niéj cudzoziemców nie wielu z dworzan królewskich mowę nadsekwańską rozumiało.

Najmłodszy z braci Konstanty odznaczał się od młodości nader grzecznėm i miłém obejściem; był faworytem króla i jego dworzan. W dziejach równie jak bracia nie celował ambicją i rozumem, jak oni—lubił pieniądze i wygody—zresztą sąd o nim Marji Wesslównéj możnaby posądzić o parcjalność. Nie brakło wojskowéj odwagi wszystkim trzem książętom, ale odwaga u nas tak była pospolitą, że raczéj należałoby wspomnieć ludzi, którzy jéj nie mieli a takich podobno nie wieluby się znalazło. Oba młodzi królewice wpisani byli do kompanji muszkieterów króla francuzkiego, w któréj początkowo służył ich ojciec i często można ich było widzieć ubranych w czerwonéj ze złotem kurtce i białych pantalionach. Jan III zawsze wierny polskiéj długiéj sukni niechętnie na ten kusy, cudzoziemski spoglądał ubiór, lecz tolerował go przez wzgląd na królowę, która niezmiernie lubiła wszystko, co jéj przypominało chwile dzieciństwa i pierwszéj młodości. Dnia jednego w rocznicę urodzin króla obaj książęta wystąpili w mundurze muszkieterskim chcąc mu złożyć swe życzenia. Marja Kazimiera z powodu uroczystości dnia tego, raczyła zejść do jadalnych komnat. Król siedząc u stołu wpatrywał się jak zwykle z miłością w świeże i rumiane młodych królewiców twarzyczki. Nagle, jakby lekka chmura usiadła na wypogodzonych zwykle rysach jego oblicza, i rzekł obróciwszy się do królowéj, *nie nada się polska korona do téj kusej katanki.* Nikt nic nie odpowiedział, królowa tylko gniewem zapłonęła, oczy jéj zaiskrzyły się, lecz niby żartując, zbyła króla nic nie znaczącą odpowiedzią. Urodziny królewskie przypadły właśnie w wigilią wyjazdu młodych książąt do Paryża, gdzie się ostatecznie w sztuce wojennéj kształcić mieli.

Marja Wesslówna wiekiem najwięcéj zbliżona z księciem Konstantym, o lat trzy tylko od niéj starszym, bawiła się z nim często. Wspominała zawsze, że w dzieciństwie swojém okazywał on wolę silną i nieprzepartą, ale te przymioty zwykle bohaterskie cnoty zwiastujące, stawały się u niego dziecinną igraszką i uporem, bo nigdy nie wychodziły po za obręb życia domowego. Mała starościanka żywością, prostotą i dowcipem zwróciła uwagę trzynastoletniego chłopca. W młodocianym szale poprzysiągł on sobie, że żadna inna, tylko Marja Wesslówna, żoną jego będzie.

W dniu tym bawili się oboje na tarassie zamkowym. Gdy zadzwoniono na wieczorną modlitwę, dziewczynka pobiegła żywo do kaplicy i z właściwą niektórym dzieciom pobożną żarliwością odmawiać poczęła pocichu, ukląkłszy przed obrazem Matki Boskiéj, oficium, które ją matka Delorme nauczyła. W téj postawie była nader zajmującą—złote, bez pudru i po dziecinnemu zaplecione warkocze, spadały na łabędzią szyjkę, duże, niebieskie, wyraziste oczy zwrócone ku Niebu słały modły za ojca, Polskę i ukochonego jéj sercu króla. Młody królewic Konstanty, rzuciwszy piłkę ulubioną swą rozrywkę, pobiegł za nadobną towarzyszką i uklęknąwszy obok niéj, wyrzekł donośnym głosem te słowa: „*Przysięgam ci Marjo tu, przed ukrzyżowanym Panem Jezusem i Matką jego Najświętszą że obieram cię sobie za żonę i ożenię się z tobą gdy wrócę do Polski.*” Dwóch dworzan królewskich modlących się w kaplicy było świadkiem téj dziecinnéj igraszki noszącéj wszakże w sobie zaród rzeczywistości. Wkrótce słowa królewicza rozniosły się błyskawicą po zamku. Śmiano się z egzaltacji dziecka, która zresztą bardzo była w porę na rycerskim Jana III dworze; śmiał się i król skoro mu słowa przyrzeczenia powtórzono. Siedział on właśnie na swém krześle, gdyż jak wiadomo na czas jakiś przed śmiercią coraz bardziéj otyły, z trudnością suwał ciężkiemi kroki po posadzce. Kazawszy przywołać do siebie księcia, pogłaskał go po kręcących się w pier-

ścienie blond włosach: *Mój ty kotku*, [1]) rzecze do niego, *bywały przykłady, że królewice polscy w czternastym roku życia wychodzili na wroga ojczyzny i bili się potężnie, ale ty prawiąc niewiastom androny w tym wieku, za prawdę zbyt rano dojrzewasz.* Nazajutrz królewice udali się do Paryża gdzie zostawali pod okiem rodziny swéj matki do chwili, w któréj powołani przez króla wrócili do ojczyzny, aby mieć udział w ostatnich jego wycieczkach

nianym stołeczku u nóg matki Delorme, z zaciekawieniem właściwém młedym panienkom, słuchała opowiadania zajmujących zdarzeń jéj życia i podróży; nie przeczuwała biedna dziecina, że dla niéj gotował się cios, mający niesłychaną goryczą zaprawić pierwsze krople, które z czary życia połknąć miała. Jak wiadomo robiła ona częste z klasztoru do Willanowa wycieczki. Dnia jednego wracając napowrót do Warszawy, jakiémś przeczuciem wiedziona, za-



Przysięgam ci Marjo, tu, przed ukrzyżowanym Panem Jezusem, że obieram cię sobie za żonę.

do Multan i Wołoszczyzny. W czasie w którym królewic Konstanty zabawiał się już nauką, już téż i wojaczką. Marja wychowywała się i rosła w błogiéj niewinności i swobodzie, wśród murów klasztoru panien Sakramentek. Tu wśród zabaw i pląsów z towarzyszkami, lub siedząc na drew-

[1]) Tak bowiem nazywał król księcia Konstantego. Wiadomo że miał zwyczaj każdemu z dzieci swoich pieszczotliwy przydomek dodawać, i tak np. księcia Jakóba, nazywał *fanfan*, jak to widzimy w własnoręcznych listach po nim pozostałych. (*Przyp. Aut.*)

pragnęła przed wyjazdem upaść do nóg swojego króla i dobroczyńcy. W Willanowie widzenie się z monarchą, dla jego dworzan zwłaszcza wielce było ułatwione, gdyż Jan III, zamieszkawszy w ostatnich latach życia, ulubioną swą letnią rezydencję już jéj prawie nie opuszczał. Tu tryb jego życia, więcéj zbliżony do zachowania się zamożnego obywatela niż wielkiego narodu władcy, tém milszy mu się stawał, im mniéj był najeżony formami etykiety, któréj anty-

patycznie nie lubił, chociaż był tylko królem elekcyjnym. W ostatnich latach mało się już oddawał sprawom państwa, a zniecierpliwiony już to dumą polskich panów, już też dwuznaczną polityką niby przyjaznych sobie dworów austrjackiego i francuzkiego, a nieustannie kuszony przez chciwą bogactw królowę, powiedzmy to z bólem serca, sam już o niczem nie myślał tylko o sposobach pomnożenia skarbów, które w spuściznie miał dzieciom zostawić. Jakkolwiek zaślepiony w ich przymiotach, nie mógł się wyzuć o tyle zdrowego o rzeczach sądu, aby rozumem i sercem nieodgadnąć, groźnéj dla domu swego przyszłości.

Przyznać sobie musiał w końcu, że w żadnym z synów następcy nie zostawia. Im więcéj wzrastało w nim to przekonanie, tém bardziéj wzmagała się żądza zbierania dla dzieci skarbów. Gdy Marja weszła do gabinetu, zastała króla przechadzającego się po komnacie swym ciężkim i potoczystym krokiem. Ubrany był w zwyczajną czamarkę u góry na dużą srebrną klamrę zapiętą, opierał się na bambusowéj o złotéj gałce lasce, gdyż na lewą nogę widocznie chromał. Jedenastoletnia już wówczas Marja Wesslówna podniosłszy nieśmiałe wejrzenie na króla, mocno się zasmuciła widokiem jego oblicza jaśniejącego zwykle zdrowiem i pogodą, dziś zaś powleczonego jakimś złowrogiem wyrazem smutku i tyle zastraszającym sino-jaskrawym rumieńcem, zwykłym posłannikiem gwałtownego krwi uderzenia. „*Odjeżdżasz to już dzieweczko*, rzekł ze zwykłą dobrocią do młodéj swéj faworytki, *a kiedy tak, toć cię trzeba jakimś podarkiem obdarzyć.*“ Mówiąc to przeszedł do swojéj sypialnéj komnaty, zdjął nad łóżkiem wiszący różaniec, o którym wyżéj wspominaliśmy (opisując zamek Pilicki i scenę Marji z synowcami swojemi) i okręcił go u lewéj ręki dzieweczki wyżéj dłoni, a spostrzegłszy że ją zbyt wolno okałał, dorzucił, przysłabym już nieco głosem: „*No dzieweczko, jest nadzieja że ta ręka urośnie i zmężnieje, gdy ją będziesz składać módl się za moją grzeszną duszę.*“ Tu rzucił wzrokiem na wizerunki królowéj i książąt, wiszące nad jego łóżkiem — *módl się za nich — módl się za pomyślność Rzeczypospolitej*, dodał głęboko wzdychając i całując starościankę w czoło, na znak pożegnania; ale Marja stała nieporuszona, nie miała odwagi oddalić się od swego dobroczyńcy. Przeczucie, że go już nigdy na téj ziemi nie zobaczy, opanowało jéj serce, drżąca i zalana łzami, rzuciła się do nóg jego, objęła je swemi rączętami i zanosząc się od płaczu rzekła: „Błogosław Najjaśniejszy Panie.“ Rozrzewniony król objął jéj szyję, złożył pocałunek na czole i kreśląc znak krzyża wyrzekł: *Bóg z tobą dzieweczko.* Marja powstała, szybko wybiegła z komnaty, gdyż sobie przypomniała, że Jan III nie lubił przydługich scen rozczulenia. Wkrótce potém siadła z ojcem do kolasy, aby opuścić podobno na zawsze już Willanów.

Dnia 10 lipca 1696 r. w cztery tygodnie po powrocie do klasztoru, starościanka Różańska w towarzystwie swych koleżanek, zajęta była nauką chóralnego śpiewu w kapitularzu miejscowym, gdy nagle otworzyły się drzwi i weszła matka Delorme. Zjawienie się przełożonéj w niezwykłéj wizyt godzinie, bladość jéj lica, drżenie głosu, oczy nabrzękłe, łzami zalane, głęboki smutek malujący się na twarzy, zwiastowały jakąś okropną nowinę. Jakoż, tak było w istocie; zawołała: „*Dzieci! módlcie się za duszę wielkiego króla i dobroczyńcy waszego Jana III.*“ Na te słowa krzyk boleści rozległ się po kapitularzu — wychowanki królewskiego domu na głos płakać zaczęły. Każda z nich przypominała sobie, to miłe spojrzenie, to słówko zachęty, to wesoły uśmiech, którym ich obdarzał w czasie odwiedzin klasztoru, zmarły królewski opiekun. Kochające serce Marji, stratę tę dwójnasób uczuło, a zdrowie jéj nawet od owéj chwili mocno się zachwiało. Szlachetna dziecina często z uczuciem przyciskała do ust, podarowany jéj przez nieboszczyka króla różaniec; nie rozstała się z nim nigdy późniéj, umierając zaś, w trumnie z swém ciałem złożyć go kazała.

Nim rozdział ten zakończę, powiedzieć muszę jeszcze słów kilka o królu, któremu mieliśmy sposobność przypatrzeć się wraz z czytelnikiem, w kilku zarysach jego domowego życia.

Jakób Sobieski, kasztelan krakowski, ojciec Jana III, był jednym z najoświeceń-

szych ludzi swego czasu. Zaszczytnie znany jako rycerz, dyplomata i dziejopisarz, powierzył wychowanie swych synów niejakiemu Orchowskiemu, herbu Nałęcz, obywatelowi ziemi chełmskiéj, człowiekowi powszechnie poważanemu i wielce zdolnemu, który godnie odpowiedział położonemu w sobie zaufaniu. Okoliczność ta wyświeca dla czego Jan III, mimo swéj powolności dla żony cudzoziemki zachował serce, obyczaje i wyobrażenia szczero polskie. W czasach pierwszéj jego młodości już zaczynał bierali początkowe wychowanie pod okiem rodziców w Żółkwi, następnie Orchowski opatrzony w słynną, dotąd nam jeszcze przez dzieje przekazaną instrukcją Jakóba Sobieskiego dla synów, wyjechał ze swemi uczniami Janem i Markiem do Krakowa gdzie słuchali w tamecznéj szkole głównéj, filozofii i nauk starożytnych. Objechali następnie całą Europę, zatrzymawszy się najdłużéj w Paryżu, gdzie Jan Sobieski nabrał na dworze, najwytworniejszym w owym czasie, owéj wysokiéj kultury i zamiłowania



Dzieci! módlcie się za duszę wielkiego króla i dobroczyńcy waszego Jana III.

rozszerzać się u nas zgubny obyczaj powierzania wychowania młodych polskich panów francuzom i włochom, którzy kształcili ich raczéj na cudzoziemców i kosmopolitów niż na porządnych Rzplitéj obywateli. Jakób Sobieski nie poszedł jak widzimy, za tym przykładem, pragnął przedewszystkiém kształcić synów swoich na mieszkańców ziemi na któréj się zrodzili, ale nie mniéj chciał aby jeżdżąc po cudzych krajach zaczerpnęli u obcych nauki i światła, których w domu nie dostawało. Młodzi Sobiescy potowarzystwa uczonych, które do śmierci zachował. Przyszły król polski, zaciągnął się do kompanji muszkieterów, utworzonéj przez kardynała Richelieu, ale służba wojskowa była tylko chwilowém jego zajęciem, obok poważnych nauk, którym się głównie oddawał. Uczył się Sobieski u obcych z tém głębokiém przekonaniem, że nabytki te z korzyścią współobywateli na niwie ojczystéj zaszczepić potrafi, jakoż przywiózł z obczyzny politykę i zasady, które niestety! niesforność i wzajemne kłótnie

członków jego rodziny, urzeczywistnić w przyszłości nie pozwoliły. W końcu panowania, gdy mu nie stało obozowego życia i wojennych wycieczek, oddawał się nauce którą szczerze miłował i miał obszerne wiadomości, a między innemi głęboką znajomość jeografii, wielu wówczas błędami skażonéj; zapuszczał się w głębiny metafizyki, którą szczególnie lubił—posiadał dokładnie kilka języków, czytywał wiele i z pożytkiem. Wśród ważnych politycznych zajęć i domowych kłopotów, w licznych swych podróżach, miał zwyczaj, nim się udał na spoczynek, wieczorami wertować przez dwie godziny, księgi treści już to dziejowéj, już filozoficznéj — z zachodnią cywilizacją łączył właściwą narodowi swojemu rycerskość, gorącą wiarę, otwartość, prostotę — mimo gwałtownych czasami wybuchów złego humoru, których nie tylko rodzinie i bliższym domownikom, ale ministrom i senatorom nie szczędził; był zwyczajnie łagodny, wesoły, miał tę staropolską szczerotę, która go wielce i powszechnie od narodu kochanym czyniła. Smakował w towarzystwie uczonych cudzoziemców, był przecież ostatnim królem polskim, który w obejściu i mowie zachował ojczyste tradycje. Dwór Sobieskiego, mimo wielorakich istniejących w jego łonie żywiołów, był duchem, myślą i obyczajem polski, w całém tego słowa znaczeniu.

Jan III, ta najdzielniejsza i najpoetyczniejsza postać naszych dziejów, w ostatnich czasach stawiony był przed sądem potomności, więcéj może pamiętnéj następstw zbyt porywczéj polityki, niż rzeczywistych jego cnót i zasług. Zarzucają Sobieskiemu powolność radom żony, cudzoziemki złośliwéj, porywczéj i samolubnéj, nieumiejętność korzystania z odniesionych zwycięztw, łatwowierność w stosunkach z obcemi dworami, odmawiają mu nawet wielu koniecznych dla króla i wojownika zdolności. Sobieski nie był owym wielkim geniuszem, tworzącym lub prześcigającym wiek swój, nie miał daru proroctwa i jasnowidzenia przyszłości, którymi Bóg od czasu do czasu obdarza wybrańców swoich; był przedewszystkiém żołnierzem i politykiem swojego czasu, błędy jego należą ściśle do wieku i narodu, są prostém następstwem ducha czasu, wynikiem instytucji Rzplitéj.

Jan III, który w innych rządu warunkach, byłby wielkim politykiem i ekonomistą, w charakterze króla elekcyjnego, stał się drobiazgowym zbieraczem łask i honorów u obcych, bo natura ludzka słaba i ułomna snadno się nagina pod naciskiem zewnętrznych okoliczności i wypadków. Monarcha rozpoczynający dynastją (a takim jest każden monarcha elekcyjny), wyrzeka się zdrowych o interesie swéj korony pojęć. Aby przybrać ton i postawę monarchy dziedzicznego, skarbi sobie uznanie i wsparcie dla siebie i rodziny u obcych panujących, choćby ze szkodą państwa. Téj konieczuéj początkujących dynastji polityki, któréj nie jednokrotnie skutki świeżo jeszcze widzieliśmy w bieżącém stuleciu, stał się nasz Jan III ofiarą. Gdyby nie szlachecka próżność połączenia herbów z herbami domu Rakuskiego, a powiedzmy jeszcze, gdyby nie konieczności ówczesnéj polityki, ogólne usposobienie opinji narodu, zresztą osobiste światłego i pobożnego króla wyobrażenia, monarcha ten nie byłby porzucił korzystnego z Francją przymierza. Darmobyśmy przypisywali ten wypadek jedynie przeważnemu królowéj wpływowi, objawiającéj się w łonie sejmu przeciw Francji opozycji, lub jak chcą niektórzy świeżo odkrytemu jakoby przez ambasadę francuzką, uknutemu na życie króla spiskowi. Sobieski nie był tchórzem i tysiące mieczów nad głową mu zawieszonych, nie byłyby zmieniły jego zdania w toczącéj się kwestji rozejmu z Francją, gdyby rycerski Jana III charakter, jego gorąca wiara, wrodzona miłość ludzkości, a może, jak to powiedzieliśmy, wola narodu i szlachecka próżność głośnéj kolligacji, nie były ostatecznie przemówiły na korzyść przymierza z Austrją. Dziś widzimy skutki téj polityki, ale któż obliczyć zdoła następstwa zwycięztwa Kara-Mustafy pod Wiedniem, wzięcie téj stolicy i rozszerzenie się potęgi otomańskiéj w samém sercu chrześcijańskiego świata? Kto wyrzecze że wielki wezyr zdobywca i pan południowéj Słowiańszczyzny, Węgier i części wschodnio-południowéj Niemiec, nie byłby zwrócił krwawéj pożogi ku Krakowu, aby Polskę wziąść we dwa

ognie. Turcy trzymali wówczas Kamieniec z którego ustąpić nie chcieli — niebezpieczeństwo zatém nie od Niemiec i Austrji, lecz od Turcji groziło. Sobieski nie mógł być obojętnym na nie. W owych jeszcze czasach, chrześcijaństwo rzeczywiście a nie z nazwiska istniało, mocarstwa europejskie, miasto czychać na zobopólne wydarcie sobie zdobyczy, przy każdéj przyjaznéj okoliczności, solidarnie były związane przeciw zawsze grożącemu sobie od Wschodu niebezpieczeństwu. Polityka Sobieskiego warunkująca się jak zawsze na względach chwili obecnéj, nie mogła gruntować swych działań na ewentualnościach nigdy nie zbadanéj przyszłości. Niewyrozumiałość w sądach o wielkich dziejowych postaciach dzielimy ze wszystkiemi narodami opłakującemi swą przeszłość, a będącemi przecież w całéj sile życia i dojrzałości — co dowodzi, że niedola tak zbiorowa jak indywidualna, nie przyczynia się do wpojenia bezwarunkowéj wiary w ludzi i w siebie. — Co więcéj zbyt porywczo i nieoględnie kładziemy na karb indywidualnéj woli i wiedzy fakta historyczne, które najczęściéj są zrządzeniem wyższéj przewodniczącéj losem społeczeństw woli. Życie narodów liczy się na lat tysiące a wydanie sądu o pewnym okresie czasu, nie jest dziełem jednego lub nawet kilku pokoleń. Sławne pod Wiedniem zwycięztwo ocaliło chrześcijaństwo i cywilizacją.

Kto wie czy ten Wschód którego potędze bohaterski nasz król pierwszy zadał cios, nie stanie się w niedalekiéj już przyszłości polem, na którém ważyć się będą losy najgorętszych europejskich zagadnień.

(*D. c. n.*)

JAKIEM BYĆ WINNO ŻYCIE KÓŁEK NASZYCH DOMOWYCH.

Kółko domowe jest rodzinnego szczęścia przystankiem, narodowych uczuć, pojęć i cnót kolebką, a żywotném społecznego łańcucha ogniwem.

Od skromnéj wieśniaka chaty, od ubogiego podstrysza, kryjącego nędzę niejednéj miejskiéj rodziny, aż do dworów i pałaców możniejszych, kółko domowe jest i było po wszystkie czasy, w najrozmaitszéj formie i treści, powiernikiem najskrytszych naszych myśli, uczuć, cnót, przywar, cierpień lub radości.

Dzieje kółek domowych byłyby żywym obrazem człowieka, jakim jest w rzeczywistości, po za sceną świata, w całéj nieobłudnéj swobodzie dobrych i złych, wzniosłych i maluczkich istoty ludzkiéj przymiotów.

Biorąc tutaj za przedmiot naszéj rozwagi kółko domowe, przenosimy się wprost do kółek możniejszych nieco, które, z porządku społecznego i opatrznéj woli Boga, przyświecać winny uboższéj braci w narodzie, jako prawdziwe chrześcijańskiéj cywilizacji słoneczka, jako cnót i oświaty ogniska.

Rozpatrzmy się przeto bliżéj, jaki możniejszych naszych kółek domowych cel i przeznaczenie, jaki ich działania rozmiar i zakres, jakie wreszcie z postępem czasu i wyobrażeń spełniać one winny posłannictwo. Z postępem czasu i wyobrażeń powtarzamy: jak bowiem ludzkość cała, pomimo wszelkich szatańskich przeszkód i zapor, od wieków bezustannie sobie stawianych, podąża, ręką Boga wiedziona, do coraz wyższéj doskonałości, wprowadzającéj w stosunki społeczne, coraz szerzéj i głębiéj prawdy przez Zbawiciela światu wygłoszone, tak i kółko domowe, owo pojedyncze ogniwo społecznego życia, musi ulegać wpływowi postępu, musi z konieczności stawać się coraz doskonalszą cegiełką w ogólnéj budowie narodu, bo od tego przyszła jego pomyślność zawisła. Wynika ztąd że to, co mogło być dla kółka domowego dostatecznem kiedyś przed laty, — wczoraj

może jeszcze,—dzisiaj prawdopodobnie okaże się nieodpowiedniem duchowi czasu i potrzebom obecnego społeczeństwa. Zwracamy zaś głównie myśl naszą do zacnych niewiast polskich, urokiem niezwykłych przymiotów serca i duszy, przynoszących kółkom naszym ojczystym, tyle powabu i wdzięku.

Niewiastom zaś naszym potrzebną jest świadomość, czego Bóg i społeczność od kółek domowych obecnie domagać się ma prawo, bo kobiéty tam panowanie i rządy. Niechże wiedzą jak panować i rządzić, aby należycie spełniły posłannictwo swoje.

Tłem zasadniczém kółek naszych domowych była od wieków słynna ojców téj ziemi pobożność, stanowiąca wydatną cechę narodu polskiego. Wszystko tam poczynano z Bogiem. Zarówno poważna matrona z rodziną i gronem domowników, nie wahała się codziennie zanosić wspólne gorące modlitwy do Pana zastępów, jak i mąż stanu z modlitwą na ustach poczynał każdą ważniejszą krajową sprawę, jak i rycerz wojenne dzieło. Pod tarczą gruntownéj bogobojności, kółka domowe możniejszych były istotnym poważnéj patrjarchalności przybytkiem, który szerzył pełne życia i ciepła do koła siebie tchnienie.

Było tam wiele prostoty i hartu w obyczajach, wiele poszanowania dla wieku i zasługi, wiele wzniosłości uczuć, ducha poświęcenia a nawet pracowitości. Niepodobna zaprzeczyć wszelako, że budowa ówczesnego społeczeństwa i wydatne w niéj różnice i przywileje jednego stanu, były niejako w sprzeczności z chrześcijańskiemi uczuciami, stanowiącemi istotę narodowego ducha. Z innéj strony jednakże owo głębokie religijne usposobienie łagodziło właśnie tę różność stanów, podnosiło w możniejszym poczucie obowiązku opieki nad uboższym, zagrzewało do miłości dla podwładnych i domowników, do posłuszeństwa dla starszych i przełożonych, oraz wpajało w umysły bogobojne to silnie wyryte przekonanie równości wszystkich ludzi w obliczu przyszłych sądów Bożych,—przekonanie, które wszelkich cnót społecznych głównym jest bodźcem.

Nie mogło się wszelako obstać bez pojedynczych nadużyć tam, gdzie same przywileje i różnice stanów, oraz rozwinięte życie publiczne rozległą ułomności ludzkiéj dawało podnietę, gdzie budowa społeczna i prawo nią rządzące nie mogło stać jeszcze na równi z tchnieniem naród ożywiającém.

Nie myślimy dla tych właśnie przyczyn podnosić, jakoby do ideału, niepowrotne już stosunki przeszłości. Minęły one, aby z czasem drogą cierpienia i boleści wydać inne pełniejsze, gdzieby prawo Boskie i ludzkie w zupełnéj było harmonii i zgodzie. Winniśmy jednakże oddać tutaj hołd duchowi, który tę przeszłość ożywiał, a który w cichych kółkach domowych, po za sferą publicznego życia, przedstawia się nam jako uroczy obrazek, jako piękny wzór bogobojności, prostoty obyczajów i bogatych cnót domowych. Widzimy tam poważne postacie prababek obecnego pokolenia, w cichości i w chrześcijańskiéj pokorze, przewodniczących domowemu kołu. Ład tam i zamożność domu, skromność obyczajów, pracowitość, prostota ułożenia, żądań i potrzeb, zdobiąca zarówno nadobne dziewice, jako i młodzież w karności chowaną, idzie społem z gościnnością i liczném zwykle domowników kołem, jakoby jedną stanowiących rodzinę. Sługa tam przywiązany sercem całém do państwa swoich domu, nie rzadko w nim trzeciego doczeka się pokolenia i zakończa żywot swój, błogosławiąc rodzinę, która umiała na tyloletnią wierność i miłość sobie zasłużyć.

Nie było tam w kółkach domowych owego pozornego modnego blasku i tonu, ani owéj czczéj, przesadnéj ogłady, ani wystawności nad możność, rujnującéj majątki i trującéj pokój całych rodzin. Nie było tam chorobliwego pędu do zabaw i uciech, ale panowała ta swobodna wesołość, która z owianego duchem Bożym płynie sumienia, a jest prawdziwym urokiem domowego życia, prowadzonego w normalnych i możliwych dla niego warunkach.

Nie było tam wprawdzie mnogich wiadomości, które postęp ludzkiéj myśli hojnie dzisiaj dostarcza, nie znalazłeś tam rozlicznych książek, w pomoc oświacie przychodzących, ale z serc płynęła zgodna z wolą Opatrzności świadomość obowiązków, która najpierwszym jest warunkiem umiejętności życia. Można zaś dużo mieć wiadomości, można

uczonym być nawet, a zzamarłém jakoby sumieniem nie poczuwać się do obowiązków najświętszych w obliczu Boga i kraju. Bo uczoność, ani mnogość talentów nie jest najwyższą zdobyczą postępu. Siła jego mierzy się uczynkami zgodnemi z miłością, ową chrześcijańskiéj wiary podstawą.

Nie jeden z żyjących pamięta jeszcze znikłe już obecnie owe staropolskie domowe kółka, o których rzec można śmiało, że Bóg w nich mieszkał, bo tam rzeczywiście działo się po Bogu.

Takiemi one były do chwili, kiedy zobojętnienie w przedmiotach wiary poczęło w końcu zeszłego wieku razić obyczaje, wstrząsać wyobrażenia i wdzierać się nawet w sferę kółek domowych, owianych dotąd czystym chrześcijaństwa duchem.

Od téj pory w istocie charakter kółek domowych naszych, znakomicie przeobrażać się począł, a pierwsza połowa obecnego stulecia była świadkiem, jak wzrastał stopniowo w kółkach naszych domowych, przeważny popęd do wygód, strojów, wystawności i uprzyjemnienia przedewszystkiem życia, przekraczający, aż nadto często, niestety! granice majątkowéj możności.

Znikła z domowych kółek ta powabna prostota, te szczere bogobojne obyczaje, znikły wspólne codzienne z domownikami modlitwy i to sumienne zastosowanie sposobu życia, do posiadanych środków i możności, znikli nakoniec owi wierni, przywiązani słudzy, którzy ozdobą byli staropolskich domów, a żywém cnót ich świadectwem.

Patrząc na ten stan rzeczy, zaprawdę gotowi byśmy sobie sami uczynić zarzut, że, stawiając na początku tego pisma, postęp, jako zasadę życia ludzkości, byliśmy w błędzie.

Ale na szczęście tak źle nie jest; — są wprawdzie epoki w życiu ludzkości, które z jednéj strony uważane, noszą na sobie cechę zupełnéj wsteczności. Bóg dobry w mądrości swojéj dopuszcza takie chwile, aby tém silniejszy następnie rozbudzić popęd do dobrego, a pośród ich trwania nawet, wprowadza innemi drogami tém silniéj ludzkość na tor postępowy, nie dopuszczając jéj i chwili bezczynnego wypoczynku.

Nie inaczéj było i na ziemi naszéj. Równocześnie bowiem z osłabieniem ducha chrześcijańskiego, jaki ożywiał staropolskie nasze domy wygłoszono równość wszystkich w obliczu prawa, zniesiono przywileje i różnice stanów; słowem prawo ludzkie w kraju obowiązujące, oparło się na zasadniczéj chrześcijańskiéj podstawie, równości wszystkich ludzi w obliczu Boga.

Była to jednak niemniéj trudna dla społeczeństwa naszego chwila przejścia. Równemi w obec praw ludzkich uznane zostały zarówno z wyższemi i niższe klassy, otoczone dotąd patryarchalną możniejszych pieczą; klassy do samoistności nie przywykłe, ani stosowną do niéj oświatą nie przygotowane. W obyczaju klass wyższych pozostało nawyknienie do przywileju, do pierwszeństwa, a upadł duch, który patryarchalność ożywiał, i przewodniczeniu w społeczeństwie właściwy tór wskazywał. Nie tajmy sobie, że to przejście musiało wywołać pewne rozstrojenie w stosunkach domowych naszych kółek, które nie mogło być chwilowo w skutkach, ani zbawienném, ani pożądaném. Skoro bowiem duch chrześcijański wyziębia się w społeczeństwie, luzują się wówczas, wszelkie węzły miłości, która najsilniejszym wszystkich stosunków ludzkich jest cementem: myśl skierowywa się do widoków materjalnych, chłód jakiś owiewa wszystko, człowiek do człowieka mierzyć poczyna stosunek swój wzajemny łokciem osobistego ziemskiego interesu, sługa czy włościanin płaci panu przywiązaniem wprost w stosunku większego wynagrodzenia lub osobistych dogodności; pan wzajemnie zmienia sługi i podwładnych podług widzimisia, nie poczuwając się nawet do obowiązku zadania sobie usilnéj pracy, aby własnym przykładem, wpływem, opieką uzacniać ich moralnie, oświecać i byt ich wszechstronną otaczać pieczołowitością. Chłodny ten stosunek czyni stanowczy wyłom w dawnéj patryarchalności, a raczéj podkopuje ją do szczętu, bo ona jedynie na gruncie gorącéj, chrześcijańskiéj miłości i bogobojnego obyczaju mogła z pomyślnym dla społeczeństwa sadowić się skutkiem. Bez téj podstawy, stojąc na prostym ziemskim interese, jest budową bez fundamentów na piasku opartą. Lecz nie dosyć na

tém; upadek ducha chrześcijańskiego wpłynął nawet na sposób wychowywania młodego pokolenia. Skoro bowiem pęd do wygód, strojów i używania przyjemności odwraca umysły od pojmowania życia takiém, jakiém być powinno, mimowolnie młode pokolenie schodzi z toru, na którym wyrabiają się charaktery wzniosłe, umysły bogate i rozważne, serca do poświęceń i usługi krajowi lub braciom uboższym gotowe. Pewna miękkość charakterów, ubóstwo gruntownéj wiedzy, a siła miłości własnéj i samolubstwa, odziana pozorami ogłady światowéj mimowolnie wciela się wówczas w życie domowych nawet kółek. Tchnienie tych kółek, ich nawet obyczaje i sposób życia, przelewa się do pewnego stopnia na otaczające ich mniéj oświecone klassy i uzacnia je lub przeciwnie, z pożytkiem lub klęską dla całego narodowego życia.

Nie tajmy sobie, powtarzamy, że taką epokę przejścia krytycznego w obyczaju kółek domowych, przeszliśmy w ciągu pierwszéj połowy obecnego wieku.

Odbiła się ona we wszystkich warstwach społecznych zarówno, w sposób rozmaity; a najsmutniejszym było tego stanu wypadkiem, że nie dało się dopatrzéć starania około podniesienia oświaty i moralności tak służących i domowników jak i ludu wiejskiego, bo nie było powszechnego zwrotu myśli i poczucia obowiązków w tym kierunku w kółkach oświeceńszych, czyli to miast czy wsi mieszkańców. Różne wprawdzie przeszkody tamowały poniekąd zbawienną w téj mierze działalność, wszelako przy najbardziéj sprzyjających okolicznościach, niepodobna traktować drugich tém, do czego w sobie samych nie poczuwamy popędu i odpowiedniéj moralnéj siły; nie podobna wówczas, gdy myśl własna skierowana jest raczéj do osobistych widoków i uprzyjemnienia życia, jak do obowiązków społecznych przez Boga i kraj na nas włożonych.

Taką była chwila przejścia w duchu kółek domowych kraju naszego, chwila, powtarzamy raz jeszcze przejścia, bo od niejakiego czasu pojawiło się w nich nowe tchnienie, bo cnoty prababek nie wygasły w sercach dziewic polskich, bo poczucie obowiązków opieki i pracy chrześcijańskiéj nad domownikami i uboższą i ciemniejszą w narodzie bracią, rozbudziły się w domowych naszych kółkach. Ufajmy, że Bóg dobry pobłogosławi i pomoże im, aby posłannictwo swoje spełnić podołały.

Ten zwrot pożądany, objawił się nie dopiéro, przedewszystkiém podniesieniem ducha pobożności.

Było w tém może więcéj zrazu formy jak treści, więcéj modlitwy jak uczynku, więcéj słów jak prawdziwéj bogobojności, opartéj na miłości Boga i bliźniego, a wolnéj zupełnie od pychy i licznych ludzkich słabostek i ułomności.

Wielokrotnie zapomniano może, że nie kto woła Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, ale ten co modli się, a razem czyni, myśli i działa po Bogu. Zwrot taki do pobożności w klassach bardziéj ukształconych, wywołał okrzyki na tak zwaną bigoterją i pietyzm, bo za formą ślędzono ducha, który nie zawsze rozległym a trudnym chrześcijańskiéj miłości, pokory i prostoty warunkom odpowiadać się zdawał, a który w tych tylko warunkach zasługuje na nazwę prawdziwéj i przez ludzi uszanowanéj bogobojności.

Lecz i ten stan rzeczy był przechodnim szczeblem do pełniejszego i dobrze zrozumianego życia. Nie od razu bowiem ludzie, rodziny i społeczeństwa u szczytu stają swoich przeznaczeń. Trzeba do tego czasu i wytrwałéj pracy i usilności, a rozbudzona pobożność, chociażby jeszcze w zupełnéj nie będąca z uczynkami harmonii, sprowadza niewątpliwie pomoc łaski Nieba, która jest koniecznem zarzewiem i źródłem chrześcijańskiego czynu.

Niech przeto pobożność w kółkach naszych domowych krzewi się, jako ich budowy konieczna podstawa, jako ich pożytecznéj działalności nieodzowny zasiłek. A na tym gruncie pokrótce wskażmy, czego od kółek domowych daléj żądamy.

Przedewszystkiem musimy podnieść tę zasadę, że człowieka życiu wyższe Bóg naznaczył cele, jak miłowanie się w ubiorze i w używaniu przyjemności, zbytków, uciech, podróży. Wszystko to krasi życie ale nie może i nie powinno go całego w sobie pochłaniać, bo czy młody czy starszy, czy mężczyzna czy kobieta, w obec

sądu Bożego stanąć mamy kiedyś, z obrazem spełnionych obowiązków i położonych zasług.

Pomijając zaś sferę działania mężczyzn, jako przekraczającą granice kółek domowych, z których oni czerpią tylko do czynów otuchę, przechodźmy wprost do działalności niewiasty.

Bogobojna niewiasta, jako żona, matka, pani domu, jaśnieć winna jako kapłanka cnót domowych, opiekunka całego rodzinnego koła, opiekunka moralnych i materjalnych potrzeb domowników swoich, a jak na wsi i naszego poczciwego ludu wiejskiego, który zawsze rad tulić się do niéj po radę i pociechę. Nie darmo lud zowie panów swych wielmożnemi, bo oni wiele mogą dla niego zrobić sercem, wiele poświęceniem, więcéj nierównie jak pieniężną ofiarą, byle tylko wiele czynić chcieli i umieli. Nie darmo lud dodaje tytuł Jaśnie panów, bo on czuje aż nadto dobrze, że oni mu jaśnieć i przyświecać powinni, ale nie blaskiem zbytku, przepychu lub liberji, lecz bogactwem cnoty i poświęcenia.

Jeżeli zwrócimy uwagę naszą na ważność rządu i oszczędności w wydatkach domowych, to mimowolnie przychodzi nam na myśl, jak przymioty te są ważne w każdym czasie, a zwłaszcza w chwili obecnéj. Mnogie bowiem są i będą potrzeby społeczne w ubogim w zapasy kraju naszym, a samo przekształcenie stosunków włościańskich wymaga nakładów, niesłychanego powstrzymania się od wszelkich niepotrzebnych wydatków, aby znalazł się grosz konieczny na podniesienie gospodarstw i majątkowego położenia obywateli ziemskich, których byt dobry stanowi o pomyślności całego kraju. Rządna pani domu tak umie pokierować rzeczy, że będzie i dziatwa przyzwoicie a skromnie odziana, i po Bogu wychowana i czeladź syta i bogobojna i ubogi i potrzebny hojnie zaopatrzony, a pomimo to przysporzy mężowi mienia, które w rękach cnotliwéj kobiety pomnaża błogosławieństwem swojém Opatrzność. Bogobojna żona, najwyższy to dar Boga; od pań domu, szczęście rodzin, cnota przyszłych pokoleń, spokój męża, pomyślność kraju zawisła.

A zwracając się teraz do młodych dziewic, które zdobnemi są kwiatami kółek naszych domowych wyznać nam przychodzi, że szerokim jest zakres ich działania. Obok bowiem zatrudnień mających na celu ukształcenie siebie, lub obowiązki przez rodziców wskazane, myśl młodych Polek skierować się winna do moralnéj opieki i oświecania domowników, a na wsi mianowicie do opieki nad dziatkami wiejskiego ludu. Póki Bóg nie powoła was na uroczyste stanowisko matkowania własnym dziatkom, bądźcie matkami tych dziatek ludu, co to bez opieki hulają po wioskowéj ulicy. Wyręczajcie matki pracą zajęte, gromadźcie i tulcie dziatki te do koła siebie, uczcie ich Boga chwalić, wszczepiajcie w ich serca wiarę ojców téj ziemi i cnoty społeczne i uczucia szlachetne, a rzucicie ziarno, które bogaty kiedyś plon wyda. A spieszcie téż ochoczo z całą prostotą uczucia do ubogiéj chaty, aby stroskanych pocieszyć, chorego odwiedzić, ciemnego oświecić. Niéma większéj radości w życiu jak w pełnieniu tego rodzaju posług, które nas samych uzacniają i podnoszą w naszém własném sumieniu i przekonaniu. Życie wtedy ulatuje wesoło, bo rozwija się drogą zasługi i poświęcenia; a jeżeli młodéj dziewicy w ten sposób służącéj Bogu, bliźnim i krajowi, przyjdzie uczynić wybór w kole młodzieży, ocenić ona potrafi, kto godzien jéj serca praktyczną jaśniejącego cnotą.

Trudno zamilczyć, że powszechny zwrót kółek domowych, w ten błogosławiony dla kraju kierunek, oddziałałby skutecznie na młode mezkie pokolenie, dla którego towarzystwo zacnych kobiet jest pełną znakomitego wpływu szkołą, kształcącą obyczaje, uszlachetniającą serca a dodającą zapału do wszystkiego co godne i wzniosłe.

Takiego panowania nad światem, nikt cnotliwym matkom, żonom, siostrom naszym nie odmówi. Niech panują w imie Boże na jego chwałę, a na pociechę drogiéj nam ziemi.

A. G....

KILKA SŁÓW
O DAWNYCH UBIORACH POLSKICH.

Ubiór jest niezaprzeczenie wyrazem epoki która go tworzy, stosuje się zawsze do jéj wymagań, nawyknień i obyczajów. Sposób ubierania się w pierwotnych czasach Polski, pokrywa ciemna mgła odległéj przeszłości. Najdawniejsze ubiory znane nam z opisów, pochodzą z połowy trzynastego wieku. Czas ten pamiętny niepokojem i zamętem, zarówno z powodu napadów nieprzyjaciół jak waśni książąt, którzy zasiedli na cząstkach rozdrobnionego po śmierci Bolesława Krzywoustego kraju. Mężowie zajęci wtedy najczęściéj wojaczką, przedstawiają się okryci zbroją od stóp do głowy, niewiasty zaś których powołaniem było pilnować domowéj strzechy, widzimy otulone surowego kroju szatą na wzór zakonnéj. Ulubiony wówczas powszechnie kolor był szkarłatny, po nim używano najwięcéj zielonego i brunatnego. Kobiety oddane zachodom domowym i pobożnym czynom miłosierdzia, najchętniéj ten ostatni przyoblekały. Co do tkanin w ogóle ludzie ubodzy lub unikający zbytku, nosili suknie z płótna lub kamlotu, do stroju jedynie używali jedwabiu lub cienkich sukien brukselskich. Zbroje przywdziewano tylko podczas wojny, ubiór zaś codzienny mężczyzn, składał się z krótkiego kaftana; młodzi naśladując obyczaj węgierski przewiązywali go srebrnym pasem. Wychodząc z domu tak niewiasty jak mężowie zarzucali na ramiona płaszcz, mniéj lub więcéj okazały wedle zamożności, lub chęci. Płaszcze bogate były z materji jedwabnych podbite lisami, kunami, lub popielicami, z wierzchu zaś tak suto strojne w kutasy, frendzle i złote potrzeby, że przyodziana w nie osoba zaledwo poruszać się mogła. Zwano je odzieżą pozłacaną, lub ruchem z powodu szelestu jaki wydawała sztywna tkanka. Kilką parami sukien nie obszedł się pan możny, miewał ich niekiedy po kilkadziesiąt. Nie wiadomo dokładnie jakiego kształtu czapki nosili mężczyzni, włosów nie obcinali całkiem, różniąc się w tém od ludów zachodniéj Europy. Kobiety wysokiego urodzenia nosiły do stroju złote korony, zwyczajnie zaś wychodząc z domu okrywały głowę zasłoną z białéj, lub żółtéj tkaniny w misterne ułożoną fałdy. W przed dzień zaślubin, dziewice składały taką zasłonę, jako ofiarę w świątyni pańskiéj. Złote naszyjniki i perły zdobiły szyje niewiast, biały zaś lniany rańtuch niby szal dzisiejszy, pokrywał ich ramiona. Używaném powszechnie obuwiem były buty, lub różnego kształtu trzewiki. Epoka z któréj ubiory przedstawia rycina nasza, to jest połowa trzynastego wieku, oprócz zamieszek i niezgód domowych jakie ją cechowały pamiętną jest także narodową uroczystością, która jedném uczuciem połączyła zwaśnione umysły. Charaktery ówczesne łączą w sobie dwie wielkie sprzeczności, dzikość i barbarzyństwo, obok wyobraźni skłonnéj do mistycznych uniesień, gdy więc Prandota biskup krakowski, zachęcony ku temu zeznaniem rycerza Falisława, bogobojnéj matrony Swiętosławy, wojewody Pełki, oraz własném cudowném widzeniem, począł czynić kroki do Rzymu, aby poprzednik jego na biskupiéj stolicy, Stanisław ze Szczepanowa policzon był w świętych rzędzie, wszyscy powaśnieni pomiędzy sobą zarówno jak niechętni duchowieństwu książęta, połączyli się aby w jedności i zgodzie popierać te starania, gdy je zaś pomyślny uwieńczył skutek, zgromadzili się radośnie w Krakowie na uroczystość kanonizacji.

Kanonizacja według etymologii tego wyrazu znaczy czynność przez którą zamieszczają imie człowieka wielkich cnót chrześcijańskich, w liczbie świętych orędowników w niebie, kościoła wojującego na ziemi. Przed dwunastym wiekiem, niéma

wzmianki o podobnych obrzędach, Uldaryk biskup Konstancjeński pierwszy podał prośbę do papieża Kaliksta II, o kanonizacją biskupa Konrada, i od owego dopiéro czasu kościół nadał prawo czci publicznéj dla tych, których zasługi udowodnione tak zwanym procesem kanonizacyjnym nie ulegają żadnéj wątpliwości. Wielką była radość w całéj polskiéj ziemi, gdy posłowie jéj do Rzymu, Fulko arcybiskup gnieźnieński, Tomasz biskup wrocławski, dziekan Jakób ze Skaryszewa i Girard kanonik krakowski powrócili z bullą kanonizacjiną. Niepozostawało już jak uroczyście ogłosić ją w kraju i podnieść na ołtarz zwłoki męczennika spoczywające w grobie na Skałce. Dzień 8 maja przypadający w sto siedmdziesiąt pięć lat po śmierci św. biskupa, oznaczony został na obchód tego wspaniałego narodowego święta. Od rana najpiękniejsza pogoda oświecała mnogie wieżyce starego Krakowa, wnętrze Wawelskiéj świątyni przybrane w złotogłów i szkarłatne sukna, gorzało mnóstwem jarzących świateł, w pośrodku umieszczono wizerunek Św. Stanisława purpurową zakryty osłoną. Po jednéj stronie wielkiego ołtarza zasiadł na tronie książe Bolesław, wraz z Kunegundą świętobliwą swoją małżonką, daléj na niższych krzesłach książęta Przemy-



Ubiory z XIII wieku.

sławWielkopolski,Kaźmierz Kujawski, Władysław Opolski i Ziemowit Mazowiecki, w gronie niewiast otaczających księżnę Kingę, odznaczała się błogosławiona jéj siostra Jukulanta księżna kaliska, Jadwiga święta na Szląsku pani, a wreście wonna lilija Odrowążów domu, Bronisława późniejsza zakonnica Norbertanka. Na prost tronu książąt wznosiły się siedzenia duchowieństwa, zajęli je: Fulko arcybiskup gnieźnieński, biskupi: Tomasz wrocławski, Andrzéj płocki i Boguchwał poznański. W pośród poważnych prałatów, jawiły się dwie dziwnie zajmujące postacie w skromnym zakonnym ubiorze. Spojrzenie ich gorejące ogniem zapału tworzyło sprzeczność z bladością lica, napiętnowanego trudem i boleścią żywota; znać tam było widocznie, że duch stoczył walkę z ciałem i zawładnął nim potężnie — i nie myliło przeczucie — albowiem byli to błogosławieni w przyszłości orędownicy ziemi naszéj, Jacek i Czesław apostołowie zakonu Św. Dominika. Uroczysta cisza zaległa świątynię, skoro Prandota biskup krakowski otoczony licznem duchowieństwem, wstąpił na stopnie ołtarza i zwróciwszy się do zgromadzonych, począł czytać donośnym głosem bullę papiezką. Ukończywszy czytanie przykląkł aby zanucić wzniosły hymn radości, któremu wtorowali wszyscy obecni. W chwili gdy przebrzmiał ostatni dźwięk śpiewu, spadła purpurowa zasłona pokrywająca wizerunek świętego, a książęta, biskupi, rycerze i lud cały upadł na kolana, oddając cześć błogosławionemu ziomkowi. W nie jedném świętém i natchnioném sercu odbiła się pewno wtedy przyszłość narodu, na przemiany świetna, potężna, mglista i łzawa, bo gdy biskup Prandota zaśpiewał znów głośno: módl się za nami błogosławiony Stanisławie! wiele głosów odparło ze łkaniem: abyśmy wytrwali w wierze naszéj, aby bramy piekielne nie przemogły przeciwko nam. Po uroczystem Amen, biskup rozpoczął Mszę św. Skoro taż ukończoną została udano się na Skałkę, gdzie spoczywały kości świętego. Ukazano je najpierw zgromadzonemu ludowi, potém zaś w uroczystéj processji przeniesione zostały do wawelskiéj świątyni. Dawniejsze kroniki z cudowną prostotą głoszą nieraz widomą opiekę Świętego Stanisława nad ziemią naszą, czy to pod Grünwaldem, czy pod Chocimem, czy pod Kircholmem, czy wreście w tylu innych krwawych w obronie ojczyzny zapasach. Nić tajemnicza wiąże przeszłość z przyszłością. Naród który nieskłamał wierze przodków, ufać winien po wszystkie wieki potężnéj ich przyczynie przed tronem Boga.

A. z Ch. Borkowska.

CÓRA OTTOKARA (DCERA OTAKAROWA).

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PROKOPA CHOCHOLOUŚKA.

Tegoczesna literatura czeska mało u nas dotąd znana, sądzimy więc, że czytelnicy nasi chętnie zapoznać się zechcą z niektóremi z jéj powieściopisarskich utworów. Prokop Chocholouśką należy do rzędu celniejszych powieściopisarzy czeskich — znakomitsze powieści jego są: *'Illa, Irina, Templarjusze w Czechach* i *Cora Ottokara* z któréj jeden ustęp, dziś opowiedzieć zamierzyliśmy w skróceniu.

Przy wstępie autor zaczyna od wyjaśnienia epoki historji czeskiéj na tle któréj osnuł swe opowiadanie, musimy więc iść za jego śladem.

Po śmierci księcia i biskupa czeskiego Henryka Brzetysława, zasiadł na tronie

książe Władysław. [1]). Cały naród radował się jego wyniesieniem, jeden tylko hrabia Czernin, pan możny i stateczny, wyrzekł, że władza prawnie należy do starszego brata księcia, Przemysława Ottokara i gdy tenże powrócił z wygnania powstał aby bronić praw jego orężem. Zgromadziwszy znaczną siłę zbrojną wyruszył w pole wraz z Ottokarem. Książe Władysław zebrał również liczne zastępy przeciw bratu, gdy się jednakże spotkał z hufcami jego, uniesiony miłością ojczyzny, lubo był w przeważnéj sile, dobrowolnie ustąpił z tronu i aby oszczędzić bratniéj krwi rozlewu, wolał pozostać lennym Czechom margrabią Morawskim. Dumny Ottokar wyniesiony na tron wspaniałomyślnym czynem brata, starał się utrwalić nadal swą władzę związkiem rodzinnym, z jakiém potężném ościenném państwem. W tym celu umyślił oddalić żonę swą Adelajdę margrabiankę Miśnii i szukać w rodzinie innéj małżonki, potrzebnych mu silnych przymierzeńców. Nie brakło przyczyn do rozwodu. Adelajda była pokrewną męża, a małżeństwo zawarte zostało bez zezwolenia Rzymu; Rzym mógł je zatém rozwiązać. Przełożywszy żądanie swe stolicy apostolskiéj, książe oczekiwał niecierpliwie jéj wyroku. Osadził tymczasem żonę z dziećmi na Wyszehradzie, sam zaś zamieszkał nowy Hradczański zamek. We łzach i tęschnocie schodziły dnie i godziny królowéj, wygnanéj z dworu męża, jedyną jéj pociechą była młodziuchna córka i syn dorastający. Młody hrabia Wilhelm Czernin, syn jedyny żarliwego stronnika Ottokara, zjednawszy sobie wzajemność dzieweczki książęcéj, starał się usilnie o zmianę przykrego położenia obu niewiast.

Pewnego wieczora „gdy Wyszehrad owinął się zimowego szronu osłoną, a wieże jego w téj białéj szacie wznosiły się w niebo, niby potężne ramiona ducha strażnika sławy i niezawisłości czeskiéj" młody Czernin zakołatał do bramy zamkowéj. Stary strażnik Bożetech, otworzył mu bez wahania. Znać było zaraz, że młodzieniec często gościł w zamku, bo przeszedłszy dziedziniec, pominął główne drzwi wchodowe i wcisnąwszy się boczną furtką, szedł śmiało w labirynt ciemnych korytarzy i schodów. Stanąwszy w progu komnaty, któréj drzwi uchylone dozwalały swobodnie zajrzeć do wnętrza, wstrzymał dalsze kroki zajęty obrazem który mu się przedstawił.

„W głębi przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, klęczała młoda dziewica w pobożnéj zatopiona modlitwie. Smukłą i wyniosłą jéj postać, okrywała śnieżna powłoczysta szata ściśnięta w stanie czarną przepaską, ręce i oczy wzniosła ku niebu, niby anioł błagający zlitowania Stwórcy. Na wyniosłém i gładkiém jéj czole panowała szlachetna i łagodna powaga, oko gorejące świętym ogniem, wyrażało niezłomną moc duszy, odwagę i zarazem ciche poddanie woli Bożéj.

Ktokolwiek znał ród Przemysława łatwo odgadł, że ten modlący się cherub, był mu pokrewnym, albowiem sławny ród ten odznaczał się zarówno wspaniałą urodą, jak podobieństwem wszystkich swych potomków, klęcząca zaś dziewica była córką Ottokara I i nieszczęsnéj Adelajdy Miśnieńskiéj."

Długo Wilhelm wstrzymywał oddech w piersiach, aby nieprzerywać zachwytu ulubionéj, wkrótce jednakże odgadła obecność jego. W rozmowie, która następuje, pełna mistycznego zapału postać Bożenny, pięknie uwydatniona obok rycerskiego i szlachetnego młodzieńca. W sercu dziewicy wraz z miłością dla narzeczonego i rodziny, wzrosło silne, namiętne przywiązanie do nowéj wiary, władającéj całą jéj duszą.

Marcin zwany Morawczykiem, uczeń słynnego Piotra Valdo [1]) zyskawszy sobie najpierw wielu zwolenników w różnych

[1]) Henryk Brzetysław biskup pragski, jeden z potomków Przemysława w r. 1192 wyniesion został na stolicę czeską, przez niemieckiego cesarza Henryka VI w miejscu prawego następcy Ottokara. Ottokar chciał praw swych bronić, lecz zdradzony od przedniejszych panów, musiał uchodzić z kraju, brat zaś jego Władysław osadzony został w więzieniu. Po czterech latach panowania, biskup czując się bliskim śmierci, rozkazał uwolnić Władysława i sam mu tron ofiarował.

[1]) Piotr Valdo bogaty mieszczanin lyoński, powziąwszy myśl reformy, nie zrywał z początku z kościołem późniéj dopiéro, jak to zazwyczaj bywa w podobnych razach, to co miało być tylko reformą, stało się odszczepieństwem. Nauka Piotra Valdo rozeszła się szybko po Francji, Niemczech a następnie Czechach i Morawii. Przez trzy lata przebywał on w Pradze, a gdy się ztamtąd wydalał pozostawił w swém miejscu żarliwego ucznia Marcina z Morawii. Od Piotra Valdo, pochodziły sekty Waldensów, Bogumilców i inne im podobne.

warstwach społeczeństwa, skłonił ku swéj nauce córkę królewską, co tém łatwiéj mu przyszło, że nauka ta początkowo nie różniła się w zasadach od katolickiego wyznania, nowemi zaś i tajemniczemi obrzędami zniewalała chciwe wrażeń umysły. Bożenna radaby była, aby Wilhelm podzielił jéj przekonanie, lecz on wahał się jeszcze wyrzec w tém stanowczo.

— Skoro w twém oku przyświeca mi zjawienie Pana, mówił jéj, pojmuję wszystkie tajemnice Morawczyka, lecz gdy on je sam wykłada, dusza moja pozostaje chłodna a serce powątpiewa o prawdzie....

Dziewica przerywa mu z oburzeniem:

— Strzeż się Wilhelmie, strzeż się potępiać męża, który żywot swój poświęcił dla zbawienia ludzi. Skoro sądzisz błędną mą świętą wiarę, więc pobłądziłam również oddając ci me serce, więc złudzeniem tylko twoja miłość dla mnie!

Wilhelm zapewnia ją o stateczności swych uczuć i w dowód poświęcenia opowiada jako gromadzi wiernych przyjaciół, aby wraz z niemi ująć się za prawa Adelajdy i zmusić Ottokara aby rozstał się z koroną, lub wrócił przynależne miejsce żonie. Bożenna przeraża się tém postanowieniem i stara się odwieść od niego młodzieńca.

— Pamiętaj mówi mu w końcu, że Pan wyrzekł, do mnie należy sąd i pomsta, niezapominaj również, że wtedy tylko zostanę twą małżonką, gdy ojciec mój dobrowolnie uzna, prawa méj biednéj matki.

Wilhelm odpowiada jako właśnie królowa pragnie żywo aby się pomścić swéj krzywdy i odebrać cześć przynależną..... Bożenna smutnie pochyla głowę bolejąc, że serce matki tak przylgnęło do ziemskiéj ułudy, idzie potém do niéj wraz z narzeczonym aby o ile można zaradzić złemu.

„W długiéj sklepionéj komnacie na wzniesioném krześle, spoczywała Adelajda Miśnieńska małżonka Przemysława Ottokara, purpurowy płaszcz książęcy okrywał jéj wyniosłą postać a czarne włosy podtrzymywała złota opaska w kształcie djademu. Z ubioru tego równie jak z dumnego wejrzenia, znać że lubowała się w blasku korony i w niczem niepodobną była do córki, która właśnie wtedy z młodym hrabią Czerninem wstępowała w progi komnaty. Obok królowéj oparty na długim mieczu, stał syn jéj Wratysław dziewietnastoletni młodzieniec, wyglądał niecierpliwie przybycia Wilhelma i zapytał go zaraz o nowiny“— Wilhelm opowiedział, że dziś właśnie o północy, zaprowadzi księcia w umówione miejsce, kędy młodzi jego przyjaciele zbiorą się pod hasłem, „Ottokar na tronie z Adelajdą, lub Wratysław królem.” Młody książe uśmiechnął się radośnie na te słowa, w oczach Adelajdy zabłysło zadowolenie, Bożenna tylko westchnęła żałośnie. W dalszéj rozmowie królowa nie tai swéj urazy i chęci zemsty, w razie gdyby małżonek nie uczynił zadość jéj żądaniu. Wratysław wtóruje jéj słowom, Bożenna zaś póty prosi i błaga, aż wreście mięknie dumne i zagniewane serce i rozrzewniona jéj słowami matka, przystaje aby używać jedynie łagodnych środków w sprawie, która miała już być powodem krwi rozlewu. Uradowana odniesioném zwycięztwem dziewica odchodzi do swéj komnaty modlić się, aby Bóg pobłogosławił powolnym zamiarom, hrabia Czernin zaś z młodym księciem za zbliżeniem się północy opuszcza zamek. W następnym rozdziale czytelnik przenosi się do mieszkania starego hrabi Czernina, który niecierpliwie oczekuje powrotu syna z nocnéj wyprawy. Świadomy miłości jego dla córy Ottokara, lęka się aby przy nadchodzącéj stanowczéj chwili rozwodu, nie postanowił co przeciw królowi. Wilhelm na pierwszym wstępie zagadniony przez ojca wyznaje, że umyślił używać wszelkich sposobów aby połączyć Ottokara z odepchniętą przezeń małżonką. Stary hrabia zaślepiony przywiązaniem do króla swego, grozi młodzieńcowi przekleństwem jeżeli knować będzie przeciw niemu i oświadcza zarazem, że nigdy córka Adelajdy Miśnieńskiéj nie będzie jego małżonką. Wilhelm pełen rozpaczy udaje się do Ottokara w nadziei, że słowy swemi zwróci serce jego do obowiązków względem żony i dzieci.

„Skoro tylko młodzieniec wstąpił w progi Hradczańskich komnat, niepokój jego serca złagodził się nadzieją, król albowiem wyciągnął doń ręce i przemówił łaskawie.

— Witaj mi szlachetny Wilhelmie! da-

wno już niewidziano cię u naszego dworu, cóż nam sprowadza tak miłego gościa?

— Przychodzę z proźbą do waszéj królewskiéj mości...

— Musi to być coś ważnego, ciągnął daléj król z lekkim uśmiechem, przedstaw śmiało twe żądanie, syn mego wiernego Czernina daremnie prosić nie będzie.

— Dałby Bóg aby tak było, odparł z westchnieniem młodzieniec.

— Powątpiewasz? - a więc zapowiadam ci z góry, że uczynię zadość twéj proźbie, jeżeli to jest tylko w méj mocy.

— O! tak nie inaczéj—lecz wiedzcie że nie proszę za sobą...

— A za kimże więc?

— Za Adelajdą... za małżonką i dziećmi waszemi, rzekł wtedy rzucając się do nóg Ottokara.

Król zakrył ręką oblicze — wstań Czerninie, to czego żądasz nie jest w méj mocy i wyrzekłszy te słowa, upadł na krzesło niby we wzruszeniu wielkiém. Młoda krew Wilhelma, pobudzona miłością dla córki Adelajdy zawrzała silnie, zerwał się żywo i począł mówić śmiało: nie myślcie że przyszedłem tu jedynie, aby poruszyć wasze serce uczuciem rodzinném, chciałem także wypowiedzieć co myśléć będą o was poddani wasi, gdy im zaświecicie złym przykładem z góry! Pamiętajcie, że występny czyn króla ściąga nieszczęście na kraj cały i że biada téj ziemi któréj władzca nie umie panować swym namiętnościom! Wiem że mówiąc te słowa narażam życie moje, lecz gdybym miał zginąć w téj chwili, nie mogę zamilczeć dłużéj prawdy.

Król wysłuchał cierpliwie téj przemowy a potém podniósł się zwolna i stanął w groźnym majestacie:

— A więc poczytują mi za winę ofiarę którą czynię dla miłości kraju? Takież to wydajecie sądy o królu waszym! o jakże korona biedną za nie nagrodą! Idź młodzieńcze, idź i powiedz przyjaciołom i doradzcom twoim, że Ottokar porzucił małżonkę, którą serdecznie miłował, że wyrzekł się dzieci swych, że przeciw prawom natury własnemi rękami rozdarł swe serce aby umocnił potęgę, powierzonego sobie kraju, wzbraniając doń przystępu najgłówniejszemu jego nieprzyjacielowi, margrabiemu Miśnii, który jest bratem księżnéj Adelajdy! — idź i powiedz, że król rodzinę swą poświęcił ojczyznie!”

Dumny Ottokar nie chcąc zrazić do siebie szlachetnego młodzieńca, pokrył w ten sposób pychę płaszczem miłości narodu. Widząc zniweczone wszystkie swe nadzieje, Wilhelm chciał przemówić raz jeszcze, lecz król uszedł spiesznie z komnaty wyrzekłszy ostatnie słowa. Zasmucony młodzieniec opuścił natychmiast Hradczański zamek, a noc następna, która miała wynieść na tron Adelajdę, zbiegła mu w pełnych niepokoju rozmyślaniach.

Na drugi dzień w wieczór, „gdy Praga kąpała się w potokach zachodzącego słońca, a wieże jéj przypruszone śniegiem gorzały w barwach opalu“ królowa Adelajda poglądając z okna Wyszehradzkiego zamku, na cudny ten widok, rozmyślała smutnie, że nie zadługo może przyjdzie jéj porzucić wspaniałą czeską stolicę dla ubogiéj Miśnieńskiéj krainy. Bożenna zeszła ją w téj żałości, zranione w swéj dumie serce królowéj, wylało się przed córką w pełnych goryczy narzekaniach.

— O matko droga odrzekła jéj smutnie dziewica, daruj że mówię ci prawdę, lecz największém twém nieszczęściem jest to, że przylgnęłaś całą duszą do kłamliwego blasku ziemskiéj chwały, czy nieprzekonałaś się jeszcze, że wszystko co nam świat dać może jest jako jaskrawe światło słońca, które znika, skoro go tylko ciemna przysłoni chmura?

Królowa odwróciła od córki zagniewane oblicze, a z ust jéj ostre posypały się wymówki. Palące łzy oblały twarz Bożenny:

— O matko droga nie rozstawaj się podobnie z twém dziecięciem, zawołała rzucając się w jéj objęcia.

— Co mówisz o rozstaniu? rzekła łagodniéj Adelajda wspierając ręce na jéj ramionach.

— Wypowiedziałam skryty mój zamysł, odparła pomięszana dziewica—nie umiem ukrywać prawdy, chcę się usunąć od świata, aby nie pobudzać Wilhelma do nieposłuszeństwa ojcu, który nigdy nie zezwoli na związek syna z biedną wygnanką.... jeżeli więc sprawa wasza upadnie, pójdę

w odległe strony w klasztornéj zaciszy, żyć dla Boga i drogich mi wspomnień.

Królowa patrzała z podziwem na córkę, myśląc że znikło w jéj sercu przywiązanie do narzeczonego, skoro się dobrowolnie z nim rozłącza.

— „Kocham Wilhelma więcéj niż kiedykolwiek, mówiła daléj dziewica, lecz miłość nasza jest czysta, natchniona przez aniołów niebieskich, nie zaś przez względy świata, oddalenie jéj nie zmniejszy, bo my duchem złączeni, a duch nie zna przestrzeni ani czasu!”

Dumna królowa zatopiona w samolubnych myślach, nie mogła pojąć szlachetnych uczuć córki, były one tylko dla niéj nowym powodem do rozdrażnienia. Skoro Bożenna wyszła z komnaty, długo przechadzała się żywym krokiem w dziwném wzburzeniu i niechęci. Noc zapadła tymczasem i sprzysiężeni zgromadzili się w umówioném miejscu; zaledwie godzin parę przetrwały ich narady w miejsce spodziewanego księcia Wratysława nadbiegł spiesznie paź młody, wzywając na ustęp hrabiego Czernina do którego jak powiadał, ważne miał polecenie. Zbliżywszy się do światła lampy, zawieszonéj w przedsionku, Wilhelm poznaje w paziu Bożennę, która opowiada mu, że użyła tego przebrania, aby uwiadomić spiskowych, że wszystko stracone i dom w którym się znajdują, za chwilę będzie otoczon, zdradził ich włoch Andrea Saramita, nadworny lekarz królewski. Książe Wratysław już był uwięziony, a Bożenna ledwo zdołała wymknąć się z zamku. Wilhelm przestrzega przyjaciół i sam uchodzi wraz z narzeczoną. Bożenna prowadzi go przez kręte ulice po za mury miejskie. Gdy młodzieniec rozpacza nad zniweczeniem swych zamysłów, dodaje mu otuchy mową, że wszystko najlepiéj ukończone, skoro obeszło się bez krwi bratniéj rozlewu, któren zresztą byłby nadaremny, gdy nadeszła już pono z Rzymu bulla unieważniająca małżeństwo Ottokara z Adelajdą. Skoro zaś nie pochwycą śladu spisku, uwolnią Wratysława i wraz z królową dozwolą mu zamieszkać w Miśnii. W téj chwili opowiadania, łzy zalały oblicze dziewicy, bolejącéj nad smutną dolą matki, krótką jednakże była jéj żałość; wzniosła ducha do nieba i spłynęła w jéj serce pociecha, którą objawiła w pełnych niewysłowionéj miłości dla Stwórcy wyrazach: „Spojrzawszy na nią wtedy Wilhelm przejęty został jakąś świętą grozą i zdało mu się że stąpa obok anioła głoszącego ludziom nadzieję i wiarę.”

Szli tak aż do stojącéj po za miastem chatki. Bożenna zakołatała lekko do okna i wnet objawił się w progu poważny mąż w zakonnym ubiorze „cała jego postawa nakazywała poszanowanie, wysokie czoło pełne było wielebnego majestatu, oczy pałające dziwnym i tajemniczym blaskiem, niepospolitą wskazywały moc duszy.” Wilhelm poznał w starcu Marcina zwanego Morawczykiem, kaznodzieję Waldeńców i nauczyciela córki królewskiéj.

— Witaj mi córo moja! wyrzekł starzec, pozdrawiam ciebie imieniem Pana córo królewska, która zaparłaś się szatana, przesądów świata i złudnego blasku ziemskiéj chwały, aby umiłować prawdę i stać się dziedziczką korony niebieskiéj.

— Nie mów o tém wielebny ojcze, odrzekła pokornie dziewica — powiedz raczéj czy gotów jesteś do drogi, którą masz odbyć ze mną? rzeczy obróciły się w ten sposób, że mogę wykonać dzisiaj to, co zamierzyłam niegdyś.

— Otrząsam kurzawę z nóg mych, biorę kij podróżny do ręki i w każdéj chwili gotów jestem na zawołanie Pana. Gdyby nawet głos jego śmierć mi zwiastował, odrzekłbym tylko: „Stań się wola Twoja!”

Wymawiając te słowa starzec wzniósł nabożnie oczy i ręce do nieba. Bożenna przedstawiła mu Wilhelma przejętego głęboko jego widokiem.

— Witaj mi młodzieńcze pod strzechą którą zwałem dotąd moją, wyrzekł serdecznie, szlachetne zaiste być musi twe serce, skoro wzbudziłeś miłość w dziewiczéj duszy méj uczennicy, która pała jedynie Boskim ogniem niebiańskich uczuć. Wspominałem często o tobie w mych modlitwach, lubo wiem że należysz jeszcze do owych, którzy wołają panie, panie, święcą sabaty i posty przed światem, a serce mają chłodne do tego, co wyznają językiem. „Po uczynkach poznam was, mówi Pan, przeto kto do wiary uczynków niedołącza, zbawion nie będzie!“

Po téj przemowie któréj Wilhelm wysłuchał w pokorze, Bożenna wzywa go aby przyrzekł, że spełni to czego zażąda w téj chwili.

— Mów święta moja, odpowiada jéj ze smętném rozrzewnieniem młodzieniec. Przygotowany jestem widzieć i słyszeć wszystko czego wpierw nieznała ma dusza — czuję coś w sercu jakbym się ocknął nagle wśród świata pełnego cudów — jakobym słyszał do koła lekki szum skrzydeł duchów nadgwiezdnych i tajemnice władcy świata, miały się uchylić przedemną."

Oko Bożenny zaćmione pomroką smutku roztliło się natchnieniem i powiedziała mu wtedy, jako pragnie aby się jéj wyrzekł na wieki i dozwolił poświęcić Bogu... Młodzieniec cofnął się przerażony i blady na to niespodziewane żądanie. Długo z boleścią walczył przeciw postanowieniu narzeczonéj, widząc jednakże, że daremnym jest wszelki opór z jego strony, smutnie pochylił głowę i usiadł w ponurém milczeniu.

— Nie rozpaczaj tak mój miły, uspakajała go słodko Bożenna, wszak rozłączymy się tylko na ziemi, a za to żyć będziemy wiecznie złączeni w jeden promień światłości przebiegając z gwiazdy na gwiazdę, aby rozsiewać miłość do koła."

Nadeszła wreszcie chwila pożegnania, Wilhelm wydzierając się z chaty, złamany i zbolały poprzysiągł uroczyście, że nigdy inna kobiéta nie zajmie w jego sercu miejsca Bożenny, która tejże saméj jeszcze nocy, znikła wraz z Marcinem Morawczykiem, uprowadzającym ją w mury dalekiego klasztoru.

Nazajutrz rano ośmiu czeskich baronów, przysięgało na duszy swéj zbawienie, że Ottokar spokrewnion jest z Adelajdą w czwartém pokoleniu, a na mocy téj przysięgi, oraz bulli nadeszłéj z Rzymu, Daniel biskup pragski w przytomności licznego duchowieństwa, małżeństwo to za nieważne ogłosił.

Zaraz potém Wilhelm poszedł oznajmić ojcu, że imie Czerninów na nim zaginąć musi, gdyż nigdy nie pojmie żony.

Adelajda wraz z Wratysławem, którego wypuszczono z więzienia, osiadła w Miśnii przy bracie swym margrabi Ditrychu. Niezadługo po tych wypadkach Ottokar pojął za żonę Konstancją siostrę królów węgierskich, Emeryka i Andrzeja II.

Al. z Ch. Borkowska.

KORRESPONDENCJE.

Londyn 29 Maja.

Po dwóch latach niebytności w Anglji, kraj ten, a szczególniéj Londyn nie zmienił się w mych oczach. Według mnie, Anglja jest pięknym ogrodem, Londyn zaś jest najmniéj powabną ze stolic, jakie znam. Zadziwia zapewne porządek, czystość miasta tak rozległego, ale ulice niemają w sobie nic uderzającego jak niektóre ulice nowego Paryża. Domy anglików są nadzwyczaj proste i gładkie na zewnątrz, bez żadnéj nawet pretensji do ozdób, często bardzo są z cegły nietynkowanéj, ale zajrzyj do najmniéj pozornego domku, co to za czystość, ład i wygoda! Francuzi żyją najwięcéj na ulicy, anglicy żyją u siebie, dom anglika jest to jego najmilsze schronienie po całodziennéj pracy, gdzie na powracającego wyglądają z utęsknieniem żona i dzieci, gdzie najlepszy fotel przy kominku, doskonałe książki i kochające serca go oczekują kiedy wróci, cóż więc dziwnego, że mu dom milszy nad wszystko, że nie żałuje ani na ozdobienie go wewnątrz, ani na wygodne urządzenie? W każdym, nawet nie bardzo zamożnym domu w Anglji, jest dobrana biblioteka dzieł najcelniejszych w literaturze angielskiéj, życie regularne i jednostajne jakie prowadzą, pozwala im dosyć czasu poświęcać na czytanie i do tego gust tak jest wcześnie wszczepiany w dzieci, tyle jest dzieł uczących i ciekawych, że znaczną część wiadomości anglicy mają, nie z nauk pobieranych w szkołach, ale przez własne kształcenie się i wielkie upodobanie w czytaniu. Anglik w domu swoim przestrzega niezmiernie, aby każda rzecz zawsze odbywała się we właściwéj porze,

sam daje tego przykład; godzina śniadania obiadu i t. d. jest oznaczona i uważa się za wielką niedelikatność, kto się jéj nie pilnuje. W wielu bardzo domach zwyczaj u nas dawniéj tak pospolity przechował się jeszcze, na pół godziny przed śniadaniem, państwo, goście i słudzy schodzą się do jadalnego pokoju na poranną modlitwę, którą sam gospodarz odmawia głośno. Jest w téj wspólnéj modlitwie coś tak rozrzewniającego, że mi zawsze z żalem przychodzi myśléć dla czego u nas ten piękny zwyczaj zaniedbany, dla czego i naszych ludzi nie możnaby było oderwać od pracy, aby choć przez kwadrans myśl swoją podnieśli do Boga. Lud nasz tak szczerze pobożny, chętnie i wdzięcznie przyjąłby to zrównanie i połączenie w wspólnéj modlitwie i pani albo pan, którzyby tego pięknego zwyczaju przestrzegali, jeszcze by więcéj w ich oczach nabrali powagi i wpływu, a jeśli pan zajęty, jeśli idąc rano do gospodarstwa lub w mieście do urzędu, nie zawsze może 5 albo 10 minut temu poświęcić, nie widzę żadnéj trudności dla czego pani domu, córka lub syn nie mogliby go wyręczyć i mieć sobie za obowiązek, ani jednego dnia nie opuścić, i tak święcie tego zwyczaju pilnować jak go pilnowały prababki nasze.

Jest jeszcze druga, wielka korzyść, wypływająca z téj wspólnéj modlitwy; kiedy się wszyscy razem schodzą, każdy musi być na czas ubrany, porządek domowy zyskuje na tém niezmiernie, a ludzie nasi tak skłonni do opuszczenia się w ubraniu, widząc, że pan i pani, dzieci i goście przychodzą umyci i uczesani, nie śmieliby się pokazać inaczéj, jak także jako tako ogarnięci.

Dom anglika jest pod tym względem wzorem, a gdy porządek raz zaprowadzony, nadzwyczaj mało potrzeba, aby wszystko szło jak w zegarku. Angielki zwykle są od rana ubrane tak, że zaraz po śniadaniu na spacer albo po sprawunki wyjść mogą, ubranie ich na ulicy jest nadzwyczaj skromne, ale porządne; strój na ulicy uważany jest bardzo źle *vulgar*, wyrazu tego każdy się boi, bo za człowieka *vulgar*, to jest źle wychowanego nikt uchodzić nie chce. W Niedzielę do kościoła ubierają się strojniéj i wróciwszy z nabożeństwa, nie wychodzą z domu, cała więc toaleta i przepych, zachowuje się na wieczorne zebrania i obiady u siebie, albo u znajomych.

Gdybym zatém chciała czytelniczki Kółka o modach angielskich oświecić, powiedziałabym, że są bez żadnego porównania skromniejsze od toalet dam naszych w Saskim ogrodzie, w piękny letni dzień. Zwykle kolory niejaskrawe, okrycia i płaszcze ciemne i kapelusze bardzo skromne na najcelniejszych ulicach Londynu, jak Oxford i Regent-Street, albo w Parkach na spacerze spotkać można. Kto ma świetny powóz, liberją i pyszny dom, temu uchodzi wykwintniejsze ubiór lecz i te panie tylko stroją się, gdy jadą na spacer; uważaném tu jest za śmieszność wystąpić w jedwabnéj sukni i piórach i albo iść piechotą, albo najętą dorożką paradować. Ubiór dzieci angielskich zdaniem mojém jest zawsze najpraktyczniejszym; dziewczynki nie noszą krynolin i tych nieprzyzwoicie kusych sukienek, nie są ściskane jak osy, aby mieć piękną figurę, ale w obszernéj sukni, w płaszczyku z rękawami, aby mieć ruchy wolne i kapelusiku zakrywającym od słońca, biegają swobodnie po parku; chłopcy od lat czterech do ośmiu noszą bardzo ładny strój. Pończoszki kolorowe w pasy poprzeczne, spodeńki szerokie i krótkie do kolan i nad kolanem zciągnięte na elastyczny sznurek, do tego kamizeleczka i kurteczka, *à la zouave* z téj saméj materji co spodnie i kapelusik węgierski. Jak ładnie dzieci w tym wyglądają, to trudno sobie wystawić, jest to ubiór wygodny i malowniczy zarazem.

Miałam sposobność widziéć kilka oddziałów wolnych strzelców w czasie rewji, którą odbywali na polach Wimbleton niedaleko Londynu; jest to wojsko złożone z obywateli, młodzieży wszystkich stanów, którzy swoim kosztem bardzo porządnie ubrani, dostają od rządu broń, proch i kule i pod kierunkiem wojskowych instruktorów odbywają manewra, próby, strzelają do celu i maszerują. Nigdybym nie myślała, żeby anglicy mogli mieć tyle upodobania w wojskowości i żeby ci, co dzień cały ślęczą nad rachunkami po biórach, mogli tak dobrze w mundurze wyglądać i tak zręcznie bronią władać. Od czasu tworzenia się tych pułków, w sobotę do południa tylko

otwarte są sklepy, po obiedzie wszyscy idą na manewra wolnych strzelców i Londyn inną przybiera postać; co moment słychać bębny i muzykę wojskową, bo oddziały które się każdy w swoim cyrkule formują w porządku wojskowym, paradują przez miasto, aby się połączyć na przeznaczoném do manewrów polu; tysiące chłopców i dzieci małych poprzedza te parady i nadaje miastu bardzo ożywioną postać.

Wszelkie zabawy, bale i teatra spóźnione są w tym roku z powodu śmierci matki królowéj, księżny Kent. Ale w czerwcu odbędzie się już pierwsza recepcja u królowéj, na którą nie jedna młoda panienka nie cierpliwie oczekuje, jest bowiem zwyczaj przyjęty w wyższych sferach towarzystwa, że młoda panienka nie pierwéj zaczyna bywać w świecie, aż zostanie zaprezentowaną królowéj—prezentuje ją zwykle matka albo która ze starszych dam. Takich recepcji bywa zwykle kilka, w czasie tak nazwanéj *saison*, to jest w czasie letnich posiedzeń Parlamentu; teraz właśnie zaczynają się największe zabawy w Londynie, które trwają do końca czerwca. Kto chce zwiedzić Londyn powinien w téj porze przyjechać. Hyde Park około godziny czwartéj po południu jest godnym widzenia; co jest najpiękniejszych powozów w Londynie, musi się pokazać na spacerze, mnóstwo kobiét i mężczyzn konno przejeżdża, co dla znawców i amatorów koni, jest widokiem zachwycającym, bo ja chociaż kobiéta nieraz uderzona byłam pięknością i starannym utrzymaniem tutejszych koni.

Kto zna Anglją tylko z tego że kilka tygodni zabawił w Londynie, niemoże mieć wyobrażenia ani o bogactwie tego kraju, ani o sposobie w jakim sobie anglicy życie uprzyjemniają; niepotrzeba tu być wielkim panem aby posiadać to wszystko czém u nas niewielka liczba wybranych jest obdarzona, możny lord nieraz nie może żyć tak wykwintnie, jak niejeden bogaty kupiec, lub piwowar. Teraz właśnie bawiliśmy u znajomych, na wsi, w hrabstwie Surrey, pojechawszy raz na spacer, przejeżdżaliśmy przez cudny park na kilka mil angielskich rozległy, ozdobiony starożytnemi i rozłożystemi dębami i bukami. W samym środku parku pałac trochę staroświecki, ale obszerny z licznemi zabudowaniami gospodarskiemi, był niegdyś mieszkaniem jednego z braci Napoleona I, nieumiano mi powiedzieć którego, ale najprędzéj Hieronima, dziś należy cała ta własność do pana Wood piwowara, który żyje na wielką skalę, polowania wyprawia i pewnie niejednego lorda przy stole swoim przyjmuje.

Od przyjazdu mego do Anglji tak ciągle byliśmy w ruchu, że niemiałam dość czasu na czytanie. Mówiono mi że Dr. Liwingston który, jak wiadomo, w towarzystwie kilku ludzi odważnych zapuścił się w głąb Afryki i odkrył zamiast pustyń piaszczystych, ogromne rzeki i kraj żyzny, dotąd jeszcze coraz nowe robi wycieczki i był niedawno w Timesie list jego do Towarzystwa Geograficznego pisany.

Tacheray wydaje ciągle pismo perjodyczne, miesięcznie wychodzące pod tytułem *Cornhill Magazine*, nadzwyczaj chwalą nową powieść pani George Elliot, która jest dalszym ciągiem „Adama Bede” powieści przed parą laty wydanéj; za długi byłby szereg tytułów książek, które tu ciągle wychodzą, dla tego jak mi czas pozwoli przeszlę Wam tylko treść tych wszystkich, które mi się ciekawemi dla czytelniczek Kółka wydadzą.

M. z K. F. Z.

Paryż 31 Maja.

Mogę was upewnić, że nasz paryzki maj, w niczém się co do pogody od warszawskiego nie różnił. Tak samo zimno, śnieg i grad dnie jego znaczyły. Ale paryżanie nie zważając na to, bawić się umieli. Wyścigi konne w Longchamps były bardzo świetne, widziano tam najkompletniéj chudych żokejów i wyrównywających im ich panów w téj doskonałości. Wiadomo bowiem, że szczególniéj angielską szlachtę bierze często ochota ścigać się osobiście na swoich koniach, wtedy używają tego samego co żokeje sposobu, dla zmniejszenia wagi swego ciała. Jedzą niezmiernie mało według wymiaru i owijają się co dzień na kilka godzin, w grube wełniane koce, żeby silne poty wzbudzić w sobie. Tym sposobem dochodzą do pożądanéj sławy, ale pozostaje im najczęściéj chudość tak przerażająca i tak śmieszna zarazem, że

spotkawszy podobną postać na paryzkim bruku, mimowolnie zastanowić się przychodzi, otwierając ogromnie z podziwienia oczy, a jeszcze bardziéj usta do śmiechu. Opowiadają o jednym angliku, w którym mimo wielkiéj skłonności do obżarstwa, przemawiała namiętność wyścigowa tak silnie, że za pomocą głodzenia się i potów, doszedł do pożądanego zmniejszenia wagi do cyfry jak najniższéj, skoro jednak mijała pora wyścigów, brał się zapamiętale do rozbefu i wszystkich łakoci starego i nowego świata; wnet też odżywił się, zmężniał przyzwoicie i przez pół roku blisko wyglądał jak człowiek. Lecz wracały miesiące wyścigów, a z niemi i słabostka baronneta; od pełnego talerza szedł zatém na djetę i do straszliwego koca, który wkrótce czynił go podobnym do pająka lub konika polnego. Tak ciągle przez lat kilkanaście sir Edward był człowiekiem co się nazywa dwulicowym, nie w moralném, ale w fizyczném tego wyrazu znaczeniu; dwa razy rocznie w różnego wymiaru występował kształtach, aż nareszcie jak raz utył potężnie, tak już ani rusz, wybrnąć nie mógł z téj powodzi tłuszczu, która go raz na zawsze wyrwała z objęć wyścigowéj chwały i nie dość, że go koń dźwigać nie może, ale on sam ledwo dźwiga siebie.

Niech mi darują wszyscy wielbiciele wyścigów, że przyjemność jakiéj się doznaje w salonach wystawy sztuk pięknych nazwę szlachetniejszą. Mieszkańcy Paryża chcąc odwrócić oczy od słoty, która im nieustannie w szyby dzwoniła, chodzili tłumnie na pola Elizejskie, na wystawę dzieł malarstwa, rzeźby i architektury. Zaraz u wejścia zwracał tam uwagę olbrzymi posąg konny, dzieło Rocheta, przeznaczony na podziw Brazylijczykom i mający być wyprawionym wkrótce do Rio Janeiro. Pomnik ten wyobraża cesarza don Pedra I-go jako założyciela niepodległości Brazylji. Podstawę otaczają allegoryczne postacie, przedstawiające cztéry wielkie rzeki tego kraju, a postawione na przemian ze zwierzętami właściwemi południowéj Ameryce.

Między obrazami pełno przedstawiających bitwy, mianowicie pod Solferino i Magenta; miłą jest francuzom ta myśl, że oni podali rękę włochom na drodze do swobody i nawet ich miłość własna wiele imułudy pod tym względem dostarcza. Ale wracajmy do wystawy, na któréj zwróciła szczególniéj moją uwagę znaczna liczba kobiet, wystawiająca dzieła swego talentu, często wcale niepośledniego. Na tysiąc trzystu artystów malarzy, których nazwiska zapisane w katalogu wystawy, jest sto czterdzieści kobiét, siedm zaś wystąpiło jako rzeźbiarki. Zostawiam filozofom i moralistom rozważanie, jakiego jest znaczenia, wpływu i skutków, to pokazywanie się coraz liczniejsze na szerokiéj widowni nauki i sztuki *kapłanek rodzinnego ogniska* (wyrażenie uświęcone) na które wołają na próżno, żeby się nie ważyły wyjrzéć po za domową strzechę. Lecz cóż począć, jeżeli się im przykrzy przy samotném ognisku, wyczekując arcykapłana, który się zabawia wesoło gdzie indziej?...

Znajoma wam z Warszawy pani Ristori, ciągle z oklaskami przyjmowana w teatrze Odeonu—inne teatra również uczęszczane, bo ludność paryzka nim się po wsiach rozpierzchnie, lubi używać miejskich przyjemności. Długo trwające zimna, przeciągnęły wieczorowe zabawy; w arystokratycznych salonach, bale ciągle bywały, u pani de Solms, grano komedję przez nią samą napisaną, oraz sztukę Ponsarda, w któréj piękna gospodyni wystąpiła znowu jako aktorka. Koncerta bywają także liczne i na nich pełne fantazji i lekkości okazują się stroje, o których mam sobie za obowiązek powiedzieć czytelniczkom Kółka. Czepeczki i ubrania na głowę trudno określić, bo każda modniarka robi je po swojemu, a każda z paryżanek kładzie je według swego widzimisię. Tu widać djademy przypominające strój głów królewskich, tam z nakrawanych wstążek i gałązek z lawy ułożone misternie wieńce, niby cierniowe męczenników korony. Najwięcéj zdobią głowę po nad czołem to pękiem kwiatów, to wstążek lub piórek, to jakiemiś dziwacznemi wachlarzykami czy pukielkami z krepy, z któremi pięknéj buzi wcale do twarzy, lubo nasuwają na myśl dzikich Indjan stroje. Koronkowe chustki zawsze dawnego używają powodzenia przy większém ubraniu; *crêpe de Chine* białe, czarno haf-

towane lub całe czarne, weszły bardzo w użycie przy rozpoczynającém się nareszcie pasmie dni ciepłych. Wszechwładna moda pozwala przyszyć do sukni aż do 15 falban; miarkujecie więc, że są drobne i przysuwają się bliżéj jak o pół łokcia do pasa, a jeżeli są w mniejszéj liczbie to jest dwie lub trzy, a równie wązkie, to już pokorniutko trzymają się samego dołu. Często też bardzo pozwalają sobie różnych wybryków i podczas kiedy jedna falbanka okrąża sam dół sukni, trzy inne po nad nią rozwieszają się w festony czyli zęby okrągłe. Czasem znów ów komplet z 15 złożony, szykuje się w trzy równe oddziały po 5 licząc, a odstępy między niemi odznacza plissa wybitnego koloru, wszakże harmonizującego z suknią. Taki sam kolor musi być zarazem użyty do wystroju rękawów i stanika; bardzo często czarny, bo się ze wszystkiemi innemi zgadza, a do czarnego bareżu takież pou de soie używają. Białe suknie będą zapewne miały w tym roku palmę pierwszeństwa, jeżeli ich przypadkiem jakie ostre a niespodziane (lubo wszystkiego spodziewać się można) dni zimne nie wygnają z kobiecéj garderoby. Tarlatanowe obszywane na przemian białemi i czarnemi koronkami, do najwykwintniejszych należą. Pojawia się także pełno muślinowych z szerokim u dołu szlakiem lub wszywką haftowaną. Ta wszywka czasami wstawiona jest na dole spódnicy tak, że tworzy pewien rysunek jak np: *grecque*, co wam dla lepszego zrozumienia posyłam narysowane. Taki szlak greckim zwany, daje się także z przemarszczonych po środku falbanek, czy też równie przez środek szytéj w kontrafałdy wstążki. Widzieliśmy przygotowaną dla jednéj elegantki białą pikową suknię, któréj spódnica miała dwoma rzędami u dołu, na ćwierć łokcia szerokie, takie naszycie *grecque* z plecionek czarnych. (Z aksamitek zaś bywa na jedwabnych lub wełnianych sukniach.) Pikowa ta suknia miała podobnież czarno szamerowaną kamizeleczkę i kaftanik zuawski na wszystkich szwach haftowany.

Kapelusze lubo małe, bardzo roztropnie zachodzą coraz więcéj na oczy, a szczególniéj dla mężatek najczęściéj zdobią je pióra, które umiejętnie z gustowném obliczeniem na efekt przypięte, powabnie zakręcają się z boku ronda, jakby rade sięgnąć do powabnéj twarzy którą zdobią.

Niektóre kobiéty usiłują utrzymać w ubraniu rodzaj bluzy Garibaldego, kolorów jaskrawych, opasanéj paskiem, lecz nie kładą jéj osoby odznaczające się dobrym smakiem, zostanie ona tylko dzieciom, którym dotąd bardzo przystawała. Przygotowują także dla pań na wieś wyjeżdżających, malownicze ubranie znane pod nazwą *costume des Pyrenées*, które stanowi spódnica haftowana, lub wyszywana jaskrawemi kolorami i rodzaj obszernéj koszuli białéj nędzakowéj *(nanzouk)*, dochodzącéj, ma się rozumieć, tylko do pasa i tworzącéj stanik. Ubiór ten na składnych, gibkich kibiciach, nie jest bez wdzięku.

Domagacie się u mnie o nowe formy i desenie kołnierzyków, posyłam więc jeden z oryginalniejszych zwany *col Collin* do którego trzeba koniecznie włożyć krawatkę lub wstążkę, bo z tyłu stoi do góry, a tylko końce jego z przodu na stanik się zwieszają[1]). Dodaję także formę zgrabnego paletota, które najwięcéj robią z kaszmiru czarnego, zdobiąc niezmiernie pięknemi obszyciami, tudzież mantylkę ochrzczoną *Ewa* przez modniarkę, która mi ją udzieliła. Czyby ją w całym ucywilizowanym świecie poznano po tém imieniu za to nie zaręczę, gdyż tutaj każdy magazyn daje dla łatwiejszego rozpoznania nazwy swoim wyrobom, nie znosząc się pod tym względem z drugiemi, ztąd często kilka nazw do bardzo blizkich siebie kształtów kroju się przyczepia, jak to macie dowód na kapeluszach z podniesioném rondem zwanych *Tudor Ecossais Garibaldi* i t. p.

M. D.

[1]) Rysunek kołnierzyka i szlaku greckiego, damy przy następującym numerze, formy zaś wykrojone z paryzkich wzorów, redakcja Kółka domowego obowiązuje się przesyłać przy sprawunkach, za dopłatą od dwóch do czterech złotych.

O UBIORACH.

Muśliny, bareże i grenadiny ustaliły zupełnie swe panowanie, bo przy trwających dniach ciepłych, uwierzyliśmy nakoniec, że mamy wiosnę i lato. Strojniejsze kapelusze i lekkie okrycia, pokazują się licznie na ulicach, a napełniony wieczorem Saski ogród, najdokładniéj przedstawia co noszą w Warszawie. Otóż obraz jego jest zupełnie różny od dawnych lat, czarne bowiem ubiory kobiét, mają w sobie coś uroczystego i poważnego, trzeba téż wyznać, że skłaniając się bardziéj ku prostocie, panie nasze, zaniechały tych potwornych spódnic, które je czyniły podobnemi do poruszającego się olbrzymiego dzwonu, lub góry garbatéj. Wszystkie zatém wyglądają estetyczniéj i już nie dojrzéć tu tych straszydeł stroju, rozdętych na ogromnéj przestrzeni, obciążonych ozdobami wszelkiego rodzaju, które mają być niby najwierniejszém odbiciem mody, a stają się jéj prześmieszną karykaturą. Lubo rysunek wchodzi w program nauk udzielanych kobiétom po pensjach, lubo uczucie piękna, zdaje się być wrodzoném ich naturze, jednak w niewolniczém naśladownictwie mody, tracą często pojęcie o proporcji kształtów. Nigdy więc nie jest zanadto przypominać im, że się powinny starać o nadanie ubiorem pięknego rysunku całéj swéj postawie, a nie wykoszlawiać ją; niechby to tak aż spojrzéć było miło na umiejętnie dobrane kolory i krój szaty, okrywający z artystyczną znajomością rzeczy, niedokładności figury. W rozprawach o sztuce i estetyce dowodzą niektórzy, że sztuka przewyższa naturę o całą wysokość ducha artysty, który dzieło tworzy. Otóż w ubiorze niech kobiéta będzie artystą i tu godzi się sztuce pokryć niedokładności natury, nie zaś je uwydatniać jeszcze, bezwarunkowém zastosowaniem modnego kroju i koloru do wybitnie różniących się postaci, lub do cery odmiennéj. U kogo np: owal twarzy jest proporcjonalny i czoło niezbyt odkryte, dla tego włosy odwrócone i zebrane w fantastyczne pokręcenia nad samém czołem, są oryginalną ozdobą, ale proszę wyobrazić sobie zbyt ściągłą z natury twarz, przydłużoną jeszcze takiém uczesaniem. Że to śmiesznie wygląda, to nie winno uczesanie, będące przeciwnie bardzo dla pełnych policzków korzystném, lecz osoba co je użyła, mimo wiernego zwierciadła, w które patrzy zapewne. Otóż idzie o to, żeby wiedzieć jak co użyć i zastosować dla siebie.

Magazyny nasze wyczerpały już kilka razy, sprowadzane zapasy czarnych, różnego gatunku wyrobów, gdyż przy zmianie pory, okazała się dla każdego potrzeba zrobienia jakiegoś sprawunku.

Na białém tle żaknotów i muślinów czarny kolor, różne układa rysunki i cena pierwszych po 2 zł. gr. 10, drugich zaś od 3 do 4 zł. według bogactwa deseniu. Fabryki krajowe przygotowały także zapas płócienek i lekkich wełnianych materji do dzisiejszego gustu zastosowanych. Pierwsze po 1 zł. lub 1 zł. gr. 10; drugie od 2 do 3 zł. łokieć. Piękne suknie jak zwykle są drogie. Niezmiernie ozdobna przezroczystością swoją *gaze de Chambéry*, mająca na tle czarném biały rzucik srebrzystym połyskujący blaskiem, którą widzieliśmy w magazynie p. Włodkowskiego, kosztowała 150 zł. sztuczka. U p. Zelta grenadina także przezroczysta, lecz oznaczona grubemi prążkami i mogąca przez to stanowić suknię trwałą a niegniotącą się łatwo, kosztuje po 6 zł łokieć a wązka na niecałe pięć ćwierci łokcia. Mówiliśmy już podobno o *gaze grenadine* jedwabnych, że do dziewięciu zł. łokieć w cenie dochodzą, słowem, że na każdą taką suknię od 18 do 25 rubli wydać trzeba. Jest po sklepach dosyć gotowych wełnianych popielatych spódnic z paletotami z tego samego materjału, po rubli mniéj więcéj 20 lub nawet 45 jeżeli do tego jest jeszcze zuawski kaftanik, a materjał w dobrym gatunku. Takie jednostajne ubrania należą do najmodniejszych, lecz oszczędne kobiéty wolą sobie sprawić czarne okrycie kaszmirowe bo je można do każdéj użyć sukni. Świéżo teraz nadszedł do magazynu p. Włodkowskiego, rodzaj bareży angielskiemi zwanych, przezroczystych, dosyć sztywnych aby się nie gniotły, mocniejszych od naszych dawnych co się rozdzierały co chwila, koloru mieszanego czarne z białém, a ceny tylko 30 do 45 gr. łokieć. Szarfy długie idące od pasa, są teraz konieczną sukien ozdobą, zwłaszcza dla osób które przekładają suknię gładką nad garnirowaną. Szarfy te jeżeli dają się z boku, wtedy nie zawsze wiążą się w kokardę, a tylko w sposób węzła rozwleczonego powtórnie przewiązują, z przeciwnego zaś boku używają często innego garnirowania na spódnicy, dla zrównoważenia ozdoby szarf, jak np. widzieliśmy suknię z popielatéj *gaze grenadine* otoczoną u dołu jedną plissą czarną obszytą *tuyauté*, to jest wązkim garnirunkiem w kontrafałdy z z téj saméj materji co suknia. Z lewego zaś boku dwie inne podobne plissy od dolnéj powstałe, w równéj od siebie odległości, zakręcały się w górę, tworząc niby dwie, jedna nad drugą tuniki; z prawego boku szarfa z czarnego *pou de soie* tak samo jak plissy garnirowana, dopełniała stroju. Częściéj jednak, szczególniéj, powtarzam, do gładkich sukien używane są szarfy z przodu, ma się rozumiéć, że powinny być długie i szerokie, żeby stanowiły ozdobę. Dają je albo z kosztownych wstążek, albo najczęściéj z *pou de soie* zakończone szmuklerską kratką i frendzlą, lub téż

wygarnirowane w około brzegów. Kokardy uszykowane na przodzie od stanika do dołu spódnicy w pewnych odstępach, wracają się znowu do cięższych sukien.

Dni gorące utrzymują modę rękawów otwartych, które się najwięcéj różnią tylko wystrojem. Na załączonéj do tego zeszytu tablicy, dajemy formę rękawa nadesłaną nam z Paryża, na której wyszycie winno być zastosowane do materjału sukni. Z taśmy szmuklerskiéj jeżeli na płócienku lub żaknocie, na bareżach zaś, grenadinach i cięższych materjach wełnianych lub jedwabnych, z wstążek przefałdowanych środkiem, z pasków *pou de soie* lub aksamitek obszytych po dwóch stronach nieco naddaną wązką koronką. Jeżeli u stanika są guziki które dosyć używają, należy przy końcu takiego wyszycia na rękawie, umieścić także w małéj odległości po jednym guziku.

Dajemy także deseń kołnierzyka, udzielony nam uprzejmie z haftarni pana Wagi, któréj wyroby odznaczają się taniością i wykończeniem, są tam bowiem kołnierzyki haftowane nawet atłaskiem od 5 do 10 złp. wraz z wyłogami mankietów. Droższe bywają już bardzo ozdobne. A jednak nie mają odbytu na jaki zasłużyły, gdy tymczasem francuzka, która tu niedawno przybyła z wielkim pakunkiem haftów i stanęła w Europejskim hotelu, wnet je i to bardzo drogo rozprzedała. Radabym to usprawiedliwić oddaleniem od środka miasta mieszkania naszego rodaka. Głównemi wyrobami zakładu pana Wagi są hafty strzyżone, wypukłe, na meble i dywany, wykonane na grubym rypsie kolorową włóczką z takiém wykończeniem co do rysunku i kolorytu, że prawie mogą iść o lepsze z malarską sztuką. Wyroby te na wystawach Londyńskiéj i Paryzkiéj były wieńczone medalami złotemi pierwszéj klassy i artystyczna ich piękność powszechnie uznana. P. Waga w spółce z pewnym francuzem wpadł na pomysł zbudowania machin, ten haft ułatwiających i bardzo pomyślnie prowadzili oba fabrykę tego rodzaju w Brukselli; wyroby ich zakupywane były przez domy panujące. W tém polakowi przedstawiła się możność powrotu do kraju, a serce jego wyrywając się stęsknione do gorąco miłowanéj ojczyzny, zagłuszyło roztropność przemysłowca. Pytam się tych wszystkich którzy tu na téj ziemi urodzili się, wzrastali i żyją (nie mówię polaków, bo ci którzy mieszkają z upodobania za granicą, nie rozumieliby mnie) pytam się, zkąd miał wziąć odwagę nie wracać, kiedy wracać mógł?... Rozpłaciwszy się więc ze spólnikiem, zabrał część swoich machin i przybył do Warszawy, z zamiarem prowadzenia daléj robót swoich i łudząc się nadzieią, że ziomkowie, zamiast sprowadzać kosztowne dywany z zagranicy, jego wyrobami komnaty swoje ozdabiać będą. Wprawdzie są to bardziéj przedmioty zbytku, dostępne tylko dla bogatszych, a bogatsi u nas lubo nie wszyscy, często jednak na to tylko mają pieniądze, żeby oczy odwrócili od rodzinnéj ziemi, więc nie troszczą się o to, coby tam kupić można, co podnieść, czemu dopomódz. Jednakże nawet tych kołnierzyków tanich, nawet tych czapeczek rannych męzkich tak pięknych i trwałych za trzy ruble, (podczas kiedy daleko mniéj trwał nabywają się za pięć rubli) nikt nie kupuje. Okrycia zaś zagraniczne na duże stoły przed kanapę, równie piękne jak wyroby p. Wagi, pewno nie są tańsze jak w tymże zakładzie, który je po 30 rubli sr. sprzedaje.

Niepowodzenie takie jeżeli się przedłuży, grozi p. Wadze utratą mienia z pracą i mozołem między obcemi nabytego, coby było ze wstydem naszym, że się to między nami stało, nie wezmą mi więc za złe rodacy, jeżeli tutaj adres jego zakładu podam i pamięci ich go polecę. *Ulica Grzybowska dom Rajkowskiego pod N.* 1054.

Objaśnienie tablicy rysunków.

1, 2, 3, Chusteczka na głowę (*fanchon*). Narysowana tu w trzech częściach, ale jeszcze lepiéj, jeżeli ją można będzie z jednéj sztuki ukroić, z tiulu koronkowego czarnego. Obszywa się wązką koronką i zwykle pod brodą wiąże. Może być i biała, a wtedy dają się na wierzchu trzy płaskie kokardki ze wstążki. Po napisanych na formie literach dochodzić trzeba, jak który brzeg z drugim zeszyć i tak np: brzeg CD z drugim także CD oznaczonym.

4, 5, Pelerynka muślinowa lub tiulowa.

6, 7, Kołnierzyk i mankiet, deseń z zakładu haftów p Wagi.

8, 9, Kołnierzyk i mankiet gładki podwójny, żaknotowy, do otwartéj sukni.

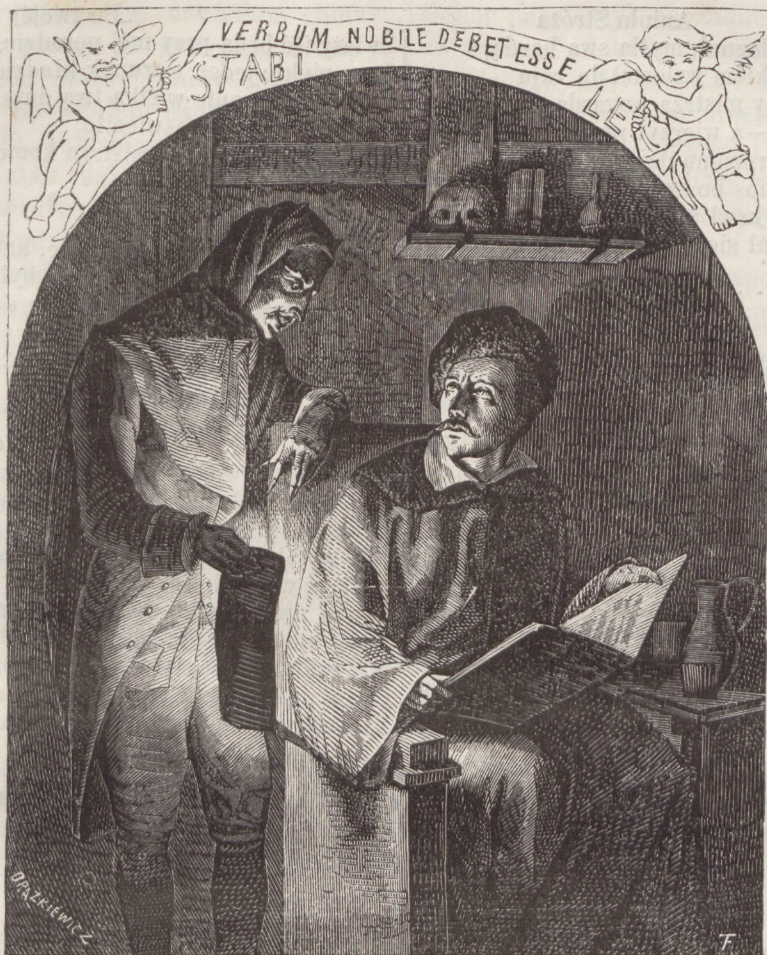
10, Krawatka czarna jedwabna do angielskiego kołnierzyka. Wycina się według formy z materji i podszywa. W miejscu gdzie dwa końce na siebie zachodzą, daje się rozetka parę razy w koło naszyta koronką wązką, w środku zaś guzik lub gwiazdka z lawy. Końce bywają naszyte aksamitkami, paciorkami lub gwiazdkami z lawy (*jais*) u brzegu także należy obszyć je koronką

11, Krawatka jedwabna ucięta prosto, nieco szersza u końców, wiąże się według upodobania pod brodą.

12, 13, Kołnierzyk zwany angielskim, z mankietem. Kraje się podwójnie z gęstego żaknotu lub cienkiego płótna. Między dwie części wszywają się stębenkiem dwa cienkie sznureczki obok siebie.

14, Rękaw.

15,16,17, Stanika przód, plecy i boczek.



Mistrz Twardowski, (rysował Tegazzo ze szkicu Ignacego Gierdziejewskiego [1]).

MISTRZ TWARDOWSKI.

.......A mistrz w głębokiej siedział zadumie,
O duchu, światach..... nieśmiertelności,
—A mistrz przychwalał Anioła dumie,
Który chciał Boga zrównać w wielkości
I pełen pychy lucyperowéj
Nad człowieczeństwo chciał wzbiedz rozumem,
Rządzić światami z władcą Jehowy,
Gardzić bliźniemi—pomiatać tłumem.
Prawda, myśl ludzka światy przenika,
I dzieła Twórcy dowolnie bada,
Lecz są świętości których nie tyka,
I przed mądrością Bożą upada.
A mistrz własnego rozumu sile
Zanadto ufał. W tém przekonaniu,
Iż Bóg potęgi ma tylko tyle
Ile ma wiedzy. Więc o kochaniu
Mistrz ani myślał. Jemu boginią
Jemu kochanką—wiedza i władza,
Głowa mu tylko mądrości skrzynią,
A serce próżno w piersiach zawadza.
Bo czyjem sercem miłość pomiata,
W kim jakie rzewne czucie zagości,
Ten już nie zbada tajników świata,
I już stracony jest dla ludzkości.
—Tak mistrz rozumiał w swoim obłędzie,
O mistrzu! miłość, to prawda boża,
A prawda kiedyś na sąd zasiędzie
By sądzić ludzkość!.....

[1]) Ignacy Gierdziejewski malarz, niepospolitemi obdarzony zdolnościami, szczególniéj odznaczający się bogactwem pomysłów; kształcił się w Warszawie, następnie rok w Dreznie, a trzy lata w Rzymie. Zmarł w Warszawie 1860 roku, mając lat 34, zostawiwszy wiele pełnych bujnéj fantazji szkiców, które świadczą o jego talencie.

Anioła Stróża
Mistrz precz odegnał, myślą swą hardą;
Jasny duch z jękiem wzleciał do raju
Lecz nie zrażony mistrza pogardą,
Bał się o niego—a wierzył przecie,
Że to zbłąkane rozumu dziecię
Dojdzie do niebios bo swego kraju
Bo swego ludu, krwi swéj miał cnoty,
A jako piekła bał się sromoty.

. . . .

Długo Twardowski szukał sposobu,
Ażeby wszechmoc wysnuć z nauki,
I w najstraszniejsze tajniki grobu
Zajrzał zuchwale. I strasznéj sztuki
Czarnoksiężników, w pomoc przyzywa
Aby shołdować ciemności ducha—
I gdy tak bada, czeka i słucha,
Szatan nakoniec przybywa!
Mistrz się nie uląkł. Cóż to mistrzowi?
Tamten, duch złego, a on, duch siły,
On, rozkazywać chce szatanowi,
Więc czekał milcząc.
„Panie mój miły
Rzekł, z kwaśno-słodkiém szatan spojrzeniem,
Przyzwałeś, jestem, pokorny sługa
Co każesz spełnię; ale usługa
W parze iść winna z wynagrodzeniem."
Tu się uśmiechnął.
„Po twojéj woli
Światy iść będą przy méj poradzie,
Lecz piekło jeden warunek kładzie,
Zapisz nam panie wielką twą duszę.
Oto cyrograf." I zaświeciło
Z piekielnéj karty w mistrza komorze....

* * *

Mistrz się zamyślił. Szczęście, katusze—
Dziś albo jutro..... jest, będzie, było....
Względne pojęcia! bo złe i dobre
To urojenie—a sądy boże.....
Tu się mistrz wzdrygnął. Ha! dusze chrobre
Co nieuchronne, przemogą siłą!
I wraz podpisał.
Wiecie co daléj?...
Bo lud nasz wiecznie młody, natchniony,
Lud nasz kochany, stale w to wierzy,
Iż kiedy słowa mistrz niechciał złamać,
Gdy wolał raczéj zginąć niż skłamać,
A ginąc wezwał Marji opieki,
Zawisł nad ziemią swych ojców drogą,
A gdy godzina sądu uderzy,
Bóg wśród wybranych mistrza pomieści—
Bo on przecierpiał straszne boleści,
Na swoją ziemię patrząc przez wieki,
A takie męki okupić mogą
Grzechy wszech ludów......

Julja Janiszewska.

DROGA Z NEAPOLU DO RZYMU

PRZEZ **Józefa Kremera** [1]).

Prawie przez cały czas naszéj bytności w Neapolu uśmiechało się cudowną pogodą niebo, morze i lądy wygrywały dzień w dzień jakby tęczy barwami, a tak niewypowiedzianéj piękności, iż czyniły golf ten istnym światem czarodziejskim i jakby rajem przez sen widzianym. Ale na kilka dni przed moim odjazdem, gdy już lato miało się ku końcowi swojemu, spadły deszcze, co gwałtownością swoją dając mi wyobrażenie o owych nawałnicach zwrotnikowych przypominały, że jestem na głębokiém południu Europy.

Pierwszy z tych deszczów zastał mnie w domu znajoméj mi rodziny na strada Toledo. Było to o godzinie 11 przed południem, słońce świeciło wesoło, a gdzieniegdzie tylko unosiła się na niebie jakaś lekka chmurka; mrowiska ludzkie jak zwykle cisnęły się spiesznie tam i sam przez ulicę krzycząc i wrzeszcząc po swojemu. W tém z nagła się ściemnia — całe niebo szare, bure,—uderzyła błyskawica—rykły grzmoty—szyby dygocące zadzwoniły w oknach, teraz już ciemno jakby po zachodzie słońca—lunęła z nieba woda tak gęsta, iż zaledwie rozpoznać można było domy naprzeciw stojące. Ulewa nie spadała kroplami, ale strugami niby prostemi sznurami, bo wiatru nie było żadnego, więc lała się pionowo, spokojnie.—U nas nazwa-

[1]) Wyjątek z niedrukowanego jeszcze Vgo tomu Podróży do Włoch.

noby taką nawałnicę urwaniem chmury. Znowu biły gromy po gromach, a one jęczą, brzęczą, dzwonią niby metalicznym grzmotem. Spojrzałem na ulice, ta ludność gęsta, nabita, hałasująca, gdzieś do szczętu znikła. Jak daleko spojrzéć mogłem w jedną i w drugą stronę ulicy, ona jakby wymarła, nigdzie nie widać żywego stworzenia. W rychle bruk w całéj szerokości swojéj zamieniony w rzekę, a ponieważ ulica nieco spadzista, więc po niéj pędzi woda falami. Jak atoli nagle, znienacka nastąpiło to zjawisko, tak znienacka zniknęło;-niby na skinienie wróżki, deszcz się zatrzymał, chmury się rozdarły i pouciekały w różne strony, słońce znów zaświeciło wesoło, wystąpił na jaw bruk opłukany, umyty, biały, w oka mgnieniu zanim się spodziewałem, owa ludność, która przez ten czas niewiedziéć gdzie się pochowała, wyroiła się tłumnie na jaw widny i znowu czerni się, hałasi i znowu biega i handryczy.

Wspomniałem o tém cny czytelniku mój, głównie dla tego, iż ta ulewa nabawiła mnie nie lada strachem. Jakoż moi znajomi na ulicy Toledo mówili, że skoro już rozpoczęły się te deszcze przed jesienne, więc tylko troszkę poczekawszy, bo za jaką godzinę lub dwie znów wody padać będą; co gorsza rzekli mi, że często takowe nawałnice, leją od rana do wieczora, a niekiedy trwają nieustannie przez cały tydzień lub dwa i jeszcze dłużéj. To oświadczenie padło mi kamieniem na serce. Pomyślałem coby było ze mną, gdybym trafił w Rzymie właśnie na taki nieszczęsny czas codziennych nawalnic, trzymających biednego wędrowca na uwięzi w izbie! Wyznam, że nie mogłem zrócić z siebie téj obawy, która mi złośliwie towarzyszyła aż do Rzymu. Pocieszałem się jedynie myślą, że to „przecież Pan Bóg łaskaw” i że „jakoś to będzie!”

Gdy zamawiałem sobie na poczcie miejsce do Rzymu, urzędnik, istny synek Neapolu *gadativus* bez miary, postawił mi na oczy jakieś śliczne cacko; był to model karety pocztowéj, miniaturowy, lecz kopjujący sumiennie wszystkie szczegóły tytanicznego oryginału. „Proszę wybrać sobie miejsce,” rzekł do mnie—„bo szczęściem signor pospieszył się, żadne miejsce jeszcze nie wzięte” I było w czém wybrać: więc na przodzie niby facjata ruchomego domu, karetka na trzy osoby prosto do koni zwrócona a oszklona z przodu i z boków, więc za nią główny, brzuchaty korpus budynku zwany rotonda, obejmujący ośm osób, a z tyłu jakby widermach ciasna, płytka, przylepka na trzy wędrowne ofiary: więc znowu z przodu nad ową karetką pięterko, w niém pomieszczenie dla konduktora i dwóch podróżników najmniéj wybrednych. Przez ten czas, gdym się rozpatrywał w tym modeliku lokomobilu, urzędnik jął się sylabizowania naszego paszportu; zdaje się jednak, że takowe jego filologiczne studja nie były szczęśliwe, bo chwycił się krótszéj drogi i wprost zapytał zkąd jestem? Z Krakowa odrzekłem.—A gdzież to ten Kraków proszę? pyta urzędnik pocztowy.—W Polsce, odpowiedziałem. Wtedy nasz interlokutor płynną wymową zapewniał, że jest gorącym wielbicielem naszego narodu i dla tego szczerze a serdecznie radzi, bym obrał miejsce w owéj karetce na przodzie, bo z niéj widok zawsze otwarty na świat a miejsce mało co droższe niż w rotondzie w któréj tak duszno, parno, a nudno, bo świata ani na próbkę nie widać. Dodał w końcu, że rotonda to menażerja stosowna raczéj dla zwierzątek nierozumnych a nie dla polaków. I bez tych namów byłem jego zdania, bo przecież pragnąłem ileby się tylko dało, zachwycić na dorywku pejzażów i poznać choć w przelocie kraj, ziemię tak klasyczną dawnych dziejów. Nasłuchawszy się jeszcze długich rozpraw a przelicznych konceptów naszego urzędnika, pospieszyłem do domu.

We dwa dni późniéj o godzinie piątéj z rana, już ulokowaliśmy się na owém wybraném przezemnie miejscu. Wóz stał na ulicy, a znowu deszcz lał jak z cebra. Sześć dzielnych koni po większéj części ogierów z piórami na łbie, a z brzęczącém mnóstwem dzwonków, miały nas porwać w świat, do każdéj pary był osobny pocztyljon. Długie atoli jeszcze guzdraniny były, zanim się wszyscy lokatorowie wozu poumieszczali po właściwych swoich kompartymentach. Już mieliśmy ruszyć, gdy po przez gęstą nawałnicę przypada do okien moich, ów

znajomy nasz urzędnik pocztowy i cały zmoczony, zdyszany woła, że rad jest, iż jeszcze na czas przybiegł, by się z nami pożegnać, dodał, że gdy wielce rzadko widuje polaków, niechciał opuścić téj pożądanéj dla niego sposobności, by się jeszcze z nami zobaczyć. Wśród tych oświadczeń, woda już strugami ciekła z jego kapelusza. Dziękowałem mu serdecznie za tę dla narodu naszego sympatję, w którą już teraz po téj próbie chętnie uwierzyłem. „Życzę szczęśliwéj drogi, jutro Signor będzie jeść obiad w Rzymie.” To zawoławszy, uciekł co tchu do bióra, przemokły do nitki, nie spojrzawszy nawet na innych mieszkańców wozu naszego. „Jutro objad!” odezwało się echem w duszy mojéj, brakło mi atoli czasu do dumania, bo w téj chwili brzękły ostrogi, każdy z trzech pocztyljonów, stojąc przy swojéj parze koni, trzyma za cugle i jakby na komendę każdy w téj chwili podcina konie, które téż zerwały się jak szalone i w oka mgnieniu, każdy z pocztyljonów już na siodle, a wóz szarpnięty gwałtownie warjackim cwałem, pędzi po bruku. Konie lecą ile wyskoczyć mogą.

Choć nam wypadało sporą część Neapolu minąć, przecież hajdamacką jazdą nie zadługo wyjechaliśmy za miasto. A zewsząd towarzyszyła nam natura bujna i niewypowiedzianie bogata. Wzdłuż gościńca wśród gęstwiny drzew figowych, oliwnych, wśród myrtów i winnic, wyziera na nas to domek czysto neapolitańskiego kroju, to znowu kapliczka maluchna z wizerunkiem Madonny, to willa strojna, elegancka. Liście drzew, krzewów, polane nawałnym deszczem, świécą i błyszczą, uginając się pod brzemieniem spadającéj wody.

Gościniec doskonały, szeroki a równy jak stół, nasze ogiery lecą zapamiętale, mimo to pocztyljony okładają je biczem, konie gniewne wierzgając, pokazują nam tuż przed oknami naszéj karetki, potwornéj wielkości podkowy swoje. Często spotykamy olbrzymie bryki wiejskie, wiozące jarzyny, owoce, drzewo i t. d. do stolicy. Ciągną je najczęściéj potężne siwe woły, poważne, świadome swojéj siły, ale z oczów patrzy im przyczajona złość, znać, że niecierpliwe nałożonego im jarzma, gotowe co chwila roznieść na rogach ciemięzców swoich. Wozy skrzypią i stękają pod tym ciężarem, bo produkta, a zwłaszcza łupki drzewa piętrzą się na nich, misternie ułożone stosem wysokim, na którego szczycie siadł padrone. Ale co to za mina jego! co za fantazja a butność! na głowie śpiczasty kapelusz; cała postać otulona płaszczem ciemnym brunatnym. Włoch usiadł dumnie jak na tronie na tych łupkach swoich, ułożenie ciała tak zuchwałe a malownicze, a ten gruby płaszcz z niechcenia udrapowany we fałdy, tak artystyczne, że nie jeden aktor mający udawać bohatéra lub króla, mógłby się od niego nauczyć jak to siąść i udrapować się z grandezą. Twarz ogorzała niby spiżowego posągu, oczy czarne, palą się jakimś wilgotnym ogniem, a wyraz rysów tak twardy, hardy i uroczysty, jakby pogromcy świata. Ten człowiek pewnie jest ubogi, pewnie walczy twardo o chléb suchy powszedni, ale proszę uważać jak to on mijając nasz wóz z wysokości swojéj spogląda spokojnie a dumnie na nas zwykłych śmiertelników, a do tego jeszcze cudzoziemców. Spojrzenie jego, którém nas mierzy, jest na poły litośne, na poły lekceważące, uwierzyłbyś sam, że on nieskończenie jest nad ciebie wzniesiony, uwierzyłbyś, żeby on nie mieniał losu swojego na naszą dolę. Jak za mało sobie ma wędrowców zamkniętych w tym wozie, tak pogardza deszczem co leje z niego i z towaru jego potokami; on jakby ów stoik starożytny co w sobie zamknięty, na sobie samym oparty, obchodził się nawet bez łaski bogów olimpijskich.

Tymczasem rozwidniło się niebo, słońce wyjrzawszy za obłoki, zapaliło chmury małych słońc, co drżały w kroplach zawieszonych na gałęziach i liściach krzewów i drzew, a krople spadające jakby sypiące się iskry a szczere brylanty. Roślinność w téj chwili taka wesoła, radosna, jakby po jakiéj życiodawczéj łaźni; odżyła po długich, tęsknych suszach skwarnych, opłukana z kurzawy, odetchnęła szeroko, głęboko płucami swoich liści. Dziatwa wiejska opalona od słońca, dotychczas ukryta po izbach, wybiega na gościniec, skacze i figluje i patrzy ciekawie dużemi czarnemi oczyma na dzwoniące konie, a pędzący wóz i na nieboraków forestierów wyściubiają-

cych głowy z okienek ruchomego więzienia. Przed nami na obłokach olbrzymią arkadą rozpięła się tęcza, jako odwieczne godło przymierza nieba i ziemi. Tu na włoskiém południu wśród czystéj atmosfery te jéj siedm barw palą się dziwną mocą, nie widzianą nigdy na naszéj północy. Te barwy tak pełne, głębokie, tak przezroczyste, a przecie stroją się do siebie niby harmonją siedmiu tonów niebiańskich. Sama jednak tęcza nie wié o téj harmonji swojéj, bo aby ją poznać, trzeba jestestwa duchowego, coby samą harmonją będąc, poznało harmonją w materji. Tego abecadła logiki nie zna materjalizm nowoczesny. Gdym się tym trybem miał puszczać na jakieś spekulacyjne rozumowania, znów się ściemniło, pejzaż zdawał się olbrzymią salą, w któréj po jednéj spuszczają zasłony okien. Chmury okrywszy mrokiem szarym ziemię znowu roztworzyły wnętrze swoje i zalewają świat. Pocztyljony wśród gwałtownego czwału znowu na siebie zarzucają grube płaszcze, ten lub ów z nich nadział nawet kaptur na głowę. Nawalnica tak gęsta, iż drugą parę koni widzę już tylko jakby przez oponę, a owa pierwsza para z swoim pocztyljonem zdaje mi się być marą mglistą, straszydłem umarłém, nocném, co to ucieka spiesznie przez step, czując już zbliżający się świt.

Mając z moich okien tak ograniczony a ciasny widok, jąłem się studjować naturę dyszlowych koni i ich pocztyljona. Dzielne to były ogiery, ale uparte i krnąbrne pasjonaty, a ich pan również pasjonat uparty i zawzięty, tyran. Okładał ich strasznie razami, a to bez najmniejszéj potrzeby. Biédne stworzenia w rozpączy wierzgały, zrywały się, stawały dęba, ale ciemiężca bezlitośny trzymając je silną pięścią podwajał razy i dojmował ostrogami, aż niebożęta poznając, że nie poradzą, z rezygnacją poddawały się oprawcy swojemu. Ale nie na długo mu ustępowały, bo w rychle znowu odnawiała się ta walka wstrętna między zwierzęciem a człowiekiem, nie idąca bynajmniéj na chwałę ludzkiéj naturze. Jakoż mimo wielu, wielkich zalet ludu włoskiego a znamienitych jego przymiotów trudno zaprzeczyć, że brak litości i współczucia dla zwierząt jest jedną z ciemnych stron jego duszy. Widziałem po wszystkich krainach półwyspu, a nawet w téj Florencji, w któréj lud słynie ze słodyczy i łagodności, jako dorożkarze stojąc spokojnie na placu swoim i czekając póki ich kto nie zajmie, trzymają z kozła silnie konie, a podcinają je tak sobie dla rozrywki swojéj. Nie lepsi są stangrety prywatnych ekwipażów, ani wieśniacy choć sami właściciele zaprzęgów; mówiono mi nawet rzecz straszliwa pomyślić, że niezbyt rzadko trafić można na konia lub osła obdartego żywcem ze skóry! Jest niepodobieństwem, aby Bóg nie karał ciężko takiego okrucieństwa, ale zapewne Sędzia Najwyższy podzieli karę między tych bezsercnych oprawców, a tych co do tego stopnia zaniedbali wychowanie tego ludu. Bo ani wątpić, że w duszy każdego człowieka Bóg włożył ziarno spółczucia dla innych stworzeń, a do duchowieństwa, do wyższych klas, do urzędów należy, aby wychowaniem uczciwém, a zasadami wiary obudzić i wyhodować to ziarno święte.

Czyli droga równa czyli pod górę, wóz nasz pędzi prawie zawsze tym samym opętanym galopem, zwalnia jedynie pośpiech swój, gdy się spuszcza z góry. Wtedy konduktor siedzący wysoko nad nami w onym kabryolecie, złazi ze swojego szczytnego miejsca, by hamować koło jakimś przyrządem przedpotopowym. Ponieważ to człowiek ostrożny i już nie młody, a nawet tuszysty, jak niemal bywają wszyscy neapolitanie w nieco późniejszym wieku, więc spuszczanie się z góry, odbywa się wcale poważnie. Hamulec założony, konduktor mający rodowity wstręt neapolitański do pieszego ruchu znowu spina się na wzniosłe siedlisko swoje, choć wié, że za jakie pięć minut znów mu na zwykły poziom zejść wypadnie, by odhamować koło. Ta sprawa odhamowania trudniejsza; nowa biéda dla dyszlowych, mają cofnąć wóz tak ciężki a niesforny, więc silą się, wierzgają, a nawet się niekiedy przewracają. Znowu tedy spada gradem bicz, najczęściéj atoli hamulec tak się zacina, że konduktor nie może mu dać rady, mimo to, że wzywa wszystkich złych duchów na pomoc, lecz ci ichmoście udają, że go nie słyszą. Nie ma co robić! Trzeba odbić hamulec gwał-

tem, ale do tego trzeba dużego kamienia, jak na złość gościniec wysypany w tém miejscu drobnym zwirem; konduktor tedy idzie gościńcem i szuka dużego kamienia; nakoniec po mozolnych kwerendach znajduje kamień pożądanéj formy i wymiarów. Wraca i mocuje się i bije i klnie, aż w końcu przecież dokazał swego. Wyłazi znowu na strażnicę swoją. Po nogach biedaka, wstępującego po stopniach tuż około szyb naszych widać, że gościniec ani zbyt suchy ani zbyt czysty. Znowu wszystkie trzy pary koni cwałem ruszyły z miejsca.

Dostaliśmy się do Kapuy—w chwilach gdy przeprzągano konie, przypatrywałem się starym murom, które tu i owdzie sterczały szkieletem siwym i wmawiałem w siebie, że na te resztki może ongi patrzał nie jeden ze starych hannibalowych wiarusów, rozhultajonych w téj niegdyś stolicy pieszczotliwego zbytku a rozpusty. I znów, gdy świeże konie były założone, pocztyljony odbyli znany nam manewr swój. Każdy stanął przy głowie swojéj pary koni, wszyscy trzéj jakby na komendę zacięli je biczem, a w chwili gdy konie się zerwały, wszyscy trzéj piorunem wskoczyli na siodło i daléj a daléj lecieliśmy szalonym pędem.

Mniejsza jeszcze o tę zbyt zuchwałą jazdę na otwartym gościńcu, ale gorzéj gdy wypadało przejeżdżać przez miasteczka i ich ulice kręte i ciasne. Pędziliśmy ile tylko konie wyskoczyć mogły, uliczkami najczęściéj tak wązkiemi, iż wóz nasz zajmował całą ich szerokość. Kto był na ulicy, uciekał przed nami do domów lub gdy nie zdążył, przyciskał się jak mógł do murów. Aż strach przechodził na skrętach, często oś ledwie o cal mijała zapamiętale róg domu.

Ponieważ pocztyljony neapolitańskie nie są uposażone w trąbki, przeto raz wraz trzaskając z bicza, dawali znać o sobie. Uważałem też iż takowe strzelania z biczów tém było zuchowatsze, a jazda butniejsza i śmiałkowatsza, im więcéj dziewcząt wyglądało okienkami na naszych junackich pocztyljonów.

Tym czasem to deszcze szalone, lejące jak na potop, to chwile pogodne, słoneczne, z kolei następowały po sobie. Był to istny obraz tutejszego ludu, co tak nagle z jednéj ostateczności przerzuca się w drugą. Jednak ta namiętna walka żywiołów, ich gwałtowne przemiany i ważenie się kolejne zwycięztwa cieniów a światła, suszy a wody, miały właściwy urok swój. Bo jak w pejzażu pięknym rozmaitość natury rozłożona jest w przestrzeni obok siebie, tak również rozmaitość potęg przyrody objawiająca się wybitnie po sobie w czasie, dzielnie przemawia do duszy tą zmianą dekoracji. Wolę ja te kolejne tryumfy to ulewy to pogody, niż te północne ślamazarne, trzydniówki. Bo cóż to za nudy, gdy całe niebo powleczone szaraczkiem brudnym, jednostajnym, a deszczyna mazgaj, flegmatycznie sobie kapie od rana do wieczora, od wieczora do rana, więc i ludzie sami się rozmazgają, czując, że są do niczego i nie wiedząc sami, po co są na świecie. I natura w koło znudzona, ziewa, jakby słuchała wierszy czytanych jéj przez niewydarzeńca poetę. Te potężne nawalnice byłyby mnie nawet cieszyły, gdybym niemiał był na sercu owéj ciągłéj obawy, że te szkaradne słoty, jako wrogi moje czatują może na mnie w Rzymie.

Dopiéro pod szary wieczór, bo o szóstéj godzinie zatrzymaliśmy się w Molo di Gaeta, a to na wielką naszą pociechę, bo nas wygłodniałych czekał tutaj obiad po całodziennych mimowolnych postach. Teraz miałem obaczyć moich towarzyszy podróży i głodu. Mieszkańców kabrjoletu nie znałem z osoby, widywałem tylko ich nogi gdy mijały szyby nasze. A co do rotondy z głosów dźwięcznych, a szczebiotów piskliwych, które niekiedy do nas dolatywały, zgadywałem, że w niéj nie brak włoskich niewiast, a drobnego italskiego zarybku. Gdyśmy się wszyscy z wozu jakby z konia trojańskiego wysypali, było nas gronko nie małe. Lokatorowie różnych oddziałów nawzajem rozpatrywali się w sobie. Ale jak to bywa w podróży, a zwłaszcza z Włochami rychło zawiązała się znajomość. Włochy, zwłaszcza włoszki nie znają co to sztywność jałowa, ich naturalność i przyrodzony takt, wielka bystrość, a żywość umysłu choć bez wyższego wykształcenia czynią pożycie z niemi łatwe i gładkie.

Sala jadalna umieszczona na pierwszém piętrze, z niéj prowadzą drzwi oszklone na ganek, a tuż przed domem, bo na szerokość wązkiéj ulicy huczy morze. Jego widok dziś smętny i groźny. Gdzieś się podziały te cudowne nad wyraz przeczyste błękity jego, ono teraz toczy wody jakby ołowiane szare ciężkie, gniewne. Bałwany potężne w ustępach rytmicznych rzucają się na tamę ciosową, z takim w nią gwałtem uderzając, iż zalały już bruk pod gankiem i że nawet od czasu do czasu piany i gęste krople wody tryskają aż na ganek nasz, przecież tak znacznie wzniesiony. Nad tém morzem ponurém rozwieszone chmury brzemienne, bure, tykające prawie wód. Z nich leje ciągle deszcz nawalny, jednak szelesty jego zagłuszone są hukiem, szumem morza, niekiedy strzelają błyskawice a grzmią gromy zagłuszając znów ryczenie morskie.

Siedząc przy stole mimo apetytu, każdy z nas często odrywał bezwolnie oczy od talerza i patrzał przez owe drzwi na rozkołysane żywioły. Widok ten byłby w każdym innym czasie nawet zajmującym, ale jak na teraz kwasił humory, bo nam wszystkim była na myśli podróż nocna, która nas czekała wśród téj złowrogiéj pory. Pod koniec obiadu wszedł do sali jakiś pan obcy, podeszły personat z miną poważną, uroczystą, za nim konduktor; ten zbliżywszy się do mnie, rzekł głośno, że to jest pan *Marchèse* NN. który będzie odtąd aż do samego Rzymu trzecią osobą w naszéj karetce. Oświadczenie to uczynił z taką miną, jakoby nie wątpił, iż nadzwyczajnie się ucieszę zaszczytem, który tak z nienacka na mnie spada. Poczém między mną a panem Marchèsem odezwało się kilka komunałów grzeczności. „Raczcie państwo łaskawie już siadać, bo na nas wielki czas” oświadczył donośnie pan konduktor. Chcąc nie chcąc cała kompanja się poruszyła i zebrawszy porozrzucane po sali manatki, zstępowała po schodach z fizjonomią dość pogrzebową, choć obiad powinien był jakoś dodać rezonu.

Konie już zaprzężone, a na kabryolecie świeciły dwie latarnie olbrzymich wymiarów, jakby para ócz piekielnego potworu. Przyznać potrzeba, że były doskonałe, bo ciskały światło daleko jeszcze po przed pierwszą parą koni. Gdyśmy już mieli siadać; Marchèse szepnął do mnie: „bodaj tylko Przenajświętsza Madonna sprawiła, byśmy bez szwanku przebyli noc, a przynajmniéj drugą jéj godzinę.—A to dla czego? zapytałem.—Bo to właśnie między Fondi a Terraciną lęgnie się całe gniazdo brigantów, jest to granica królestwa Neapolu i państwa kościelnego.”

Wsiedliśmy, zamyślałem się nad słowami mojego towarzysza; ale nie wiem jak to się działo, nie czułem, najlżejszéj obawy, to zdawało mi się, że pan Marchèse troszkę wilczemi oczyma na rzeczy się patrzy, to znów wierzyłem w szczęśliwą naszą gwiazdę, wiodącą nas dotychczas bez szwanku przez Włochy. Tak tedy duch lekkomyślności mi gadał, że jakoś to będzie. Nakoniec i to prawda, że do mnie stosowało się przysłowie: „goły rozboju się nie boi,” miałem dopiéro w Rzymie odebrać świeży zapas funduszów, więcéśmy nie mieli wiele przy sobie, a co do manatków, te nie stanowiły kwestji żywotnéj.

Ruszyliśmy zwykłym galopem jakby na złamanie karku w świat grubych ciemności. Niebo zakryte czarnemi chmurami; ani jednéj gwiazdki na niém nie widać. Za to latarnie nasze świeciły tak donośnie, iż rozpoznać mogłem fizjonomją pocztyljona pierwszéj pary koni, ile razy się obrócił do konduktora, wołając, że czas hamować lub odhamować koła. Ta jasność sztuczna, dziwną fantazmagorją oświecała dziką, przepaścistą, zuchwałą naturę. Droga najczęściéj pędziła wśród głębokich wąwozów, a towarzyszyły jéj z obu stron strome, opoczne ściany. Drzewa wyciągały ku nam suche konary, niby kościste ramiona szkieletów, to znów porosłe zielskiem skały dziwacznych kształtów, we fantastycznem oświeceniu naszych latarni, dźwigały się niby groźne mary a zastępujące nam drogę, to znów nad nami dzikie oliwy dygotały, drżały swoim liściem misternym, jakby same były przerażone strachami nocy Odurzony bezsenią i gorączką po całodziennéj jeździe z jakiemś napiętém upodobaniem, wpatrywałem się w te widma cudaczne dosadzając téj romantyce jeszcze chętną imaginacją, *per modum* dziatwy małéj,

co wieczorem z roskoszą słucha gadek o strachach, zbójcach, choć ją samą dreszcze przechodzą. Ale — ale — co do zbójców. Pan Marchèse co zwykle był arcy mało- mównym i cedził słówka, jednak od czasu do czasu odzywał się z cicha do mnie, wylewając sentymenta swoje; mówił np. „otóż nie zadługo znajdziem się na miejscu najniebezpieczniejszém.” Potém znów po chwili szepnął—„widzisz pan ot tę skałę z krzyżem na szczycie — tu przed kilku latami *briganti* napadli na mojego przyjaciela pana *Conte X.*” Co chwila też wytykał głowę za okna i z najsilniejszém natężeniem patrzał, czyli z po za gęstwiny ciemnéj, lub z po za skały nie obaczy jakiéj rusznicy zbójeckiéj. Gdy wiatry świsnęły po gęstych igłach piniów, słuchał z napięciem, czyli to nie jakaś gwizdka złowroga, a hasło bandyckie. Potwierdziłem w sobie powszechnie przyjęte zdanie, że rodowici włosi daleko więcéj się obawiają niż obcy, ojczystych hultajów swoich.

Mnie raczéj niepokoiła sama jazda, bo wśród tak gęstéj ciemności pędziliśmy prawie bez ustanku galopem, a gościniec to spinał się gwałtownie w górę, to spadał nagłym stokiem. Czasem przez całe pół godziny wypadało spuszczać się z góry tak stroméj, iż konie dyszlowe mimo hamowania z największém tylko wysileniem zdołały wstrzymać ciężki wóz. Nieborak konduktor równie twardych doznawał biéd, zwłaszcza wtedy, gdy nie było pod ręką zręcznego kamienia do odbijania onego uparcie zaciętego hamulca. W takich złych razach odczepił jednę z naszych latarni i świecąc sobie po gościńcu, by upolować jakiś głaz udatny, po skończonéj szczęśliwie mozolnéj operacji, właził wprost na górkę swoją, by drzémać aż na niego znów zawołają pocztyljony. I w rotondzie coś ucichło—odpoczywają języczki damskie po całodziennéj heroicznéj pracy.

O północy stanęliśmy we Fondi. Tu granica. Przyjęła nas wielka posępna izba, oświecona dwiema drzemiącemi lampkami. Tu zniesiono nasze tobołki. Przebudzeni celnicy ospali, więc łaskawie odbyli rewizję. Przystąpił też do nas nasz konduktor i oświadczył, że nas tutaj opuści, że pójdziemy na opiekę innego, bo już rzymskiego konduktora i przesiędziemy się do innego wozu. Żegnając się z nami czule wyraził nadzieję, iż uznamy jego prace około hamulca, i zasługę, iż nas mimo niebezpieczeństw dowiózł szczęśliwie aż do granicy. Nie było sposobu! wypadało okazać wdzięczność naszą.

Żal mi było serdecznie, że noc zasłaniała nam Fondi i Terracinę. Bo Fondi słynne z bogatych gajów pomarańczowych, a wiedziałem z obrazków jako Terracina siadła sobie wśród natury arcyromantycznéj, urwistéj i butnéj. Ale owéj pociechy któréj ziemia odmówiła, użyczyło niebo. Spojrzałem w górę, a tu gwiazda jedna świeci, mruga jasno i wesoło, tam migoce i drga druga i trzecia, całe niebo pełne gwiazd. Więc pogoda! Spadły tedy troski, które mi ciążyły na sercu przez dzień cały.

Za Terraciną czułem, iż wóz toczył się prawie po równinie gładkiéj, chciałem przeto oddać się Morfeuszowi, który mnie już oddawna natrętnie napastował, ale w tém: „Niechaj państwo wstrzymają się od snu, zaklinam!” odezwał się p. Marchèse. A to dla czego? zapytałem. „Bo tu rozpoczynają się bagna pontyńskie, dyszące jadowitym wyziewem, który zwłaszcza dla osób śpiących jest wielce niebezpiecznym, bo ich zaraża owa straszliwa febra rzymska.” Zamyślałem się nad jego słowami, lubo na żaden żywy sposób nie mogłem sobie pomieścić w głowie, dla czegoby wyziewy zepsute mocniéj działały na śpiącego, niż na czuwających, przecież w końcu przypomniałem sobie, iż to zdanie jest tak ogólnie przyjęte, że nie może być zupełnie bezzasadném. A koniec końców djabeł nie śpi! Okropna to rzecz w stolicy dwóch światów być dręczonym febrą a do tego jeszcze rzymską, więc wolę sobie czuwać! By się obronić przed snem, przywodziłem sobie dawną, starą przeszłość na myśl, przypominałem sobie, np. jako stary Plinjusz powiada, że tu na tych przestrzeniach bagnistych zapadło trzydzieści i trzy miast, jako dzielniejsi cesarze rzymscy i papieże mocowali się z tą tu naturą wrogą, lecz jako w miarę upadku Rzymu i te bagna podobnie jak i rzymska *Campagna* coraz więcéj stawały się pastwą złośliwych zatrutych wyziewów. Jedna tylko ludzka kultu-

ra pracowita przemyślno uprawiająca ziemię, zdoła przemódz groźne, a zawistne człowiekowi moce przyrodzone. Gdym tak rozmyślając miał oczy zwrócone w te przestrzenie pokryte ciemnością, zdawało mi się, iż widzę jakieś punkta i płaty ruszające się po nich. Zapytany Marchése rzekł: to są bawoły, woły i konie, które tu tysiącami żyją na tych bagnach.

Wnet jednak i na mnie się sprawdziło, że choć duch mocny, toć ciało bywa słabe, zasnąłem na piękne. Nie wiem jak długo trwał ten sen, ale gdy wóz się zatrzymał, obudziłem się. Niewymowną uczułem radość, cała natura pływała w różowych światłach przeczystego poranku, na niebie ani obłoczka ani chmurki. W rychle wśród łuny płonącéj na wschodzie, pojawiło się słońce promienne, a natura tak szczęsna szczęśliwa jak kochankowie, gdy im zaświta dzień ślubu. Noc przebyta, zdawała mi się tylko niedobrym, kłopotliwym snem. Byliśmy w Ariccia. Tutaj wóz miał się nieco dłużéj zatrzymać, bo tu śniadanie wczesne czekało podróżnych. Na prędce odbyłem się z niém, a porozumiawszy się z konduktorem, ruszyłem piechotą naprzód ku Albano, by mi więcéj czasu starczyło na obaczenie zabytku praojcowych dziejów, który mnie tu pierwszy witał na téj ziemi klassycznéj starych pamiątek, a zapadłéj choć wiecznie żyjącéj cywilizacji.

W rychle objął mnie las dębowy, kasztanowy tak cudownéj piękności, żem się nie zdołał do syta napoić jego widokiem. Drzewa potężne o malowniczych kształtach zbudowały jakby świątynię zieloną; prawie każdy z tych starych dębów pełnych majestatu, mógłby być studium dla malarza i zachwycić pieśnią poetę. Każdy bowiem rósł z całą swobodą, całą wolnością, otaczając się jakby rodziną młodem pokoleniem drzew. A ta samodzielność tém swobodniejsza, a widok tém więcéj uroczy i rozmaity, iż grunt to wznosi się w pagóry, to spada w parowy. Natura nie ujęta jeszcze w kleszcze nieużytego gospodarstwa leśnego samoistnie rozbujała się tak wspaniałą, szczęśliwą roślinnością, żebyś rzekł, że cię w koło otoczyła pierwotna puszcza boża nie zgwałcona jeszcze nigdy świętokradzkim toporem człowieka. Stanęły mi przed sercem owe lasy polskie północnych sosen naszych, które również potężne swobodą rosną a rosną na wysokościach pod karpackich, prawie nieprzystępnych dla handlu a ludzkich zabiegów. Więc grubieją, wielmożnieją, wzbijają się w górę wymiarami o jakich się ani śniło ich biednym siostrom na tęsknych nizinach.

Czasem z nienacka roztwierał się las odsłaniając wyziery otwarte na dolinę i góry i gaje zalane poranną słoneczną powodzią. Wtedy wśród przyśpieszonego chodu stawałem w miejscu uroczém, oczyniony temi widoki co tak pełne powagi, uroczystości a grozy, że się zdawało iż widzę owe pejzaże heroiczne, jak je stwarzał pęzlem wielki Mikołaj Poussin, a które zawsze i zawsze budzą we mnie jakieś uwielbienie nabożne i cześć.

W tych pejzażach rozłożonych przedemną, świat przyrodzony stawał się jakby bohatérem dziejowładnym co spokojny w sobie, wzniesiony nad słabości ludzkie, duma w ciszy nad wielkiemi sprawami swego żywota, a wielkiém swojém przeznaczeniem. A jednak ta natura choć majestatem i grozą odziana, uśmiecha się z lekka, a nie pogardza wdziękiem uroczym. Mniemam iż najtrafniéj scharakteryzuję wzniosłą piękność właściwą tym widokom rzymskiéj przyrody, gdy powiem, że w nich żyje uroczy majestat, a dumna groza Junony, téj Olimpu pani, w chwili gdy przywdziała przepaskę wdzięków miłości bogini.

Czas naglił, spieszyłem daléj drogą za las, aż w tym na otwartym świecie zatrzymał mnie nagle cel mojéj pieszéj wędrówki, ów zabytek mglistych pradziadowych dziejów. Jakoż tuż przedemną ujrzałem pomnik, który w tradycji ludu uczczony jest od wieków imieniem grobowca *Horacjuszów i Kuriacjuszów*. Przez długie chwile stałem w miejscu wpatrując się w to dziedzictwo mytycznych czasów. Ten stary pomnik choć już rozsypiskiem smętném, przecież gdy zachował pierwotne kształty swoje, zawsze jest jednym i tym samym; a przetrwał pół trzecia tysiąca lat. Otuliły go miłością zioła i kwiaty co nawzajem zawsze młode, zawsze żyją życiem radosném, ale co rok inne, co rok umierają,

co rok odradzają się w nowém pokoleniu swojém. Ale są jeszcze inne a piękniejsze kwiaty, co stroją ten tu pomnik nieśmiertelnym wieńcem. Wszak u nas pokolenia wszystkie słyszą za młodych lat, jak to Horacjusze i Kuriacjusze wystąpili na plac boju, by umrzéć za kraj swój. Pokolenie po pokoleniu słucha tych wieści zacnych a w drgających uniesieniem sercach młodych, rozniecają się święte uczucia, o owéj wielkiéj miłości i wielkiém poświęceniu. Te uczucia są także kwiatami co rosną, a rosną na cześć owych rzymskich i albańskich braci, ale są kwiatami, co nie umierają nigdy, a żyją do skonu w sercu i po śmierci jeszcze wykluwają się z grobu puścizną dla późnych następców.

Zbliżyłem się do grobowca chcąc mu się nieco bliżéj przypatrzyć. Wystawcie sobie potężne podmurowanie z ciosów a zbudowane w kwadrat. Długość każdego z boków jego dochodzi mniéj więcéj trzydzieści kroków. Znać że niegdyś na tém podmurowaniu wznosiło się pięć ostrokręgów, niby głowy cukru stromych, smukłych; a było ich po jednym na każdym rogu, a w środku piąty, niby to pomniki dwóch Horacjuszów a trzech Kurjacjuszów. Z narożnych ostrokręgów dochowały się do dziś dnia dwa, ze środkowego pozostała tylko rdzeń murowana, z któréj się okazuje, że on przenosił objętością i wysokością blisko trzy razy rozmiary narożnych. Archeologowie jak to oni zwykle lubią i tę piękną tradycją pokrajali przemądrym swoim nożem sekcyjnym, różnie prawiąc o tym pradziadowym pomniku; a twierdząc, że on raczéj jest grobowcem Arunsa syna Porseny Etruskiego króla. Bądź co bądź, tego nikt nie zaprzecza, iż zabytek ten sięga porannéj starożytności i że jest dziełem Etrusków, co sam jest ludem przedświtowych dziejów ludzkości.

Czémże są owe ostrokręgi grobowe, wzniesione z ciosów? One są mogiłami a raczéj przedstawcami mogił! Za mytycznych Homerowych czasów, sypały ludy swoim bohatérom mogiły ze ziemi, sypano je i na Italskich ziemiach a w najodleglejszych czasach zwłaszcza gęsto ich i pełno w całych średnich Włochach. Etruskowie krom komnat obszernych podziemnych, w których chowali umarłych swoich, stawiali nad ziemią pomniki grobowe w kształcie mogił. Zrazu takowe pomniki wprost ze ziemi tworzyli późniéj wznosili je na podwalinach kamiennych lub opasywali dla mocy od spodu murem niby kamienną obręczą. Niekiedy też cała mogiła dźwigała się wskróś w ciosy i mury silne. W tych mogiłach zwykle mieściły się komory kamienne, obejmujące kości zmarłych.

Te grobowe pomniki tak miały być olbrzymie, a tak dziwacznego pomysłu, iż się stały najczęściéj mytyczną bajeczką. Dowodem tego, pomnik grobowy Porsenny króla Etrusków. Pamiętamy wszyscy tego Porsenne z naszych lat pacholęcych, gdyśmy z uniesieniem słuchali opowiadania o jego wojnie z Rzymem, więc o Cloelii, więc Horacjuszu, Coclesie i Muciuszu Scaevoli. Otóż Pliniusz, mąż trzeźwy, poważny, istny Rzymianin staréj daty, mówiąc o grobowcu, który dla siebie zbudował Porsenna, król Etrusków, powiada, iż gdy fantastyczność tego pomnika przechodzi wszelką miarę, więc powtórzę tylko same gołe słowa M. Varrona (bo niechcę brać odpowiedzialności na siebie). Wspomniawszy Pliniusz o labiryncie, będącym podstawą pomnika i podawszy opis owego szalonego dzieła, piętrzącego się w kondygnacje piramid, ostrokręgów bez granic, kończy mówiąc: „tak przeto obłąkaniem bezrozumném on król szukał chwały w marnotrawstwie, które na nic nikomu się nie zdało, a krom tego wycieńczył siły państwa po to jedynie, aby budowniczy wyższą od króla odniósł sławę [1]).

[1]) Dla czytelników ciekawszych kładę tutaj ten cały ustęp z Pliniusza: „Pogrzebany jest Porsenna, mówi Varro, pod miastem Clusium. tam kazał zbudować pomnik z ciosów kamiennych. Każda strona miała długości 300 stóp, a wysokość jéj dochodziła 50 stóp. Wewnątrz téj budowy kwadratowéj (będącéj podstawą całości). umieszczony był labirynt tak pogmatwany, iż ktoby się poważył wejść do niego bez kłębka nici, nie mógłby był znaleść wyjścia. Na téj budowie kwadratowéj stoi pięć piramid, cztéry po rogach jedna z nich miała u spodu szerokości 75 stóp a wysokość jéj była 50 stóp, one się w ten sposób piętrzyły. iż je wszystkie pokrywał jeden wielki krąg miedziany niby kapelusz. Na tym kręgu zawieszone były dzwony na łańcuchach, które poruszane wiatrem daleko roznosiły głosy, jak to niegdyś bywało w Dodonie (w Wyroczni). Na tym kręgu stoją znów cztery piramidy, każda o wysokości 100 łokci (!), nad temi piramidami znów na wspólnéj podłodze wznosiło się pięć piramid, ale Varro wstydzi się powiedzieć jak wielka miała być ich wysokość, baje etruskie twierdzą, że one miały mieć tęż samą wysokość co cała budowa.

Prawda że podobne budowania zrodziły się z szału a dziwactwa, przecież ta cześć, którą starzy Etruskowie oddawali umarłym, ta miłość staranna, którą otaczali ich zwłoki jest jawném świadectwem o głębokości ich duszy, o grozie z jaką się zapatrywali na przeznaczenie człowieka. Bo gdy żyjący stawiają pomniki grobowe umarłym, czynią to częścią dla siebie samych, by ulżyć boleściom własnego serca, częścią atoli w tém przeczuciu, że umarli wiedzą o miłości tych, co jeszcze pozostali na ziemi. Że takowe przeczucie choć niepewne, szepczące, żyło jakby na wpół odgadnioną wyrocznią, nawet w ludach pogańskich, widać jak mniemam ze samego nawet pomnika Porsenny. Jakoż ów labirynt, będący podstawą grobowca króla Etrusków, jest jakby mimowolném wyznaniem, że u tego ludu myśl dumająca nad śmiercią, sama błąka się w labiryncie zamętnym nierozdzierzgnionym, z którego nikt wyjść nie zdoła, nie mając w ręku nitki przewodniéj. A sam ów pomnik tak olbrzymi, piętrzący się na sobie o formach tak dziwacznych, monstrualnych jest jawném świadectwem, że u owych ludów dumania nad śmiercią, naprożno piętrzą się, a piętrzą na sobie, że się siłą a siłą, by się wznieść na wysokości a oderwać od ziemi, jak śmierć odrywa człowieka od świata i doczesnego żywota. Przecież te ich silenia są daremne, bo ich wypadkiem ostatecznym jest jedynie fantastycznie ogromne, potworne dziwactwo.

Dokonałem był już oględzin grobowca Horacjuszów i Kuriacjuszów, gdy nadjechał nasz wóz pocztowy wsiadłem i w rychle stanęliśmy w pobliskim Albano.

Właśnie była Niedziela—przeto prócz licznych cudzoziemców bawiących letnią villegiaturą w tém arcywdzięcznem szczęsném mieście, lud miejscowy w ubiorach świątecznych roił się po uliczkach i placach. Nie mogłem się dość napatrzyć piękności kobiét albańskich i ich strojom arcy-malowniczym, które tak szczęśliwie wzmagają wdzięki przyrodzone. Te stroje pełne smaku i w krojach i barwach, mogłyby zaiste podać osnowę do estetycznéj rozprawy o sukniach, zwłaszcza niewieścich i ich stosunku do uroku ciała. Serdecznie przeto żałowałem, że tylko przelotem mogłem się ucieszyć widokiem tych niewiast uroczych. „Uspokój się pan" mówił do mnie, pocieszając mój mentor pan Marchése, „w święta uroczyste bywają te kobiéty albańskie w Rzymie, przybrane pełnym strojem swoim, bo filutki dobrze wiedzą, że są piękne i że im tak ładnie w swém ubraniu narodowém." Ruszyliśmy z Albano o jednéj tylko parze koni, bo zrazu biegnie droga z góry a późniéj już gościniec po przez Campagnę rzymską, tak równy i gładki, iż wóz najczęściéj prawie sam się toczy za końmi.

Kilka chwil upłynęło po naszym wyjeździe z tego miasteczka, gdy nasz towarzysz Marchése z dumą uroczystą zawołał: „ot tam, tam Rzym!" Na te słowa wyznaję iż serce gwałtownie we mnie zapukało. Spojrzałem w dal, natężając oczy i na prawdę tam za Campagną, tam w dali w srężodze porannéj, długą, szeroką wstęgą roztoczyło się wiekuiste miasto! Miasto jedyne, gród nad grody wszystkie! Za nim w błękitnéj odległości niknącéj, stanęły jak tło ogromnego obrazu góry Sabińskie. Zamęt nierozdzierzgniony domów, wież, kopuł i znowu kopuł, pływał w morzu mglistém, świecistém zachuchanem jakby purpurowym tchem jutrzenki; bo słońce młode, poranne przenikało promieniem lekkie dymki rozpoczynającéj się jesieni. Więc linje, kształty niepewne, drżące, rozwiewne!

Czém prędzéj wydobyłem perspektywkę teatralną i spiesznie wycierając szkła przytknąłem do oczów. Kontury i kształty stawały się wprawdzie pewniejsze, mniéj rozpłynne, ale przecież całość zasłoniona jakby na pół przezroczystą oponą złotą, a patrzenie moje samo było nie pewne, nie dokładne, perspektywka moja zrywała się w rękach, co chwila zazdrościwie zasłaniając mi przedmioty brzegiem czarnym; jakoż wóz pędził zapamiętale po kamieniach, a może też ręka mi drżała! Nie wstydzę się wyznać, że czułem się gwałtownie rozkołysanym, niby odurzony nawałem własnych uczuć. Olbrzymie postaci mkną, przesuwają się ciżbą zamętną przez duszę moję, Cezar i Rafael, Romulus, Pompejus, Tiberjus, Michał Anioł, Rienzi, Gracchus, Marek Aurelius, męczennicy święci, Apostołów

mistrz, Leony, Karol W., Grzegorze! Całe tłumy wielkich wspomnień, wielkich spraw, zagłuszyły myśl jasną, rządną. Nie mogłem jakoś nawrócić do siebie i uspokoić się w sobie, gdy mój towarzysz podróży zawołał: „ot tam! tam kościół Śgo Piotra! Ot tam, gdzie się wznosi owa kopuła olbrzymia!” Znowu chwyciłem za szkła, ale jak na biédę w téj chwili droga nieco się skręciła a pocztyljon siedzący na koniu a ciągle galopując, więc ciągle podskakując na siodle, wcisnął się między mnie, a widok upragniony. Dorywkami jednak mogłem ujrzéć kopułę, która rzeczywiście zdawała mi się ogromną. Jéj rysunek atoli nie odpowiedział tym cudownym formom kopuły Ś. Piotra arcy-dzieła Michała Anioła, o ile ją znałem z rycin, o ile ją sobie wystawiałem w wyobraźni mojéj. Udzieliłem tę uwagę moją naszemu towarzyszowi. „Mnie się zdaje, odrzekł, iż pan patrzysz na inną kopułę, kościół Śgo Piotra jest tam daléj więcéj na lewo. Skierowałem szkła i w tém po lewéj stronie obrazu ale na bardzo dalekim jego tle jak przez zasłonę obaczyłem kopułę tak olbrzymią, iż ją miałem poprzednio to za obłok błękitnawy dziergany słońcem, lub za kopulasty szczyt jakiejś oddalonéj góry. Lubo trudno mi było rozeznać dokładnie zarysy saméj świątyni, przecież poznałem, że na niéj kopuła króluje jakby na tronie wznoszącym się nieskończenie nad światem całym, nad rojem kościołów, nad gęstym tłumem domów.

Już oddawna ruszaliśmy przez Campagnę rzymską. Ta przestrzeń, która gdym się spuszczał z Albańskich gór, zdawała mi się być równiną, teraz z bliska widziana, rozwinęła się stepem wyrzeźbionym w parowy, w pagóry, jakby morze nieprzejrzane rozhukane, bijące falami. Ale jakaż to cisza milcząca, umarła, zaległa tę naturę w koło! Jak daleko oczyma sięgniesz nie obaczysz tam ani roli, ani śladu pracy a życia ludzkiego. Tu nie ma ani sadów, ani gumna, ani wioski, ani chatki wieśniaka, tu nigdy nie usłyszysz dzwonka wiejskiego co zwołuje rzesze na dziękczynienie Panu. Zewsząd brunatna zieloność odziała te pustkowia głuche, nieme, zdaje się jakoby nią zawładnął anioł śmierci. Gdzie nie gdzie tylko dęby stare to zebrały się w grona, to stanęły samotne niby odludne pustelniki dumające nad skonem. Wśród tej natury umarłéj, śpiącej, jakby wiecznym snem pojawia się przeszłość wielka umarła, harda. Po przez pagóry i wądoły kroczy dumnie arkadami na wysokich filarach aquaedukt starorzymski, blisko niego więc po przez te jego wzniosłe smukłe arkady w zielska a pnącą roślinność ubrane widzisz od góry przeczyste wesołe nieba lazury, a poniżéj od dołu step brunatny, tęskny, smętny. Ten aquaedukt niegdyś z dalekich źródeł górskich wodził wodę do staréj stolicy świata, przebywając wielumilowe przestrzenie, dziś jest ułomkiem z kilkunastu arkad złożonym, a ostatnia z nich choć bez filaru wytęża jeszcze na powietrzu ku Rzymowi potężne ramię swoje. Od obu końców téj dawnéj olbrzymiéj budowy widać jakby wały gruzów, wskazujące przedwieczny jéj kierunek, a znowu w modrawéj odległości ciągnie się dalsze pasmo tego akweduktu. On tam znowu wznosi się pasmem arkad swoich, więc niby spieszy jak niegdyś przed wieki ku Romie dawnéj swojéj pani, ale jéj już nigdy nie dosięgnie, on dobiega jedynie własnych zwalisk swoich.

Zaiste cała Campagna jest posiana ruinami, co chwila spotykają się akwedukty, które z przeróżnych stron biegną ku Rzymowi, ale wszystkie są jedynie już tylko upiorem i własnym pomnikiem grobowym. Niekiedy oko wędrowca spocznie na mogile gruzów, z których tu i owdzie stérczą ułomy marmurowych kolumn, fryzów, gzemsów i t. d. Tu niegdyś świeciły bogate urocze świątynie bogów olimpijskich, dziś nie dopytasz się nawet ich imienia. Ale wśród tych wysłańców starożytności, sępią się rozsypiska innéj a późniejszéj epoki dziejów ludzkich. Tu i owdzie stanęła jakaś wyszczerbiona baszta; jakieś na poły zwalone, obronne, zębate mury, porosłe gęstą szatą powojów a zawiesistym krzewem, a po przez oponę bujającéj roślinności ruiny wytrzeszczają w świat bezkształtne otwory, co były niegdyś oknami i bramami grodu. Te baszty, wieżyce i mury zębate, co dziś jakby olbrzymie trupie głowy patrzą na tę przestrzeń cmętarną, lubo są o tysiąc lat młodsze niż one akwe-

dukty i świątynie starorzymskie, a przecież i one od wielu wieków zapadły rumowiskiem, na którém bogata roślinność weseli się i buja. Wszak one niegdyś za swojego żywota były zamkami, grodami zuchwałych, średniowiekowych wodzów i feudalnych dziś pod ich sklepieniem tu i owdzie rozpiętém, czatują rozbójniki zasadzając się na samotnego wędrowca, lub kryją się nocą pasterze uciekając przed zatrutym wyziewem Campągni. I zaiste często, gęsto napotykałem to większe to mniejsze rzeki i strumyki, które nie mając dobitnego spadku, płyną luźne nie ujęte stałym korytem, rozlewają się samowolnie rodząc bagna i zamuliska, co lęgną febry i zarody wcześniejszéj lub późniejszéj śmierci. Przeprawiając się przez jednę z takich wód mostem mającym wielkie pozory starorzymskiéj budowy, uczułem zalatujący jakby siarczany odór, który się nam naprzykrzał przez długi jeszcze kawał drogi.

Przecież ta przestrzeń martwa nie jest zupełnie umarłą, chwilami objawia się przelotem życie, niekiedy zerwie się kruk, sęp lub sokoł lub inny jaki drapieżca powietrzny i wrzeszcząc i kracząc, ściga skrzydłami z daleka upatrzony łup,—innym razem znów słyszysz tętent bębniący po stepie, to pędzące stado zdziczałych siwych wołów, za niémi gonią na koniach z długiemi dzidami w ręku pasterze. Samotne odludki od świata, obcują jedynie z gruzami przeszłości, ze stadem swojém, ze stepem a z gwiazdami na niebie. Raz tylko jeden minęliśmy wóz dwukolny, ciągnęła go para ogromnych siwych wołów, wiedzionych przez małego chłopczynę, na wozie siedziała niewiasta starsza, ubrana w przyczółko rzymskich kobiét wiejskich, jak je widujemy na obrazkach, a znamy z opowiadania. Raz tylko jeden miałem podobne spotkanie. Prócz owych pasterzy, téj kobiéty i jéj synka nie widziałem w czasie całéj drogi przez Campagnę żadnéj ludzkiéj istoty.

Uważmy atoli, iż mimo téj samotności a smętnych pustkowiów natury *la Campagna* tchnie urokiem tak dziwnym a nadzwyczajnym, iż go trudno opowiedziéć i wytłumaczyć. Ta zadumana tęskna a zarazem tak wdzięczna i rzewna natura brzmi około ciebie jakby *requiem* wielkiego mistrza kompozytora. Pasma wzgórzów i znów wądołów niby zrazu jednostajne a ckliwe, są przecież pełne rozmaitości misternéj, każde wzniesienie, każda zapadlina odznacza się właściwą indywidualną fizjognomją, a nadto jeszcze grają pełną mocą cudnie piękne linje, któremi się rysują te wzgórza i parowy. Ich kontury faliste tak wdzięczne, jakby były rzeźbione ręką jakiegoś wielkiego starożytnego skulptora, rzekłbyś że w ich linjach żyje jakieś uczucie tkliwe i rzewne. A nakoniec te rzeźby urocze natury zalane są od słońca poświatą mystyczną jakby glorją świętą. Ta barwa *Campagnii* brunatna, to łyska złotem, to mieni się barwą ciemną pomarańczową, to cieniuje się spiżem, niby posąg stary lub zapada w głębokich nocnych cieniach. Widzisz cały ten świat cichy po przez powietrze przepromienione z lekka jakby tęczy farbami. Więc każde tło widoku, każdy przedmiot w miarę swojego od nas oddalenia brzmi osobną swoją barwą, im dalszy tém więcéj gasną jego kontury, a najdalsze toną i nikną w przezroczu błękitném.

Tym czasem zbliżyliśmy się pod samą Romę. Tętna biją przyspieszoném uderzeniem, już—już jesteśmy pod samym murem obwodzącym miasto, gdzie z niego stérczą potężne zuchwałe ciosy, znać iż ten mur w niektórych częściach swoich jest dziedzictwem po starorzymskich wielkoludach.

Przejeżdżamy przez bramę Ś. Jana, mamy się tu nieco zatrzymać dla jakiejś rewizji, więc wyszedłem z wozu, by się trochę w koło obejrzéć. Objął mnie plac rozłożysty, ale odludny i cichy, z pomiędzy kamieni brukowych pchają się trawy, zielska i chwasty. Ale po lewéj stronie bramy stanęła świątynia, która jaśnieje pomysłem a *grandezzą* wspaniałą, a przecież pełną prostoty. Z kościołem styka się pałac długi, okazały, spokojny w sobie, to jest pałac *Lateranu*, a ten kościół to bazylika *S. Jana Laterańskiego.*

Tak tedy widzę przed sobą najprzedniejszą, pierwszą świątynię Rzymu i całego świata a matkę i głowę wszech kościołów na ziemi, bo imie jéj *Ecclesia urbis et orbis mater et caput ecclesiarum.* Wszak to

ją założył *Constantinus* pierwszy chrześcjański cesarz Rzymski, wszak to ona zebrała w sobie dwanaście consiliów, a jest dotychczas kościołem katedralnym papieżów. Taką wielką sprawą byłem przywitany w Rzymie zaledwie przeszedłszy progi jego.

Nie zadługo ruszyliśmy w głąb grodu, zrazu towarzyszyły nam kamieniczki mniéj wykwintne, bo dość ubogie i zaniedbane, ale w rychle nasz towarzysz podróży zawołał: „to Colosseum!” wskazując na tytaniczne smętne budowanie, srożące się niby straszydło senne. Zaledwie przejechaliśmy tuż około szarych okropnych, wzniosłych murów; gdy znów słyszymy: „Ot to *brama tryumfalna Tytusa*, a tam daléj jest *brama Konstantyna,* ot tu widzicie to *stare forum Romanum!*” Tak woła nasz Marchèse i wyciąga rękę ku równinie pustéj sterczącéj gruzami, resztami kolumn niby zapadłemi grobowcami. Nie miałem dość oczów, byłem jakby opojony nawałem wielkich rzeczy, a wóz nasz błyskawicą mijał te świętości przebrzmiałéj tytanicznéj historji.

W rychle atoli z Romy staroczesnéj umarłéj, głuchéj, dostałem się do Rzymu nowożytnego, pełnego ruchu i życia. Toczyliśmy się po placach, a dość wązkich ulicach, mijaliśmy pałace dumne historycznych rodzin rzymskich, nakoniec z wielkim trzaskiem a turkotem, wjechaliśmy w doganę, to jest: w gmach celnego urzędu.

ŚMIERĆ WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA.

Pragnąc dać czytelnikom naszym za pomocą kilkunastu obrazków, niejakie wyobrażenie o dawnych polskich ubiorach, zamiast stawiać przed niemi praojców postacie sztywne i wymuszone jak te lalki, które we wzorach mód dzisiejszych, są uszykowane na pokaz, wolimy raczéj zajrzeć razem z niemi w dawne życie dziejowe, podchwycić naddziadów czy wśród religijnego obrzędu, czy przy uczcie, w czasie radości lub smutku. Otoż spojrzyjmy na ten rysunek, który ma uprzytomnić chwilę rodzinnego strapienia, oddziaływającego na dolę całego narodu. Władysław Łokietek skonania bliski, przygotowuje się na drogę wieczności przez pojednanie z Bogiem i urządzenie spraw swych doczesnych. Powagę kościoła przy jego łożu śmiertelném przedstawia biskup krakowski, a majestat narodu jaśnieje na tych szczerych i podniosłego wyrazu obliczach kilku szlachty, co miłujące i smętne spojrzenie we władcę kraju swego wlepili. Władza, duchowieństwo i rycerstwo, oto trzy żywioły, których zgodne lub wzajem sobie przeszkadzające dążności, stanowiły tętno w ówczas tak wzburzone, niepewne i gwałtowne zarazem, które nazywają zwykle życiem polityczném. Prawnuk Kazimierza Sprawiedliwego, żywą niechęć niegdyś obudzał w narodzie. Jak w ogólności ludzie niezwyczajnego hartu, Władysław podraźnił stronnictwa, chcąc je ująć w karby silnéj woli i zawiść posypała na niego gradem oszczerstwa. W ten sposób bowiem zwłaszcza pomnąc, że po wszystkie czasy ludzie śmiałego umysłu narażeni bywają na prześladowania, godzi się tłomaczyć nadużycia Łokietka w pierwszych latach rządów i obmyć, patrząc na dalsze chwalebne lata jego panowania, te plamy jakie na nim pozostawili kronikarze, plamy które bezwątpienia były błędami, lecz pod tchnieniem podejrzliwéj niechęci na zbrodnie wyrosły. Łatwo pojąć, że się burzyły krnąbrne rycerstwa umysły na dzielnego pana, co w śmiałą dłoń ujął stare Piastów berło i chciał nim władać bez współzawodnictwa, że przemożne duchowieństwo biorąc za punkt wyjścia, gwałty i grabieże żołnierza, spuściło na książęcą głowę, będący w swém ręku grom klątwy straszliwy w średnich

wiekach, jak nieodwołalny potępienia wyrok, a zatém całe społeczeństwo odwróciło się zgrozą przejęte, od skazanego Władysława. Więc ustało jego panowanie, wziąwszy kij pielgrzymi, opuścił władca swą stolicę i ruszył w świat szukać u obcych przytułku, którego mu swoi odmówili. Nieznany, prosty wędrowiec, pukał do chat

przemocy i skoro po raz trzeci wyciągnął rękę po berło, to nią ujął razem z niém sprawiedliwości szalę, a w dziejowym obrazie zabłysnął dla nas potomnych w bohatera postaci.

Jednak lat mu nie starczyło na zupełne pognębienie wrogich sąsiadów, ciągle Polsce szkodzących, lubo miecz swój nie raz



Śmierć Władysława Łokietka.

ubogiego, wszędzie nakarmiony chlebem, wszędzie udarowany tym drugim chlebem moralnym, co duszę karmi, bo ją wydoskonala — prawdą. To czego nie wiedzą na tronie, on w tułactwie dopatrzył i wśród tych lat niedoli, gdzie go na światowém dostojeństwie pognębiono, wyolbrzymiał w swéj człowieczéj godności. Z jaskiń Ojcowa z wąwozów karpackich, przysłuchiwał się szemraniom ludu, na ucisk obcéj, czeskiéj

tępił na ich karkach. Zakon krzyżacki mimo zwycięztwa pod Płowcami trzymał ciągle Pomorze, polską dzielnicę, którą Łokietek dwom synowcom swoim był oddał i konający miał myśl gryzącą jak wyrzut sumienia, co podkopała spokojność chwil jego ostatnich, że schodził z widowni świata, zostawiwszy w rękach nieprzyjaciół część Piastowskiego dziedzictwa. To też ostatni szept, który pochylony nad śmiertelném

łożem, syn podchwycił z ust ojcowskich, był wyraz: Pomorze!... jakby mu ostatnią, a tak świętą konającego wolą, przekazywał miecz zwycięztwa, który wypadał z jego martwiejącéj dłoni. Czyż w oczach Kazimierza, jaśnieje ten blask nieopatrznego młodzieńczego męztwa, coby bez namysłu krwawy miecz podjęło? Nie—dusza syna jak dopełnienie wielkiéj ojca duszy, posiada przymioty, które w tamtéj nie miały czasu się rozwinąć, więc po wojowniku następuje dzielny administrator, dla uszczęśliwienia Polski, ojciec i syn podają sobie ręce. Co zaczął sejm Chęciński, to zjazd w Wiślicy dopełni, wznowione starodawne wiece całe rycerstwo do obrad powołujące; pod jedném berłem złączone części kraju, zostaną zlane w całość spisanemi prawami wszystkich obowiązującemi. W wyrazistych oczach Kazimierza w twarz ojca zapatrzonych, znać, że przyjmuje moralne dziedzictwo, tak jak materjalnego nie da odjąć sobie, ale że będzie czuwał nad niém w tym kierunku, w jakim go popchną jego przyrodzone zdolności. Z czoła dumnego przeczuwa się władcę, co samowolą ukrócić potrafi, co kraj dotąd szarpany ciągłemi wojnami w karby ładu wprowadzi, słowem, widać że nie lęka się ciężaru panowania, który wkrótce ma spaść na barki jego.

Przy nim Anna Gedyminówna stoi z przerażeniem na łagodném licu, z nią kilka strwożonych litwinek, lecz młodą księżnę nie obraz śmierci tak przenika, jak raczéj małżonka strapienie, oraz ten tron, bez którego dotąd było jéj tak dobrze. Załzawione oczy zwraca ku Kazimierzowi, który ujął jéj rękę bliżéj ojca przyprowadzając i ta para młodzieńcza stawiona przed umierającym starcem, wygląda jak symbol przyszłego połączenia dwóch krajów do którego już on sam położył pierwszą podwalinę. Król w téj parze tak bliskiéj sercu swemu, witał przyszłych władców państwa rozległego, nad którego potęgą pracował silnemi rządami, co jednoczyły wyobrażenia i dążności tak rozerwane, jak rozdrobnionemi były dzielnice. Umierający zwraca się potém do dostojników szlachty i kościoła, syna swego, ich pieczy i względności porucza, a w téj prośbie przeczuwa się znaczenie narodu w niéj błyska świt przyszłéj Rzeczypospolitéj.

Gdy ze śmiertelnego łoża Władysław wypowiedział to wszystko co mu na sercu leżało, gdy dał synowi stosowne przestrogi, których owocem wielkość Polski być miała, przymknął oczy długiém na świat patrzeniem znużone i zaczęły się dlań te chwile uroczyste rozdziału duszy z ciałem, groźna tajemnica w chwili zgonu objawiona człowiekowi, poczynająca się cierpieniem, a wyzwoleniem zakończona, wymowna nauka dla pozostających.

Tak rozstali się dwaj Piastowie, jeden kończąc swe posłannictwo, a drugi sposobiąc się do podjęcia tego, które miało przez owoce jakie dla kraju wydało, wysłużyć mu wielkiego imie. Obadwa wspaniale dziś dla naszych oczu widniejący na krańcu epoki, od ich miana rodzinnego zwanej, byli jéj bowiem ostatnim wyrazem w którym następnego rozwoju dziejowego leżały zawiązki.

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE

Z MIESIĄCA SIERPNIA.

Pierwszy dzień Sierpnia 1520 roku był dniem radości dla całego kraju naszego, w dniu tym bowiem, król ukochany od narodu, powitał przyjście na świat pierwszego i jedynego męzkiego potomka. Zajaśniały niekłamaném weselem oblicza wawelskich dworzan gdy Zygmunt Iszy wziął na ręce niemowlę błogosławiąc mu załzawionemi oczyma, bo zdało się że błogosławieństwo cnego ojca spłynie niebieską rosą

szczęścia na przyszłość dziecięcia i dolę narodu, którego berłem miało kiedyś zawładnąć. Zaśmiała się wesoło cudna włoszka królowa, bo lekarz jéj, astrolog zarazem, wróżył że wpływ przeważny wywierać będzie na syna, a więc i kraj cały ugnie się przed jéj skinieniem...... Na cześć ojca ochrzczono dziecię imieniem Zygmunta, z powodu zaś dnia jego urodzin dodano nazwę Augusta. Jak gdyby przez wdzięczność, że pamięć jego uczczono, nie zadługo potém Sierpień (Augustus) przyniósł w darze królewskiemu chłopięciu zwycięztwo pod Obertynem. Hetman Jan z Tarnowa w dniu 22 Sierpnia 1531 roku poraził tamże przeważne wołochów siły i zabrawszy im wielką ilość wojennych rynsztunków, oraz uwięziwszy całą prawie starszyznę, powetował niejako pamiętną króla Alberta Bukowińską klęskę. W długie lata późniéj, bo w r. 1569 Zygmunt August król już podówczas polski, w dniu również sierpniowym (4 Sierpnia) przyłączał do polski księstwa Kurlandji i Semigalji, odbierając hołd Gotharda Ketlera, który dobrowolnie oddał się jego opiece. W tymże samym roku i miesiącu (w dniu 11 Sierp.) nastąpiło na sejmie Lubelskim potwierdzenie unji Litwy z Koroną.

Dnie miesiąca Sierpnia w następnych latach i wiekach nacechowane są również nie jedną narodową pamiątką. Dwudziestego dziewiątego Sierpnia 1572 roku, posłowie polscy wzywający na tron Henryka Walezjusza, Adam Konarski biskup Poznański i Jan Zamojski podówczas starosta Bełzki, odprawili wspaniały wjazd do Paryża, o którym wspominają z podziwem wszystkie ówczesne francuzkie pamiętniki.

Podczas oblężenia Połocka także w Sierpniu 1579 dzielny król Stefan Batory nie odstępował walczących i zdarzyło się jedną razą, że bliskim był wielkiego niebezpieczeństwa, rozmawiał albowiem na stronie z Zamojskim, a gdy tenże oddalił się nieco chcąc na innego konia przesiąść, drugi jezdny który zajął toż samo miejsce przy królu zginął od kuli armatniéj.

Warszawa stara Mazowieckich książąt dzielnica, nie jedno również dni sierpniowych zachowuje wspomnienie. Zygmunt I objąwszy Mazowsze po śmierci Janusza i Stanisława ostatnich jego książąt w roku 1526 w dniu 25 Sierpnia wjazd do Warszawy odprawił. Tutaj obchodzone było świetnie zwycięztwo Karola Chodkiewicza, który 26 Sierpnia roku 1601 pobił wojska księcia Sudermanji i uwolnił Rygę z ich oblężenia. Daléj w r. 1656 podobna uroczystość miała miejsce z powodu zwycięztwa odniesionego nad szwedami pod Strzemesznem, w dniu 24 tego miesiąca przez Stefana Czarnieckiego. W 1606 roku 13 Sierpnia odbył się w Jędrzejowie zjazd rokoszanów przeciw Zygmuntowi trzeciemu, a wieść ta wywołała smutek ogólny w Warszawie już podówczas ulubionéj rezydencji królewskiéj.

W dniu 9 tegoż miesiąca r. 1644 żałość głęboka przejęła całe miasto z powodu śmierci jedynego syna Władysława IV i Cecylji Renaty, którzy zgasłszy przedwcześnie w trzecim roku życia, zniweczył wszystkie nadzieje strapionego ojca. Tegoż samego dnia i roku umarł również w Warszawie Jerzy Ossoliński kanclerz W. koronny pan możny i wspaniały, opis wjazdu jego do Rzymu przechował się w opowiadaniach dawnych pisarzy. Sierpień pamiętnym jest także zwycięztwem nad Zaporożcami Jeremjasza Wiśniowieckiego, wojewody Ruskiego odniesionèm w r. 1643 jak również uwolnieniem oblężonego Zbaraża, którego dokonał w roku następnym wspólnie z Firlejem. Podobnie jak inne pory roku, miesiąc ten nieraz w dziejach naszych do laurów chwały dorzucał gałązki cyprysów żałoby. Dzielny Jeremi Wiśniowiecki w jego ciągu dokonał mężnego żywota, a dzień 22 Sierpnia 1531 roku zasmucił kraj cały nagłym zgonem Jana Kochanowskiego, zacnego obywatela i natchnionego wieszcza zarazem. Nie będziemy powtarzać znanych powszechnie szczegółów życia poety tylokrotnie opowiadanych w dawnych i nowych księgach, a z tak głęboką prawdą i wdzięczną prostotą odwzorowanych natchnionèm w opisach rzeczy ojczystych piórem Klementyny Hofmanowéj. Któż nie uśmiechnął się błogo do pierwowzorów dawnych niewiast polskich, które żyją prawdziwèm swèm życiem w kartach téj cudnéj opowieści? Komuż silniéj nie uderzyło serce, gdy napotykał tam owych mężów sławnych w boju i

radzie a zarówno w cichym zakątku domowym jak na widowni ojczyzny promiennych wielką zasługą. Wspomnienie naddziadów naszych nasuwa nam na myśl jedną jeszcze dnia sierpniowego pamiątkę. W dniu 5 tegoż miesiąca, umarł w Capranica w pobliżu Rzymu Stanisław Hozjusz kardynał, biskup Warmiński, prezydujący niegdyś na powszechnym Trydenckim soborze. Mąż ten zaszczyt ojczyzny i wieku w którym na świat przyszedł, ochronił kraj nasz od srogiéj wojen religijnych pożogi, zalewającéj wtedy całą prawie Europę. Dopomogła mu w tém nie mało Zygmuntów mądra miłość, która czuwając pilnie nad dobrém pozostawających pod jéj berłem ludów obdarowała ich wolnością sumienia. Hozjusz mąż pełen nauki a zarazem pokorny i cichy kapłan, wywierał wpływ przeważny na swój wiek i naród, natchnioną wymową zarówno jak przykładem bogobojnego żywota, więcéj zbłąkanych nawrócił na dobrą drogę, aniżeliby dokazać tego mógł najostrzejszem prześladowaniem. Wspaniały nagrobek w kościele Panny Marji zwanéj in Transtevere, przypomina polakom Rzym odwiedzającym, nieśmiertelne zasługi wielkiego obywatela i świętobliwego kapłana ich rodaka. Do pamiątek sierpniowych dziejów polskich, należy jeszcze wstąpienie na tron Jana Alberta i śmierć Aleksandra króla przypadłe w tymże miesiącu, jak również śmierć bogobojnego biskupa Krakowskiego Jana Grota.

A. z Ch. Borkowska.

NIEŚMIERTELNIK I RÓŻA.

Jakżeś zimny, jak martwy, mówiła róża do nieśmiertelnika, pieszcząc świeże swe czoło w majowym zwoju różannych liści. Mnie motyl różnobarwny nie mija, rosy kropla odświeża, mną dziewica skroń zdobi, i zewsząd miłość przyzywa. Któż ciebie kiedy z uśmiechem powitał? zawsze samotny, ani cię szuka motyl świecący, ni hożych dziewic gromada; rosa spływa po suchym liściu, szron go nawet nie tyka... ciebie grób tylko przyzywa i szuka ręka we łzach kąpana! To mówiąc powiewem wiatru jakby z namysłu uniesiona, odwróciła róża świeży swój kielich. Zadrżał nieśmiertelnik, zaszeleściał suchy liść jego, jak struna któréj silny powiew, ton pełen boleści wyrywa... Tak... mówiła daléj róża ze wzgardą—precz—precz ode mnie tęskny kwiecie, twoje zimne tchnienie zmraża woń moję, żyjący trupa się lęka.... Kapryśna natura ciebie obok mnie stawiając, zapragnęła nakarmić się widokiem swéj wszechwładnéj potęgi. Chciała mieć piękność obok szpetności, życie obok śmierci i przykazała słońcu jednako świecić nad nami, aby z jednéj czary smakować społem urok tryumfu z nędzą cierpienia....

Jak ciało pozornie umarłe, drgnie nowém życiem, gdy ostrze noża w skostniałe serce silny raz zapuści, tak drgnął kwiat zamarły dla zmysłowego oka, gdy słowa róży świeżą ranę roztworzyły.... Lecz kwiat nieśmiertelności chyżo jak lot błyskawicy, zamknął w piersi słowo zemsty, bo kto nieśmiertelność posiadł, tego wzgarda róży nie zabija....

Wzruszenie nędznego kwiatka, nie uszło przecie oka królowéj kwiatów: szermierzyć łatwo z boleścią kto jéj nie rozumie!—I wnet ta córa wiosny hojna w dary jak jéj matka, rzuciwszy wzgardę, szyderstwo, słowo litości jak jałmużnę podała kwiatkowi.

— Żal mi ciebie — poszepnęła z cicha w swéj pieszczonéj mowie. „Litości słońce nad biédnym kwiatkiem, litości raz jeszcze” i patrzyła z udaną obojętnością jak promień słońca nowym wdziękiem krasił jéj łono, jak lekki powiew kołysał jéj niedbałą kibić i unosił wdzięczną mowę. Lecz słowo próżne bez dźwięku, obiło się o nieba sklepienie i miasto prośby niewinnéj, jako grożący grom zahuczało po przestworze ziemi....

Nie zważała tego róża, nie dba o echo, kto jutra nie jest spragniony, komu dziś świat śpiewa hymn pochwalny i dźwięczną pieśń uwielbienia!

Wnet lekkomyślna i żywa, naigrawać się poczęła, wraz z skrzydlatym gońcem wiosny z łatwego zwycięztwa, wnet zapomniała i wzgardy i litości, bo życie róży krótkie, wiele w niém blasku, skąpo treści, a siła wrażeń zaciera nawał.... siłą wspomnienia!!

Kwiat nieśmiertelności co wzniósł się nad szyderstwo—wzgardę wzgardą odepchnął, politowanie wszakże zdeptać zapragnął....

Czyż dla tego, że świat boży złe i dobre w swém łonie piastuje, że go Bóg tak wszechstronnym utworzył, żałować nam go wypada. Zostawmy litość cierpieniom wątłéj człowieczéj lepianki, lecz nie urągajmy cierpieniom ducha tę nędzną podając mu strawę! On kwiat nieśmiertelności z trupiem obliczem dla zmysłowego oka, spłonął raptownie łuną jutrzenki — odział się w słowa, ukochał na nowo dźwięk mowy, aby róży królowéj kwiatów, o swéj piękności powiedziéć.... I zaszumiał głos jego, jak szum potoków na wiosnę, gdy krusząc lodu skorupę, zwiastują zdziwionemu oku, że pod tą martwą niby pokrywą, drga w pełni życie! Czemu? rzecze pyszna różo, pożałowywasz mi garstki ziemi, która mnie swe dziecię z równą miłością jak ciebie, światu przyniosła? Czemu? my dzieci wspólnéj matki z ziemi rodzeni, na ziemi obcy sobie jesteśmy? Czemu wreszcie zaparłszy potęgę słowa, nie mamy mowy którą by wszystkie serca powtórzyły i niebo za swoją przyznało? Wiedz.... traf ślepy do czasu nami rządzi.... on dziś tobie berło, mnie nicość przeznaczył, biada tobie różo, biada mnie a trzykroć biada i przekleństwo trafowi, który człowiekiem jak igraszką potrąca.... Precz z nim! a wtedy sami dobierać sobie będziem miejsce właściwe naszéj sile, znacząc jego krańce, jak daleko oko ducha sięgnie... Wtedy nasze odrośla społem w wnętrzu ziemi zapuszczone, w jéj macierzystym ogniu zahartowane, wypuszczą po nad jéj poziom wyniosłe konary, które dościgłszy nieba, zatrą przestrzeń jaka go z ziemią dzieli.... O wtedy pięknie będzie na świecie, nieśmiertelnik żyje maja pogodą i ni wzgardy, ni politowania nie będzie przedmiotem.

Dziś.... ty potężna! kwiat twój na sztucznéj ziemi wzrosły, zapomniał, że ta warstwa szczęśliwym trafem nagromadzona, spoczywą przecie na gruncie ziemi, matki, nas wszystkich. Jam z tamtéj wprost wyrósł, jam ciebie różo i wszystkie róże i wszystkie naszéj matki płody braterską ukochał miłością! Ja tobie nierówny? mówisz w twéj pieszczonéj mowie, wiedz! żeś i ty mnie nierówna. Tyś królową w sztucznéj ziemi, jam więcéj jak król, jam brat wszystkich braci, jam syn z synów ukochany, naszéj ziemi, matki odpowiadam ci dumnie.... Znaj! próżny kwiecie dumę nikczemnego w twych stępiałych oczach nieśmiertelnika i zrównaj mu jeśli potrafisz, aby zrozumiéć i jego szczęście i jego dumę i tyle boleści....

— I jam był kiedyś młodym i moję pierś krasiła wiosenna maja zieloność, a matka nasza hojnemi dary obsypała mnie dziecię... darami trwałemi jak grunt jéj co dźwiga granitu olbrzymy i pierś swą falom oceanów nadstawia.... Taką téż była moja młodość... nie kraśną urokiem róży, lecz dziwiąca młodzieńczą siłą, potężną jak ramiona gór ziemi, matki, przestroną jak obszar jéj oceanów! I ciasno mi było na świecie, ja kwiat, wątły jak kwiat, ja dźwigać musiałem brzemię ciężkie, jakie mi matka w swéj hojności wydzieliła. Nie raz zdeptany nogą pełzającego robaka, skaleczony żądłem mnogiego owadu, wtłoczony w ziemię szyderskiem spojrzeniem, lub gnębiącém politowaniem, złorzeczyłem tém dzieciom ziemi, narzekałem na własną matkę za dary z jéj dłoni podjęte.... O! zaiste życie życiu nierówne! Łatwiéj jest dębu wzbić się w górę i liczyć wieków gromady, łacniéj tobie różo przykuć siłą powabów skrzydlatego kochanka niż biednemu jak ja kwiatu, pasować się z burzą, nie uledz jéj sile i pozostać kwiatkiem! Jam w téj walce olbrzymów przeżył życie, młodość moja była ciągłą walką cierpienia, była tém źródłem co w wnętrzu ziemi kipiąc, zielonéj jéj barwie na pozór nie przeszkadza co wzdyma pierś, serce rozdziera, a przecie zbyt harda, aby się światu objawić,

w łzie słabego dziecięcia, lub w szyderskim uśmiechu zawiści....

Niepojęty, urągany, skryłem się nakoniec w siebie samego, nie przed burzą, bo burzę w łono wepchnęła, lecz przed zmysłowém waszém okiem, co szyderstwem jad zaszczepia, wzgardą ranę zaognia, politowaniem do zawiści, do zbrodni pokusza.... I dobrze mi tak było, żyjący trupa się lęka powiadasz? Więc samotny stałem wśród tłumu, choć burza w wnętrzu mém wrzała! Długiem cierpieniem przeszyłem ją do dna, cierpieniem zdobyłem nieśmiertelność, cierpieniem pojąłem... dosięgłem Boga... I stała się druga ofiara, ofiara cudowna, potężna... nie już święte słowo ciałem, lecz niewolnicze ciało, własną wolą i pracą, stało się wolném słowem i to święte słowo wynik wszystkich walk męk i boleści, uświęcona ziemia, matka, Bogu Stwórcy swemu, jako nowe przymierze, nowych wieków przyniosła... Odtąd ja kwiatek zaparłem się moich powabów, kwiatkiem dla róży, byłem światem Boga dla siebie, byłem synem nieskończonego ducha i zapragnąłem miłością ogarnąć duchy wszystkich braci moich... majowy mój kolor przybrał umarłą barwę dla oka róży, kwiat mój świeży, okryła śmiertelna bladość, bladość która się ni skwaru pustyni, ni lodów północy nie lęka... A Bóg Ojciec mój co wiecznie żyje, umiłowawszy ducha mego, upodobał sobie w kwiecie między śmiertelnemi, nieśmiertelnym i ten płód ziemi oblubienicy swéj, przeznaczył na wieczną strawę duchowi! Rozkazał abym wieńczył myśl ludu, skroń wieszcza i czoło wybawcy i świadczył na mogile, że miłość i po za grobem mięszka....

Nawet miłość? w twych zamarłych ustach? wyjąknęła z drzeniem róża miłość.... ten wyraz ziemi, w obliczu nieba przez ciebie wyrzeczony, nieznaną trwogą i czcią mnie napełnia....

Gdy to mówiła, zmysłowe jéj oblicze zajaśniało świeżym szkarłatem dziecięcia i łzą przecudną anioła: była to pierwsza łza w jéj życiu.... czysta jak djament wschodu, lub pierwsza miłość w sercu człowieka! Powiedz, ach! powiedz szczególny kwiecie, dodała po chwili, czyli ty miłość pojmujesz? Kto wiele cierpiał, ten wiele ukochał! zaszumiał smętnie nieśmiertelnik; ten pogardził znikomym urokiem róży i zużytą marą czucia.... zamknąwszy w piersi głęboko nieskalany święty ogień nieba, świat cały stał się dla mnie jedną rodziną, jego cierpienia jedną modlitwą i mówiłem z głębi duszy sercami świata całego: „Ojcze nasz!”

Słuchała róża w milczeniu, umilkł nieśmiertelnik i zewsząd góry i zewsząd lasy, jednym głosem powtórzyły: „Ojcze nasz.” Z ostatniém skonaniem echa wir ziemi wionął po jéj powierzchni i przerwał uroczystą ciszę..... Zdmuchnął listek po listku z świeżego kielicha róży, powiędłe jéj listki, garść pyłu zgarnął u nóg nieśmiertelnika i rozbił się marnie w przestrzeni....

Z świeżą rosą zaświecił dzień świeży, już róży nie było, już motyl wybrał był inną, a kwiat nieśmiertelności gromadząc do koła i listki pysznéj róży i mnogie ziarnka pyłu, sposobił ich serca do pojęcia wielkiego słowa: Ojcze nasz!!

***

MAŁGORZATA FULLER.

Wychowanie kobiét w Stanach Zjednoczonych Ameryki odznaczające się po większéj części duchem samodzielności, jest powodem że w tym kraju więcéj jak u nas kobiéty oddawać się zwykły naukom wymagającym wielkiéj pracy, głębokich badań i dotąd wyłącznie dla mężczyzn tylko za dostępne uważanych. Amerykanki pierwsze zaczęły uczęszczać na uniwersyteta i kursa medyczne, tak że już są doktorowie kobiéty praktykujące w Nowym Yorku, a wielka liczba znakomitych niewiast

oddaje się literaturze i językom starożytnym. Jedną z takich uczonych a zbyt wcześnie zgasłych kobiét była Małgorzata Fuller o któréj życiu i zgonie następującą czytamy wzmiankę w jednem z pism perjodycznych angielskich: *(House hold Words edi-tid by Charles Dickens).*

* * *

Małgorzata Fuller urodziła się w mieście Cambridgeport w stanie Masachusets. Ojciec jéj prawnik, człowiek surowy, uczony i pracowity, spostrzegłszy od dzieciństwa wielkie zdolności w córce, postanowił rozwinąć je i zrobić z niéj uczoną kobiétę nad wiek i siły. Jak wcześnie Małgorzata uczyć się zaczęła niewiadomo, ale już w szóstym roku życia umiała czytać po łacinie i po grecku i tym dwom klassycznym językom z takiém się zamiłowaniem oddawała i do tak wysokiéj doszła w nich doskonałości, że nie jeden z uczonych szkoły Westminsterskiéj, znalazłby w niéj godną siebie współzawodniczkę. Ojciec naukami jéj kierował z wielką wytrwałością, a chociaż jak sama o sobie mówi Małgorzata, była charakteru żywego i zarozumiała z natury, chęć jéj do nauk wzrastała w miarę jak nabywała wiadomości. W ósmym roku życia wpadły jéj w ręce dzieła Szekspira, które z taką czytywała chciwością, że parę razy znalazł ją ojciec czytającą w Niedzielę, za co surowe dostała napomnienie.

Mając lat trzynaście Małgorzata znakomite już w towarzystwie zajmowała miejsce i nie jako dziecko, ale jako osobę dojrzałą ją uważano. W piętnastym roku tak mówi o sobie i zajęciach swoich w dzienniku, który po niéj został. „Wstaję zwykle przed 5tą rano, godzinę całą poświęcam na przechadzkę, do 7éj gram na fortepianie, potém jemy śniadanie, po śniadaniu czytam po francuzku Historję Literatury Połdniowych ludów Sismondego i kilka prelekcji o filozofji Browna od 10téj do 11téj uczę się po grecku, potém uczę się wierszy na pamięć i jeszcze gram na fortepianie; po obiedzie rzadko kiedy pozwalam sobie pół godziny na odpoczynek i gawędkę, wolę parę godzin poczytać po włosku, o szóstéj wyjeżdżam albo idę na spacer, wieczorem śpiewam, a przed spaniem parę godzin piszę albo w moim dzienniku albo wyjątki z dzieł ważniejszych.”

Małgorzata Fuller obdarzona była niepospolitą wymową i dowcipem, kobiéty stroniły od niéj, ponieważ dowcip jéj czasem złośliwy nie szczędził ich przywar. W 19 roku życia, nie było poważniejszéj książki we francuzkim, hiszpańskim i włoskim języku, któréjby ona nie tylko nie przeczytała ale gruntownie nie pojęła. W tym czasie zaczęła także uczyć po niemiecku i z równą chciwością czytywała prozę, poezję, i najgłębsze dzieła metafizyczne. Kant i Novalis zostali ulubionemi jéj autorami, a ze szkoły filozofów amerykańskich Emersona nad wszystkich przekładała. Powierzchowność Małgorzaty nie była wcale pociągającą, małego wzrostu i wcale nie ładna, miała jednak taki dar zachwycenia bystrością i głębokością swego rozumu, że te zewnętrzne niedoskonałości jéj osoby łatwo się zacierały gdy mówić zaczęła.

W 1843 roku zaczęła wydawać w Cambridgport pismo perjodyczne kwartalne, pod tytułem: „Tarcza,” w rok potém przeniosła się do Nowego Yorku, gdzie miewała prelekcje dla kobiét w rozmaitych przedmiotach, najcelniejsze były: „o rodzinie i towarzystwie,” „o szkołach,” „o literaturze.” W tym także czasie napisała ciekawe dzieło pod tytułem: „Kobiéty dziewiętnastego stulecia.” w którém domagała się dla kobiét równości praw społecznych i politycznych.

Sława jéj wkrótce rozeszła się po kraju jako uczonéj kobiéty i autorki. Dom jéj stał się głównym punktem zetknięcia dla wszystkich klas społeczeństwa, jak równie dla ludzi uczonych i światowych, tych wszakże których się chciała pozbyć, łatwo uchyliła ze swego kółka uszczypliwością swego rozumu, umiejącego chwytać słabą i śmieszną ich stronę.

W 1846 roku, Małgorzata Fuller odwiedziła Europę; zdanie jéj o towarzystwie i literatach Angielskich nacechowane wrodzoną jéj skłonnością do złośliwéj krytyki. W Paryżu poznała ona sławną panię Sand i tak nią była zachwyconą, że w dzienniku swoim pisze: „jeszcze żadnéj kobiéty

tak nie kochałam, jak George Sand.” W czasie pobytu swego we Francji i we Włoszech, poznała wszystkich prawie ludzi znakomitych w literaturze i w naukach i częste miewała z niemi dyskussje; w Rzymie poznała kilka kobiét znakomitych, ale pisze znowu w dzienniku swoim: „pomiędzy sławnemi kobiétami, które tu poznałam, nie znajduję żadnéj, któraby bystrością rozumu i obszernością nauki mnie wyrównać zdołała.”



nie było sposobu przekonać Małgorzatę aby się rozstała z dzieckiem.

Wypadki roku 1848 zaskoczyły ją w Rzymie, śmierć hrabiego Rossi i wszystkie gwałtowne sceny rewolucyjne odbywały się prawie w jéj oczach, szpitale napełniły się rannemi. Małgorzata Fuller, jako *Regolatrice* [1]) wraz z innémi damami Rzymskiemi, zaczęła doglądać chorych po szpitalach. Starania jéj o chorych były wielkie, a nietylko że rany ich opatrywała troskliwie, ale i zbolałe serca ich łagodzić umiała wymownym słowem swoim.

Przez trzy miesiące oblężenia Rzymu zatrzymaną została w tym grodzie, gdzie ją inne jeszcze więzy trzymały.

Poznała ona i pokochała margrabiego Ossola, któremu w roku 1847 została poślubioną sekretnie z powodu rodziny margrabiego, która temu związkowi była przeciwną. Kiedy mąż jéj, jeden z najdzielniejszych obrońców Rzymu, zawsze w najniebezpieczniejszych punktach walczył przeciw oblegającym, Małgorzata po kilkanaście godzin dziennie z dziwną wytrwałością i poświęceniem przepędzała w szpitalach, nareszcie siły fizyczne wycieńczyć się musiały, zmożona ciężką chorobą, resztę oblężenia na łożu boleści przebyła.

Zrujnowani przez polityczne wypadki, Małgorzata i mąż jéj uciekać musieli z Rzy-

[1]) Rodzaj świeckich Siostr Miłosierdzia.

mu w góry Apenińskie, gdzie dla bezpieczeństwa zostawili byli dziecię swoję. Zimę przepędzili we Florencji, ale coraz smutniejszy stan kraju i brak funduszów, zniewoliły Małgorzatę, aby z mężem i córeczką do Ameryki powrócić. Nie stać ich było na podróż statkiem parowym, musieli wsiąść na okręt żaglowy kupiecki, który z Liworno odpływał. Rozmaite smutne przeczucia, nie zdołały zachwiać postanowienia Małgorzaty i jéj męża i wstrzymać ich od téj długiéj a tak uciążliwéj podróży. Pierwszéj klęski doznali dojeżdżając do Gibraltaru, gdy kapitan zachorował na cholerę i wkilka godzin skonał, a gdy potém córeczka pani d'Ossola na tę samą chorobę zapadła, powstała obawa pomiędzy pasażerami, że wszyscy uledz mogą téj klęsce, szczęściem dziecię wyzdrowiało i dalszych wypadków cholery nie było.

Piękne letnie dnie téj długiéj podróży przepędzała Małgorzata na pokładzie, pracując nad obszernym dziełem o Włoszech, które za powrotem do ojczyzny wydać zamierzała.

Cztéry tysiące mil już ich oddzielało od Europy, już prawie widzieli brzegi Ameryki, gdy dnia jednego o świcie, okręt uderzył o skały nazwane *Fize Island Beach*; woda gwałtownie wpadać zaczęła do środka i okręt widocznie zanurzał się coraz głębiéj. Ląd był tylko o kilkaset jardów odległy, ale wybrzeże było piasczyste i nie widać było aby ratunek przybywał, nakoniec wśród mgły i deszczu, spostrzeżono zbliżających się ludzi, dojrzano nawet jakieś wozy nad brzegiem, ale łodzi nie było, nieszczęśliwi majtkowie zaczęli rzucać się do wody, ufając zręczności swojéj; niektórzy z nich tylko do brzegu dobili.

Uradzono nareszcie, aby tych co pływać nie umieli, przywiązywać do desek i żeby majtkowie te deski do brzegu z tyłu popychali. Wszyscy pasażerowie zgodzili się na tę jedyną nadzieję ratunku i niektórzy z nich ocaleni zostali. Gdy przyszła koléj na Małgorzatę, nie było sposobu przekonać ją, aby się z mężem i z dzieckiem rozstała, razem z niemi gotowa była puścić się na wzburzone morze, ale rozdziału przypuścić nie mogła. Czasu jednak do stracenia nie było, poczciwi majtkowie po próżnych naleganiach, musieli okręt opuścić. Kilku z nich dostało się do brzegu, chociaż ciężko pokaleczeni, na okręcie została tylko rodzina d'Ossola i trzech majtków. Po południu morze jeszcze groźniejszém się stało, woda dostawać się coraz gwałtowniéj zaczęła i już tylko część pokładu przy wielkim maszcie została na schronienie nieszczęśliwych. Majtkowie jeszcze raz zaklinali Małgorzatę żeby się ratowała, jeden przyrzekał z nich że sam dziecię do brzegu doniesie, biédna matka uledz nareszcie musiała, lecz zapóźno. Ledwie majtek z dziecią tkiem na ręku spuścił się do wody, gdy wielki masz zawalił się i cały okręt w jednéj chwili poszedł na dno ze wszystkiemi co się na nim znajdowali. Ciała Małgorzaty i jéj męża nie zostały znalezione, wierny zaś majtek z dzieckiem wyrzuceni zostali na brzeg nie żywi.

M. z Korzeniowskich Zaleska.

KILKA PRÓBEK STYLU z XVIII WIEKU.

Mieszanie dwóch języków w mowie ustnéj i pisanéj, do którego wyrugowania z pism i rozmów naszych tak się stanowczo dziś zabieramy, oddawna było u nas w używaniu, zwłaszcza téż wiek XVIII kochał się w makaronizmach i gallicyzmach. Kiedy minęły piękne czasy literatury, kiedy jędrny i czysty język Kochanowskiego i Skargi poszedł w poniewierkę na panegiryki i pochlebswa możniejszym, zeszpecił się obcą duchowi swemu mieszaniną i potwornie przerobionemi z cudzoziemskiego na polski krój wyrazami. Czasy Augustowskie, ta epoka głośnych uczt, drobnych

intryg i krzyczących swawoli, z której wśród nikczemnych pochlebstw i odurzenia, błysło czasem prawdy słowo, wybitnie wyraziła się w języku miękkim jakimś szumnym a rozwlekłym, uciekającym się po porównania do Grecji i Rzymu, bo własnego społeczeńswa zamęt nic w nim jasno dojrzéć nie dozwalał. Mając pod ręką niektóre papiery z owych czasów przechowane, dajemy z nich czytelnikom naszym wyjątki, tém chętniéj, że się z nich upewnić można, że wiek nasz względnie do zeszłego, słusznie odrodzeniem co do literatury i języka pochlebić się może.

Najprzód dajemy parę wyjątków mowy mianéj przy pogrzebie hetmana Polnego Chomętowskiego, przez zakonnika z Jasnéj Góry, Brunona Osieckiego, a drukowanéj w Częstochowie p. t. *Trophaeum* z pańskiego urodzenia, nieporównanéj estymy, z wielkich zasług i heroicznych czynów, z wiekopomnéj sławy y wysokich honorów, z życia pobożnego y śmierci prawdziwie chrześcijańskiéj, wiekuistéj chwały wielkiemu imieniowi etc. etc. tu następują wyliczone tytuły i godności hetmana, a następnie pięć dużych kart przemowy z dedykacją do hetmanowéj Tarłównéj, kanclerzanki z domu. Ileż to tam przecudnych pochwał, ile śmiesznych alluzji do Topora herbu Tarłów, który:

Nie tak waleczne Ottona topory
Brzmią po Gwirynach, ustają splendory
Lydyjskie; kiedy równać się z Tarłami
Chcą Państwa Rzymskie, gasną z Augustami.

Wdrygam się Jaśnie Oświeconych, Jaśnie Wielmożnych Domu Tarłów panegyryzować Heroin, nie tylko ztąd że każda z nich by najdowcipniejsze zwycięża pochwały y Elegia, ale że y to musiałbym powiedzieć, że czymkolwiek się w cherbowych kleynotach, naypryncypalniey może zdobić y popisować Orzeł Polski, to wszystko na JO. domu Tarłów zkolligowane y zkonkatenowane ozdobę.

Tu następują wyliczania krewnych hetmanowéj, a wszystkie mają być tak piękne, mądre, cnotliwe, że żadna bogini równaćby się z niemi nieśmiała, lub że im zazdrościli święci. Mieszając kolejno Olymp z Niebem, tak się wyraża o siostrze hetmanowéj kanclerzance Elżbiecie Tarłównie.

„Z nektarowym Medyolanu Oratorem y Infułatem, mówię Ambrożym: Virginis *Nomen, Omen Virtutis*. Panieński Tytuł y Honor pewny Cnót wysokich y gwalitetów zacnych prognostyk, które jeżeli kto na Panieńską JW. Elżbiety Tarłówny, kanclerzanki W. K. Osobę, ciekawą obróci powiekę, wszystkie oraz w jak najwyborniejszym upatrzy zwierciedle.”

Do Hetmanowéj tak się odzywa:

Pandora zgaśnie, to Pallady zdanie
Jeżeli z Tobą, póydzie w porównanie

bo choynieysza ręka Tego, o którym Apostoł mówi: Wszelki dar naylepszy, y wszelki datek doskonały, z wysokości pochodzi od Ojca światłości 1 Jac. I, V, 17, sprawiła to, że:

Kiedy w inszych jaśnieją cnoty promieniami,
W godnéj się Hetmanowéj wydają Słońcami.

Srożyć się tu czyjażkolwiek nie może cenzura, że Nayiaśnieyszych Cnót Twoich, które chyba Niebo samo, iako zważyć y oszacować, tak y rekompensować potrafi. Typem zda się bydź Jaśniejąca w Cherbowym Starzy Cynthia bo y ta *aemula solis* [1]) tak y osobliwą, niebieską y ziemską zrzenice kontentuje pięknością.” Słowem o samym nawet Bogu lżéj się wyraża kaznodzieja i Imie Jego małymi wydrukowane literami, podczas kiedy nazwiska panów i ich herbów, zwracają oczy ogromnemi druku zgłoskami które mają być wyrazem czci wysokiéj jaką wzbudzają ich imiona zapewne na téj zasadzie, że Bóg daleko, a Pan blisko.

Przytaczamy tu pocieszny ustęp, który nie wiedzieć jak mógł się pomieścić w mowie pogrzebowéj, a powiedziany jest z powodu poselstwa hetmańskiego do Turcji.

„JW. Chomętowskiego Wojewody y Hetmana ablegacja długa, bo trzech letnia, trudna bo o całość Rzeczypospolitéy, y uspokoienie królestwa, jednakże skuteczna, nienasyconego krwi chrześcijańskiey żarłoka,

[1]) Słońca.

słodkim pożądanego pokoiu ukoiła fruktem głównego Polaków nieprzyiaciela, do wieczney pociągnęła przyiaźni, publicznego państw katolickich łupieżcę, w własnych zatarasowała granicach. Myślę sobie po kaznodzieysku, iakim też Merkuryusz Polski JW. Wojewoda do Porty mówił ięzykiem, jakiey używał mowy. Wesoła, bo śmiesznego Demokryta ięzyków dystrybuta, jakim kto do którego stanu mówić powinien: twierdzi, że do Pana BOGA mówić należy po hiszpańsku, bo ięzyk hiszpański że osobliwą ma w sobie grandecę, do nieograniczonego Boga naysposobnieyszy majestatu; z Monarchami i Xiążętami po Włosku, bo ięzyk Włoski, każdego Pana, łatwo może ukontentować Exellencyą; z Duchownymi po żydowsku, nie dla tego, żeby się duchowni od Żydów szacher macher uczyli, albo ich zdrady, łakomstwa i oszukania naśladowali, ale że w języku hebrayskim, każda litera i owszem każdy punkt, nie jest bez tajemnice do Wiary Ś. należący; z Szlachtą, y Panami po łacinie, bo ten gradus, preeminencye stanu Szlacheckiego umie opisać y określić; z Żołnierzami po Niemiecku, a to z dwóch racyi, naprzód, że Niemiecka mowa używa często owego słowa der, a u PP. Żołnierzy der, czyli po prostemu derus, często nie tylko w intencyi, ale y w exekucyi; druga, że ięzyk Niemiecki, ze wszystkich jest najstrasznieyszy, y dla tego powiadają mądrzy, że ów Anioł, który pierwszych Rodziców naszych wypędził z Raju, nie inszym mówił ięzykiem, tylko Niemieckim, żeby ich prędzéj wystraszył; z Damami po Francuzku, bo ten ięzyk delikatny, przyiemny, y u Dam w akceptacyi, Mousi Mousi, wiele czasem wymusi, y dowcipni formuią sobie imaginacyą, że bies kiedy Ewę kusił w Raiu, Francuzkich używał komplementów, żeby prędzey do złego nakłonił; z Kupcami, Miast Obywatelami, Rzemieślnikami, po Słowiańsku, dotrzymać słowa, uczynić każdemu zadosyć, to będzie y kredyt, y ochotna usługa; z Chłopami po Turecku, bo Turcy wzywając Boga, często wołają hałła, hałła, a mówiąc prawdę, gdyby na Chłopków nie było często hałła, hałasów, to by się tak sprawili w robociznach i pracach, jak w pewney obraz wymalowany reprezentuie giełdzie, dwudziestu Rusinów, lisi ogon drągami dźwigają, wołaiąc na siebie: *Nute Mołoycy;* z każdym zaś człowiekiem piękna mówić po ludzku, bo ludzkości by naysurowsze, y samych bestyi dzikości pełne, ułagodzić, y obłaskawić potrafi serce, z tym wszystkim, u Otthomana fantazyi, y łagodne, y hałasuyące, y by też naybardzey ludzkie słowa, nie wiele mogą. Róże powiadają miasto słów wynikały z ust Tulliusza, łańcuchy krępuyące z Demostenesa, pioruny z Peryklesa, ale y ci małoby u nieunoszonego wskorali geniuszu. O Eliaszu Pisma relacya, że słowa płomieniem były: *Surrexit Elias et verba illius ardebat, ut facula.* Eccl. 48 [1]). Ale na zastraszenie albo do swych intentów nakłonienie Tyranna, nie pochodniami, ale całą Etną, albo Wezuwiuszem mówićby potrzeba, a przecie *consummatu Judiciu et perfectisctissima industria* [2]) JW. Wojewody y Hetmana, wynalazła sposób, którym y srogą, y dziką, unosiła fantazyę. Tey to Ablegacyi, Oyczyzna uspokoienie, Ukraina ubezpieczenie, Wiara obronę, Kościoły ozdobę, Majestat estymę, a nawet postronne Państwa, wielki pożytek przyznać y nie wygasłą nigdy powinny wypłacać się wdzięcznością.

A potém pożegnawszy krewnych i znajomych w imieniu hetmana tak kończy: Żegna Was Protektor Wasz y Dobrodziey nasz, iuż teraz nie ziemską, ale Niebieską deklaruje Protekcyą, iuż więcey skrępowana śmiertelnością ręka nie będzie szafować jałmużny, ale *Gratias coeli et Divina ab alto* obiecuje *Beneficia* [3]): Votum Jego: *Dent Vobis Superi, quod nos non possumus ipsi* [4]). A my Katolicy, zwyczayną manierą uczyńmy sobie reflexą: Serce JW. Wojewody i Hetmana złożone na Katafalku, z pobożnego życia, y prawdziwie Chrześciańskiey śmierci, niepochybną illacyą, złączone było z Bogiem, Stworzycielem i Odkupicielem swoim, paragonuje z owym sercem, pobożney Dusze, o której *Lohner*,

[1]) Powstał Eliasz, a głowa jego gorzała jakby pochodnia.

[2]) Skończony jest sąd, najdoskonalsza przenikliwość.

[3]) Łaski niebios i Boga z wysokości obiecuje dobrodziejstwa.

[4]) Niech wam dadzą z wysokości, czego my nie możemy sami.

gdy uprosiła sobie tę Łaskę, że Naydostoynieysza MARJA Panna, powierzyła Jey Jedynaka swojego do ręku, cieszy się niewymownemi Delicyami z iedyną pociechą swoją, w tym iey pyta Dziecina Pan JEZUS: *Diligis ne me?* Czy kochasz mię? ta odpowiada: *Omnino* kocham, y serdecznie, postępuje w kwestyach Dziecina Pan JEZUS, pyta iak bardzo mię kochasz? ta protestuje się, że więcey niż siebie, więcey niż serce swoie, nie dosyć było tę wymódz protestacyą, prosi jeszcze ulubiona Dziecina, czyli ieszcze większey nie masz miłości: aż ta rzecze! *Dicere non possum, loquatur cor meum, quantum te amo.* Ja wymówić nie mogę, ale niechay serce powie, jako cię kocham, w tym serce wyniknąwszy z wnętrzności, prezentuje napis: *Diligo te plusquam me, quia tu creasti me, redemisti me, dotasti me* [1]). Bogdajciby wszystkie katolickie serca, takie były, ale cóż wiedzieć czyli się nie żali na moie i Twoie serce Przenayświętsza Audyencya, *Cor meum dereliquit me* [2]), czy miasto pociechy, serca nasze nie są sercu Jezusowemu, *Cordolium,* bo w piiatyce, antałach, beczkach, kuflach, gąsiorach utopione, czy serce nasze, nie słuchając owey przestrogi, *divitie si affluant, nolite cor apponere* [3]), nie zamknięte w szkatule, czy serce z Efraimem obłąkane, nie dało się w niewolę lada kreaturze, czy żalić się nie trzeba, z owym senatorem Rzymskim: *Cor non habeo, cor non habeo* [4]). Szukano serca i znaleziono u Amazyi pod poduszką! *Ah! redite prevaricatores ad cor* [5]). Kochaycie Boga a Bóg was kochać będzie! A ia przy konkluzyi, nie tak z oczu iako z serca żałosnego, obfite leiąc łez potoki, do Ciebie Zawieszony na Krzyżu JEZU obracam mowę. Sługa Twóy Wierny: B. Iwo, Dominikan żałobną za duszę brata swego, Mszę celebrując, gdy przed Komunią wziął w ręce Nayświętszą Hostyą taki akt uczynił: Oto Panie, gdyby Brat mój w niewoli był Tureckiey, a ia Panu iego tak bogate, iako świat zaważyć może, ofiarowałbym *litrum* [6]) na okup iego, wiem, żeby wypuścił z niewoli Brata mego. Niemasz nic droższego nad Ciało y Krew Twoię Nayświętszą, toć Ciało y Krew ofiaruję, daruyżę mi duszę Brata mego, y uwolnioną od mąk Czyszczowych, domieść chwały wiekuistey. Używam tego sposobu, tak wiele dobrotliwy JEZU odprawiło się Mszy Świętych, za Duszę Jaśnie Wielmożnego STANISŁAWA, tak wiele tysięcy razy, począwszy od dnia śmierci, aż do tego momentu. Sprowadzano Ciało y Krew Twoię, pod Osoby Chleba y Wina, przez Konsekracyą, zbieram to wszystko, y Nayświętszemu Twemu, na okup Duszy Stanisława ofiaruię Maiestatowi."

Mamy także pod ręką kopją arkuszowego przeszło listu pisanego do króla Stanisława Leszczyńskiego przez damę będącą wraz z mężem na jego dworze, który to list daje miarę jak liczne ploteczki krążyć musiały w Lunewilu. Cały list jest zręczném podszczuwaniem na panią de Boufflers, a wstęp mający przekonać króla o przywiązaniu i wierności piszącéj i o jéj *najczystszych* intencjach, jest wzorem bezmyślnéj gadaniny: Jako pewna iestem *sans le moindre doute* że W. K. M. nie masz *parmi tous les vivants aucun coeur plus attaché et en même temps plus respectueux pour Elle, que le mien* tak tož samo serce ściśnione, *et au delà de toutes les expressions* strapione, czuiąc ani iuž więcey ciężkości żalu mego znieść nie mogąc, pozwolisz w życiu y nad życie nayukochańszy Panie, że Ci go *de telle façon que je puisse* wynurzę, *puisque mon respect, mes sanglots et mes larmes, m'empecheraient de vous exposer autrement mes pensées, et mes sentiments.* Odważyłam się y ustnie z okazyi namienić W. K. M. cokolwiek przed kilką dniami ale na dowod *que ce ne pas la fougue d'une passion emportée qui m'a fait parler,* że wszelka reflexya moia z adoracyą W. K. M. umyśliłam *justifier ce que j'avance* z tym się zaś przed Bogiem myśli y intencye przenikaiącym iak na ostatnim sądzie protestuie y Imie Jego święte na świadectwo wzywam że nie żadne *vues basses et interessées* ale

[1]) Kocham Cię daleko więcéj niż siebie, ponieważ Ty mnie stworzyłeś, odkupiłeś i obdarzyłeś.
[2]) Serce moje opuściło mnie.
[3]) Jeżeli bogactwa was zatapiają, niechciejcie mieszać z niemi serca.
[4]) Nie mam serca, nie mam serca.
[5]) Powróćcie przewrotni do serca.
[6]) Cenę dał.

sam prawdziwy affekt *joint inseparablement a un respect infini pour V. Majeste* animuie mnie *à faire cette demarche, que je regarde toujours dans la sfère de mon devoir, quoique dans le même temps presque au dessus de mes forces* ale dać chce próbe żem iest prawdziwa naywiernieysza, rzetelna nayprzywiązańsza sługa W. K. M. gdyż mam to za naywiększy stopień *d'une vraie amitié entre les égaux* a wierności y niezmierney życzliwości przeciw swym panom, rezolwować się na to co ia się z respektu, affektu y przywiązania rezolwuie *malgré que cela me coute une peine infinie et la plus grande que j'aie eu de ma vie.*

Wypowiedziawszy cały szereg dość nudnych plotek, znać bardzo rada że je wypowiedzieć mogła, dodaje: „takie są na które drętwieie niezliczone rellacye *fausses et exécrables, mais comment fermer la bouche au genre humain*, gdyż dosyć iest fundować się na iakim pozorze...... Jak W. K. M. sam tak *ce grand Dieu m'est témoin* y ia widze y uznam niesprawiedliwość, niegodziwość, niesłuszność y złość ludzką, w tych mowach y kalumniach, ale nayprzód to pewna iest, że to są mowy publiczne y iednostayne wszystkich, potym że tych mów niegodziwych, niesłusznych, zdaie się bydź niesłuszna okazya. Ja widzisz Panie stopą prawie nie wychylam się od siebie, radabym nie słyszała y nic martwiącego dla mnie nie widziała; ale nie chcąc *de temps en temps* mam uszy nabite, że nie tylko dwór cały w Lunewillu *jusqu'au valets;* nie tylko lud w rezydencyi tey królewskiey *jusqu'au dernier bourgeois* nie tylko w Nancy po kompaniach wszystkich, nie tylko w Lotaryngii między znacznieyszymi ale y w Strazburgu y w Paryżu całym, y w obozie *aux Pays Bas et en Italie* y w Sąxonii y w Polszce te same *medisances.*

Sądzicie może, że na tém koniec? bynajmniéj — jeszcze wraca do pani de Boufflers: „Na nią się skarżą wszyscy i Lotaryńczykowie i Polacy, że się widzą obmierzonemi u tego Dworu czego nigdy nie bywało, nasłuchają się nasi ziomkowie tysiącznych relacyi co mówi ze swemi konfidentami na naszą nacyą nawet czyli prawda czyli nie przed W. K. M. ona na mnie y na Siostrę moie Wiele ladaczego gada, y następnie teraz apartament Jey od W. K. M. pozwolony, bez wiedzy W. K. M. odebrać chciała aby siostrę moią nazawsze od Lunevillu odrazić. Ona podczas ostatniey w Lunevillu Męża mego choroby, gdy nieskończenie ku niemu W. K. M. dobrym sercem pokazałeś troskliwość o zdrowie jego śmiała mówić *„que le Roy ne craigne pas il ne crevera pas cette fois ici.”* Znać Jey dobre ku nam y ku wszystkim Polakom serce. Urazy te moie są sprawiedliwe ale ie dla miłości Pana Boga po chrześciiańsku daruię y znowu tymże Bogiem po tysiąc razy się świadczę, żem cokolwiek w tym liście wyraziła nie z żadny zemsty to idzie ale że zkonwinkowana iestem, że potrzeba abyś W. K. M. był informowany *de tout exposé ci dessus* nie przysięgam *sur la vérité du fait* ani jey nie zadaię *je ne veux qne gagner mon but de dire à V. Majesté que le monde en parle* toż to poprzysięgam po milion razy *que ces medisances sont publiques et générales et que je n'ai rien forgé de ma tête.*

(*D. n.*)

KORRESPONDENCJA.

Kraków 4 Sierpnia 1861 r:

Rome n'est pas à Rome, są to zwykłe wyrazy któremi rozpoczynają wszystkie korrespondencje pisywane z miast większych podczas miesięcy letnich. Toż samo da się powiedzieć obecnie i o naszym polskim Rzymie. Po ukończeniu kursów uniwersyteckich i szkolnych, młodzież i jéj

nauczyciele rozjechali się po kraju na czas wakacyjny, nastała zatém większa jeszcze jak zazwyczaj cisza na ulicach Jagiellońskiéj stolicy. Dwa razy tylko ludność tutejszego grodu ukazała się liczniéj na jego ulicach a za każdym razem dążyła do przybytku Najświętszéj Panny, by u stóp Jéj ołtarzy złożyć korne modły.... trzeci raz zaś równie tłumnie wyległa z domów, aby pod sklepieniem wawelskiéj świątyni oglądać zaślubiny praprawnuka zwycięzcy z pod Obertyna hetmana Jana z Tarnowa, z córą rodziny wielkiego Jana Zamojskiego. W obec cieniów takich praojców, zdaje się, że dość zalecić tylko nowożeńcom, aby pamiętali na piękne francuzkie przysłowie: *noblesse oblige*—ale wróćmy do wyludnionych ulic Krakowa.

Idąc za ogólnym przykładem i wasz korrespondent wyruszył po za rogatki miejskie. Naprzód w liczném gronie zwiedziłem koronę gór naszych Tatry. Nie wdaję się tu w opisy miejscowości, bo tych nam dzisiaj nie braknie; wszystkim jednak tym *przewodnikom*, których zresztą wielkiéj zasłudze bynajmniéj nie myślę uwłaczać, jedną bym tylko zrobił uwagę, że za mało piszą o poczciwym ludzie górskim, a jednak wartoby bliżéj lud ten poznać. Wśród pasterzy, owiec i bydła na halach tatrzańskich, można znaleść nie jednego co ukończywszy wyższe studja naukowe, wraca na ojców zagrodę, by krwawym potem wywalczać chleb materjalny dla siebie i swoich i by rozdawać chleb moralny, pomiędzy uboższemi umysłowo braćmi. Wspaniały ten przykład dobrowolnego ubóstwa ewangelicznego, zaprawdę godzien podziwu w naszym wieku.

Z bliższych okolic Krakowa, najliczniéj nawiedzane bywają *Swoszowice*, *Krzeszowice* i *Wola* osobliwie w dni świąteczne. Zakład kąpielny Swoszowski, zostaje obecnie pod nadzorem społki balneologicznéj któréj dobroczynnemu wpływowi winni jesteśmy pozostanie w kraju znacznéj liczby kapitałów, które *bociany polskie*, w znacznéj ilości rok rocznie wynosiły do wód zagranicznych. Głównym promotorem społki jest zacny professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr Dietl poseł na sejmie Lwowskim i Wiedeńskim, a od dwóch tygodni *Rector Magnificus*, większością głosów przez professorów wybrany. W przedsionku do zakładu kąpielnego Swoszowskiego znajduje się dość podobny biust Dietla, dzieło tutejszego artysty p. Wyspiańskiego. Liczba gości w Swoszowicach rok rocznie powiększa się, na czém oczywiście tracą szanowni cywilizatorowie nasi niemieccy.

W samym Krakowie jak rzekłem pustka spowodowana szczególniéj ubytkiem teatru dającego tu czasami sztuki wyborowe oryginalne i brakiem wszelkiego ruchu literackiego i artystycznego. Wszystko wyemigrowało odetchnąć swobodną piersią po dusznéj atmosferze pokojowego powietrza, lub wszystko się pozamykało, więc i wystawa malarska tą razą nie zbyt licznie a przynajmniéj nie tak znakomicie jak dawnemi daty reprezentowana i biblioteka Jagiellońska, to źródło czerpiących z tamtąd ukryte gdzieidziéj lub nie znane skarby nauki i poglądów jasnych w przeszłość, szczególniej dziejową, rzadko nawiedzana. Nareszcie ciszę ogólną rozbudzi zapewne przybycie na kilkanaście przedstawień teatru Lwowskiego, który zapozna Krakowian z arcydziełami Fredry i kilku tragedjami Słowackiego.

Z pism tutaj wychodzących najnowszém bo od kilku miesięcy dopiéro istniejącém zjawiskiem jest pismo tygodniowe p. t. *Niewiasta*, wyłącznie płci pięknéj poświęcone, z programem edukacyjno-moralnym. Znakomite zdawna, oraz wyrabiające się młodych pisarzy pióra, pracując odpowiednio do zakreślonego programu, zyskały sympatję dla niego. Część szczególniéj historyczna, zbyt może poważna jak do podobnego pisma, jest tu najważniejszą podstawą, treść estetyczna powieściowa i poetyczna również wypełnia kolumny. Z artykułów bibljograficznych najwięcéj was może obchodzić będzie artykuł p. t. *Polki literatki*, w którym znajdziecie szczegółowy opis piszących polek i ich dzieł, aż do ostatnich czasów. Współpracownicy tego pisma są: Libelt, Siemiński, Kremer, K. Baliński, J. Goszczyński, Syrokomla, P. Wilkońska, J. Szujski, J. Kołowski, Ed. Lubowski, X. Serwatowski, W. Pol, J. K. Turowski.

Z powieści historycznych a raczéj z mo-

nografji historycznych, dotychczas wyszło tyle: Marja Gonzaga, Anna Jagiellonka przez J. Szujskiego, Marja Mniszchówna J. K. Turoskiego, a obecnie drukuje się Marja Leszczyńska Ed. Lubowskiego. Po ukończeniu téjże ma wychodzić dalsza jakby serja niewiast polskich, zasłużonych w dziejach. Artykuły wstępne treści pedagogiczno-moralnéj, lub wyłącznie estetycznéj pisują J. Szujski i X. Serwatowski.

Pismo „Ognisko" pod redakcją W. Wielogłowskiego, dla braku podobno funduszów, przestało wychodzić. Szkoda go, bo przystępnie traktowało najważniejsze dzisiaj kwestje gospodarskie i przemysłowe.

Dzieł tu wydanych mało mamy. Teraz wyszła broszura zawierająca w sobie z topograficzno-geograficznego stanowiska opis Galicji przez Ł. i B., służyć ona może za dokładny przewodnik podróżnikom nie znającym téj prowincji. Wyszła także komedja w 4-ch aktach K. Zubowskiego, pod tytułem: *Rzemieślnik.* Oto i wszystko.

St. Ch.

O UBIORACH.

Paryż 4 Sierpnia 1861 r.

Zeszły miesiąc zapewne chcąc wynagrodzić nudne pustki i dokuczliwe upały mieszkańcom tutejszego miasta, obdarzył ich nowym wykwintnym wynalazkiem. Wiadomo powszechnie, że kwiaty robione zdawna już wyrównywały żywym w piękności i barwie, brakło im tylko owéj balsamicznéj woni, która taką roskoszą napawa zmysły nasze. Otóż mogę wam donieść z pewnością, że obecnie batystowe lilje i róże zrównały, lecz co mówię, przewyższyły swe siostry ogrodów i cieplarni, bo napełniają równą wonią dom cały, a nigdy, nigdy nie więdną nie pożądając ani słońca ożywczych promieni, ani rosy dobroczynnéj kropelki. Bukiet ze sztucznych róż fijołków lub rezedy z magazynu p. Faguer wstawiony pomiędzy bieliznę, suknie, papiery lub książki, czyni, że przedmioty te przechodząc zapachem właściwym kwiatów, świadczą później wymownie o wytwornéj elegancji ich posiadaczów. Mimo obecnego wyludnienia Paryża, zawsze zarówno na ulicach czy na przechadzkach publicznych napotkać można pełne wytwornego smaku ubiory. W magazynie pani Honoryny przy ulicy d'Antin, widzieliśmy kompletnie dobrane przedmioty stroju, z których łatwo mogą uczynić wybór tak osoby najwybredniejszego smaku, jak równi eż te, które niepewne własnego gustu lubią sięo spuścić w ubraniu na cudzy. Ten dobór str jów wskaże wam najlepiéj sposób ubierania się w Paryżu w obecnéj porze: Suknia z popielatego *poil de chevre* do niéj ozdoby fijołkowe, czarna koronkowa mantyla podwleczona fijałkową wstążką i kapelusz biały włosiany zdobny w czarne i fijałkowe grona. Daléj suknia z ciemnego bareżu *chiné* z témże samém okryciem, mającém się naszyć wązkiemi falbankami, podobnie jak spódnica sukni; kapelusz ze słomy ryżowéj ubrany białą wstążką i pękiem polnych kwiatów. Suknia z grenadiny czarnéj w rzucik z fijołków parmeńskich, spódnica ma być u niéj oszyta pięcioma drobnemi falbankami objętemi fijołkową materją, stanik gładki, wycięty z kanzotką o długich końcach nakształt końców od szarfy, czarna koronkowa mantylka i takiż kapelusz strojny pękiem fijołków i barbą czarną. Suknia popielata jedwabna we dwóch cieniach, spódnica gładka powłoczysta, chustka czarna kaszmirowa haftowana jedwabiem, oszyta gipiurową falbaną, kapelusz ze słomki włoskiéj z czarną koronką i pąsowym aksamitem. Suknia z gazy *mozambique* w pasy lilla na tle *chiné*, mantyla czarna koronkowa, kapelusz ryżowy strojny koronką i różami włoskiemi. Suknia bareżowa popielata z takąż samą mantylą, wystrój niebieski, kapelusz biały włosiany z wieńcem niezabudek.

Suknia żałobna z czarnéj gładkiéj materji, chustka czarna kaszmirowa, naszyta haftem z paciorek czarnéj lawy, kapelusz biały krepowy ubrany w białe bukiety chryzantemów. Suknia z czarnego bareżu grenadine, takaż sama okrywka. Kapelusz biały włosiany z czarną koronką i czarnemi kłosy. Wiele jeszcze tym podobnych widzieliśmy strojów, lecz aby je wszystkie opisać, za szczupłe ramy naszéj korrespondencji. Powiemy zatém tylko, że w ogóle do większego stroju noszą materje jedwabne

gładkie lub broszowane, oraz grenadiny lub gazy z Chambery, codzienne zaś ubrania stanowią najczęściéj muśliny *poil de chevre* albo *barege linon*. W magazynie p. Gaglin zwróciła naszą uwagę, dziwnie oryginalna materja należąca obecnie do najmodniejszych, na białém tle szła ukosem, czarna szeroka krata, po któréj równie jak po tle ciągnął się deseń chiński, lilla i pomarańczowy. Druga znów na tle popielatem, miała tegoż koloru kratę a po niéj rzucane wielkie szmaragdowe muchy o złotych skrzydłach. Paletoty mniéj lub więcéj wcięte, według upodobania i duże burnusy angielskie noszą się do negliżowego ubrania, do stroju zaś z tejże saméj materji co suknia mantyle koronkowe, chustki czarne kaszmirowe, lub okrycia z białego cienkiego muślinu. Okrycia te robią się w kształcie chustek dubeltowych, brzegi ich obrębione zakładą na cztery cale szeroką, podwleczone bywają kolorową wstążką, na dwa cale po nad zakładą wyhaftowany jest szlaczek płaskim ściegiem, nie szerszy nad trzy cale. Na ranne po domu ubranie noszą bardzo zuawki i spódnice z żółtego nankinu, pod zuawkę kładzie się biała szmizetka na głowę zaś okrągły muślinowy czepeczek a la paysanne otoczony do koła kolorową wstążką, zakończoną na tyle głowy kokardą z długiemi końcami. Bardzo dogodną nowością są także czarne jedwabne lub sznelowe siateczki które podtrzymują włosy bez pomocy grzebienia. Podczas chłodnych wieczorów, pokazują się szale wełniane z szerokim szlakiem odmiennego koloru lub białe wełniane trykotowe burnusy. Na wszelkie spacery i wycieczki do wód zakupują wiele fantazyjnych kapeluszy jako to: Tudor, Cloche, Glocester i t. d. których dziwacznych a malowniczych kształtów niepodobna podać w opisie. Do większego ubrania noszą zazwyczaj kapelusze z włoskiéj słomki lub białego włosienia, ostatnie bardzo są poszukiwane dla swéj lekkości. Wiele także wyrabiają kapeluszy białych krepowych tiulowych, lub koronkowych. Widzieliśmy pomiędzy niemi dwa, które szczególniéj zwróciły naszą uwagę swą oryginalnością: jeden np. biały krepowy naszyty był deseniem grecque z czarnéj wązkiéj aksamitki i ozdobny w pąsowe kwiaty kaktusów, drugi zaś lekki puszysty, pokryty cały neżykiem z białéj blondynki zdobiły marabuty białe z lilla. Wiecie że pora obecna nie jest porą zebrań wieczornych, zdarzają się one jednakże kiedy niekiedy z powodu uroczystości rodzinnych lub innych niezwyczajnych okazji.

Muszę wam opisać ubrania, które mię najwięcéj zajęły na jednym z podobnych obchodów: suknia z gazy Chambery, koloru saumon, spódnica gładka podwójna, stanik płaski wycięty, z białą koronkową bertą, zakończoną gałązką z zielonych i złotych liści bluszczu, włosy podwinięte, w górę, otaczała *en dyademe*, takaż sama gerlanda. Druga suknia która zwróciła moją uwagę, była z białego tiulu z szerokim greckim szlakiem, wyszytym plecioneczką słomianą, podobnyż wystrój berty i rękawów na głowie wieniec z kłosów, bławatów i maczków pąsowych, dopełniał tego skromnego a pełnego wdzięku ubioru.

M. D.

Warszawa.

Obecna pora upałów letnich, które tém dokuczliwiéj czuć się dają w mieście, wygnała znaczną część jego mieszkańców na wieś lub do wód, gdzie szukają polepszenia zdrowia tak w przepisanych lekach, jako téż i pożądaném dla niektórych roztargnieniu. Znać to chwilowe wyludnienie w magazynach naszych, brakiem owych różnego kroju i materjału sukien, porozwieszanych zazwyczaj tu i owdzie na pokaz po wykończeniu. Wszędzie natomiast widzimy znaczną ilość okrywek, kapeluszy, czepeczków, bluzek, kanzucików, słowem przedmiotów nabywanych powszechnie bez poprzedniego obstalunku. Kiedy niekiedy tylko zdarza się napotkać pomiędzy niemi jakieś całkowite ubranie, przeznaczone do wyprawy lub spóźnione w przesłaniu. W znanym powszechnie z wytwornego smaku magazynie pani Adeli widzieliśmy jeszcze jeden z ubiorów których wiele wywiozły ztamtąd panie, udające się do wód zagranicznych. Był to podarek ślubny narzeczonego, składał się ze spódniczki, kontusika i czapeczki odpowiedniego kształtu. Spódniczka była z ciężkiéj blado lilla jedwabnéj materji, obłożona u dołu w miejscu futerka białym delikatnym pluszem (pluche orientale) na półtory ćwierci szerokości, do niéj biała muślinowa koszulka z szerokiemi rękawami zamkniętemi u ręki, z małą koronkową krezą u góry, w stanie zaś ściśnięta pasem z białéj gładkiéj jedwabnéj materji, którego końce zakończała biała lekka frendzla; pas ten szeroki na pół łokcia, zwijał się koło stanu i nie wiązał wcale tylko z boku gdzie spadały końce, układał się w misterny węzeł. Na tę koszulkę zarzucał się kontusik z tejże saméj co spódniczka materji również białym pluszem obłożony do koła, u saméj góry był spięty, niżéj zaś lekko rozwarty, tak że widać było pas i koszulkę, rękawy długie, niezbyt szerokie, rozwarte w pośrodku, zarzucone były nieco ku plecom. Przód szamerowany lekką białą pasmanterją. Zakończała całe ubranie czapeczka z czarnéj ryżowéj słomki, rogatywka lecz bardzo płaska, otaczające ją do koła czarne strusie pióro zastępowało miejsce baranka, z boku zaś niby czaple piórko, sterczała czarna z białem kitka.

Mówiła nam pani Adela, że z pewnością krezy więcéj się używać będą na zimę, aniżeli kołnierzyki mówiła także, że młode osoby zarzucają już owe stroje głowy właściwe mężatkom, jeżeli chcą być ubrane elegancko, powinny mieć włosy gładko zaczesane, z boków zaś lekko do góry odwrócone, co do fasonu sukien powiadała również, że staniki robią się w ogóle płaskie, rękawy na rano tylko zamknięte, do ubrania zaś otwarte, paski także nosić się powinny do mniejszego ubrania, do stroju zaś szczególniéj w wieczór, suknia powinna być z bawetem. Krynoliny znacznie zmniejszono. Czepeczki mają obecnie najwięcéj dwie właściwe sobie formy, okrągłą a la paysanne lub w kształcie wieńca na około głowy. Wszystkie przedmioty ubiorów kobiecych, wychodzące z magazynu pani Adeli takim są nacechowane wdziękiem, że niepodobna nie przyznać, że myśl artystyczna przewodniczyła ich wykonaniu. Nie widać tam nigdzie przesady, każda rzecz przedewszystkiem odznacza się szlachetną prostotą i doskonałą harmoniją; ceny zaś równe cenom wszystkich naszych pierwszych magazynów, które również używają materjałów lepszego gatunku, kapelusze np. są po 9 i 10 rubli, lubo można znaleźć i droższe stosownie do materjału; ryżowe Tudor z piórkami, dziwnie ozdobnego kształtu po złp. 55, śliczne czarne czepeczki a la paysanne po 35 złp., ubrania w kształcie wieńców en dyademe po 24 zł. i t.p.

Nie możemy nic nadmienić także o bogatym zbiorze koronek, jaki posiada tenże magazyn. Dziwną może wydać się ta wzmianka z powodu, że koronki są przedmiotem zbytku, a zbytek jak powszechnie wiadomo jest grzechem i plagą kraju naszego. Pewni jesteśmy jednakże, że każdy wraz z nami przyzna, że zbytek jest rzeczą względną i tak: to co zbytkiem jest kupować jednemu, drugi może nabywać bez grzechu. W cóż bowiem obróciły by się miliony biednych robotników, gdyby pieniądze bogaczów nie zakupywały owocu ich krwawéj pracy. Zamiast przeto powstawać przeciwko kosztownym przedmiotom wyrabianym przez ręce ludzkie, powstajmy raczéj przeciwko próżności która marnuje grosz przeznaczony na chleb powszedni, aby wyrównać bogactwu jakiego nie posiada. Gdyby tylko każda kobiéta nie zazdroszcząc ani pragnąc sprostać zamożniejszem od siebie, stosowała wydatki na stroje do swych przychodów, jakże wiele dobrego spłynęłoby ztąd na rodzinę i społeczeństwo! Ale wróćmy do koronek od których odbiegliśmy mimowolnie, otóż oglądając ów zbiór cudnych pajęczych tkanek tak misternych i różnych od siebie wzorów, przyszło nam do myśli że ponieważ trwa dotąd obyczaj dawania pannie młodéj podarków przedślubnych, zatém ludzie *bogaci* mogli by w miejscu kosztownych świecideł, składać dary z koronek, nic bowiem wedle naszego mniemania, nie stanowi szlachetniejszego wykwintu stroju, jak piękne koronki. Przekładamy je nad wszelkie inne kosztowności używane w ubiorach kobiecych, mają bowiem tę zaletę, że stanowią strój wytworny, nie uderzając blaskiem ani barwą. Nie wychodzą téż nigdy z mody, i tak jak dawniéj prababki nasze przekazywały je w puściźnie wnuczkom, tak i dzisiaj każda matka, gdy przeminie dla niéj pora stroju może je oddać córce. Koronki które oglądaliśmy, składały niezrównanéj piękności garnitury do rąk i szyi, berty, barby, wolanty, a wreście ślubne zasłony w kształcie chustki o czterech rogach (voile carré) które tworzyć mogą potém bardzo piękne mantyle, do każdéj z nich bowiem dobrana jest falbana, głowę panny młodéj okrywają w ten sposób, że jeden róg przypina się po nad czołem, reszta zaś puszczona wolno, sama z siebie układa się w pełne wdzięku fałdy. Zdarza się często, że osoby kupujące koronki zagranicą oszukują się na gatunku i płacą w ten sposób rzecz nad jéj wartość nadmienić przeto musimy, że wszystkie wyżéj wymienione koronki, wybierane w najcelniejszych fabrykach umiejętną ręką, mają w istocie właściwą sobie wartość, ceną zaś nie wiele się różnią od zagranicznych z powodu że kupcy tameczni biorącym w znacznéj ilości do handlu odstępują rabat, którego nie dają kupującym pojedyncze przedmioty. W magazynie panny Klementyny (dawniéj Józefowiczowéj) widzieliśmy znaczną ilość bluzek czyli staników białych muślinowych, w cenie od złp. 30 i więcéj stosownie do fasonu, bluzki takie z czarną spódniczką stanowią ładne i lekkie ubranie dla młodéj osoby. Widzieliśmy tam także bluzkę czarną bareżową z wstawkami, czarnemi gipurowemi i wiele ładnych bardzo białych lub czarnych kanzucików z rękawami od złp. 60 — 80 do 100, stosownie do ilości i gatunku koronek, pomiędzy innemi podobał nam się jeden gładki, czarny tiulowy, okrągły z falbaną, naszyty w trzech równych odstępach czarną aksamitką, każde naszycie składało się z czterech rzędów aksamitki na pół cala szerokiéj, rękawy i falbana podobnież były przyozdobione, trzy kokardy z pęczków aksamitek, przyczepione były na przodzie. Są również w tym magazynie gotowe spódniczki z paltotami lub zuawkami z bareżu lub fularu. Dogodna bardzo ta nowość w naszych magazynach, szczególniéj dla osób przybyłych na krótki czas do miasta, a potrzebujących prędko przekształcić swój ubiór. Widzieliśmy tam jeszcze dwie suknie czarne jedwabne, jedna z materji broszowanéj druga moire antique obie gładkie, powłoczyste, z szerokiemi otwartemi rękawami podszytemi białą materją, któréj brzeg oszyty był ruszką z białéj wstążeczki, staniki były płaskie pod

szyje spinane na szmuklerskie guziki, rękawy przyozdobione również pasmanterją. Wszystkie kapelusze i ubiorki na głowę panny Klementyny, odznaczają się wielką lekkością i wdziękiem, znaczną téż ich liczbę znaleść można do wyboru, stosownych dla osób różnego wieku. Podobały nam się szczególniéj: czepeczek ranny biały muślinowy okrągły oszyty białą koronką i przystrojony w białą mantynową wstążkę mięszaną z czarną aksamitką. Wieniec na około głowy upięty z barby białéj koronkowéj i gałązek bzu białego bez liści. Wieniec z gron czarnych posypanych białym szronem i czarnéj mięszanéj z białém blondynki. Inny znów z czarnych kłosów i białéj również koronki. Kapelusze w ogóle mało przystrajają z wierzchu, najwięcéj widać tiulowych i słomkowych, podobał nam się bardzo biały włosiany ubrany białą wstążką z wąziuchnym czarnym brzeżkiem i biały tiulowy przystrojony w czarną aksamitkę i blondynkę. Stosownie do upodobania obecnego w klejnotach z lawy, panna Klementyna sprowadziła znaczny ich zapas z Paryża. Są tam bardzo ładne w grube ogniwa łańcuchy do zegarków damskich z broszką i klamerką po rs. 4, takież bransoletki po złp. 16 jedna, naszyjniki po rs. 5; daléj grzebienie, klamerki do paska, szpilki do szalów etc. Wszystko prawdziwie oryginalne i ładne. W wielu miejscach znajdują się wyroby z lawy mięszanéj z aluminum co bardzo dobrze wygląda.

We wszystkich sklepach naszych znaleść można obecnie wielki wybór żaknotów i perkalów na suknie, te ostatnie tak dobrze naśladują fulary, że niepodobna ich prawie rozróżnić, najwięcéj na tle czarném widać drobniuchnych białych kropek, prążek, lub popielatych muszek, żaknoty miewają większe desenie. Okryć letnich lubo już lato na schyłku, duże jeszcze widać zapasy, zachęcają do nabycia nieznaną u nas dotąd tannością. Magazyn pana Thonnesa sprowadził znów niedawno znaczny transport burnusów na różne ceny.

Objaśnienie tablicy rysunków.

N. 1, Połowa przodu do kaftanika z plisą dubeltową zakładkami i szlakiem haftowanym płaskiem, szerokiem dzierganiem.

N. 2, Połowa pleców kaftanika.

N. 3, Cały rękaw ze szlakiem płaskiem szerokiem dzierganiem.

N. 4, Kołnierzyk do kaftanika, również płaskiem szerokiem dzierganiem.

N. 5, Figura kaftanika.

N. 6, Figura koszulki dla siedmio-letniéj dziewczynki.

N. 7, Karczek i naramiennik do koszulki.

N. 8, Plisa dubeltowa do przodu.

N. 9, Pasek do rękawka.

N. 10, Deseń do wyszycia tasiemeczką lub aksamitką na sukience dziecinnéj.

N. 11, Fartuszek dla maleńkiego dziecka, na piersi pikowany stębnówką jak wskazuje rysunek, u góry spięty na guziki, u dołu związany tasiemką.

N. 12, Połowa pleców stanika pod szyję dla małéj dziewczynki, wycięcie oznaczone jeżeli ma być robiony do gorsu.

N. 13, Połowa przodu tegoż staniczka.

N. 14, Berta do tegoż staniczka jeżeli będzie wycięty.

N. 15, Połowa przodu sukienki haftowanéj dla nowonarodzonego dziecka.

N. 16, Boczek i plecki marszczone i ściągane do téj sukienki.

N. 17, Połowa paska na około szyjki.

N. 18, Rękawek.

N. 19, Górna połowa haftowanéj koszulki dla czternasto-letniéj dziewczynki.

N. 20, Rękawek do téj koszulki.

N. 21, Połowa przodu koszuli z zakładkami dla pietnastoletniego chłopca.

N. 22, Połowa rękawa.

N. 23, Połowa ramiączka.

N. 24, Połowa kołnierza.

N. 25, Połowa szyi.

N. 26, Połowa karczka tylnego brytu.

N. 27, Mankiet do rękawa.

Sprostowanie. W opisie ornatu umieszczonego w ostatnim Lipcowym zeszycie, napisane było przez omyłkę, że trzeba materją posypywać proszkiem dla odrysowania na niéj w ten sposób deseniu, gdy przeciwnie deseń posypuje się proszkiem kredowym po gładkiéj stronie, pociera nim lekko i dopiéro przykłada do materji a wtedy rysunek obwodzi się tępym drutem i obwód ten pozostaje na materji.



OBERTYN.

(OBRAZEK HISTORYCZNY).

I.

Ponuro szumią nad Pokuciem lasy,
Nieszczęsna ziemia cała krwią skąpana,
Ledwie się srogie skończyły zapasy
Z Wołoską dziczą ślepego Bogdana,
Choć legł Hospodar nowa spadła burza,
Zarzewie wojny z nim w grobie nie zgasło,
Od Bukowiny po Karpat podgórza
Z wichru pogwizdem wojenne grzmi hasło;
Już nad Śniatynem i nad Tyśmienicą,
W pomroku nocy krwawe łuny świécą,
Stérczą zgorzałe zgliszcza Kołomyi
A biedni jeńce z powrozem na szyi,
Żegnając łzawo ojczyste swe łany
Idą bezludne uprawiać Multany.

Czy od szarańczy tak niebo się ściemiło?
Czy wietrzna trąba łamie dęby w lesie?
Nie, to Wołoski Hospodar Petryło
Śmierć i pożogę swemi ślady niesie.
Za Hospodarem tłumy konnéj dziczy,
Jak sięgnąć okiem, zaległy w krąg pole.
Postać okrutna! snać duch wojowniczy;
Na ich chorągwiach straszne łby bawole
Stęknęła ziemia pod ciężkiemi działy,
Sępów i kruków ciągną czarne stada,
Krew zdala wietrzą; a wśród Polski całéj
Głucho się rozległ okrzyk: biada! biada!

II.

Słyszy ten okrzyk król Zygmunt na tronie,
Słyszy go hetman i senat struchlały,
Lud ku niebiosom drżące wznosi dłonie
Hymny pokutne w przybytkach zabrzmiały,
Kto żyw, do Boga zanosi błaganie:
„Od ognia, wojny, zachowaj nas Panie!”

A był Hetmanem koronnym w te lata
Mąż dzielny siłą ramienia i woli,
Wielkiemi czyny słynie on u świata,
Młodzianem jeszcze pomknął w lot sokoli,
Na krwawe harce, w dalekie przestworza,
Za cudze rzeki, za góry i morza.
Na barkach Maurów zaprawiał on wcześnie
Ramie do boju w ojczyznie Cydowéj,
Gdzie dum rycerskich kołysany słowy,
Marzył o sławie, na jawie i we śnie:
A marząc działał i krwi toczył strugi,
Aż mieczem wielkiéj dobił się zasługi,
I sława w zamian oplotła w około
W wieniec dębowy ulubieńca czoło.

Dziś Jan z Tarnowa; Cydem między swemi,
Pogromcy Maurów sławą on domierza,
Jak on Kampador na Iberów ziemi,
Wrósł on do siodła, hełmu i pancerza,
Jak Cyd, on tarczą ojczyzny i wiary,
Jak Cyd, on biczem Bożym na pohańce,
Wciąż on z Podola wypłasza Tatary,
Wydziera łupy i odbija brańce,
A naród patrząc na czyny olbrzymie,
Wielkiego wodza błogosławi imie.

Nie trwoż się Polsko, choć wołoskie dzicze,
Palą twe włości i pustoszą grody,
Jak tuman piasku tłumy najezdnicze
Pierzchną z Pokucia nad Dunaju wody!
Już oto Hetman zgarnia bitne szyki,
Grzmią z trąb odgłosem wojenne okrzyki.

. . . .
. . . .

III.

Krwawa dziś zorza wschodzi nad Haliczem
Krwawo rumieni pola Obertynu,
Bo oto w pasmie dziejów tajemniczem
Powstał dzień krwawy, dzień walki i czynu.
Ale Bóg jeden który losy świata
Niezłomną ręką sam waży na szali,
Wié, komu padnie dziś cześć lub zatrata,
Kogo podniesie, kogo w proch obali.

Na przeciw siebie stoją dwa tabory:
W jednym się roi niezliczona tłuszcza,
Istna szarańcza, jaką Bóg dopuszcza
W zły czas, na polskie pola i ugory,
By wiernych ludów serca tknięte skazą,
Ukrzepić w trudach jak w ogniu żelazo.
Głośna brzmi wrzawa wśród wołoskiéj dziczy,
Cztérykroć większą w pychę wzbity siłą,
Wcześnie najezdnik Lackie łupy liczy,
A wściekłość tłuszczy, hospodar Petryło
Syci palącym trunkiem, co obrzydle
Człeka przedzierzga w bezrozumne bydle.
Rwie się do boju ta ćma najezdnicza,
W uściech jéj klątwa, a bezwstyd na czole,
Sroższe pijanych wołochów oblicza,
Niżli na drzewcach one łby bawole,
Któremi głucho ranny wiatr szeleści,
Podczas gdy kruków czarne stada chmurą
O przyszłych losach smutne gwarząc wieści,
Wschodzącą zorzę przyćmiły ponuro.

W polskim obozie inaczéj, inaczéj
Wódz się z rycerstwem sposobi do trudu,
Wié on, jak mało ludzka przemoc znaczy,
Gdy Pan okaże moc łaski i cudu.
Klękło rycerstwo z ukorzoną głową,
Ku wschodniéj stronie, skąd świeci blask zorzy,
A tam wzniesiono kaplicę polową;
W ołtarzu obraz rodzicielki bożéj,
Jaśniéj przyświeca niż jutrzenka ranna,
A głosy biją ku niebu „Hosanna”
Poważny kapłan śladem Zbawiciela,
Wśród ludu spełnia bezkrwawą ofiarę,
Ukrzepion łaską sam, pomiędzy wiarę
Krew niewinnego Baranka rozdziela,
Aby gdy ludzkie siły już nie starczą,
Ona jéj była zbawieniem i tarczą.

Cudnież to patrzéć na ten szereg długi,
Klęczących mężów, twardych jak te zbroje
Któremi barki okowali swoje.
Błyszczą na słońcu stalowe kolczugi,
Lecz jaśniéj płonie łza w męzkiéj źrenicy,
Gdy się przed panem w cichéj korzą skrusze,
I wyzwoloną z prochu ziemi duszę,
Slą ku niebiosom, ku Bogarodzicy,
Ufni, że Marja swój naród z złéj toni
Wyrwie, i skrzydły opieki zasłoni.

Poważny Hetman wraz z drużyną całą
Świętéj pokuty orzeźwiony zdrojem,
Przyjął do serca Chrystusowe ciało;
Pierś jego pełnym oddycha pokojem,
Onym pokojem niedostępnym światu,
Który z Bożego spływa majestatu,
Na promieniste Archaniołów chóry,
Lub na wybranych Pańskich, co na ziemi
Z okiem i sercem wzniesioném do góry,
Świécą jak gwiazdy cnoty Anielskiemi.

Padł Hetman krzyżem u stopni ołtarzy,
Oba w znak krzyża rozpostarł ramiona:
„Panie! rzekł z cicha—Twa moc niezmierzona
W proch ściera pyszne, a zwycięztwem darzy

Ludy, co kornie idą w ślad Twéj woli,
Które szafując hojnie krwią i potem,
Nie za czczą sławą, nie za marném złotem
Gonią, lecz cicho, jak kłosy na roli,
Karmione słońcem i niebieską rosą
Tobie na chwałę plon obfity niosą.
Boże Zastępów! wszak mnie grzeszna pycha
Na mych współbraci nie zaślepia winy,
Wiem, że niezgoda w łonie téj krainy
Jak gad się lęże; wiem że pierś usycha
W proch wypalona pod tchnieniem niewiary
Onych odrodków, co w obłędnéj dumie
Ufni nie w Tobie, lecz w własnym rozumie,
Obyczaj ojców porzucili stary;
Lecz wiem zaprawdę, iż wśród téj posuchy,
Jak one kanie dżdżu spragnione wiosną,
Gdy skiniesz, z prochu otrząsną się duchy,
I znów im skrzydła do lotu odrosną.
I ona ziemia bolem odrodzona,
Pokorą skruszy gromy Twego gniewu,
Szatana pychy miłością pokona,
I będzie ziemią Bożego posiewu."
Tu umilkł Hetman, ale głos proroczy
Snać w głębi ducha szepcze słowa wieszcze,
Bo pierś natchnioną na wskroś zdjęły dreszcze.
Po śniadém licu potok łez się toczy,
A serce zmiękło jak wosk pod kolczugą,
I długo hetman korzy się, o długo!
Kapłan dopełnił ofiary przeczystéj,
Wstała starszyzna, wstali towarzysze,
Milczą, i tylko w ciszy uroczystéj,
Lasem proporców z lekka wiatr kołysze,
Albo skrzydłami poruszy sępiemi,
Co sterczą pysznie na barkach husarzy;
Lecz nikt z rycerstwa ozwać się nie waży,
Bo Hetman krzyżem wciąż leży na ziemi,
I duchem w niebo przeniesion na poły,
Cichą modlitwą rozmawia z Anioły.

IV.

Grom że to huknął? czy ziemia zadrżała?
Czy trąba wietrzna wstrząsła bliskim borem?
Nie, to wołoskie zaryknęły działa;
Grad kul ognistych błysnął nad taborem.
Zerwał się Hetman, niby orzeł z gniazda,
Na koniu tabor przebiegł chyżym skokiem,
Rycerstwa swego on duszą i okiem,
Bo ledwie skinął, w lot zrywa się jazda,
Biegną husarze na taboru czoło,
Wzrok wodza płonie, snać pełen otuchy,
Tu zdaje straże, tam śle na posłuchy,
Szeregi piesze rozstawia w około.
Żywo się łączy za jego skinieniem
Pawęż z pawęża, a ramie z ramieniem.
I w mgnieniu oka obóz niby cały
Opasan murem z granitowéj skały.

Wołochy walą wciąż z dział i moździerzy,
Ale nad Polską cud Boży widomy,
Pijane oko do celu źle mierzy,
W żywym też murze nie częste wyłomy.
Kule nasz tabor z daleka przenoszą,
Drugie wprzód zgasną nim sięgną po wały;
Lecz działa Lackie wciąż rażą Wołoszą,
Już ich szeregi w ciepłéj krwi skąpały.
Ilekroć z paszczy nowy płomień błyska,
Nowy stos trupów wśród pobojowiska.
Hetman dał hasło—grzmi pobudka znana,
— Za mną! zawoła—kto w Chrystusa wierzy,
I jak rój pszczolny pod skrzydła macierzy,
Tulą się hufce pod skrzydła Hetmana,
Jak las husarze z proporcami płyną
Żarzą się w słońcu zbroje i przyłbice,
Pod gradem strzałów wódz pędzi z drużyną,
A echa wtórzą pieśń Bogarodzice,
W bystrym się locie chorągwie rozwiały,
I w krwawym polu błysnął orzeł biały.

Czy to dwie chmury sprzecznym wichrem parte?
Starły się wściekle i gromem tak ryczą?
O nie! to lackie rycerstwo zażarte,
Stacza śmiertelny bój z Wołoską dziczą.
Zmilkły już działa, rycerz na rycerza,
I koń na konia jak piorun uderza,
Huk, tentent, wrzawa, skry lśnią błyskawicą,
Kiedy szablica spotka się z szablicą,
Walą się trupy, a jak sięgnąć okiem,
Ziemia czerwonym ociekła potokiem.
Hetman naciera zaufan w moc Bożą,
Z klątwą na ustach naciera Petryło,
Nagle Wołochy chwieją się i trwożą,
Wyższą niż ludzką pokonane siłą.
Szum sępich skrzydeł rumaki ich płoszy,
Złamane szyki pierzchają bezładnie,
Już pogoń pędzi na karku Wołoszy,
A dzielny Hetman taboru dopadnie,
Zdziera chorągwie z bawolemi głowy,
Dumnym bojarom nakłada okowy,
Wyciska hydrze z gardła plon bogaty,
Polskie to działa i polskie oręże,
Które Wołosza zabrała przed laty,
Gdy w Bukowinie, zdradą legli męże.

— Panie! — rzekł Hetman — Twoim to dziś [cudem,
Ohydna plama ze czci naszéj starta,
Tyś łaską błysnął nad Twym wiernym ludem,
A mnie zniewagę dał pomścić Olbrachta,
Dziś już o Panie, Twą, nie naszą siłą,
Wołosza Polski nie będzie mogiłą.

V.

Jasno dziś słońce na mury Krakowa,
Przez czysty błękit sieje blask uroczy,
Wesoło Wisła rzek polskich królowa
U stóp Wawelu białe fale toczy,
Goreją serca, snać zaklęte czarem,
Wielkim płomieniem szczęścia i miłości,
Aż rozbudzone tym życia nadmiarem,
Drgnęły w grobowcach bohaterów kości.

Z przybytków Bożych biją huczno dzwony
Błogosławioną wieść dla Polski głoszą,
Bo Jan z Tarnowa wódz nieustraszony,
Z garstką rycerstwa starł na proch Wołoszą.
Dziś oto zwieńczon w świéży liść wawrzynu
Zwycięzko Hetman wraca z Obertynu,
Z bijącém sercem, z płomienną źrenicą
Lud jak mrowisko wylega za bramy,
W promieniach słońca barwne szaty świécą,
Niewiasty strojne w złotolite lamy,
Dostojny senat błyszczy karmazynem,
Rycerstwo stalą hełmu i pancerza,
W czerwonych czapkach wiodą réj przed gmi- [nem,
Brzęcząc kółkami kmiecie od Szkalbmierza.
Na czele tłumu zbrojni krzyża znakiem,
Idą zakony poważnym orszakiem,
Rzędem cechowi ciągną towarzysze,
Ich chorągwiami wiatr z szumem kołysze,
A daléj tłumno niby z ula pszczoły
Biegnie gwarliwie rój żaków wesoły.
Złotemi berły tor znaczą bedele,
Za niemi odzian w togę purpurową,
Mistrz, co wszechnicy Jagellońskiéj głową,
Na dzielnéj młodzi postępuje czele.
O! z tych pacholąt jasnowłosych grona,
Co dziś narodu kwiatem i nadzieją,
Niebawem męże przesławne dojrzeją,
Męże, co w późne przekażą plemiona
Wieku Zygmuntów aureolę złotą,
I wieńce chwały ojczyznie uplotą.
Które świat nazwie chlubą swego czasu,
Bo wśród téj młodzi jest Jan z Czarnolasu.

Orszak za bramy przeciągnął daleko,
Tam gdzie przed wieki lud cały w żałobie,
Własnemi dłońmi usypał za rzeką
Olbrzymi kopiec na Krakusa grobie,
Aby ten świadczył pokoleniom wielu,
O wiekopomnéj bohatéra chwale,
Co zgromił smoka w jaskini Wawelu,
I gród zbudował na Wawelu skale.

Ledwie okrążył lud stopy mogiły,
Pył się na drodze grubym wzbił tumanem,
Kopyta końskie głucho zatętniły,
Owóż rycerstwo powraca z Hetmanem!
I wszystkie serca myśl jedna potrąca,
I Jeden okrzyk wybiegł z ust tysiąca,
Z ust wojska, mieszczan, senatu i gminu,
Okrzyk co w Tatrach orły z gniazd wypłoszy!
„Niech żyje dzielny pogromca Wołoszy!
Niech żyje wielki wódz z pod Obertynu.”

Kiedy okrzyki chórem w niebo płyną,
W żelaznym hełmie, w żelaznéj zbroicy,
Nadciąga Hetman z rycerską drużyną;
Na czele hufca niosą kiryśnicy
Zdobyte w boju wołoskie sztandary,
Na których stérczą straszne łby bawole,
Lekko pod wodzem stąpa rumak kary
Grzywiastą szyją zatacza półkole.
Rząd na nim zdobny w tyftyki i złoto;
Jedzie starszyzna przy Hetmana boku,
Ciągną bojary wołoskie piechotą,
Wstyd na ich czole sroga dzikość w wzroku,
Szyderstwo w uściech, w sercu złość zawzięta,
Idąc w żelazne pobrzękują pęta.
Pięćdziesiąt armat wiodą szeregowce;
Wzięte na wrogu, lecz polskie ich godła
Co je Wołosza zdradliwie wywiodła
Na Bukowiny przed laty manowce.
Daléj rycerstwa ciągnie szereg długi,
Jedni okuci zbroją i przyłbicą,
Drudzy w szyszaki strojni i kolczugi.
Na słońcu hełmy i pawęże świécą;
Wiatr szumi skrzydły sępiemi husarzy,
Lasem proporców, szeleści radośnie,
W mężnych szeregach duch olbrzymio rośnie,
Krasa na licach płomieniem się żarzy,
Gdy grzmiący okrzyk wdzięcznego narodu,
Zwycięzkie hufce wiedzie w bramy grodu.

U stóp Wawelu stawa orszak cały,
Wódz zsiadł z rumaka i z odkrytą głową
Dąży w przybytek: sklepienia zadrżały,
Tak przy organach grzmi dziękczynne słowo,
Z chorągwią w ręku zwolna Hetman zmierza
Do stóp grobowca świętego pasterza,
Co nad Anielskie chóry podniesiony,
Palmą odgania burze od korony.
Tam wśród krzyżackich chorągwi i znaków,
Wymownych świadectw chlubnéj kraju doli,
Którémi wieki sposażyły Kraków,
Błysnął na drzewcu straszny łeb bawoli.

I upadł Hetman na ziemię obliczem,
Oba w znak krzyża rozpostarł ramiona,
„— Panie—zawoła —przed Tobą jam niczém,
Twoja to jedno moc niezwyciężona
Losy narodów piastuje na szali,
Z szczytu je chwały w otchłań strącić może,
Gdyś dał zwycięztwo — spraw byśmy wzrastali
Nie w marną pychę, lecz w łaskę Twą Boże!”

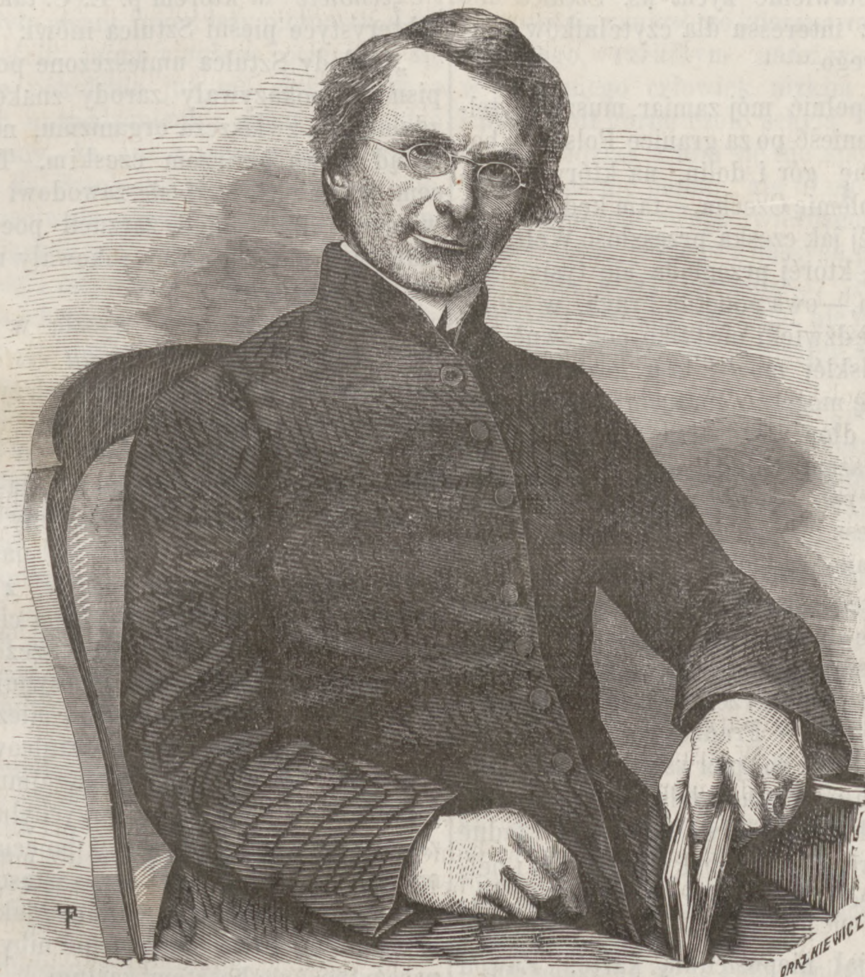
Zmilkły organy i dziękczynne pienia
Cichéj modlitwy—ukrzepiony słowy,
Hetman opuszcza katedry sklepienia,
Spieszy z drużyną w dziedziniec zamkowy;
Tam, z berłem w ręku, w purpurowéj szacie,
W koronie Piastów na skroni zoranéj,
Czekał sędziwy król na majestacie,
W koło świetnemi otoczon dworzany.

Z złotego tronu wstał Zygmunt co siły,
Młodzieńczym ogniem wzrok starca zapłonie,
— „Witaj Hetmanie, witaj wodzu miły!“
I jak brat brata—tuli go na łonie,
— „W imię narodu niosęć cześć i dzięki,
Bo Twe dziś ramię Ojczyznę zbawiło!“
— „Królu rzekł Hetman — Bóg działał swą [siłą,
Jam był narzędziem tylko Jego ręki.”

I obaj kornie spojrzeli w niebiosy,
A lud w dziedziniec napływa jak woda,
Chylą się głowy, niby w polu kłosy,
W obliczach świeci radość i swoboda,

A z dzwonów brzmieniem głosy w niebo płyną,
„Błogosławieństwo nad taką krainą,
Gdzie miłość święta łączy wszystkie stany,
Gdzie tacy króle i takie Hetmany.“

Seweryna Pruszakowa.



Rysował Tegazzo podług fotografii G. Sachowicza.

Ksiądz Wacław Štulc, Kanonik Wyszehradzki.

Od kilku lat pisma czasowe polskie niejednokrotnie i bardzo pochlebnie wspominają nazwisko księdza Sztulca, który w r. 1859 bawiąc w Warszawie, bliżéj dał się poznać gronu literacko-artystycznemu i pełne uroku po sobie zostawił wspomnienie. Znany on również jest wielu możnym polskim rodzinom, z któremi ścisłe łączą go

stosunki. Te jednak okoliczności jeszczeby nas nie upoważniały do ogłaszania jego życiorysu, gdyby nie to, że zacny kapłan pobratymczego narodu sercem i myślą pokrewnym jest naszéj ojczyznie, że pełen współczucia dla Polski wyuczył się dobrze naszego języka, poznał naszą literaturę i przyswoił swéj rodzinnéj mowie utwory nieśmiertelnego wieszcza polskiego Adama Mickiewicza. Mniemamy więc, że pobieżne przedstawienie życia ks. Sztulca nie będzie bez interessu dla czytelników Kółka domowego.

Chcąc spełnić mój zamiar, muszę czytelników przenieść po za granicę Polski, w bogatą krainę gór i dolin, na których rozrosło się plemię Czecha, — tam kędy szumią fale uroczéj jak czeska przeszłość Wełtawy, w wodach któréj przegląda się tysiąco-letnia Praga, — owa ponętna Praga, w któréj odbijają się dźwięki nie tylko pokrewnéj ale nawet polskiéj mowy, tam gdzie jeszcze spotkać się możesz z gorącym i serdecznym uściskiem dłoni, będącym najsprzeczniejszym wyrazem chłodu ogarniającego cię wśród obcych sąsiadów, — tam wreszcie gdzie możesz doznać uczucia jakiém się napawa zostający u siebie i między swemi.

Na tle tego społeczeństwa bardzo wybitnie rysuje się postać księdza Sztulca; każdy o tém się przekonać może, kto tylko zechce bliżéj przypatrzéć się stosunkom czeskiego świata. W Pradze, w Czechach, ks. Sztulc, należy do pierwszych powag, do pierwszych przedstawicieli kraju. Nauka, gorąca miłość ojczyzny, życie przykładne a nawet świętobliwe, obok nadmiernéj i pełnéj poświęcenia pracy, wyrobiły mu to stanowisko. W literaturze czeskiéj również Sztulc zajął niepoślednią kartę. Zawód swój rozpoczął na drodze poetycznéj w r. 1834 przekładem „Dumy o Żółkiewskim" Juljana Ursyna *Niemcewicza*, mając wtedy lat 20 [1]). Duma ta była umieszczona w piśmie czasowém *Hlasatel*, założoném r. 1800 przez braci *Niejedlych*, *Hniewkowskiego* i ks. *Puchmajera*, mającém na celu wskrzeszenie czeszczyzny. W témże piśmie następnego roku 1835 umieścił balladę litewską Adama Mickiewicza *Trzi Budrysowé*; tegoż roku w czasopiśmie *Kwiety* ogłosił: *Bajka* wedle Antoniego Góreckiego, *Bajky* Sznaidra, *Hwiezda* i *ihla magnetowa*, oraz *Podobieństwi* z illiryjskiego. Próby te nacechowane prawdziwym poetycznym talentem, zwróciły na Sztulca powszechną uwagę. Dokładne o tém świadectwo znajdujemy nawet w polskiem dziele „*Czechia i Czechowie*" w którém p. E. C. tak o charakterystyce pieśni Sztulca mówi:

„Ballady Sztulca umieszczone po czasopismach pokazywały zarody znakomitych zdolności a zwłaszcza organizmu, na jakim dotąd zbywa pisarzom czeskim. Tymczasem Sztulc poświęcił się zawodowi duchownemu i dla teologii, zarzucił poezję romantyczną, któréj próby rokowały mu tak świetną przyszłość.

Ostatnie jego poezje wyszłe w r. 1845 pod tytułem: „*Pomnienky na cestach Żivota*" (Niezapominajki na drogach życia) nacechowane są czystém natchnieniem ewangeliczném i rzewną tkliwością. W Sztulcu stanowisko ducha czeskiego wybija się najwyraźniéj. Wyłącznie subjektywny, nie goni za opisami lub effektem, ale namiętnie przywiązany do świętéj sprawy, z pokorą chrześcijańską dźwiga krzyż na ciernistéj drodze życia. Młodzież czeska, szczególniéj wyznania protestanckiego, obsypująca rówienników wawrzynem często niezasłużonym, nie może przebaczyć Sztulcowi jego oderwania się od drobnostek ją zajmujących, zarzuca mu nietolerancją, przychylność do zasad jezuityzmu; a przecież pojęcia ultramontanizmu nie dadzą się zastosować do Sztulca. Tak dzieje się w Pradze jak w ogóle wszędzie, gdzie uprzedzenie niby roślina pasożytna żyje kosztem zasługi.

W tłumaczeniach Sztulc należy do pierwszych pracowników czeskich. Jego przekład Wallenroda pod względem pojęcia ducha i wiernego oddania myśli naszego wieszcza jest dziełem mistrzowskiém. Cały poemat jest tłumaczony pięknym wierszem rymowym, Alpuchara zaś miarowym, a to dla tém wierniejszego oddania ducha poety, którego siła tak często w przekładach musi ustępować doborowi końcówek. Toż samo można powiedziéć o jego tłumaczeniach

[1]) Wacław Swiatopełk Sztulc, urodził się 20 Grudnia 1814 r. w mieście Kladnie w Czechach

pieśni ludu illiryjskiego. Jako teologowi Sztulcowi należy się jedno z pierwszych miejsc w duchowieństwie czeskiém. Tém więcéj jedna przyczyna, że go nigdy nie osięgnie.

Jeżeli młodsze pokolenie nie ceni słusznie Sztulca dla tego, że ten nie chce należéć do żadnéj z burzliwych koterji, natomiast znakomici starsi uczeni czescy wysoko go poważają, a nawet możnowładztwo pozwala sobie o nim wspominać."

To było pisane przed laty piętnastu, dziś, na szczęście, mimo ciągłego ocierania się o młode pokolenie już nie słyszeliśmy o żadnych uprzedzeniach i nawet sumiennie wyznajemy, że ani z jednym przeciwnym głosem ks. Sztulcowi nie spotkaliśmy się, lecz przeciwnie nawet, byliśmy świadkami porywających scen w stosunku Sztulca do młodzieży i odwrotnie. Dość przytoczyć, że gorąco kochająca Sztulca młodzież z akademickiego staromiejskiego gimnazjum w Pradze, chcąc mu okazać swe przywiązanie jako professorowi powołanemu na stopień kanonika Wyszehradzkiego, zgromadziła się wieczorem przed jego mieszkaniem i przy błysku buchających kłębami ognia pochodni, uczciła go na pożegnanie stosownym śpiewem. Chociaż ks. Sztulc przestał być professorem, stosunek jednak bynajmniéj się z młodzieżą nie zerwał i sami na to patrzeliśmy jak gromady nie dzieci ale dwudziesto-kilko letnich wyrostków, tuliły się do jego łona, całując go po rękach, a on przyciskał ich do piersi, okrywał czoła pocałunkami i jak święty lub apostoł błogosławił. Były to chwile rozrzewniające i pełne zachwytu! Nieudolność pióra nie jest w stanie przedstawić w należytém świetle takiego obrazu. Na to trzeba patrzéć własnemi oczyma i korzyć się przed potęgą człowieka. Bo ksiądz Sztulc posiada w swojéj osobie obok słodyczy i uprzejmości, prostoty i powagi, skromności, coś tak wzniosłego i uszanowanie wzbudzającego, rzekłbym nadziemskiego, iż w obec niego człowiek nizkim się czuje i mimowoli korne czoło schyla. Kto Sztulca nie widział, z nim się nie spotykał, zapewne nas nie pojmie, ale to nie nasza wina, w poparciu swego twierdzenia przytoczymy słowa jednego z naszych pierwszych uczonych, który powiedział: „Sztulc jest człowiekiem jakich na ziemi nie ma i gdyby żył przed dwustu laty, zostałby świętym!"

Co się tycze talentu poetyckiego Sztulca, to pan C. wcale nie przesadził wyrażając się, iż przekład Wallenroda dokonany jest po mistrzowsku. Tak jest rzeczywiście; czytając czeskiego Wallenroda, wcale się nie uczuwa braku piękności i siły oryginału, sam Mickiewicz czytałby go z zadowoleniem. Na dowód przytaczamy dla porównania wstępy w polskim i czeskim języku:

Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy We krwi pogaństwa północnego brodził; Już Prusak szyję uchylił w okowy, Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził; Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy, Więził, mordował, aż do granic Litwy.	Sto let již mjij, co se Krzižak bije, Co se w pohanské krwi brodi stále; Již Pruszák w pauta nachýlil swé szije, Neb wlast opustiw s duszi prchá dále; Niemec za prchlým strasznie upaluje Do hranic Litwy, wsze lapá, morduje.
Z Marjenburgskiéj wieży zadzwoniono, Działa zagrzmiały, w bębny uderzono, Dzień uroczysty w krzyżowym zakonie: Zewsząd komtury do stolicy spieszą, Kędy, zebrani w kapituły gronie, Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą, Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą, I w czyje ręce wielki miecz oddadzą. Na radach spłynął dzień jeden i drugi, Bo wielu mężów staje do zawodu; A wszyscy równie wysokiego rodu, I wszystkich równe w zakonie zasługi, Dotąd powszechna między bracią zgoda, Nad wszystkich wyżéj stawi Wallenroda.	Z marienburské wieže zwony zniejj, W bubny se tlucze, diela slawnie hrzmiejj; Den to przeslawný w rzadie we krzizowém; Komturzi zewszad ke stolici pádj, Kdežto, swoláni wážné doby slowem, Darem swatého ducha se uradj: Komu na prsau wel-križ má se stkwjti, W czij rukau rzádu weliký mecz býti. Uplynaul radau den jeden i druhý: Neb mnoho dustojenstwi žádá, Z nichž každý rownie wzácný rod przedkládá; A wszem jsau rowné o zákon zásluhy. Zbor ale bratrzi swornie posawáde Nad jiné wszecky Wallenroda kláde.

PIEŚŃ.

Wilija naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica;
Piękna litwinka co jéj czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłéj kowieńskiéj dolinie,
Śród tulipanów i narcysów płynie;
U nóg litwinki kwiat naszych młodzianów
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna swego oblubieńca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzeń oddali
Z ojczystych dolin, o litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie:
Dziewica kocha i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczéj wieży.

PISEŃ [1].

Wilija, naszich pramenuw rodiczka,
Má dno zlatiaunké a modraunká liczka;
Krásná Litwinka, wodu z nj wážjcj,
Srdce ma czistszj, slicznicjszich jest ljcj.

Praudy Wilije kowenskau dolinau,
Mezi narcisky, tulipány plynau;
Kwiet naszich mládcuw u nohau Litwanky
Krásszj nad ruže i nad tulipanky.

Wilija miij kwiety té doliny,
Neb hleda Niemna milence drahého;
Teskno Litwjnce jest mezi Litwjny,
Zamilowawszj mládence cizého.

Niemen do mocných schwátie ji ramenau,
Na diwé pausztie, na skály ji nese;
A w luno chladné wina swau milenau
S nj spolu hyna—w morzi - ocjtne se.

Tak tebe rownie cizozemec wzdálj,
Bidna Litwjnko! z dolin drahe wlasti;
Než tie samotnau shltj diesné waly,
Zapomenutj, s mnohem trpiej strasti.

Srdce a potok strzjci jest daremnie,
Diwka miluje a Wilija bieżj:
Wilija znikla w milowaném Niemnie,
Diwczice placze w paustewnické wieži.

Tłumaczenie Konrada Wallenroda wyszło w r. 1837, a w roku 1845 wydał ks. Sztulc oryginalne poezje pod nazwą: *Pomnienky na cestach života* (Niezapominajki na drogach życia) złożone z działów 1. Moje westchnienia, 2. *Me plesy* (moje uciechy) i 3. Moje głosy. Utwór ten pod względem formy i wykończenia nie pozostawia nic do życzenia. Nacechowany jest wzniosłością myśli, gruntujących się na wierze i religji, oraz głębokiém, rzewném uczuciem, które tylko tak miłująca i cierpiąca za drugich dusza, jak Sztulca wylać jest zdolna. W każdym ustępie spotykamy się z wysokiém napięciem miłości kraju, i przeszłéj jego sławy.

jak np. w tém czterowierszu:

Wlasti má, (ojczyzno moja), o drahá máti,
Ty milenko dusze mé!
Nechci déle (dłużéj) nectnie lkáti,
Kropie slzou (łzą) twárze twé.

Na hrobech twych wiernych synu
K serdci twemu ja se winu:
Tielo, duszi, wsze co mám,
W službu tobie odáwám.

Przypisał tę pracę Sztulc Drahému (drogiemu) J.(erzemu) L.(ubomirskiemu) w tych słowach:

Z wlasti (z ojczyzny) tam w tu stranu dalnou,
Przes hory a przes doly,
I przes Tater stienu skalnou,
Pisni má! zahlaholi. (zadzwoń)

[1] Z powodu braku czcionek czeskich, zmuszeni jesteśmy używać pisowni polskiéj. Ile razy zdarzy się przywodzić słowa czeskie, zawsze się ten dopisek powtarza i to niestety od lat wielu. Czas by już było, aby tyle przedsiebierczego ducha posiadający warszawscy drukarze, na tę okoliczność zwrócili uwagę i czcionki czeskie sprowadzili, w czém nawet trudności nie ma, skoro niemcy w Lipsku drukują czeskie książki i kiedy funt czcionek kosztuje tylko złp. 3 gr. 10. Przynajmniéj tutaj niedajmyż się niemcom wyprzedzać!



Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90 Paris. 937

LES MODES PARISIENNES

Robes de la Mon Gagelin — Chapeau et Coiffure de Mlles Romain — Lingeries de Cie Royale. Fleurs et Plumes de Mme Tilman — Rubans et Garnitures de Robe de la Ville de Lyon — Jupons de Mme Foucqueteau — Corsets de Mme Vigouroux — Passementeries pour meubles de Richenet Bayard — Gants et Parfums de Faguer-Laboullée — Envois de la Mon Lassalle et Compie.

Nawsztiw (Odwiedź) Wawel: tam kde tleji
Statuijch Lechow popely;
Pak na wychod let' rychleji, (potém na wschód leć prędzéj)
Na prah k druhu—prziteli.

A tam ticho zaszepci mu,
Druhu memu żádoucimu: (pożądanemu)
„Druh swét lásky (miłości) nadieje,
Nech w twém srdci ukreje!" (ukrzepi).

Dedykacya ta naprowadza nas do objaśnienia ciekawego stosunku z J. Lubomirskim. Było to zdaje się w r. 1833 czy 1834 kiedy ks. Sztulc skończywszy pijarskie gimnazjum, zapisał się w poczet uczniów tamecznego uniwersytetu. Jak to zwykle w podobnych razach bywa, młodzież gromadzi się z różnych stron świata. Przy Sztulcu usiadł młodzieniec o miłym wyrazie twarzy i bystrém spojrzeniu. Sztulc go pierwszy zapytał:

— Zapewne nie jesteś niemcem?

— Nie.—A ty kto jesteś?

— Ja jestem Czech, odpowie Sztulc.

— Ja zaś jestem Polak.

— O! to wybornie, zawoła Sztulc—i tu ręce ich złożyły się do uścisku.

Tym polakiem był książe Jerzy Lubomirski, dzisiejszy zięć hrabiego Andrzeja Zamojskiego. Od owéj chwili między niemi zawiązała się gorąca przyjaźń po dziś dzień ich z sobą łącząca. Okoliczność ta wpłynęła bardzo na Sztulca, iż się z zapałem wziął do polskiéj literatury a nawet do przekładu Wallenroda. Zapał ten nie opuścił go i dotąd, ciągle on bowiem idzie za rozwojem naszéj literatury, śledzi ją,— i żaden Czech tak jak on jéj nie zna, ani nie posiada takiego licznego polskiego księgozbioru. A chociaż, jak to zaraz zobaczémy teologia nadała swój właściwy kierunek pracom Sztulca, to przecież ciągle spotykamy się w *Lumirze* z jego przekładami naszych poetów Zygmunta Krasińskiego, Lucjana Siemieńskiego i innych.

O literackiéj Sztulca, niezmordowanéj działalności, poświadczą wydane przezeń prace. Z znanych nam przywodzimy:

1836 r. *Hlasy duchoweństwa*, pismo zbiorowe, do którego pisali: Winiarzycki, Smetana, J. Marek, Prochazka.

1837. *Konrad Wallenrod, powiest diejepisna, zdzieju litewskich.*

1838, *Hlasowe duchoweństwa k slavnemu dosednuti na stolec arcibiscup. J. C. M. Aloysie Jozefa swobod. p. Schrenka z Nocingu w d. 4 Listop.* 1838. Pismo zbiorowe. Pisali tu: Pohan, Wacek, Tupy, Smetana i t. d.

1844, *Żivot S-go Wincencia de Paulo*, z wizerunkiem tegoż świętego.

1845, *Pomnienky na cestach żivota.*

1846, *Dobrá rada w potrzebie. Uprzimne slovo k milym krajanum (rodakom).* Tłumaczone na język niemiecki wzbudziło wielkie zajęcie.

1847, *Zivot* SS. Cyrylla i Metodiusza apostołów narodów słowiańskich; książka pełna interessu.

1848, *Padesáte* (50) *bájek a niekolik básniczek* (poezyj) *pro* (dla) *nasze milé maliczkè, sebrane od W. Sztulce;* drugie wydanie, pierwsze wyszło w r. 1844.

1849, *Żivot S. Wojtiecha biskupa i muczenika, patrona narodu czeskèho.*

1849, *Niekolik slow k poctiwym lidem.*

1854, *Zlàte zapisky Karlińske*, pismo zbiorowe, wydane przez ks. Sztulca na pamiątkę położenia węgielnego kamienia pod kościół na przedmieściu prażskiem Karlinie, o którym niżéj powiemy.

1855, *S. Cecilia panna muczenice Kristova.* Pracę tę przypisał autor Cecylji księżnie Lubomirskiéj, z domu hrabiance Zamojskiéj.

1859, *Żivot S. Prokopa, opata Sázavskeho* a patrona národu czeského. Czytelnicy nasi będą mieli sposobność zapoznać się z tym interessującym utworem księdza Sztulca, przenoszącym nas w czasy Bolesława Chrobrego, gdyż Żywot Ś. Prokopa pani A. z Ch. *Borkowska* przełożyła na język polski. Pożądaną byłoby rzeczą, aby żywot ten ukazał się co prędzéj na widok publiczny.

1859, *Klement Maria Hoffbauer.* Jest to życiorys księdza Hoffbauera, rodem z Morawy, znanego na dworze Sta-

nisława Poniatowskiego, który żył od r. 1751 do 1820.

1860, *Besedy katolické, Sbirka spisuw zábawnych a vzdzielavatelnych* (nauczających) w duchu katolickém. *Tom I. Cesty* (drogi) *milosti Boži.* Znajdujemy tutaj cztery moralne powieści, bardzo udatne. Biesedy są pismem perjodyczném; wychodzi tomik co kwartał.

Z wszystkich tych pism prawie, dochód przeznaczony na cele dobroczynne.

Oprócz wymienionych tu dzieł wyszłych oddzielnie i innych zapewne, a nam nie znanych, oraz artykułów znajdujących się w czasopismach: *Kwiety* r. 1838, *Przitel mladeży* (przyjaciel) roku 1843, *Wczela* (Pszczoła) 1844, i *Wlastimil* 1842, ksiądz Sztulc w r. 1847 zaczął wydawać tygodnik katolicki dla Czechów, Morawiaków, Słowaków i Szlązaków, pod tytułem: *Blahowiest* (Ewanielista), który wychodził ciągle do r. 1859, w którym wydawnictwo jego przerwane rozpoczęte zostało znów w roku bieżącym. Wpierw *Blahowiest* oprócz rzeczy duchowych zawierał: Obrazy historyczne, powieści, poezje, korrespondencje literackie, dziś może pisać tylko o rzeczach tyczących się religji i kościoła.

Od lat kilkunastu wydaje nądto ks. Sztulc ciągle kalendarz zwany: *Poutnik z Prahy* (pielgrzym z Pragi), zawierający powieści moralne, zyciorysy, ozdobiony drzeworytami. Część astronomiczną umieszcza tu od lat dwóch pan Franciszek *Karliński*, krakowianin, Adjunkt Prażskiego Astronomicznego Obserwatorjum. Kalendarza tego rozchodzi się do 15 tysięcy egzemplarzy.

W r. b. zaś w dniu 1 Kwietnia począł ks. Sztulc wydawać nowy dziennik polityczny pod nazwą: *Pozor* (baczność). Gazeta ta wychodzi trzy razy na tydzień i odznacza się staranną redakcją.

Tak obfita działalność literacka Sztulca nie jest jego wyłącznem zajęciem, bo jako duchowny spełnia jeszcze obowiązek przywiązany do jego zawodu. Ale jak go spełnia! z jakiem namaszczeniem, przejęciem się i poświęceniem bez granic dla cierpiącéj ludzkości. W r. 1835 po ukończeniu nauk teologicznych, widzimy go kapłanem w Kwilicach, potém niedługo w Pradze w zakładzie dla ślepych, nieco późniéj spowiednikiem w domu obłąkanych do r. 1848.

Kto choć raz w życiu zaglądał do tych nieszczęśliwych, napełniających domy obłąkanych, komu jeszcze brzmią w uszach owe przeraźliwe jęki, krzyki, dziwaczne deklamacje, złączone z ową dreszcze wzbudzającą mimiką, ten pojmie poświęcenie kapłana przychodzącego ze słowem pociechy. W jakiż zasób miłości chrześcijańskiéj trzeba być uzbrojonym?

Od r. 1848 spotykamy ks. Sztulca na katedrze w akademickiém prażskiém gimnazjum; ten zaszczytny obowiązek spełniał do r. 1860, w którym powołano go na kanonika w Wyszehradzie, w tak zwanéj części miasta Pragi. We wszystkich instytucjach dobroczynnych znajdujemy ks. Sztulca, jak równie w narodowém czeskiém muzeum, którego jest członkiem czynnym, także w dziedzictwie Ś. Jana Nepomucena w Pradze i w dziedzictwie ŚŚ. Cyrylla i Metodiusza w Bernie. Gdzie tylko się okaże potrzeba niesienia pomocy materjalnéj lub duchowéj, wszędzie i wszędzie występuje ks. Sztulc. Od łoża nędzarza, od umierającego z głodu na poddaszu, aż do salonów magnackich, od grona mężów radzących nad losem kraju, od redakcyjnego stołu aż do kazalnicy, wszędzie spotykamy ks. Sztulca. Tu dobrą radą, tam piórem, owdzie czynem, zawsze ujrzémy gorąco kochającego, szlachetnego, godnego sługę Chrystusa. Zkąd bierze czas, gdzie czerpie siły, tego ani pojąć nie możemy. Szczęśliwy zaprawdę kraj, który takimi ludźmi czynu, wytrwałości i pokory chrześcijańskiej chlubić się może.

Czém jest na kazalnicy ks. Sztulc, tego opisywać ani nawet nie mamy pretensyi, za nas niech lepiéj mówią fakta. Do r. 1854 ludne przedmieście w Pradze *Karlin* zwane, nie miało przybytku Bożego. Aż o to niespodziewanie staje na ambonie cichy sługa Chrystusa, dzierżąc krzyż w lewéj ręce, a prawą z wniesioném ku górze obliczem wskazując na Boży Majestat, woła: „Bracia! cześć i pokłon Bogu! Bogu który chce, aby tu, w tém miejscu naprzeciw góry naszego *Żyżki*, stanął święty przybytek! Bóg chce, więc tak być musi!” I cóż powiecie, że słowa te wywarły na słucha-

czach takie wrażenie, iż zaraz sypać się zaczęły składki, które stopniowo po kraju wzrastając, pozwoliły roku 1854 w d. 10 Czerwca uroczyście położyć węgielny kamień budowy, która dziś już jest skończoną. „Bóg chce, kościół stanąć musi" i kościół stanął, o olbrzymich wymiarach, o pełnéj wdzięku formie pod wezwaniem: *SS. Cyrylla i Metodyusza,* ku czci i pamiątce tych apostołów, pierwszych opowiadaczy wiary chrześcijańskiéj w ziemiach Słowiańskich. Złote Karlińskie zapiski o których wyżéj wspomnieliśmy, wydał właśnie ksiądz Sztulc w r. 1854 na pamiątkę położenia węgielnego kamienia pod ów kościół, z widokiem i szczegółowym opisem kościoła, oraz całéj uroczystości w któréj cesarz i cesarzowa Austrjaccy przyjęli udział. W piśmie tém znajdujemy poezje p. Józefa Kolarza, J. Vaclika, T. Schulca, Stranickiego i Czernohousa.

Kościoł ten będzie pono najwymowniejszym pomnikiem, jaki sobie ksiądz Sztulc za życia już wystawił. Świadczyć on będzie na długie lata w przyszłości o zacnym kapłanie założycielu, jakiego Praga w swych starych murach wypielęgnowała, bogata w kościoły Praga jeszcze jednym więcéj upiększona.

Przed zakończeniem czujemy się w obowiązku po wykazaniu stanowiska, znaczenia jakie ks. Sztulc w Czechach zajmuje, zwrócić jeszcze uwagę łaskawego czytelnika na wysokie zamiłowanie, jakie Sztulc posiada do rzeczy naszych, co nawet stało się powodem, iż w Pradze nazywają go *Polakiem.* Sama ta nazwa już dobrze całe położenie wyświetla, a z pamięci nam nigdy nie wyjdzie, ów cudny sierpniowy wieczór (1860) r. kiedy ks. Sztulc zgromadzonym u siebie pierwszym czeskim literatom, jak żyjącemu jeszcze wówczas Wacławowi *Hance*, pp. *J. K. Erbenowi*, ks. kanonikowi *Winiarzyckiemu*, Józefowi *Kolarzowi*, *Stańkowi*, *Tonnerowi* i innym czytał głośno utwory ś. p. Zygmunta Krasińskiego. Działo się to w jego uroczém mieszkaniu, pod Wyszehradzką górą, nad samiutkiem brzegiem Wełtawy położoném, z którego tyle widoków romantycznych się przedstawia, że i najzimniejsza dusza do poezyi zapalić się musi. Wnętrze téj prawdziwie poetycznéj siedziby, jest czysto polskie: na ścianach bowiem spotykasz oprócz Częstochowskiéj i Ostrobramskiéj Bogarodzicy, wizerunki trzech pierwszych naszych poetów, daléj bohaterów i wielu znanych, możnych polskich rodzin, jak Zamojskich, Lubomirskich, Radziwiłłów, Sanguszków, Sapiehów i t. d.

Drugim godnym wzmianki jest dzień 4 Września 1859 r. w którym, tu w Warszawie zebrane grono podejmowało ks. Sztulca. Jesteśmy przekonani, że każdemu z obecnych dzień ten na wieki się upamiętnił. Bo też to piękne było zebranie, widzieliśmy tam wielu gorliwych uprawiaczy naszéj niwy, jak z akademji professorów: pp: Jerzego Aleksandrowicza, ś. p. Lesińskiego, Przystańskiego, Wisłockiego, daléj K. Wł. Wójcickiego, J. Dobrzyńskiego, Kaniewskiego, H. Skimborowicza, J. K. Gregorowicza, Jenikiego i t. d. Wszyscy wtedy unosili się nad tém, jak ks. Sztulc pięknie włada językiem polskim i wszyscy serdecznie, tak jak na polaków przystało, pobratymca witali. Gorące téż i on z nad Wisły nad brzegi Wełtawy przewiózł wspomnienie!

Jeżeli w tym rysie czytelnik znajdzie jakie niedostatki, to na swe usprawiedliwienie przywiedziemy, iż materjałów biograficznych nie posiadaliśmy, bo ks. Sztulc mimo usilnéj prośby, zapewne przez wrodzoną mu skromność nie raczył ich nadesłać. Przybywa więc jeszcze jedna okoliczność, zwiększająca dlań uwielbienie.

J. F. Nowakowski.

WSPOMNIENIA RODZINNE [1].

(Dalszy ciąg).

Zabiegi członków rodziny Sobieskich o tron Polski. — List Królewica Jakóba do kasztelana Wojnickiego.—Niewłaściwe postępowanie matki i synów. — Sobiescy ustępują na chwilę z widowni politycznéj.—Marja Wesslówna opuszcza klasztor PP. Sakramentek i jedzie do Olawy na dwór małżonki Królewica Jakóba. — Dwór w Olawie. — Etykieta niemiecka.—Niema audjencja syna Jana III. — Księżna Jadwiga Eleonora.—Ochmistrzyni panien dworskich.—Przyjaźń Marji z synowicą Rafała Leszczyńskiego Wojewody Poznańskiego.— Życie rodzinne na Olawskim dworze.

Śmierć Jana III położyła koniec panowaniu książąt Sobieskich w Polsce. Cała rodzina zjechała się na pogrzeb króla. Nie będę opisywać domowych niesnask poprzedzających ten obchód, powiem tylko co zresztą wszystkim wiadomo, że po gorszącym wypadku w którym naród widział księcia Jakóba siłą niedopuszczającego do zamku warszawskiego matki, spieszącéj za ciałem małżonka które tam tymczasowo złożyć miano, Marja Kaźmiera pałająca gniewem, używała wszelkich godziwych i niegodziwych sposobów, aby syna usunąć od tronu. Wiadome są także powszechnie pokuszenia księcia Jakóba i sprzyjających mu braci, aby utrzymać koronę w swym rodzie. W pierwszych dniach po śmierci ojca, Królewic Jakób porozpisywał do senatorów i przedniejszych panów swego stronnictwa prywatne listy, w których błagał ich, aby wspierać raczyli pretensje jego do tronu polskiego. Jedną z tych odezw pisaną do Szembeka kasztelana Wojnickiego, mam pod ręką i dosłownie tu przepisuje:

Jaśnie wielmożny JMC. Panie Kasztelanie Wojnicki!

Lubo żalowi naszemu którym przez niedawną śmierć Najjaśniejszego Śtéj pamięci Ojca i Dobrodzieja naszego ciężko uciśnieni jesteśmy miary i folgi przybrać niepodobna, chrześcijańskiem jednakże sercem stos tak wielkiéj przygody znosząc, a z woli Boskiéj nie mogąc się jéj sprzeciwić, tegoż samego naszego smutku udzielamy *per comunicationem* W. Panu pewność nieomylną zabierając, że *piis manibus* chwalebnie zeszłego Najjaśniejszego W. Pan w swéj życzliwości ku niemu nie zawiedziesz a nam do usługi miłéj ojczyzny chcącym się koniecznie garnąć *pro modulo* łaski i pomocy swojéj użyczysz. Zechcesz nie wątpić, że ta W. Pana uczynność dozgonną naszą wdzięczność i obligacją użyszcze przy oświadczeniu że jesteśmy w Warszawie dnia 25 Junii 1696 roku. Tu własnoręcznie co następuje:

WWJMC. Pana szczerze z serca życzliwy sługa Jakób Ludwik Królewic.

Kandydatura księcia Jakóba do tronu nie poparta jednakże ani silną wolą, ani osobistą zasługą, z różnem usposobieniem przez stronników Sobieskich przyjętą została. Nie miłe zajścia pomiędzy członkami téj rodziny, kłótnie jéj w obec nieostygłych jeszcze popiołów zmarłego ojca, przyćmiły blask jaki padał na nich z aureoli wielkiego Turków pogromcy, w końcu nawet do tego przyszło, że zaliczoną została do rzędu ludzi pospolitych i zwyczajnych spadkobierców. Jest w naturze jednostek jako téż i całych stronnictw które najlepiéj jednostki te przedstawiają, chełpić się z cnót i przymiotów ludzi którym usługi swe poświęcają. Stronnicy zatem Sobieskich czuli się upokorzeni błędami swych protegowanych, tém więcéj jeszcze, że przeciwnicy ich szukający gdzie indziéj króla dla Polski, nieomieszkali korzystać z tych błędów, aby obracać je na swą korzyść stawiając przed oczyma całego narodu. Trudno było walczyć z rzeczywistością, wrodzony rozsądek przemódz musiał najlepsze chęci dla rodziny zmarłego króla. Zaledwie Jan III oddał Bogu ducha, już Jakób w którym chciwość przemagała zawsze ambicją, rozesłał najbliższych przyjaciół z poleceniem zapieczętowania skarbcu ojcowskiego w Willanowie, w Żółkwi, a na-

[1] Przerwa która nastąpiła w publikacji *Wspomnień rodzinnych*, spowodowana była domowém nieszczęściem, jakie dotknęło autorkę. *(przyp. Red.)*

wet w samym zamku Warszawskim, gdzie niedopuścił matki.

Przyjaciele rodziny: prymas Radziejowski, biskup Załuski i Rafał Leszczyński wojewoda Poznański, przywrócili pozorną zgodę, skutkiem któréj królowa przeciwna dotąd kandydaturze syna, wstawiła się niby za nim do posła francuzkiego hrabiego de Polignac. Mimo swego skąpstwa, Jakób wi panu swemu (Ludwikowi XV) którego był chrzestnym synem, że jak na teraz bezwarunkowo odstępuje swych pretensji do korony. Wkrótce pokazało się, że książe słusznie stracił wszelką nadzieję, albowiem podczas elekcji Augusta II odbytéj pomiędzy Wolą a Czerniakowem w następującym miesiącu, jedno tylko województwo Krakowskie pod wpływem dwóch wiernych przyjaciół nieboszczyka króla, Stefa-



jak świadczą ówczesne pamiętniki, nie szczędził pieniędzy i drogo zapłacił przyobiecaną mu również pomoc Radziejowskiego. Wiadomo jak zdradziecki prymas oszukał go przerzucając się nagle na stronę księcia de Conti, który przeważną już wówczas miał partją. Odstąpiony tak od przyjaciół jak od szwagra swego cesarza Leopolda, który popierał Augusta II, Jakób przywołał do siebie posła francuzkiego i prosił go ze łzami aby oświadczył królo-

na Potockiego i Stan. Jabłonowskiego hetmana W. K. zawołało słabym głosem: niech żyje książe Jakób! gdy jednakże nie odpowiadało mu żadne echo, przyłączyć się musiało do stronnictwa Sasa popieranego przez inne województwa. Lecz nie dość na tém: Nie szczera pomoc matki, nikczemność i brak energii samego Jakóba, zamknęły drogę do tronu braciom jego, których Ludwik XV przez pamięć sławy ojca, a głównie aby uczynić na przekor

Austrji, poświęceniem kandydatury krewnego swego księcia Conti chwilowo utrzymać pragnął. Olbrzymie skarby tak w gotowiźnie jak i w dobrach pozostałe po Janie III, musiały przecież pocieszyć spadkobierców po utracie tronu. Według ówczesnych wiarogodnych świadectw, Marja Kaźmiera dostała w spadku po mężu, oprócz dóbr w ziemi, ogromną na owe czasy summę dwa kroć sto tysięcy w gotowiźnie. Toż samo otrzymał każdy z trzech synów z dodatkiem pewnych alimentów ze strony skarbu rzeczypospolitéj prawem naznaczonych. Niektóre majątki sprzedane zostały Willanów naprzykład przeszedł na własność pani Sieniawskiéj hetmanowéj W. K. [1]) która późniéj jako pani niezaprzeczonych zalet umysłu i serca za medjatorkę działów rodzinnych przez Sobieskich obraną została.

Książe Jakób niepomny nieprzychylności Austrji w sprawie elekcji swéj na tron polski, pożyczył cesarzowi Leopoldowi znaczną summę pieniędzy w zamian, któréj otrzymał od niego tytułem zastawu, zamek Olawski na Szlązku pod Wrocławiem, obrał go sobie za główną i ulubioną rezydencją. W ten sposób rodzina Sobieskich na czas jakiś ustąpiła z horyzontu politycznego. Królowa wdowa przez dwa lata jeszcze pozostała w Willanowie zapomniana prawie od wszystkich. Jedyna okoliczność podająca jéj pamięć dawnym stronnikom męża, była świetna uczta, którą wydała na cześć Augusta II współzawodnika swego syna, gdy tenże spieszył na koronacją. Był to rzadki przykład, nie powiem pokory ducha i szlachetnego przebaczenia urazy, lecz raczéj chęci drobiazgowéj zemsty nad synem, prostéj chciwości pieniężnéj i nikczemnéj próżności. Synowie Marji Kaźmiery, witali również nowego króla na granicy województwa Mazowieckiego, w licznym orszaku panów i senatorów za co August drugi udarować raczył księcia Aleksandra stopniem jenerała w wojsku Saskiem, Konstantego zaś tytułem podczaszego koronnego. Książe Jakób (jak mówiono za namową żony) pozostał na uboczu w Wiedniu i nie stwierdził obecnością swoją tryumfu szczęśliwego przeciwnika. Uczuli w końcu i młodsi Sobiescy nieprzyzwoitość swéj bytności w granicach rzeczypospolitéj. Niezadługo po przybyciu nowego króla, czyniąc zadość prawom ówczesnéj etykiety, niby za pozwoleniem jego wyjechali do Francji, gdzie niebawnie wyjednali sobie błękitną wstęgę orderu Ś-go Ducha którą Ludwik XV dość skąpo i względnie rozdawał. Monarcha ten pełen wyuzdanéj dumy głównie przez współzawodnictwo z Anglją i domem Austrjackim z któremi w nieustannéj prawie żył wojnie, mienił się być protektorem wszystkich upadłych dynastji, a zatém i Sobieskich musiał względami swemi zaszczycać. Podczas tych wszystkich wypadków, bohaterka naszego opowiadania, Marja Wesslówna, wiodła ciche i jednostajne życie w klasztorze PP. Sakramentek w Warszawie. Zaprzestawszy odwiedzać Willanów od śmierci króla, nie była świadkiem rozterek, kłótni i upadku rodziny swego dobroczyńcy.

Całą jéj pociechą w klasztorze bywały rzadkie listy ojca poświęcającego się na usługi księcia Jakóba, odwiedziny krewnych a nadewszystko macierzyńska opieka i miłość matki Delorme. Jest w charakterze francuzów obok wrodzonéj im lekkomyślności pewna kryjówka w któréj gnieździć się rade szlachetne uczucia. Osierocenie Marji, zupełne oddalenie od ojca, żal głęboki za królem i dobroczyńcą, zjednały tak silnie ku niéj serce przełożonéj, że stała się prawdziwym aniołem opiekuńczym sieroty. Zawdzięczała jéj Marja najstaranniejsze jak na owe czasy wychowanie. Obok gruntownych zalet kobiecych wkrótce za jéj staraniem nabrała upodobania w naukach, w muzyce i śpiewie. W siedmnastym roku życia, posiadała dość obszernie znajomość pisma Ś-go, dziejów starożytnych i współczesnych, władała płynnie kilkoma obcemi językami, a nawet dość pospolitą w niektórych żeńskich klasztorach łacińską mową. Dodajmy do tych przymiotów uro-

[1]) Pani hetmanowa oddała Willanów w wianie córce swej księżnie Czartoryskiéj wojewodzinie Ruskiéj, od któréj przeszedł na własność księżnéj marszałkowej Lubomirskiéj, ta znów przekazała Willanowskie dobra w posagu córce swéj pani wojewodzinie Stanisławowéj Potockiej, żonie prezesa senatu, ministra oświecenia, a babce dzisiejszego dziedzica. Pamiątki króla bohatéra z taką czcią przechowane w Willanowie skutkiem tego zapewne, że miejsce to pozostaje ciągle w ręku jednéj a zamożnéj rodziny.

czą postać, która nie wadzi nawet wśród murów klasztornych a mieć będziemy dokładne wyobrażenie o wychowance matki Delorme.

Szósty rok już mijał od śmierci króla, skoro nagle dni dzieweczki które płynęły strumieniem cichéj wody, zakłócone zostały niespodziewanym wypadkiem. Było to w jesieni r. 1702, Marja siedziała w kapitularzu u nóg przełożonéj, słuchając z zajęciem opowiadania z czasów jéj młodości, gdy silne i niezwyczajne uderzenie dzwonka u furty klasztornéj, zwróciło uwagę obu niewiast. Dzieweczka tknięta smutném jakiemś przeczuciem zadrżała i zbladła, niezadługo wbiegła zadyszana furtjanka z oznajmieniem, że przybył pan jakiś nieznajomy.

— Gdzież on jest? zapytała matka Delorme, nie mile również wzruszona.

— Zostawiłam go w korytarzu....

— Jak to? wpuściłaś go więc za furtę?

— Nie mogłam uczynić inaczéj, albowiem ma pozwolenie księcia Prymasa....

— A to co innego — idę natychmiast, poproś go tymczasem do refektarza....

Furtianka pospieszyła spełnić dane sobie polecenie, przełożona zaś tymczasem starała się uspokoić wychowankę, któréj dostrzegła pomięszanie. Uściskała ją w końcu czule, przesunęła dłonie po jasnych pierścieniach jéj włosów, jak to miała w zwyczaju i wyszła powitać nowo-przybyłego. Był to nie młody już człowiek, wspaniałéj postawy, przybrany w ciemną odzież podróżną.

— Wielebna matko, rzekł powstając z głębokim ukłonem, nie będąc wam znanym, sam muszę się przedstawić. Widzicie przed sobą hrabiego Wessel'a starostę Różańskiego, poufałego niegdyś dworzanina króla Jana. Przybywam obecnie do Warszawy, aby powierzoną przez czas tak długi łaskawéj opiece waszéj córkę moją, zabrać wreście na dwór małżonki Królewica naszego Jakóba.

Na te słowa wyrzeczone głosem w którym znać było niezłomne postanowienie matka Delorme zadrżała i zbladła. Jak to już mówiliśmy wyżéj, ukochała żywo Marję poświęcając się jéj wychowaniu i nauczaniu, w jednéj chwili stanął przed jéj oczyma obraz smutnego osierocenia i przeraziła się próżnią która otoczyć ją miała skoro zabraknie wychowanki. Samolubstwo właściwe niekiedy nawet miłości macierzyńskiéj, jak widzimy wielki udział miało w żałości przełożonéj. Zaledwie odpowiedziała niezrozumiałych słów kilka staroście, pozostawiwszy go w zadumaniu, z żywością francuzki, porwała się i wybiegła do kapitularza. Zastała tam Marję w trwożném oczekiwaniu, rzuciła się na jéj szyję i przyciskając namiętnie do piersi głowę dziewczęcia: chcą mi cię zabrać! zawołała z jękiem. Tu nastąpiła scena rozpaczy i żalu, którą łatwo pojmie każden co rozłączał się na długie lata z ukochaną osobą.

Matka Delorme wyjednała u Starosty że córka jego nazajutrz dopiéro opuści klasztor, aby mogła pożegnać się z zakonnicami i towarzyszkami swemi. „Ostatnie chwile spędzone w drogiem dla mnie miejscu, opowiadała późniéj Królewicowa, bratance swéj Klementynie (matce Tekli) były jedne z najboleśniejszych w mém życiu. Żałowałam tych murów do których tak nawykłam, zielonego ogródka, którego pielęgnowałam lilije i gwoździki, wesołych i miłych towarzyszek dzieciństwa i tych opowiadań wieczornych o Francji i dworze Ludwika XV których słuchałam z takiem zajęciem! Nie wspomnę już o tkliwém mojém przywiązaniu i wdzięczności dla matki Delorme, bo rozdział z nią był nad wszystkie żałości! Smutek mój powiększał się jeszcze widokiem surowéj postaci ojca, od którego odwykłam prawie, nigdy nie zapomnę słów stanowczych, które wyrzekł przy powitaniu, dziś jeszcze brzmią mi w uszach jak srogi wyrok niweczący najpiękniejsze nadzieje:

— Pojedziesz zemną do Oławy i będziesz tam przemieszkiwać w gronie panien dworskich księżnéj Jadwigi Eleonory."

Aby lepiéj zrozumieć przykre położenie Marji, dodać jeszcze trzeba, że z pobytu w Willanowie nie uniosła nader miłego wspomnienia obojga księztwa. Ponura, milcząca, tajemnicza i nieurodziwa wcale postać Królewica Jakóba, duma i etykietalność niemiecka jego towarzyszki która nigdy nikogo łagodném i uprzejmém nie obdarzyła słówkiem, smutne w sercu dzie-

wczęcia obudzały uczucie. Ale w owych czasach ani na chwilę nawet nie mogła przyjść do myśli dziecięciu sprzeciwić się woli rodziców i Marja zatém zastosować się musiała do życzeń ojca, mimo wszelkich przykrych i bolesnych wrażeń. W dzień wyjazdu rano po Mszy Ś-tęj którą odprawił kapelan na intencją starościanki, zgromadziły się zakonnice dla ostatecznego pożegnania. Marja rzuciła się najpierw do nóg matki Delorme, dziękując za dziesięcioletnie jéj łaski i starania i prosząc o błogosławieństwo. Późniéj zaś żegnała z kolei zgromadzone siostry.

— Tuszyłam sobie, rzekła jéj ze łzami przełożona, że inną dla ciebie zgotuję przyszłość, przyszłość w któréj zbawienie pewniejsze a droga do wieczności mniéj sliska i niebezpieczna. Widać, że widoki moje nie były zgodne z wolą Boga, któréj z pokorą poddać się musiemy. Idź więc córko moja w ten świat, który cię do siebie powołuje i pamiętaj, że jedynym środkiem aby w śród niego nie upaść, jest gorąca miłość krzyża i myśl że Bóg w każdéj chwili na nas patrzy. Zbawioną być możesz zarówno w świecie jak w klasztornych murach. Kto wie nawet czy większéj mieć nie będziesz zasługi na trudnéj drodze którą masz obecnie przebywać.”

Zakończywszy swą przemowę matka Delorme, podarowała Marji mały srebrny relikwiarzyk z wizerunkiem Boga-rodzicy na wierzchu. Marja pożegnawszy jeszcze potém każdy zakątek klasztoru, zbiegła do ogródka urwała na pamiątkę kilka zielonych listków, zachowała je w kryjówkę podróżnéj szkatułeczki i poszła wreście do chóru, gdzie przyklęknąwszy pobożnie, modliła się jak to się modli zwyczajnie w młodym wieku, z całą gorącością i prostotą, niczém niezachwianéj wiary.

Gdy już zapadły po za nią ciężkie wrzeciądze drzwi klasztornych, żałość dzieweczki byłaby wybuchła gwałtownie gdyby nie powstrzymywała jéj obecność ojca, którego widok napełniał ją trwogą. Przez sześć dni długiéj i mozolnéj podróży, jedyną jéj pociechą była modlitwa, łącząca ją moralnie z Bogiem i wspomnieniem matki Delorme. Milczący i poważny starosta Różański nie przeszkadzał bynajmniéj córce w jéj rozmyślaniach o przeszłości. Jechali oboje pogrążeni w głębokiéj zadumie nie wzmieniając z sobą i słówka. Wkrótce gdy minęli Wrocław wśród piaszczystéj i leśnéj okolicy, ukazały się szare mury Oławskiego zamku. Po długich zakrętach około rzeczki opasującéj zamek, wjechali nasi podróżni na brukowany dziedziniec. Kareta zatrzymała się przed skrzydłem pałacu, w którem były gościnne pokoje, odźwierny wprowadził do nich i powitał starostę. Nic w powierzchni zamku nie zwiastowało miejsca zamieszkania zamożnych królewskiego rodu panów, trawą zarośnięty dziedziniec dowodził, że rzadko kiedy zajeżdżali tam goście i nieliczni również przechodzili mieszkańcy pałacu. W korpusie tylko zamku obwiedzionym żelazną kratą, dostrzegać było można ruch niejaki, daleko to jednakże było jeszcze od ruchu jaki bywał na dworach możnych panów polskich. Nie uwijało się tam nigdzie nadworne wojsko, ani suto przybrana liberja, ani jaśniejący złotem różnych stopni dworzanie. Gdzie niegdzie tylko snuły się postacie niemców otaczających księztwa, czarno i kuso przybranych z ogromnemi fryzurami na głowach, w pończochach i trzewikach, z maleńką szpadą u boku. Dwór Oławski jakkolwiek skromny i nie ludny, zachował całą cechę sztywnéj etykietalności i nieubłaganéj formy książęcych niemieckich dworów. Była tam na każdym kroku niemiecka również oszczędność. Książe Jakób, który w gruncie serca nie wyrzekał się nigdy nadziei korony Polskiéj, ogromne swe dochody obracał na polityczne cele, a wydatki poniesione w ten sposób, starał się wynagrodzić ścisłą oszczędnością w codziennem życiu. Rozgościwszy się wraz z córką w przeznaczonych sobie pokojach, starosta Różański prosił o audjencją u Królewicowstwa co otrzymać prędko nie było rzeczą łatwą. Jakkolwiek Królewicowstwo mało wyjeżdżali sami a gości prawie nigdy nie przyjmowali, rzadko jednakże można było do nich przystąpić. Krolewic zajęty wyłącznie korrespondencjami sekretnemi ze stronnikami swemi, zmuszony był otaczać się jak najgłębszą tajemnicą, albowiem krewny i zamieszkały w państwie cesarza Leopol-

da obawiać się musiał ciągle zdradzieckiéj jego polityki, będąc zaś z natury usposobienia skrytego i podejrzliwego, lubił bardzo niby z potrzeby otaczać się samotnością. Można téż wyrzec śmiało, że lubo miał stronników, tak zwanych dzisiaj przyjaciół politycznych, nie miał ani jednego przyjaciela, któremu by zwierzył serca swego tajniki. Księżna mimo zimnéj powierzchowności była łagodną i dobrą, stosowała się jednakże do nawyknień odosobnienia męża, co jéj wcale przykrem nie było. Wychowana na dworze jednego z małych księztw niemieckich, gdzie zazwyczaj tém większa etykieta im państwo objętością swą mniejsze mieć może prawo do obyczajów znakomitych dworów, a do tego żona pretendenta do korony polskiéj, rada była nieraz ukryć się niejako, aby uniknąć upokorzeń nieodstępnych od położenia swego. Ósmego dnia zatém dopiéro po przybyciu swem do Oławy Starosta Różański wraz z córką otrzymał posłuchanie. Po przejściu wielu komnat poważnie lecz skromnie przybranych, szambelan niemiec w czarnym fraku, ze szpadą przy boku, w ogromnéj upudrowanéj peruce, z kapeluszem pod pachą, wprowadził gości do pokoju księżnéj. Jadwiga Eleonora siedziała w dużém krześle opodal od kominka, gdzie suty płonął ogień, na stoliku przy niéj leżała robota kościelna do miejscowéj kaplicy, rożaniec, książka do nabożeńswa i kilka pism ówczesnych. Królewic Jakób stał milczący przy kominku. Ściągłych rysów i niskiego wzrostu, nie miał on żadnego podobieństwa do ojca, przybrany był w tenże sam strój co szambelan, z tą tylko różnicą, że nosił na piersiach francuzki order Ś. Ducha. Manja cudzoziemczyzny i wtedy już niestety ogarniała niektórych polskich panów, skwapliwiéj nieraz ubiegali się o cudzoziemskie



znaki honorowe i zaszczyty aniżeli o własne. Marja Wesslówna jakkolwiek wychowana przez francuzkę, bądź przez wrodzony popęd do uczuć szlachetnych, bądź przez wpływ wrażeń doznanych w pierwszéj młodości i dzieciństwie, bądź też że nigdy za granicę rzeczypospolitéj nie wyjeżdżała, nie mile została rażoną widokiem cudzoziemskiego stroju syna Jana III. Do tego jeszcze tradycje Willanowskiego dworu, szczeropolska postać i ubiór zmarłego króla, głęboko w jéj sercu i pamięci wyryte, tak wielką tworzyły sprzeczność z układem Oławskiego zamku, że wrodzony smutek dzieweczki powiększył się jeszcze znacznie.

Starosta Rożański w długiéj przemowie najeżonéj łaciną, przedstawił córkę Królewicostwu. Książe Jakób skłonił się zimno, nie odpowiedziawszy ani słowa. Księżna chcąc niejako wynagrodzić obojętność męża ozwała się po francuzku do Starosty, dziękując mu za położone w niéj zaufanie oddaniem dzieweczki, zaręczyła, że go nigdy nie zawiedzie i przywoławszy bliżéj Marję poczęła się jéj przyglądać z zajęciem. Rozkazała potém szambelanowi przywołać ochmistrzynią panien dworskich baronową de Fallendorf, która była jéj nie odstępną od zamąż pójścia.

— Mościa baronowo! rzekła, skoro tylko sztywna i cienka jak trzcina niemka nie zaniedbując trzech koniecznych ukłonów, zapytała o rozkazy jéj Królewicowskiéj mości—Mościa baronowo! oto do pocztu panien twoich przybywa szósta z kolei, hrabianka Wessel, córka obecnego tu Starosty Różańskiego, polaka, przyjaciela rodziny książąt Sobieskich. Polecam ją zatém twym szczególnym względom.” Gdy księżna ostatnich słów domówiła, ochmistrzyni po nizkich ukłonach ująwszy za rękę Marję, wyszła z nią z gabinetu, aby się udać do mieszkania panien dworskich położonego w oddzielném skrzydle zamku. Na dole były tam pokoje ochmistrzyni, kaplica i duża komnata przeznaczona do wspólnéj zabawy i pracy, na górze zaś pokoje młodych dziewcząt. W chwili gdy Marja powiększyła ich grono znajdowała się także w Oławie Zofija Leszczyńska synowica Rafała wojewody Poznańskiego, czynnego Sobieskich stronnika. Ścisła przyjaźń połączyła wkrótce obie dzieweczki, tém silniéj, że były rodaczkami, a miały za towarzyszki same niemki, Mieszkanie przeznaczone dla Marji składało się z dwóch pokoi i alkowy. Począwszy od mebli do bielizny i wszelkich drobiazgów, potrzebnych do wygody znalazła tam wszystko w najwykwintniejszym porządku.

Jak gdyby na przestrogę, że tam bezczynnością zabawiać się nie wolno, znalazły się na widoku krosienka, gitara angielska, oraz kilka nabożnych francuzkich i niemieckich książek. Zainstalowawszy Starościankę w jéj nowém mieszkaniu, doręczyła jéj ochmistrzyni instrukcją spisaną w języku francuzkim i niemieckim, jak ma zachowywać się u dworu księżnéj. Obowiązki panny dworskiéj nie były wcale uciążliwe, ograniczały się codziennie na dwugodzinném przebywaniu w sali dolnego piętra przy wspólnéj pracy około odzieży ubogich lub aparatów kościelnych, na poobiedniéj służbie dwa razy w tydzień w pokojach księżnéj, na wystąpieniu ogólném co niedziela i święta, oraz na słuchaniu codziennie Mszy Ś. wraz z całym dworem. O siódméj z rana wszyscy w zamku Oławskim musieli wstawać, gdyż o ósméj dzwoniono na Mszę. Po nabożeństwie, panny dworskie schodziły do sali robót, gdzie zastawały gotowe wszelkie przybory do pracy. Ksiądz kapelan a najczęściéj sama ochmistrzyni czytywała wtedy głośno dzieła religijnéj treści, jako to: kazania Massillon'a bardzo wówczas wzięte, mowy pogrzebowe kościelne, zaczynające wówczas wchodzić w modę ody J. B. Rousseau, religijne poezje tegoż autora, trajedje obu Kornelów i młodego jeszcze Rassyna. Księżna podając pannom dworskim ten pokarm duchowy, pragnęła je zaznajomić z literaturą francuzką, stanowiącą wtedy prawa i wzory dla wszystkich europejskich języków.

Często też zdarzało się, że przychodziła sama na te zebrania wraz z dwoma córkami, które się przy niéj chowały. O pierwszéj z południa dzwoniono na obiad. Księztwo trzymając się ściśle prawideł etykiety wzorem wszystkich wątpliwych pretendentów do korony, lub monar-

chów bez królestw, jadali zwykle sami w swych apartamentach, przypuszczając jedynie do swego stołu służbowego szambelana i dyżurną pannę. Służba tych dwóch osób zaczynała się od godziny obiadowéj, a kończyła w chwili gdy księztwo udawali się na spoczynek. Obowiązki służby dla panien ograniczały się na czytywaniu głośném, bawieniu rzadko przybywających gości i spełnianiu różnych zleceń Królewicowéj, jak np. utrzymywaniu korrespondencji, czynieniu różnych dyspozycji lub towarzyszeniu jéj na przechadzkę którą codziennie w powozie odbywała. W niedziele i uroczyste święta bywał w Olawie rodzaj powszechnego przyjęcia, czyli zebrania się całego dworu na pokojach. Księżna schodziła wtedy do dolnych pokojów i zasiadała na estradzie w wielkim salonie, niezadługo podawano karty, wzywała wtedy trzy osoby z towarzystwa i zasiadała do gry. Roznoszono niebawnie kawę, lody i rozmaite inne przysmaki. Po ukończonych niezbędnych trzech partjach, skłoniwszy się dworzanom odchodziła Królewicowa do swych pokojów na górę. W porze zimowéj koncerta urozmaicały niekiedy te zebrania. Księztwo mieli zawsze nadwornych muzyków i przyjmowali radzi biegłych w swéj sztuce artystów, w których wszakże w owych czasach nie obfitowała jak dzisiaj Europa. Wtedy nawet jednakże, wierna tradycją uświęconemu obyczajowi, nie uwalniała Księżna dworzàn z gry w karty. Koncert przedłużał tylko wieczór. Książe Jakób rzadko kiedy zawitał do salonu, zdawał cały ciężar etykiety na żonę.

Bywał jedynie na mszy w loży opatrzonéj żelaznemi kratami. Loża ta wykuta w marmurowéj ścianie, korytarzami i krużgankami, miała komunikacją z jego apartamentem prywatnym, w którym przyjmował jedynie braci i ajentów, bądź z polski, bądź ze sprzyjających mu dworów przybyłych. W pierwszych czasach pobytu tamże Marji Wesslównéj, nawiedzali oni dość często Olawę. W różne dnie uprzywilejowane, jako to: święta Bożego Narodzenia, nowego Roku, Wielkiéj Nocy, imieniny swoje lub Księżnéj, zjawiał się zawsze Jakób w czasie przyjęcia w dolnych apartamentach. Jedyną jego zwyczajną rozrywką było polowanie, zajęcia polityczne i ćwiczenia religijne.

Codziennie miewał długie konferencje z księdzem Kitten swym spowiednikiem, twierdzono jednakże, że miały na celu nie samo zbawienie w przyszłém życiu, a to z powodu że wiadomo było jako Królewic opłacał drogo ajentów na różnych europejskich dworach. Nie brakło mu téż podobnych przyjaciół i w Polsce. Przez długi czas utrzymywał sekretną korrespondencją z prymasem Radziejowskim, głównie zaś miał stosunki w Wielkopolsce z Rafałem Leszczyńskim, naczelnikiem stronnictwa swego w kraju.

Widywano często w Olawie obu Leszczyńskich Rafała i syna jego Stanisława, wiecznie zaś krążyły hajduki z listami i depeszami od nich. Pozorem do tych ciągłych komunikacji były prywatne interessa zarządu dóbr Sobieskich, powierzonego w Polsce pieczy Leszczyńskich, pod tym płaszczem ukrywały się względy polityczne, które jak to już wyżéj mówiliśmy, musiały być w tajemnicy przed cesarzem Leopoldem, popierającym stronnictwo Sasa dla sprzeciwienia się zamiarom Francji. Mówiliśmy już także, że dla skrytego z natury charakteru księcia, nie była uciążliwą obowiązkowa tajemniczość, którą zresztą prawdziwie musiał się otaczać, albowiem tak August II jak cesarz Leopold, zsyłali nań mnóstwo szpiegów, lecz nie uprzedzajmy wypadków, które w następnych rozdziałach same z siebie rozwijać się będą przed oczyma czytelników.

(*D. c. n.*)

KILKA PRÓBEK STYLU z XVIII WIEKU.

(Dokończenie).

W papierach pozostałych po biskupie kujawskim Antonim Dembowskim, który żył podczas panowania obu Sasów, a był Referendarzem Koronnym, znalazłam protokół sprawy niejakiéj pani Górskiéj z domu Dziewałtowskiéj, która tak zamężcie swoje opowiada:

Okoliczności dla czego byłam przymuszona do za mąż pójścia te: macocha moja była ciotecznie rodzoną siostrą JMP. Górskiego, która wiedząc że ojciec mój wzioł dobrą bardzo szlachecką fortunę po moiéy matce i fortunę tę którey było wniesienie matki moiey poratował. Ja zaś tylko jedna zostałam po matce sukcessorką, y gdybym była poszła za kogo innego, dosićby miała kłótni, osobliwie po śmierci oyca mego, który był dosić stary, a ona się spodziewała dłużey żyć, zaczym starała się dla mnie o takiego męża, któryby wszystkich zamilczał pretensyi, zdaiąc się tylko na samą Jey dyskrecyią.

„I tak, sprowadziwszy JMP. Górskiego dokazała, że trzeciego dnia nieznaiomemu człowiekowi tylko że brat żony iego deklarował mię, gdzie on po deklaracyi tegoż dnia pojechał do Wilna, tam otrzymawszy indult, w pięć niedziel powrócił, prosząc żeby mógł wziąć ze mną szlub na co muy oyciec pozwolił, y nie pytając mnie poiechał po Xiędza, o czym gdym wzięła relacyą zamknąwszy się w swoim pokoiu y gdy się oyciec móy stukał, chcąc ze mną mówić, nie otworzyłam drzwi zbytniey przeciwko oycu zażywaiąc rezolucyi; ale oyciec móy bezedrzwi połaiał mię y oznaymił, że iedzie po Xiędza, bez te zaś pięć niedziel proponowałam często oycu memu y macosze że ia nie mam intencyi póyść za mąż, a osobliwie za JMP. Górskiego, nigdy nie akceptowano tey racyi. Osobliwie oyciec móy groził, że będzie mię przeklinał, jeżeli woli iego nie uczynię y że mnie z domu wypędzi y nie zechce o mnie wiedzieć, tak żem nie mogła wiąść z niskąd rady ani pomocy, bo mnie macocha tak pilnowała, żebym z nikiem y nie mówiła w tym punkcie; na to wszystko gotowam przysiądz."

„W kilka niedziel po za mąż póyściu, kiedy mię iuż oyciec móy y z macochą w dom JEmci odwieźli, nie wiedzieć z iakiey racyi rozgniewawszy się chciał mnie porzucić y odieżdżał z domu, gdzie niewiadomą imprezy będąc Panna szlachecka przyszła do tey iżby kędy się w drogę wybierał, gdzie JEmci rozgniewany strzelił do niéj; powiadali zaraz na ten czas, że się zdało na tę pannę JEmci, iakbym to ia była, y dla tego do niey strzelił. Kula została w ścianie, po nad głową, chybił, potym przyszedł do tego pokoiu, gdziem ia z macochą siedziała w wielkim strachu, ona tedy iako siostra poczęła perswadować, żeby tey historyi z siebie nie robił, ale te nie uczyniły skutku y iuż iak za drzwi wychodził wymówiła coś przykrego; zaczym odwróciwszy się JEmci dobył szpady, ale ona tymczasem na zamek drzwi spuściła. Począł tedy drzwi odbijać, aż też ktoś z ludzi JEmcinych wyperswadował mu to, że poszedł precz, gdzie się z oycem moim zdybawszy, poczoł go łaiać, y poiechał sam precz z domu gdzie oyciec móy zaraz teyże godziny kazał wozy układać y mnie chciał z sobą wziąć, zeznaiąc to na siebie, że mnie przymusił do za mąż póyścia, y że się sam chce starać o separacyią, ieżeli ia na to pozwolę. Ja zaś naprzód z reflexyi, że macocha moia będąc siostrą JEmciną, mogłaby za czasem gdyby tego pretendował wyperswadować oycu memu, żeby mnie nazad do rąk iego oddał, druga maiąc nadzieie że to czas pomiarkuje, rezolwowałam się zostać w domu, ledwo mie żywą z żalu zostawił oyciec, gniewaiąc się trochy na mnie żem ia została, rozumiejąc o w wielkim moim przeciwko mężowi affekcie."

Tak tedy rozpoczęło się pożycie będące pasmem ciągłego udręczenia dla żony, wyraźny stosunek srogiego pana i niewolnicy, w któréj jednak takie czuć niedołęztwo,

że nie obudza współczucia jakie się tylko cierpliwości z wysoką godnością połączonéj należy. Depcą chętnie barki tych, co je sami niewolniczo naginają drugim pod stopy. Pani Górska często lżona, sromotnie posądzana, bita, zagrożona utratą życia, trapiona we własnych dzieciach, już mając dorastające córki skończyła na tém co jéj ojciec u wstępu proponował, zażądała rozłączenia. Po przeczytaniu téj sprawy, przychodzi z niejaką pociechą wpatrzyć się w czasy obecne, boć przecież chyba już dziś niedopatrzyłby takiego pożycia małżeńskiego. Jakże pięknie od tych scen prześladowania i przemocy odbija korrespondencja dwojga kochających się narzeczonych z któréj tu część podajemy jako próby stylu listowego z końca 18 wieku. Ta para przeżyła kilkadziesiąt lat w niezachwianéj zgodzie i miłości, śmierć naprzód męża zabrała, a żona żyje do dziś dnia w dobrem zdrowiu i przy niepospolitéj w tak spóźnionym wieku świeżości umysłu używając zarobionego zacném życiem szacunku i ciesząc się dorastającemi prawnukami.

I.

Wiedeń dnia 1 Grudnia 1799 r.

Żart na stronę, czy trochę nie często bardzo piszę? *je crains d'abuser de Votre complaisance et de Votre patience a lire mon griffonage mais que voulez Vous que je fasse*, wolę przepraszać za inkomodowanie częstem pisaniem jak ująć sobie tego niewinnego ukontentowania, które czuje ilekroć powtórzyć mogę, *combien je vous aime et combien je Vous suis attaché.* Nic tu u nas nowego, mrozy tylko chwyciły i droga się poprawia, bo téż była słyszę bardzo zła, Pan Zamoyski przyjechał wózkiem pocztowym, pojazdy jego się połamały i pan Alexander Potocki przyjechał z nim także na całą zimę tutaj. Poczta warszawska dotąd nie nadeszła, nie jestem kontent z tego, bo radbym wiedzieć jak zdrowie panny Felicyanny Dobr: a mam nadzieję, że starosta raczy mię o tem poinformować a może *vous même dans un moment de bonne humeur* pomyślisz sobie, i juźcić *il faut lui faire ce plaisir*, niech Jegomość da pokój napisze ja mu sama jak się miewam. *Vous voyez c'est de l'amour propre*, nie zapieram się tego, *mais que faire* nikt nie jest bez niéj, większą lub mniejszą każdy ją ma nawet pani *** która wyjechała *pour deployer ses grâces a Leopol. Vous savez* jak tu była źle widzianą, jak z niéj wszyscy żartowali, jak desperowali kiedy gdzie wlazła, a jednakże spotkawszy się w drodze z panem Alexandrem Potockim odchwalić się nie mogła Wiednia, opowiadała jak jéj tam byli radzi, jak ją kochali, jak ją sobie wyrywali, i że w tém tylko czuje się nieszczęśliwą, że nie może mieć sposobności okazania swéj czułości i wdzięczności za dobre serce, którego od wszystkich doznała, *moi même j'ai eu une part dans tout cela* bo i mnie przed panem Alexandrem chwaliła. *J'ai crû pouvoir me faire un merite auprès de vous* porzucając wszystkie festyny tutejsze, nie będę się mógł jednakże tém poszczycić, bo bardzo mało ich będzie *l'Imperatrice* [1]) *a dit*: że czasy krytyczne i nie należy się próżno expensować, wszystko razem skończy się pewnie na jednym balu u dworu i na jednéj reducie *et voila tout*, więcéj żadnych i żadnych solenności nie będzie, *je ne peux pas me vanter de vous avoir fait même ce petit sacrifice*, niech więc ochota będzie wzięta za skutek i przekona pannę Felicyanne Dobr: że jedyném dla mnie szczęściem jest teraz i zawsze będzie *de passer mes jours auprès d'elle* i tego tylko sobie życzę; abym sam będąc szczęśliwym *je puisse vous rendre aussi heureuse que vous le meritez et comme je souhaite que vous le soyez.*

II.

Wiedeń 15 Stycznia 1799 r.

Vous ne saurez vous imaginer ma tendre amie jakie mi ukontentowanie sprawił przypisek twéj ręki do listu starosty. Mam nadzieję, że za kilka tygodni ukończe wszystkie moje interessa *et je pourrai me rendre auprès de vous* i wyglądać niecierpliwie przyspieszenia momentu *ou il vous*

[1]) Marja Teressa.

plaira de me rendre parfaitement heureux. Co za miłą widzę dla siebie perspektywę! lepiéj to czuć umiem niż wyrazić potrafię! *que dites vous a tout cela? qu'elles sont vos pensées vos idées la dessus?* jakie przeczucia? *mais non*—delikatność nie każe mi się oto pytać — milczę więc — Proszę oświadczyć ukontentowanie moje pannie Kazimierze z tego co mi starosta donosi o kroku uczynionym przez pana K.....go cieszy to mię, że będę mógł być świadkiem szczęścia przyjaciela i ukontentowania siostry osoby która mi tyle jest drogą. Wiedeń ożywił się niespodziewanie przyjazdem księżny Palatynowéj. Kto wié czy po prezentacyach u dworu bale i reduty się nie rozpoczną. Damy zdesperowane że zawczasu nie pomyślały o strojach wśród tego wszystkiego *la duchesse de Croy une française emigrée* anonsuje nagle że idą dla niéj suknie nowe i wcale teraz nowomodne z Anglii. Radość powszechna, każda ubiega się o jéj przyjaźń, wszystkie karesują ją kochają, myślą radzą, czy imitować czy całkiem kopiować? Stawają nareście owe suknie, prośby na komorze aby je prędzéj expedyować; w końcu przynoszą je *chez la duchesse.* Dam nazjeżdżało się jak na assamblé, otwierają paki, dobywają, jeszcze nierozłożone a już wołają *comme cela est beau! comme cela est charmant! comme cela est gentil!* przypatrują się lepiéj, aż tu wszystkie talje długie.... zdumiały się najpierw a potém: *a fi comme c'est laid comme c'est vilain!* i rozjechały się zmartwione, że dotąd ciesząc się nadzieją, o niczem nie myślały a teraz i myśléć i naradzać się i komponować czas za krótki. *Vous prendrez cela* za żart *mais je puis vous assurer sur ma parole*, że wszystko święta prawda *et que je n'ai pas même brodé!* Na redutę pewno będą kostiumy, wiem już nawet że księżna Wirtemberska ułożyła sobie być *en dame d'un portrait de Van Dyk* a pani Zamoyska *en Agar*; bardzo wiele dam ma być *en costume de paysanne.*

III.

29 Stycznia 1799 r.

Interessa moje w krótce już na ukończeniu *mais si Vous voulez ou ne voulez pas Vous aurez encore de lettres* za nim wyjadę z Wiednia. Dzień dzisiejszy cały przepędzam na bieganiu za wynajęciem brylantów i pereł do kostiumów dam naszych na przyszłą redutę, *je ne puis pourtant m'empecher de vous ecrire quelques mots.* Nie chcą mi dać biletu na festyn pod pretextem że nie byłem prezentowany u dworu, ale wszystko to jedno dla mnie bo ciekawy byłem tylko kostiumów a będą wraz ze mną na herbacie u Pani R*** do któréj przyjedzie przed redutą *ce qu'il y a de mieux a Vienne.* W téj chwili przysyłają mi bilet na bal z przeproszeniem *que s'etait un mesentendu.* Zakończę zatem list jutro *pour vous donner des nouvelles* jak się wszystko udało.

Otóż już po reducie wszystko odbyło się jak za zwyczaj w podobnych razach damy nasze *ont eu un succés parfait* nikogo jednak piękniejszego i przyjemniejszego nie było nad panią Zamoyską. Księżna *** nawet przy niéj upadła i mało już kto o niéj mówi. Polki nasze najgustowniej na reducie były ubrane, pani *** tylko nie dobrze wyglądała, wzięła kostium chłopki krakowskiéj *et elle a eté ridicule* bo już trochę za stara na podobne przebranie. Nie wiedzieliśmy jak dostać biletów dla Pani*** jéj córki i mojéj siostry Kostusi, która z niemi przyjechała. Otóż pan Alexander Potocki wziął się na sposób zażądał biletu *pour M-me la C-tsse Potocka son epouse* i ten był dla Pani*** ja zażądałem również biletu *pour M-me *** mon epouse* i ten był dla córki, a bankier tutejszy w tymże celu zażądał biletu dla swéj maleńkiéj córki M-selle Hirszenfeld i dał go Kostusi; zawiozłem je sam żeby nie było ambarassu przy wpuszczaniu bo mnie znają jak zły szeląg, śmiano się tylko przy odczytywaniu biletów i nic nie mówiono, cóż jeszcze powiem więcéj? oto chyba to tylko, że milszy mi dzień wyjazdu nad wszystkie te fety, bo każdy krok *en avant m'approche de ce que j'aime le plus au monde.*

IV.

15 Lutego 1799 r.

I znów o balu pisać muszę, ale to już będzie ostatni. Otóż mieliśmy bal skład-

kowy polski o którym więcéj po całym mieście gadają, niżeli o wojnie i o pokoju, bo też popisaliśmy się, nie chwaląc się uczyniłem nie jedną doskonałą dyspozycją w urządzeniu, damy zaś stoły w drzewa pomarańczowe i kwiaty exotyczne postroiły. Mieliśmy też cały wybór elegancji wiedeńskiéj. Dam było 70, mężczyn przeszło stu dwudziestu, stoły duże były po nakrywane do kolacji oprócz mnóstwa małych stolików, dla mężczyzn był jeden stół na którym jedzenie całą noc stało co jest rzeczą tutaj nie znaną. Tańce były bardzo animowane, trwały do 8 rano, to też damy nasze cały dzień wczorajszy przeleżały. Ja choć bardzo mało tańczyłem, bo tylko dwa anglezy, jednakże od dreptania i robienia honorów nie mniéj byłem ufatygowany i dopiéro o 7 na obiad wstałem, teraz zatrudniam się przygotowaniami do podróży, *mais j'ai oublié la chose la plus essentielle du bal, il a été question de vous et on a bu a votre santé.* Xiężna i pani Zamoyska wprowadziły to na stół. Pani Zamoyska utrzymuje *que vous lui ressemblez*, a Księżna dokłada: *meme par la douceur du caractère et de la phisionomie Vous savez que M-me Zamojska est l'idole de Vienne, vous concevez alors facilement comme j'en etait flatté* i jakem się pysznił!

Pytano mię zewsząd *n'est ce pas vous l'amenerez a Vienne? mais surement pour l'hiver prochain* odpowiadałem. Coby to były za rumieńce *si vous auriez entendu tout cela*, ja ręcze że będą czytając to tylko! Jest to już ostatni list *que je vous ecris de Vienne*, bo we Środę wyjeżdżam, droga ma być bardzo zła i więcéj mi czasu zabierze niż sądziłem, wstąpię na godzin kilka do Krakowa *pour voir M-me Christine.* Jak tylko stanę we Lwowie, nie omieszkam *vous fair savoir* jak długo tam zabawię, nie dłużéj zapewne jak dni kilka, w Puławach, jeszcze mniéj *pour etre le plustot possible auprès de vous*, *en attendant adieu ma cherè ma tendre amie vous serez ma seule consolation dans mes fatigues de voyage*, myśli *du bonheur de vous posseder dans peu* słodzić mi będą najprzykrzejsze momenta podróży.

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE

Z MIESIĄCA WRZEŚNIA.

Pierwsza połowa Września pamiętna w dziejach naszych zwycięztwem nad Osmanem Jana Karola Chodkiewicza, (dnia 2 Wrześ. 1621)—bitwą pod Krasną, w któréj Odrowąż Buczacki i Koniecpolski pobili wołochów (d. 6 Wrze. 1450)—wjazdem Jana Kazimierza do Krakowa po wygnaniu zeń Szwedów, (d. 4 Wrześ. 1656) a wreście zwycięztwem które Jan III odniósł pod Wiedniem nad groźną turecką potęgą. (d. 12 Wrześ. 1683 r.)

Dzieło walecznego króla natchnione duchem religijnym i rycerskim było zarazem czynem mądréj oględności na dobro własnego narodu. Od lat wielu Turcy nieprzestawali być srogą plagą dla Polski, niby groźny potok, który corocznym wylewem niszczył jéj zagony, nie należało mu dozwalać aby przekraczał Karpaty, zarówno jak Dniestrowe łożysko. Zwycięztwo pod Wiedniem wywarło ten zbawienny skutek. Polska przestała być ciągle zagrożoną śmiercią i zniszczeniem, później zaś weszła na nowo w posiadanie Kamieńca, Podola i granic Dniestru. Dzieje wyprawy Wiedeńskiéj obfitują w pełne dramatycznéj poezji ustępy, poczynając od owéj chwili w któréj poseł cesarski i nuncjusz papiezki padają na kolana przed królem rycerzem, pierwszy wołając: *ratuj*

Wiedeń, drugi zaś: *ocal chrześcijaństwo.* Cóż dopiéro jeżeli przeniesiemy się myślą pod mury zagrożonéj stolicy! jakiż widok przedstawi się tam oczom naszym! Z jednéj strony miasto struchlałe, zbolałe, opuszczone od prawego władcy i znakomitszych mieszkańców, z drugiéj zaś niby dziwo pochłonąć je gotowe, ogromna warownia z jedwabiu i złota, świecąca co noc krwawym blaskiem latarni wstrząsanych z groźnym okrzykiem, rycząca głosem tysiąca słoni i wielbłądów, wrzaskiem mółłów wzywających na modlitwę i przeraźliwym dźwiękiem niezliczonych bębnów, dzwonków, piszczałek i cymbałów.... Wnętrze jéj, to cudo z tysiąca i jednéj nocy.... na wielkim środkowym placu rozłożyły się bogate karawany kupców, pyszne trzody napawane, co wieczór w wodach Dunaju i mnogi lud orężny.... Złotogłów szkarłat i drogie jedwabie wyściełają na przemian komnaty w których szemrzą z cicha różane wodotryski, śpiewają zamorskie ptaki i nieznane kwiaty w alabastrowych naczyniach woń uroczą roznoszą.... Wszystkich tych skarbów i cudów, niby zaklęte upiory strzegą wojownicy o krzywych szablicach, o dzikiem żarem południa spaloném licu... A wodze ich to groźny nieprzyjaciel Habsbourgów Emeryk Tekeli, dziki han tatarski Selim Gerej, Dukas Multański książe i Sirwan Kantakuzen chytry wołoski hospodar; a nad niemi wszystkiemi Kara Mustafa wielki wezyr w złotéj warowni życia i śmierci straszliwy pan.... I przybywa król polski na czele swych skrzydlatych rycerzy i staje w obec potworu, ufny zarówno w męztwo walecznych hufców jak w pomoc nieba, którą mu wróżyły przy Mszy Ś. natchnione usta Marka z Aviano.... I z iściły się słowa Pisma że: *Ktokolwiek w Panu nadzieje swe złożył zawstydzon ani na pohańbienie wydan nie będzie.* A gdy potém w oswobodzoném mieście odprawiano dziękczynną ofiarę i kapłan czytał ustęp z Ewangelji, poczynający się od słów: *był człowiek zesłany od Boga, któremu imie było Jan*, wszystkie oczy z wyrazem kornych dzięków zwróciły się na wybawcę.... bo dla ocalonych od śmierci i sromoty, Jan III był owym wysłańcem Bożym.

Wspomnienia miesiąca Września sięgające w odleglejszą przeszłość dziejową są:

— Śmierć Prandoty z Białaczewa następcy Stanisława ze Szczepanowa na krakowskie biskupstwo, (d. 20 1226 r.). Bogobojny mąż ten pochodził z zacnego Odrowążów domu, który poczynając od biskupa Iwona dał ojczyznie tylu świętych synów. Wybrawszy za młodu stan duchowny zasłynął w krótce zarówno pełnem namaszczenia i wiary opowiadaniem słowa Bożego jak rzadkiemi cnoty. Był on mistrzem Bolesława Wstydliwego i nie raz strofował mądremi słowy Konrada księcia Mazowieckiego za krzywdy wyrządzane synowcowi a w końcu zaś wyłączył go od społeczeństwa wiernych. Często również występował w sprawie prześladowania Tomasza biskupa Wrocławskiego, przez Bolesława księcia Lignickiego z przeważnym głosem, słowem na każdym kroku pilnował święcie obowiązków biskupich, wspierając uciemiężonych.

Za jego staraniem przeprowadzono proces kanonizacyjny Ś. Stanisława.

— Zwycięztwo Władysława Łokietka pod Płowcami (dnia 2 Wrześ. 1334 r.) do którego to dnia odnosi się podanie o Florjanie Szarym praojcu szlachetnéj i zasłużonéj w narodzie Zamojskich rodziny.

— Hołd złożony Kazimierzowi Jagiellończykowi przez Multany i Wołoszczyznę (dnia 14 Wrześ. 1485 r.)

— Zwycięztwo pod Wielko-Łukami króla Stefana, (d. 16 Września 1558 r.)

— Zwycięztwo pod Cudnowem hetmana Potockiego (d. 17 Września 1660 r.)

— Śmierć Macieja Miechowity zasłużonego pisarza dziejów naszych, (dnia 8 Wrześ. 1533 r.)

— Śmierć bogobojnéj królowéj naszéj Anny, (dnia 9 Wrześ. 1596 r.). Cicha ta i pokorna prawdziwie chrześcijańska niewiasta, ostatnia latorośl drogiego nam Jagiełłów szczepu, przez cały ciąg życia świeciła jasnym przykładem cnót wszelkich zarówno możnym jak prostaczkom.

— Śmierć Piotra Skargi, (dnia 24 Wrz. 1612 r.) Mąż ten znakomity zarówno głębokim rozumem jak nieposzlakowaną cnotą jest niejako wyrazem najpiękniejszéj strony ducha narodu polskiego. Wszystko co dać może silna wiara i gorąca miłość oj-

czyzny streszcza się w téj czystéj i świętéj postaci. Nic więcéj czcią przejmującego jak żywot jego, nic cudowniejszego, zarówno pięknością języka jak treści nad pisma które pozostawił. Jeden z pisarzy jego żywota, tak się wyraża o Skardze: „Lubo duchowieństwo nasze we wszystkich czasach wydało nie mało mężów słynnych wymową i piórem, pamiętnych gorliwością i nieustraszoną odwagą w pełnieniu swych obowiązków, lubo nieraz i apostolskie w sąsiednich nam krajach poniosło trudy; śmiało przecież rzec można, że mało który tyle pracował i na równe za życia i po zgonie zarobił sobie imie jak Piotr Skarga. Kapłan, zakonnik, apostoł wzorowy, pisarz, kaznodzieja, niemniéj przykładem własnym jak słowy uczący, komuż z mniéj nawet oświeconych choć z imienia nie znany? Zdobi skroń jego w potomności nieskażony prawego obywatelstwa wieniec, zdobi (powszechne u nas) świętości domniemanie.”

Ostatnie dnie Września stawiają nam żywo w pamięci nieustraszonego obrońcę ojczyzny Jana Karola Chodkiewicza. W d. 27 Wrześ. (1605 r.) odniósł on sławne nad szwedami pod Kircholmem zwycięztwo, gdzie trzema tysiącami jazdy zgniótł 14 tysięcy nieprzyjaciół. Śmierć tego wielkiego wojownika przypadła w kilkanaście lat późniéj podczas wyprawy Chocimskiéj również w dniu wrześniowym, (24 Września 1621 r.)

Jan Karol Chodkiewicz, syn Jana kasztelana Wileńskiego gubernatora Inflant i Krystyny Zborowskiéj wojewodzianki Krakowskiéj, urodził się w r. 1560. Gdy oddany był za młodu do akademji Wileńskiéj (założonéj pod ówczas przez biskupa Walerjana Protasiewicza, późniéj zaś za staraniem Chodkiewicza nadanéj przez Batorego przywilejami równającemi ją z Krakowską), zdarzyło się, że wyszedł wraz z towarzyszami na powitanie przejeżdżającego przez Wilno do Inflant króla. Stefan Batory wlepiwszy wtedy przez chwilę wzrok badawczy w młodziuchne pachole, odwrócił się do otaczających go panów i rzekł głośno: *Zaiste ten będzie dzielnym żołnierzem.* Nie zawiodła przepowiednia, snać natchniona duchem proroczym, jak świadczyły o tém późniéj wymownie: Parnawa, Ryga, Derpt, Dyament, Biały Kamień i Kirholmskie pola. Jan Karol Chodkiewicz wyrosłszy, stał się dzielnym pogromcą nieprzyjaciół ojczyzny. Współcześni powiadają, że tak w nieustraszoném męztwie jak w sztuce uszykowania wojska do boju, równał się najsławniejszym wodzom w starożytności. Całe też usposobienie jego widocznie było ku temu, zwyczajnie mówił krótko zwięźle i żarliwie, w radzie zaś z powagą jak na senatora przystało. Bez szemrania znosił trudy i niewygody obozu, przy rzadkiéj słodyczy obejścia, umiał utrzymywać żołnierzy w karności. Nad zwyciężonymi okazywał litość wielką, więźniów z należną uczciwością podejmował i zwracał do domów, umarłych dozwalał grzebać krewnym, a gdyby się ci nie zgłosili sam się zajmował ich pogrzebem. Pobożność jego była przykładem młodszych towarzyszy; co sobota spowiadał się i komunikował; codziennie zaś słuchał Mszy Ś. Bystry i wykształcony umysł nie małą był mu pomocą w działaniach wojennych. Po ukończonych naukach w Wilnie dla dalszego kształcenia wyprawili go rodzice do obcych krajów. Zwiedzał Europę podczas wojny Hiszpanji z Hollandją, miał więc sposobność wykształcić się w sztuce wojennéj przestawając blisko z sławnemi ówczesnemi wodzami jak książe Alby, Aleksander Farnèse i Maurycy de Nassau. Za nim powrócił do ojczyzny zasiewać hojną dłonią plony uzbierane w obcéj ziemi, zatrzymał się jeszcze czas niejaki na wyspie Malcie, aby tamże rozpamiętywać dzieła wojennéj sztuki. Do ostatka też życia nie zaniechał ani jednego obowiązku hetmana. Pamiętny zalecenia starożytnych rzymian, że wódz powinien stojący umierać, wigiliją śmierci dopiero kazał się przenieść z obozu do Chocimskiego zamku, gdzie zachęciwszy raz jeszcze pozostałych do wytrwałości i męztwa, złożył buławę w ręce Lubomirskiego, dopełnił świętych obrzędów kościelnych i oddał Bogu wielkiego ducha. We dwa dni potém, lud wojenny zagrzany ostatniemi słowy umierającego wodza, zwyciężał nieprzyjaciół i wraz z nowym hetmanem odprowadzał zwłoki bohatera do Ostroga. Przyjmowała je ża-

łosna wdowa Anna Aloiza córa tamecznych książąt, którą przed rokiem pojął był za żonę Chodkiewicz, po śmierci pierwszéj swéj towarzyszki Anny Mieleckiéj wojewodzianki Podolskiéj. Młoda i piękna niewiasta licznych zamków i włości dziedziczka, mimo tych wszystkich ponęt świata, potrafiła uczcić pamięć wielkiego męża dochowując mu wiary po za grobem. Wytrwała aż do końca życia, oddana jedynie Bogu i pobożnym uczynkom.

Ostatnią pamiątką Września, przypadającą w dniu 29 tegoż miesiąca, jest mężna obrona Trembowli Samuela Chrzanowskiego, którego bohatérska małżonka po wszystkie wieki świecić powinna szlachetnym przykładem polskim niewiastom.

A. z Ch. Borkowska.

KORRESPONDENCJA.

Spa 20 Sierpnia 1861 r.

Od wyjazdu mego z Anglji ciągle będąc w drodze nie miałam czasu przesłać nowych wiadomości dla waszego *Kółka*, zresztą droga przez Calais, Lille i północną część Flandrii, nie może tak zachwycić jak podróż po wschodniéj części Belgii, w któréj się obecnie znajduję. Z tamtéj strony Bruxelli kraj po większéj części płaski, nie bardzo gęsto ozdobiony drzewami, które jeśli są, to zwyczajnie tylko pozasadzane w regularne linije, wyglądają z daleka jak żołnierze ustawieni na mustrę. Przyjazd do Bruxelli od strony Lille w najgorszym także świetle stolicę Belgii przedstawia, wjeżdża się bowiem do miasta przez najmniéj schludną część jego, przez ulice wązkie i tak górzyste, że biedne konie z trudnością wydrapać się z powozem mogą, trzeba wiedzieć, że znaczna część Bruxelli stoi na wzgórzu, ztąd nieznośne wiatry i zimno, które w téj części miasta bardzo dotkliwie czuć się dają.

Dostawszy się na plac nazwany królewskim już się widzi że miasto jest duże, pomnik Godfreda de Bouillon z bronzu odlany, ślicznie ozdabia plac w środku którego znajduje się kościół nowożytnéj zupełnie architektury. Nowa Bruxella tak jak prawie wszystkie miasta zacząwszy od Paryża, w ostatnich kilku latach nadzwyczaj się zabudowała i przyznać należy że domy są bardzo piękne, po większéj części z szarego kamienia, a ulice i chodniki wygodne i szerokie.

Całe miasto opasane jakby wstęgą Bulwarami zasadzonemi w kilka rzędów drzewami wśród których są aleje dla pieszych, konnych i powozów oddzielnie powyznaczane, stanowią one najulubieńszą i najmodniéjszą przechadzkę mieszkańców Bruxelli.

Domy w Bruxelli są tak jak w Londynie na jedną tylko familiję budowane, a chociaż w wewnętrznym urządzeniu mniéj może jest *comfortu*, zewnętrznie są ładniejsze. Panowanie holendrów w tym kraju chociaż bardzo niedługie (od 1815 do 1830 roku) zostawiło jednak w obyczajach ludu ślady swoje. Najużyteczniejszą pamiątką po nich jest staranie, z jakiém domy są utrzymywane, w soboty widziéć można służące, które za pomocą szczotek i małych ręcznych pomp cały dom i chodnik przed domem obmywają nie szczędząc wody, któréj taka tam obfitość, że w każdym domu znajdziemy aż trzy jéj gatunki. Wygodę tę winni mieszkańcy Bruxelli ziomkowi naszemu panu *Guzowskiemu* Inżynierowi, który od trzech czy czterech lat tę użyteczną pracę ukończył. Podatek jaki się za to płaci, jest nadzwyczaj mały w porównaniu do wygody w gospodarstwie, gdy się ma zawsze czystą i zimną wodę. Patrząc jak belgijki ubrawszy się w saboty (to jest drewniane trze-

wiki), nie mają sobie za ubliżenie zmiatać i obmywać trotuar, który tak jest przez to czysty, że możnaby całe miasto w atłasowym trzewiku przejść śmiało, pomyślałam sobie kiedyż to nasze służące przekonać się dadzą, że żadna uczciwa praca nie krzywdzi i zachęcić się zechcą do podobnéj czystości i porządku.

Parę dni wystarcza, aby wszystkie ciekawsze kościoły Bruxelli zwiedzić, jest ich kilka bardzo starożytnych, a najpiękniejszym z nich katedra świętéj Guduli, któréj fronton teraz właśnie jest odnowiony zupełnie. Ciekawy jest także stary ratusz i plac zabudowany w około dziwnemi domami, niektóre z nich są złocone całe prawie zewnętrznie, inne mają łacińskie napisy, allegoryczne figury, wszedłszy na ten plac cofnąć się trzeba myślą o trzy lub cztery wieki, i wyobrazić sobie zamiast spacerujących dziś anglików i angielek, poważnych mieszczan ówczesnych w tak malowniczym starym flamandzkim stroju. Innym zapewne był lud ten od dzisiejszego, który mi się wcale nie podobał. Przyznając wszystkie zalety wysokiéj cywilizacji tego kraju, przykre na mnie kobiecie i polce zrobił wrażenie, brak wszelkiego uczucia religijnego w średniéj i niższéj klassie społeczeństwa tutejszego. Niezadługo po naszym przyjeździe przypadała processja Bożego Ciała, jakież było moje oburzenie, gdym wśród tłumu stojących przed katedrą spostrzegła wielu ludzi, którzy na widok wychodzącéj processji z kościoła, nie tylko czapki nie uchylili, ale patrząc na to jak na jakie widowisko, sygara palili i rozmawiali. Rzemieślnicy mają tu nawet stowarzyszenia, w których dają sobie słowo, że żaden z nich do kościoła nigdy nie pójdzie, niewiem jak się obchodzą bez kapłana w czasie ślubu i chrztu dzieci swoich, ale że na pogrzeby nie wzywają księży to słyszałam z pewnością.

Za krótko bawiłam w Bruxelli, abym dać mogła dokładne wyobrażenie o jéj życiu społeczném i wszystkich dziełach sztuki w które obfituje, miałam jednak sposobność zwiedzać pracownią jednego ze znakomitszych malarzy flamandzkich pana Verbeekhoren. Jest to już dziś człowiek nie młody, wysokie stanowisko jakie zajmuje w sztuce, winien swojéj niezmordowanéj wytrwałości i talentowi.

P. Verbeeckhoren jest głównie malarzem pejzaży i zwierząt, a chociaż w pracowni jego jest wiele portretów, chociaż jest on także bardzo znakomitym rzeźbiarzem, ulubioną pracą jego jest robienie studjów z życia i charakteru zwierząt, zacząwszy od lwa, którego jeździł oglądać w Algierze, aż do łagodnych owieczek pasących się na górach Szkockich, jednym słowem był on wszędzie gdzie dla swojéj sztuki coś mógł zdobyć. Prace pana Verbeeckhoren są bardzo poszukiwane przez jego współziomków którzy nie tylko w nim cenią artystę, ale i człowieka pełnego zasług i nauki. Pracowni podobnych jest kilka w Bruxelli, bo chociaż nie ma dziś może Van Dyków i Rubensów, zamiłowanie sztuki jest tu zawsze wielkie i próbki talentów tutejszych artystów więcéj mnie przynajmniéj na wystawach zachwycały, jak owe tak sławne Bruxelskie koronki, po które panie nasze z tak daleka przyjeżdżają.

Kto jedzie do Bruxelli, nie powinien ominąć pola bitwy pod Waterloo, myśmy także za przykładem prawdziwych turystów pojechali angielskim dyliżansem w towarzystwie znajomych nam anglików. Miło jest widzieć z jakim uczuciem dumy i radości słuchają oni opowiadań przewodników, którzy poznawszy od razu wyspiarzy, o cudach waleczności bohaterów angielskich, a o braku ducha we francuzach prawią. Nie moja rzecz opowiadać o wszystkich ewolucjach tych wojsk, które w tym dniu pamiętnym udział brały, ale o ile jako kobiéta sądzić o tém mogę, zdaje mi się, że anglicy mieli za sobą szczęśliwie bardzo zajętą pozycją w fermie Hongemont która niegdyś była zamkiem i otoczona dziś jeszcze mocnym murem, stanowiła małą lecz silną fortecę dla wojsk Wellingtona. Dotąd widać ślady gdzie umieszczone były baterje angielskie, są stare drzewa których poszarpana kora nosi znaki od kul które po nich przelatywały, ziemia zaś cała na któréj tyle się krwi polało, dziś pokryta bujną trawą i kwiatami. Jest jednak pewne uczucie smutku, które pomimowoli przejmuje jak się stąpa po miejscach gdzie straszna walka zdecydowała o losie takiego

człowieka jak Napoleon. O pomniku w formie wyniosłego kopca, na którego wierzchołku wznosi się lew ogromny zwrócony groźnie ku Francji, wiele powiedziećby można, podług mnie psuje on wrażenie i przeszkadza widokowi.

Mówiono nam że gdy w kilka lat po bitwie, stary Wellington do Waterloo przyjechał, bardzo się gniewał na ten pomnik który zmienił całkiem widok pola bitwy, kopiec bowiem usypany jest z ziemi zebranéj z pobliskich pagórków — tyle o Waterloo.

Bruxella stara się we wszystkiem naśladować Paryż, przesadza go nawet w niektórych rzeczach, bo jest niesłychanie drogą, szczególniéj dla cudzoziemców których bez litości tu obdzierają. Mylne więc jest u nas pojęcie, że to kraj gdzie koronki tak tanie, są one piękne ale drogie, nie będę więc tym przedmiotem czytelniczek kółka zajmować; koronki to rzecz zbytku, a nam o zbytkowych rzeczach myśléć się nie godzi, co tylko praktycznością i prostotą zwrócić na to uwagę mam sobie za obowiązek, na nieszczęście téj prostoty dopatrzyć się nie można na zachodzie, zbytek coraz większy i coraz smutniéj patrzéć na kobiéty, których całą ozdobą szeroka i wlokąca suknia, każda téż nią więcéj zajęta jak dziećmi i mężem.

Cieszę się niezmiernie, że u nas coraz więcéj upowszechnia się przekonanie, że kobiéty nasze reformą stroju dla siebie same zająć się powinny. Piękną byłoby rzeczą, gdyby za lat parę przyznano polkom pierwszeństwo w téj zbawiennéj zmianie, o którą dziś wszędzie najpoważniejsi ludzie dopominają się stanowczo, a kapłani z ambony coraz silniéj nalegają, my więc dajmy modę prostoty i oszczędności w ubiorze dajmy sobie słowo, aby na te kosztowne a tak coraz zmieniające się gałganki nie szafować, przypomnijmy sobie, że babki nasze nie krynolinami i jedwabiami zachwycały, że błyszczały one daleko więcéj skromnością w ubiorze i w postawie, że w muślinkowych lub perkalikowych sukniach w lecie a wełnianych w zimie, bawiły się dobrze, były weselsze i swobodniejsze niż dzisiejsze panienki, które do strojów od dzieciństwa nawykłe, w tém tylko całą przyjemność znajdują, aby się lepiéj od innych ubrać. Strój tylko jest dla nich całego życia zajęciem i celem, a wszystko inne je nudzi i męczy. Pierwszym krokiem do téj pożądanéj zmiany będzie porzucić te nienawidzone przez wszystkich ludzi rozsądnych zbytniéj objętości krynoliny, im bowiem na ubranie większa ilość materji, tém większy wydatek, przy długiéj i wlokącéj się sukni potrzeba strojniejszych kapeluszy i t. d. Postanowienie to stałe i jednomyślne przekona naszych mężów i ojców, że szczerze pragniemy poprawić się z téj grzesznéj wady zbytku, który zaległ już teraz wszystkie warstwy naszego społeczeństwa.

Ale za daleko uniósł mię zapał kaznodziejski od pola bitwy do krynolin, pozwólcie więc że się teraz od razu przeniosę do miłego Spa i podzielą się z wami wrażeniem, jakiego doznałem dostawszy się ze skwarnego miasta do pełnego cieniu, czarujących spacerów i uzdrawiających źródeł Spa. Miłe téż to miasteczko, liczy blisko 5 tysięcy mieszkańców, czyste, wesołe ożywione, ocienione cudnemi alejami drzew przynajmniéj stuletnich, ma wszystko co dla szukających zdrowia i uspokojenia myśli strudzonych potrzeba, gdyby dom gry ta wielka klęska i pokusa, która wielu nietylko spokojności, ale ciężko zdobytych, albo może pożyczonych pieniędzy pozbawia nie psuł ogólnéj harmonii.

Nie mogę się wydziwić, że dotąd tak nie moralny zakład w kraju cywilizowanym tolerowanym być może. Reduta w Spa jest to pyszny pałac o złoconych salonach, gdzie galonowani lokaje, otwierają podwoje tak dla tych co mają do wyrzucenia franki jak i dla tych co chciwi wiadomości, radziby przejrzéć dzienniki, których w Spa inaczéj przeczytać nie można. Tą koniecznością znagleni, musieliśmy pomimowoli ze zgrozą patrzéć na tysiące franków, które się tam w kilku minutach z kieszeni gości do banku gry przesuwały, było tam kilku naszych rodaków pomiędzy grającemi, ale z pociechą powiedziéć muszę, że w ogóle mało grali. Najbardziéj zgrywali się Anglicy i Niemcy najwięcéj téż ich było w Spa w tym roku. Polaków bardzo mało, a ci co byli trzymali się w odosobnieniu

od reszty przybyłych. Wprawdzie w Spa nie łatwo się spotkać, bo jest wiele bardzo ładnych i dość odległych spacerów na których powozami konno i na osłach rozpierzchają się goście. Źródła Spa są bardzo jedne od drugich odległe co także nie pozwala wszystkim razem zbierać się tak jak w niemieckich wodach przy Kursalu.

Robiliśmy i my także wycieczki, niektórè nawet trochę odleglejsze, jedna z nich bardzo mię zajęła, jeździliśmy zwiedzać fabrykę cynku największą w świecie należącą do towarzystwa Vielle Montagne, w któréj jedynym z technicznych inżynierów jest młody nasz ziomek p. Alexander Zamiszewski. Jego uprzejmości winniśmy zwiedzenie fabryki we wszelkich szczegółach. Pokazano nam najprzód cegielnię, gdzie codziennie 200 do 300 tygli z ziemi ogniotrwałéj z wielką szybkością zapomocą machiny parowéj wyrabiają, tygle te robione są z niezmierną dokładnością, gdyż najmniejsza ilość powietrza zostawiona w wyrobie tygla, rozsadza go w ogniu co znaczną stratę metalu sprawia.

Metal wytapiają tu z rodzaju gliny czerwonawéj galmanem zwanéj, którą napełniwszy tygiel, wstawiają do pieca, gdzie ogień ciągły i niesłychanéj mocy utrzymywanym jest dzień i noc, pieców takich jest 48 a w każdym blisko po 40 tygli z metalem ciągle wybieranym, gdy ten już w stanie płynnym się znajduje, w formy odlewa się na miejscu. Cynk topiony wygląda jak najczystsze srebro, wylewany najprzód na sztaby, jest potém walcowany, ciągniony na druty i przerabiany na tysiące rozmaitych pożytecznych i wygodnych przedmiotów, które zalecają się taniością i lekkością. Wyziew gazu wydobywającego się z cynku szkodliwym jest bardzo, płomyki różnokolorowe które z każdego tygla wychodzą ciągle, są trucizną dla biednych robotników, twarze ich wynędzniałe, postacie wychudłe, wzbudzają politowanie, biedni ci ludzie, żywią się po większéj części kawą czarną i chlebem i dłużéj jak do 40 lat życia pracować nie mogą. Miasteczko Chené, zakładowi de la Vielle Montagne winno wzrost swój, bo dopiéro w ostatnich latach 30 z osady ledwie kilkunastu mieszkańców liczącéj, wzrosło do kilkotysięcznéj ludności. U nas podobnego rodzaju fabryki, powinnyby się rozwinąć także bo są do tego żywioły, wyłożył nam p. Zamiszewski, że najlepszy w Europie gatunek *galmanu* znajduje się w okolicach Dąbrowy, a i ludzi gotowych do pracy nie brak.

Takich ludzi młodych i zdolnych jest tu wielu na nauce i miło nam było słyszéć, że rodacy nasi są powszechnie szacowani, że znają rzecz swoją gruntownie i są bardzo pracowici.

Belgija jest krajem tak przemysłowym, że na małéj przestrzeni możnaby ciekawych fabryk i zakładów dużo bardzo zwiedzieć, ale na opisanie tego za szczupłe ramy mojéj korrespondencji.

M. z K. F. Z.

O UBIORACH.

Nie wielki przeciąg czasu bo zaledwie kilka tygodni ubiegło od ostatniego sprawozdania naszego o ubiorach, a jednakże zaszła w nich już niejaka odmiana. Powodem tego dnie chłodne, które tak nagle zaskoczyły nas po skwarnych upałach. Obecnie nie widać już po magazynach naszych owych lekkich przyborów stroju, zastępują powoli ich miejsce, ubiory stosowniejsze do zimnych szczególniéj poranków i wieczorów. Zaczynają już nawet przemawiać o modach zimowych i kto wie czy nie dobra ta wczesna przezorność, zdarza się albowiem nieraz, że zaskoczeni niespodziewanie zimnem wtedy dopiéro myślemy o sporządzeniu cieplejszych ubiorów gdy na dobre już wartoby się w nie przyodziać. Dla prenumeratorek naszych któ-

re pragną zawczasu zaopatrzéć się w przybory jesienne i zimowe, donosimy że miejsce używanych dotąd różnego kroju burnusów, zastąpią obecnie stanowczo paletoty wcięte lub obszerne, stosownie do upodobania. Paletoty zimowe okładać się będą czarnym lub siwym barankiem. Doskonałe naśladowanie tego futerka, wyrobione z wełny sprzedaje się na łokcie w magazynie p. Włodkowskiego, baranki podobne nie ustępują barwą i kształtem prawdziwym, a są znacznie tańsze i lżejsze. Młode osoby używać będą zgrabnych okryć w kształcie kaftanów długich do kolan, wciętych w stanie i szamerowanych na plecach nakształ przyodziewek naszych wieśniaczek. Przód tych kaftanów będzie również szamerowany i śpięty na pętlice. Rękawy obcisłe, spięte u ręki, na nich zaś drugie otwarte, wązkie długie, w tył zarzucone. Obłożenie do koła również z czarnego lub siwego baranka. Salopy futrem podszyte, będą dawniejszą formą fałdowane na około niewielkiego karczka przykrytego dużym kołnierzem futrzanym. Rękawy średniéj szerokości a wewnątrz nich drugie wązkie, dla ciepła ściśnięte u ręki elastyczną taśmą. Na salopę podszytą kosztowniejszem futrem, najlepiéj wygląda reps czarny jedwabny, łokieć takiego repsu mający półtora łokcia szerokości, kosztuje zł. 20, na salopę wychodzi go łokci dwanaście, węższe są tańsze. Na mniéj drogie pokrycie futra, dobre są bardzo wełniane czarne materje jako to: *oeil de perdrix* szerokość łokieć i trzy ćwierci, cena łokcia zł. 10. *Reps* lub *draps Magenta*, szerokość łokieć i pół, cena łokcia zł. 4 gr. 15, *draps de Biaritz* szerokość łokieć i trzy ćwierci, cena łokcia zł. 10. Też same materje bardzo dobrze wyglądają na suknie zimowe mniéj strojne, pierwsza z nich ma deseń jakby w drobne okrągłe oczka, druga grube podłużne prążki, trzecia zaś prążki drobne poprzeczne. Do większego ubrania najładniejszy według nas reps czarny jedwabny, suknia taka robi się zupełnie gładka, rękawy niezbyt szerokie, tak zwane pół otwarte, ubrane czarnym aksamitem, stanik gładki spięty na czarne aksamitne guziki i ściśnięty w stanie aksamitnym paskiem spiętym, czarną klamrą z lawy. Widzieliśmy kilka jesiennych sukien wykończonych w magazynie pani Włodkowskiéj dla osoby znanéj z wytwornego smaku w stroju. Najwięcéj zwróciła uwagę naszą suknia z materji jasno-popielatéj po któréj rzucone były małe różyczki, ślicznie popielato cieniowane.

Ubranie téj sukni stanowiły tak zwane przez francuzów *creve* to jest rozcięcia, któremi wygląda rurka z czarnéj materji. Szereg takich rozcięć otaczał dół spódnicy, niby czarne szczebelki w małych odstępach, dwoma zaś rzędzami biegł na przodzie aż do stanika. Stanik był gładki, rękawy pół otwarte podobnie przybrane jak spódnica. Druga suknia była z materji również popielatéj w rzut ciemniejszy w rodzaju *chiné*, spódnicę zdobiły pasy (des bandes) z gładkiéj czarnéj materji ukośno krajanéj, które tworzyły zęby spiczaste, zęby te nie ciągnęły się z jednéj sztuki, lecz każden oddzielnie składał się z kilku szczebelków obszytych wązką czarną koroneczką. Z lżejszych sukien w tymże magazynie ładną bardzo była suknia z tak zwanego *barège anglais*. Na tle jasno popielatem posiane gwiazdki czarne jedwabne z białym środkiem spódnica oszyta u dołu pasem z czarnéj materji, którego oba brzegi otaczała bareżowa popielata falbanka objęta czarną wstążeczką, takież same ubranie biegło z jednego boku trzema rzędami do dołu sukni. Każden rząd w pośrodku zagięty był *en escalier* i dotykał jednym końcem paska, drugim zaś brzegu spódnicy, z drugiego boku od czarnego jedwabnego paska spadała także szarfa lekko w pośrodku przewiązana. Druga ładna również suknia popielata *poil de chevre* miała u dołu szlak grecki wyszyty pasem tejże saméj materji, obszywanym z dwóch stron czarną koroneczką i zakończonym w każdym załamie czarnym guzikiem. Staniki wszędzie gładkie, a rękawy pół otwarte podobnie jak spódnica zdobione. Widzieliśmy także u pani Włodkowskiéj bardzo ładnego fasonu ranny szlafroczek, był to kaftanik do którego przyszyta była spódnica w kształcie szerokiéj falbany, w stanie ściskał go pasek czarny aksamitny z klapkami (a pattes) zakończonemi chwaścikami.

Pokazywano nam wiele podobnych pasków dziwnie oryginalnych kształtów z aksamitu lub czarnéj gładkiéj materji. Ubrania na głowę najwięcéj zawsze używane *en diadème* wysoko podniesione po nad czołem, tworzą one prawdziwy dyadem i dziwnie przypadają do twarzy osobom.... pięknym. Są jednakże pomiędzy niemi i mniéj podniesione które prędzéj zastosować się dadzą do każdego rodzaju fizjognomii. Jedno z nich szczególnie ładne pokazywała nam pani Włodkowska z czarnego tiulu i czarnych kwiatów zakończone szerokiemi szarfami z czarnego tiulu, które według upodobania wiązać można było z lekka pod brodę lub z tyłu głowy. Pokazywano nam także po cenie dwóch rubli, ubrania z czarnego aksamitu bardzo ładne, przypinające się tylko po nad czołem i śliczne czarne kwiaty któremi zdobią strojniejsze ubiorki, pomiędzy niemi najładniejsze były czarne tulipany, których wewnętrzna połowa liści lekko biało była cieniowaną i jagody jerzyny która jak wiadomo czarnéj bywa barwy. Śliczny był kapelusz z główką z czarnéj a rondkiem z białéj blondynki strojny w takie jerzyny i czarny aksamit. Kapelusze obecnie noszą jeszcze letnie, lecz przybierane w czarny aksamit, nie jeden z używa-



KÓŁKO DOMOWE

Sierpień 1861

ny już kapelusz ładnie się może odświeżyć podobnym przyborem. Pani Włodkowska ma także najwięcéj używane białe cienkie webowe kołnierzyki po zł. 3 sztuka; wyjeżdżając zaś obecnie do Paryża, zamierza sprowadzić z tamtąd zapas spódniczek wełnianych w pasy czarne i popielate, których rozpowszechnienie bardzo u nas pożądane we Francji oddawna już zastępują niemi w codziennym ubiorze białe perkalowe, których ciągłe pranie i prasowanie tak uciążliwe zwłaszcza w mieście, a dodajmy jeszcze, że wyszedłszy w czas błotny w białéj spódnicy zaledwie chwil kilka jest się porządnie ubraną. Spódniczki kolorowe francuzi zowią *jupes laitières* z powodu że są one strojem mleczarek paryzkich, brzegi ich ubierają szeroką taśmą (bande) z aksamitu lub sukna czarnego przystrojoną jeszcze koroneczką wełnianą, spódniczki te są tak strojne, że panie bawiące u kąpieli morskich, używają ich do rannych przechadzek bez pokrywania już inną zwierzchnią suknią. Kładą tylko na wierzch biały kaftanik, przystrojony w haftowane wstawki i białe koronki. Kaftaniki takie są w Paryżu jedynym zbytkiem z rzeczy haftowanych, albowiem kołnierzyki, mankietki, czepeczki, kanzotki etc. etc. najwięcéj używane są gładkie. Zuawki ze spódniczkami będą nosić jeszcze téj zimy, w miejsce tylko białych muślinowych bluzek, które pod spód kładziono w lecie, używać mają kamizeleczek z cięższéj materji, ten rodzaj stroju przystoi szczególniej osobom młodym. Widzieliśmy spódniczkę popielatą *poil de chevre* obłożoną u dołu czarną materją, takież same oszycie otaczało zuawkę, kamizelka zaś była również z czarnéj materji. Kamizelka taka, jest to rodzaj stanika spiętego do góry na guziczki, zimową porą można ją podszyć cieplejszą materją i na dobre chronić może od przeziębienia.

Jedna z prenumeratorek naszych, zapytywała nas w tych dniach, w jaki sposób urządzić strojny ubiór młodéj mężatki, na uroczystość weselną, to jest: jak ma być zrobiona suknia stosownie do używanych obecnie kolorów i kroju; zważywszy, że opis podobny może się przydać i dla drugich, podajemy tu udzieloną jéj odpowiedź. Suknia z materji popielatéj koloru jasnego, wpadającego w srebrny, spódnica zrobiona gładko lub z wystrojem z tejże saméj materji. Stanik gładki wycięty z bawetem, na nim kanzotka z tiulu illusion i blondynki, rękawki u stanika krótkie obcisłe, w miejscu gdzie się wszywają w stanik epoletka, z pod niéj zaś wychodzić mają ułożone na rękawku materjalnym dwie bufki z tiulu illusion, od tych bufek spada również z tego samego materjału rękaw szeroki do końca ręki. Ubranie na głowę *en diadème* z końców białych blondynowych (des barbes) i białych kwiatów. Ubiór podobny może być bogatszy i skromniejszy, stosownie do materji użytéj na sukni i do jéj ozdób; jeżeli ktoś naprzykład posiada piękne koronki, może niemi przystroić bardzo kosztownie suknią, niemniéj jednakże dobrze wyglądać ona będzie tak jak wyżéj opisaliśmy.

Jadąc do kościoła, zarzuca się zwykle na podobny ubiór białą kaszmirową okrywkę.

Przy naszem sprawozdaniu z kobiecych ubiorów, nie możemy pominąć także nowość która nam się wielce podobała. Są to kapelusze z czarnego kaszmiru tak nazwane tybetowe, wyglądają bardzo dobrze, tak jak gdyby pokryte były krepą, trudno znaleść coś stosowniejszego dla osób, które noszą ubiór żałobny. Dodać jeszcze trzeba, że kapelusze te i pod względem tanności odpowiadają zupełnie obecnym wymaganiom, nie kosztują bowiem jak po zł. 26 gr. 20. Ubranie na nich z fałdek tegoż samego materjału, podgarnirowanie z czarnéj illuzji i czarne wstążki przy związaniu, są one bardzo lekkie, welony przy nich powinny być koniecznie czarne krepowe a suknie wełniane.

Zakończywszy rzecz o ubiorach, musimy jeszcze z powodu obecnéj pory zapasów zimowych, powiedziéć czytelniczkom naszym słów kilka stosujących się do ich gospodarstwa domowego. Wiadomo powszechnie jak z licznych książek traktujących o przepisach spiżarnianych, mało jest prawdziwie dobrych gdy je zastosujemy do użytku, obecnie zaś posiadamy przepisy za które sumiennie zaręczyć możemy, że nie zawiodą w żadnéj próbie. Według książki pani L. C. 365 *obiadów* osoba mająca najmniéj wyobrażenia o kuchennéj sztuce, stosując się ściśle do przepisu, potrafi ugotować najlepszy obiad. W drugiéj zaś książce téjże saméj autorki pod tytułem: *Jedyne praktyczne przepisy*. Każda gospodyni znajdzie *niezawodne* sposoby pieczenia ciast i smażenia konfitur, którym tylko najdoskonalsze zakupione w wykwintnych cukierniach wyrównać mogą, zarówno jak najlepsze przepisy wszelkich konserw zimowych, od kompotów aż do urządzania najprostszych jarzyn. 366 obiadów kosztuje zł. 5, jedyne zaś praktyczne przepisy zł. 4. Za wydawnictwo tych obu pożytecznych książek, należy się prawdziwa wdzięczność autorce od wszystkich gospodyń tak wiejskich jak miejskich, są one albowiem nieocenionym skarbem w codziennem użyciu.

Objaśnienie tablicy rysunków.

N. 1, Figura stanika gładkiego z dwóch materji,—rękawy i kołnierz.

N. 2, Rękaw—zęby u góry i u dołu mają być z gładkiéj materji odmiennego koloru jak suknia, np. suknia popielata a wyłogi czarne.

N. 3, Otwarty kołnierz z takiéj materji jak zęby u rękawa.
N. 4, Kołnierzyk i rękawki szerokiem podkładanem dzierganiem żyłki okrętką [1]).
N. 5, Róg do chustki haftowany atłaskiem czarnym francuzkim jedwabiem, parzonym w gorącém mleku.
N. 6, Róg do chustki atłaskiem, połowa listka oznaczona kropkami stębenkiem zwyczajnym.
N. 7, Tarcza do chustki z cyframi A. B. atłaskiem.
N. 8, Szlak do kamizelki, zęby szerokie, dziergane bez podkładania, po nad zębami do wyszycia tasiemeczką, deseń grecki.
N. 9, Szlarka do kaftanika angielskim haftem.
N. 10, Zęby szerokiem dzierganiem do falban.
N. 11, Bukiecik atłaskiem albo szerokiem dzierganiem.
N. 12, Narożnik do chustki atłaskiem.
N. 13, 14, Rzucik atłaskiem.
N. 15, 16, Cyfry E. S. M. B. atłaskiem.
N. 17, Tarcza na cyfry do chustki.
N. 18, 19, 20, Szlarki do czepeczków i koszul.
N. 21, Wstawka—gdzie oznaczone gwiazdki wszywa się koroneczka i przydzierguje się z obu stron szerokiem dzierganiem listki angielskim haftem.

[1]) Trzeba obwieść żyłkę dwoma lub trzema sciegami stosownie do jéj długości i przeciągnąć powierzchownie nitkę, zaczepiając ją za ścieg któren masz na wierzchu.

N. 22, Bucik dziecinny na suknie lub tybecie, deseń wyszywa się tasiemeczką albo aplikacją z aksamitu.
N. 23, Podeszewka do bucika.
N. 24, Kołnierzyk atłaskiem — szeroki obrąbek przystębnowany, muszki na medaljonach robią się okrętką [1]) lub stębenkiem potrójnym [2]).
N. 25, Kolnierzyk i rękawki atłaskiem, łańcuszki okrętką tak jak się mówiło o żyłkach, dziurki przekałane.
N. 26, Kołnierzyk i rękawki angielskim haftem, rószczki okrętką jak żyłki.
N. 27, Szmizetka dla małéj dziewczynki—haft w muszki supełkowe albo potrójna stębenka.
N. 28. Szlak gipiurowy na komżę tiulową z podłożeniem lino batystu.
N. 29, Szlak do sukni atłaskiem można go użyć i na gipiure.
N. 30, Wstawka do kaftanika—atłasek i haft angielski.
N. 31, Wstawka do czepeczka haftem angielskim.
N. 32, Wstawka szerokiem dzierganiem dziurki przekałane.
N. 33, 34, 35, 36, Mniejsze i większe zęby do falban.

[1]) Muszki supełkowe tak się robią: włóż igłę jak do ściegu, ale nie wyciągaj, okręć nitkę na około igły i dużym palcem lewéj ręki przytrzymuj okrętkę, wyciągnij igłę i dwoma ściegami przymocuj okrętkę.

[2]) Na muszki stębnowane trzeba w jedno miejsce kłaść ścieg trzy razy, uważając żeby były położone niteczki jedna koło drugiéj.

Do pp. Prenumeratorów.

Przy kończącym się drugim kwartale, przypomina się Prenumeratorom, którzy na trzeci nie złożyli przedpłaty, ażeby zechcieli takową wcześniéj uiścić, jeżeli pragną odbierać nadal *Kółko Domowe.* Nadmienia się także, że wszelkie nieakuratności w przesyłaniu nie pochodzą z naszéj winy, lecz z winy poczty gdzie dostarczamy żądaną ilość exemplarzy najregularniéj, tam więc należy się upominać o te które nie dochodzą. W początkach przyszłego miesiąca, Redakcja *Kółka* przeniesioną zostaje do nowego domu W. Mintera, przy placu Dzieciątka Jezus N. 1337 obok dawnego domu za żelazną kratą tegoż właściciela, uprasza się więc, aby nadal wszelkie listy i przesyłki tamże były adresowane.